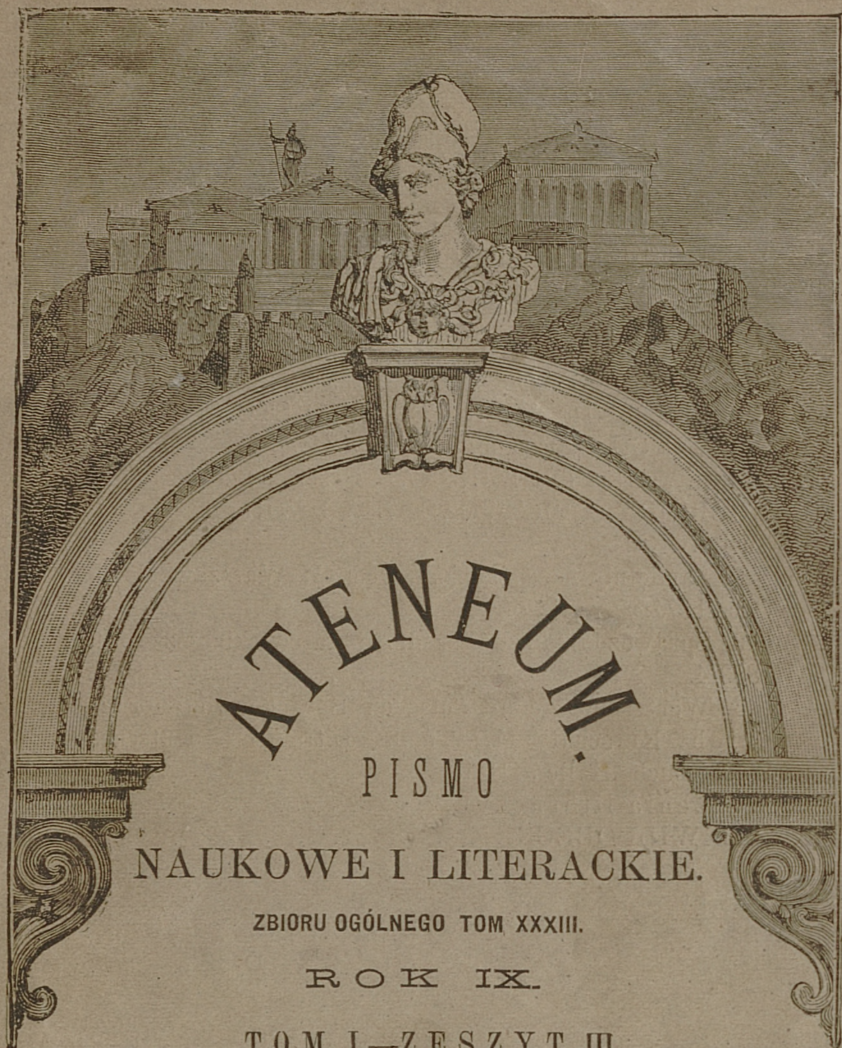


ATENEUM.

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

ZBIORU OGÓLNEGO TOM XXXIII.

ROK IX.

TOM I.—ZESZYT III.

Marzec.

WARSZAWA.
DRUKIEM K. KOWALEWSKIEGO,
ulica Królewska, Nr. 23.

1884.

SPIS RZECZY.

I. KUŹNICA KOŁŁĄTAJOWSKA. Studyum historyczne. Przez *Władysława Smoleńskiego* 393

II. PESSYMIZM WSPÓŁCZESNY. Przez *Witolda z Kaliny Lassotę* 418

III. WSPÓŁCZESNA RUMUNIA. I. Przez *T. T. Jeża* . . 445

IV. IGNACY CHODŹKO. Szkic literacki. Przez *W. Z. Kościałkowską* 468

V. POCZĄTKI CHRYSTYANIZMU. II. Osoby i fakta. Przez *I. Radlińskiego* 492

VI. ZAMIESZANIE W POJĘCIACH O STOSUNKACH GMINNYCH. Przez *Juliana Łapickiego* 515

VII. LITERATURA GRUZIŃSKA. Przez *Artura Leista* . 529

IX. ROZBIORY, SPRAWOZDANIA I WRAŻENIA LITERACKIE:

1. Pamiętnik fizyograficzny. Tom III. Warszawa 1883. Ocenił *Józef Nussbaum* 549

2. Sprawozdania szkół średnich galicyjskich z roku 1883/4. 559

3. Wörterbuch der littauischen Sprache von Friedrich Kurschat II. Theil. Littauisch—deutsches Wörterbuch. Halle a. S. 1883 565

Wrażenia literackie 569

IX. Z CHWILI OBECNEJ 577

Druk ukończono 1 Marca 1884 r.

KUŹNICA KOŁŁĄTAJOWSKA.

STUDYUM HISTORYCZNE.

Zrywał Kołłątaj z zawodem pedagogicznym i stary Kraków na Warszawę zamieniał wtenczas, kiedy stosunki polityczne dawały skołatanéj nieszczęściami rzeczypospolitéj chwilę wytchnienia i nadzieję lepszéj przyszłości. Ogarnąwszy bystrem wejrzeniem przyjazne warunki czasu, reformator akademii krakowskiéj daje hasło do naprawy całego państwa, chce słaby rzeczypospolitéj organizm wzmocnić przez rozluźnienie więzów krępujących chłopstwo i dźwignięcie mieszczaństwa do wyżyn szlachty. Wyznawca rewolucyjnych idei wieku, ku politycznemu i społecznemu odrodzeniu ojczyzny niezmordowaną rozwinął czynność i wszelkie możliwe stosował środki. Nie zajmując krzesła w senacie i nie mając mandatu posła, od chwili otwarcia sejmu w r. 1788 zamierzył Kołłątaj zawładnąć opinią, dla zrealizowania swego programu użyć jéj presyi na ludzi, stojących u steru rządu i zabierających głos w izbach. Zniewalał sobie w tym celu pochopną do czynu młodzież, interesowanych a potrzebnych do akcyi ujmował objetnicami lub datkiem (1), aż sformował siłę poważną, z którą stronnictwo zachowawcze musiało się liczyć. „Miał za sobą — powiada stronny i niechętny Kołłątajowi pisarz (2) — kredyt i pomoc osób bogatszych, którym nadskakiwał, ulegał, wielbił i podchlebiał; miał za sobą niektórych mówców na sejmie; miał téż na swém zawołaniu zgiełk tych próżniaków i pisarków, którzy za lekką nagrodę lub jéj obietnicę rozszerzali po ogrodach, przechadzkach i kafenhauzach opinię, — gróźb, obietnic, paszkwilów i pochwał stosownie do jego używając zamiarów.“ Ogni-

(1) Wolski. Obrona St. Augusta (*Rocznik tow. hist.-lit. w Paryżu.* Rok 1867. Paryż, 1868, str. 83). — (2) Tamże, str. 118.

skiem propagandy był dom Kołłątaja, przezwany od konserwatystów „kuźnicą.“ Mistrz z pomocnikami kował w niéj groty i miotaniem kierował. Z kuźnicy płynęła inicyatywa do zawiązanego w pałacu radziwiłłowskim klubu, w którym rozprawiano „o prawach człowieka, o potrzebie zrównania stanów i wyrzuceniu nawet wyrazu *stan* z narodowego słownika“ (1); z kuźnicy sypały się pisma, polemizujące z ludźmi zasad odmiennych, chłoszczące podłych lub głupich. W najrozmaitszéj co do treści i formy wychodziły postaci, najróżnorodniejsze bowiem śród zmieniających się ciągle okoliczności w upale tych czasów budziły się kwestye. Staje więc w jednym szeregu rozprawa naukowa z powieścią, satyrą,—humorystyką, epigramatem, pamfletem, a nawet paszkwilem; plącze się chłód ścisłych wywodów z ogniem gwałtownych uniesień, z wybuchem oburzenia, z dowcipem, drwinami i osobistą zaczepką. Najpospolitszym jednak był pamflet, gorączkowo chwytający sprawę, będącą na dobie, z jaskrawą przedstawiający przesadą koloryt omawianych stosunków i faktów.

Zyskałyby na dokładności dzieje kuźnicy przez odsłonięcie działalności przewódcy. Że jednak studyum nad Kołłątajem, wielu i mozolnych wymagające dociekań, ukazać się może dopiero w przyszłości,—ograniczamy się obecnie na charakterystyce głównych pomocników reformatora i na zaznaczeniu kierunku akcyi, jaką rozwinęło stronnictwo radykalno-postępowe podczas sejmu czteroletniego i późniéj.

I.

Kanonik Jezierski.

1.

Gniazdem rozrodzonego domu Jezierskich były rojne szlachtą chodaczkową osady w ziemi łukowskiéj: Jeziory i Gołąbki, położone w sąsiedztwie przerzniętych Krzną błotnistą, pełnych również klejnotnego narodu Zarzyc, Cieszkowizny i Łazów. Spulchniali Jezierscy sochą własne w tych wioskach schedy, z zajęciami rolniczemi łączyli niekiedy ziemski urzędzik, rzadko się na szerszéj okazując widowni. Znaczniejszéj się dobił fortunki i wybitniejszego stanowiska śród ziemian Jan Franciszek. Oprócz sched na Jeziorach, Gołąbkach, Sulbinach i Cieszkowiznie, miał w ordynacyi ostrogskiéj na prawie lenném wieś Woronkowce, piastował urząd pisarza

(1) Wspomnienie z roku 1788 po 1792. Poznań, 1862, str. 40.

ziemskiego łukowskiego, wyrobił sobie opinię biegłego prawnika i poszanowania doznawał u możnych. Bliższe go wiązały stosunki z głośnym późniéj marszałkiem konfederacyi barskiéj, zamieszkałym w Krasném, Michałem Krasińskim, podkomorzym różańskim. Z okazyi pierwszych tomów dzieła *O skutecznym rad sposobie* pisarz ziemski łukowski komunikował podkomorzemu przy liście własne nad pracą księdza reformatora refleksye. „Niech się kto chce inném rozrywa i bawi czytaniem—pisał do Krasińskiego, — ja twierdzę, że nam, Polakom ta książka najpotrzebniejsza jest i jéj maksymy *pro objecto* nam być powinny, jak mamy ratować ginącą ojczyznę.“ Krasiński nie omieszkał zapoznać Konarskiego z listem Jezierskiego i owemi refleksyami, chwaląc ostatnie, że „piękne,“ że „zgadzające się cale z sentymentami“ autora „i dobrych patryotów.“ Konarski listy obu wydrukował w dodatkach do trzeciego tomu swojego dzieła (str. 357 i 359), nie mały przez to na skromnego pisarza łukowskiego rzucając splendor. W polemice, wywołanéj przez dzieło śmiałego pijara, zwolennicy reformy zasłaniali autora powagą najznakomitszych w narodzie mężów, pomiędzy którymi znalazł téż miejsce „godny ziemianin, pisarz ziemski łukowski“ (1).

Z Izabelą z Kiełczewskich spłodził Jan Franciszek z Gołąbków Jezierski: Franciszka Salezego, Antoniego, Kazimierza, Wojciecha Stanisława i córkę Konstancyę (2). Antoni i Kazimierz byli chorążymi, Wojciech Stanisław podchorążym artyleryi (3), urodzony zaś w r. 1740 Franciszek Salezy zawiłe w życiu przeszedł koleje.

Dziecinny umysł Franciszka wzięła w opiekę matka natura i urabiała przy współudziale otoczenia, tchnącego wysokiém wyobrażeniem o krwi szlacheckiéj, a lekceważeniem dla mieszczaństwa i chłopów. Atmosferę drobno-szlachecką z czasów Augusta III i jéj wpływ na kształtowanie się pojęć młodzieńca dosadnie w formie autobiografii Kutasińskiego odmalował sam Franciszek Salezy w jedném z pisemek, ogłoszoném w pół wieku po przyjściu na świat.

---

(1) List ciekawy przeciw autorowi xiążki o utrzymaniu seymów z responsem. Roku 1762, str. 20.

(2) W r. 1782 pisarz ziemski łukowski owdowiał, lecz rychło pojał Wiktoryę Chomentowską (*Archiwum główne. Akta grodzkie czerskie*, ks. 37, f. 40 i 130). W r. 1784 figuruje w aktach urzędowych jako były pisarz łukowski (38 f. 38), w 1786 uwalnia od poddaństwa Jana Młynarskiego (39 f. 99), w 1792 rezygnuje na rzecz Ciechowskiego dobra Gołąbki oraz części na Jeziorach i Sulbinach (40 f. 387). Rychło potém umiera, albowiem w r. 1793 syn Jana Franciszka, Stanisław, swoim i braci imieniem skarży macochę, Wiktoryę z Chomętowskich Jezierską, o nieważność pewnéj tranzakcyi (ks. 42, fol. 262).

(3) Akta grodzkie czerskie, ks. 31 f. 387.

„Mój ojciec, głową będąc familii i gospodarzem domu, był dziedzicznym panem fortuny, na któréj wysiewał żyta korcy dziewięć, ćwierci trzy i garncy sześć. Sam zarabiał grunt, a gdy kupił żelaza, naczynia rolnicze, obuwie i sól, już wolny był od wszystkich potrzeb domowych. Osada nasza, należąca do dziedzictwa 47 szlachty, miała więcéj 80 wsi podobnych sobie: to składa kilka mil kraju, w którym niema ani chłopa, ani mieszczanina, tylko sama szlachta i tam którenkolwiek się rodzi w naturze człowiekiem, zaraz i w zaszczytach szlachectwa zostaje... Choćby jakim przypadkiem zabrakowało we wszystkich narodach Europy szlachty, byle się moja ojczyzna zostala, wystarczyłoby zaraz poludnić kniaziami, milordami, dukami, grafami, baronami, markizami wszystkie królestwa i jeszczeby się zostało opatrzyć Hiszpanię we wszystkie jéj bardzo potrzebne wielkości.

„W takim kraju urodziłem się ze szlachetnego JPana Władysława Kutasińskiego i Bronisławy z Pokrzepcińskich, małżonki jego. Przy chrzcie nadano mi imiona tych trzech świętych: Jarosza, Dobrogosta i Żegoty, ponieważ szlachcicowi ubogiemu w Polsce nie dosyć jest być w opiece jednego patrona.

„Urodzony będąc człowiekiem i szlachcicem, pierwszy stan mego jestestwa był mi wiadomy. Jako człowiek chciałem jeść, pić, swywolić, chronić się pracy, — słowem cieszyłem się albo cierpiałem w mém życiu, o szlachectwie zaś żadnéj nie miałem wiadomości, bo ani nie znałem osób innego stanu, ani w kościele na nauce wiary ksiądz komendarz o tém nie wspominał nigdy, a stan ubogi majątku domowego pokazał mi mego ojca człowiekiem powszechnym. Ojciec mój JP. Władysław Kutasiński był dziedzicem ziemi, przyjmującéj na zasiew ozimi żyta dziewięć korcy, trzy ćwiercie i sześć garncy. Że więc człowiek może być panem ziemi i gospodarzem na niéj, to mi pokazywała natura, ponieważ wół i koń nie może być właścicielem takiéj rzeczy; ale o tém nikt mnie nie oświecił, że trzeba być szlachcicem, aby zostać dziedzicem ziemi. Widziałem przytém, że mój ojciec mąkę, kaszę, pęczak wyrabiał w żarnach i nie wiedziałem, że są młyny i młynarze do nich na świecie; widziałem go naprawiającego obuwie, latającego odzienie i niedziw, że nieznałem szewców i krawców; widziałem go pobijającego fasy i dzieże, naprawiającego koła u woza i nie mogłem wiedzieć, że się znajdują bednarze i kołodzieje. I tak w koléj mówiąc o potrzebach życia rolniczego, wiedziałem, że w czasie żniwa chodziła moja matka z mémi siostrami o półtory mili na daleką wieś żąć u JP. Vices-gerenta przez pięć dni, aby był za to patronem w grodzie spraw mego ojca w pieniactwie z sąsiadami; i to przypo-

minam sobie, że gdy następowała kondescensya *feria 2da post festum purificationis*, mój ojciec wziął sieci i szedł na polowanie wilków do kniei JP. Sędziego ziemskiego, gdzie z drugimi sąsiadami, podrzeźniając ogarom głosem, pędził obławą wilki do nastawionéj obierży. Więc mój ojciec będąc człowiekiem z urodzenia, z przypadku i z opinii szlachcicem, z majątku rolnikiem, z niedostatku młynarzem, szewcem, krawcem, bednarzem i t. d., z potrzeby zaś był chłopem, robiąc vices-gerenszczyznę, która była nakształt pańszczyzny; a ile polował na wilki dla sędziego zabawy, wyręczał powinność ogara; gdy zaś sejm zerwano w Warszawie, a król wyjechał do Drezna, mój ojciec, nie mając żadnéj nad sobą najwyższéj zwierzchności rządu, musiał być nawet królem nad swoją ziemią, przyjmującą tylko dziewięć korcy żyta, trzy ćwiercie i sześć garncy. W takich okolicznościach mojéj młodości pierwiastkowéj nie mogłem mieć przystawionego wyobrażenia o szlachectwie, aż dopiero czas, odkrywający rzeczy, podał mi do tego okazyą.

„Na wiosnę po ś. Marku matka kazała nam, dzieciom i czeladzi wyprowadzić się z domu do śpichlerza, aby tam sypiać, ponieważ w domu ubogiego szlachcica zima zawsze napłodzi uprzykrzonego robactwa w izbie, a w śpichlerzu przednówek sporządza przestronne miejsce. Tam sypiając, razu jednego wiatr, wyrwawszy snopek strzechy, dał wschodzącemu słońcu przystęp do zapuszczenia promienia w środek śpichlerza. Promyk tego światła, trafiwszy na kawałek mosiądzu, zwracał się podwójnym światłem, dosięgając mi oczu; blask ten, natychmiast pozbawiwszy mnie rannego snu, ciekawości nabawił. Wstaję z posłania i, przystąpiwszy w kąt oświecony, postrzegam kawałek mosiądzu, utrzymujący się sznurkiem, zawieszonym na kołku przy ścianie. Młodość moja dała mi prawo ciekawości: wziąłem w ręce ten mosiądz, a niemogąc poznać, jakiéj był natury sprzętem i na jakie użycie, przypatrowałem się i postrzegłem na jednéj stronie część jego do objęcia ręki, a na drugiéj stronie wyryty pień drzewa z dwoma jelenimi rogami... Widząc na mosiądzu razem wyrobiony pień drzewa z rogami, napastowała mnie chęć, abym się dowiedział, co to znaczy. Już téż i bracia moi powstali i zabierali się do brony, aby zawlec jęczmień zasiany, gdy ja, postrzegłszy ojca, wychodzącego z domu, zbliżywszy się do niego zacząłem dopytywanie czynić o ten kawałek mosiądzu, co on znaczy i na co przydatny? że pora była godziny śniadania, siedliśmy jeść, a ojciec mój zaczął opowiadać, że to jest sprzęt najkosztowniejszy i klejnot, jako zakład rodowitości familii Kutasińskich, nazwany od wieków herbowny Dęboróg. Ja, widząc w kościele mosiężne lichtarze, nie wiedziałem, że Dęboróg na mosiężnéj pieczęt-

ce był klejnotem imienia Kutasińskich i przeto dotąd powieść ojcowska nie była w stanie oświecić mnie; lecz pan Władysław Kutasiński, ojciec mój, który chodził do szkół aż po retorykę, począł opowiadać historyę herbowną i początki zaszczytów familii Kutasińskich. Gdy ś. p. Kazimierz Wielki polował w niepołomskich puszczach, za jednym jeleniem puścił się w pogoń, postrzeliwszy go; w tym biegu koń, potknąwszy się, zwalił króla na ziemię i z tego upadku Kazimierz Wielki choroby dostał i śmierci. Jeleń raniony w przyległéj gęstwinie został nieżywy; czas i powietrze, zgnoiwszy mięso, pomieszało je z ziemią; rogi, utknięte na wierzchu, stały do góry, między które z bliskiego dębu wiatr, powiewem swoim wrzuciwszy ziarno żołędzi, założył sposobność, że ziemia, uprawiona zdechliną jelenią, wydała latorośl dębu, który, rozrastając się massą swojego drzewa i dotykając się rogów, przyjął je w siebie i te w niego wrosły, tak dziwackim sposobem zaszczepione. Gdy zaś potém w przeciągu czasu prawnuk Jagiełły w téj saméj puszczy polował, jeden z myśliwych natrafił na ten dziwotwór natury, pokazał królowi, który go natychmiast zamienił w klejnot herbowny, nadawszy na zaszczyt szlachetnemu imieniowi Kutasińskich. Rozpowiadał potém ojciec nam o urodzenia zaszczytach w Polsce, o wolności i równości, o sejmikach, o sądach, o sejmach, o stanie chłopów i ich poddaństwie, o stanie miejskim: wszystkie te wiadomości ozdobiły nowym zasobem pychy miłość moją własną, poznając się w takim stanie zacnym urodzenia. Osobliwszy początek herbu był zaszczytem urodzenia mego: Minerwa się poczęła z mózgu Jowisza, Wenera z morskiéj piany, a dom Kutasińskich z dębu i z rogów jelenich. Dziękowałem Opatrzności, że nie idę od Chama, tak jak chłopy i że nie jestem wzgardzony, jak łyczaki mieszczanie, ale że jestem prawdziwéj krwi szlacheckiéj karmazyn...

„Zawieziony zostawszy do miasteczka stołecznego ziemi naszéj, zastałem w szkołach takie mnóstwo chłopców, żem nigdy tak gromadnego stada gęsi we wsi naszéj nie widział. Jedni się zwali po urzędach swoich ojców, drudzy po nazwiskach swoich domów, trzeci tylko mieli imiona od chrzcielnicy, np. Mikołaj, Wawrzeniec, Piotrek. W pierwszych początkach nauk wiadomość i rozumienie wielkie o moim szlachectwie było mi uspokojeniem na wszystkie poruszenia serca. Gdy się nauczył lekcyi Pawełek, a ja nie, — profesor kazał mi klęczyć, a jemu siąść na starszém miejscu w ławce. Jam płakał, cierpiąc upokorzenie, tę mając jedną pociechę: Pawełek, myślałem sobie, choć pochwalony od profesora, ale jest syn szewca, a ja jestem zawsze godniejszy, bom pan Kutasiński herbu Dęboróg. Jeżeli zaś pan stolnikiewicz lepiéj się nauczył, jak ja,

znowu w podobnym przypadku myślałem sobie: lubo pan stolnikiewicz lepiéj się uczy odemnie, choć téż ma atłasowy żupan, a ja falendyszowy, atoli jestem mu równy, bom Kutasiński herbu Dęboróg, szlachcic polski. W takiém rozumieniu o sobie wypielęgnowała miłość własna sposób mojego myślenia o zacności szlachectwa i to uprzedzenie, jakby brodawka rozumu, przystępu broniła prawdzie. Najpiękniejszego dowcipu i pracy dzieło, zrobione rzemieślnika ręką, pociągało zmysły moje; sądziłbym się szczęśliwym, żeby go można posiadać, lecz natychmiast takim rzemieślnikiem gardziłem, bo on nie był szlachcicem Kutasińskim herbu Dęboróg...

„Jeden z braci moich starszych bawił się przekupowaniem nabiału, jajec i drobiu, nabywając tego towaru na wsiach i przystawując do Warszawy na zarobek. Słyszałem w jego rozmowach o Warszawie, jako o mieście takiém, którego wyobrażenie nie mogło się zmieścić na moim umyśle. Ciekawość uprzykrzyła się, aby Warszawę poznać, lecz odległość czternastu mil czyniła wstręt. Nigdym jeszcze w życiu nie był tak daleko od domu. Przy zakończeniu szkół moich byłem inspektorem u dzieci pana instygatora grodzkiego: dał mi był Jmć pan istygator trzydzieści tynfów i opończę szafirową, przenicowaną, musułbasem czerwonym podszytą. Miałem pieniądze i przeto umówiłem się z bratem, aby mnie wziął na spółkę do swego handlu i swego zarobku. Nakupiliśmy serów, masła, kurcząt, jaj i sześcioro indyków starych... Przebywszy przeciąg drogi piaskami i lasami i nie widząc nic, tylko takie same wsie, chałupy i karczmy, jak w mojéj ojczystéj ziemi,—jakież dopiero potkało mnie zadziwienie, gdym, z ostatniego lasu wyjeżdżając przed Pragą, zobaczył Warszawę! Miasto wielkie, zastępujące brzegi Wisły, jakby jaki las, czerwone dachy, kominy na domach wysokie równo z kościołami, ludzi nie widać boso, nikt wzroku nie spuszcza na ziemię, każdy z miną wesołą, ubrany, jakby u nas w niedzielę. Tłum snującego się ludu i przejeżdżających karet robił mi ustawiczne ciekawością roztargnienie. Stanęliśmy przed kościołem św. Krzyża, gdzie nas zaraz obstąpiły przekupki i kurniki. Tam dowiedziałem się, że kokosze nazywają się w Warszawie pulardami, czego mi nie powiedziano w szkołach, choć o Achilesie i Eneaszu nauczano z Wirgiliusza. Mój brat dokończył targu umówioną zgodą, kurczęta, jaja, nabiał i stare indyki rozprzedane zostały,—oddał mi moje pieniądze z zarobkiem ośmiu tynfów i szóstaków dwóch. Cieszyłem się z zysku, a Warszawy widok, zarzucając wszystkie moje zmysły, przeszkadzał dawać baczności na siebie samego. Jakiś pojazd, pierwszy raz odemnie widziany, przechodził; ja z niezmiernym przysmakiem ciekawości oczy wytrzeszczyłem, a w tym

samym razie, znać ktoś zręcznie do kieszeni sięgnąwszy, pieniądze mi ukradł. Zaprowadziliśmy wozy nasze nad Wisłę, chcąc się posilić obiadem w garkuchni, dano nam jeść i smacznie i ochędożnie. Gdy po obiedzie sięgam do worka zapłacić,—ani worka, ani pieniędzy nie zastaję w kieszeni. Zmieszałem się utratą pieniędzy i razem spłonąłem gniewem i podejrzeniem. Gospodyni w garkuchni zaczęła się wymawiać, że nie widziała moich pieniędzy, a ja, rozrzewniony szkodą, wydałem natychmiast ten wyrok z mojego uprzedzenia, że ponieważ w Warszawie jest takie mnóstwo ludzi, a w całém mieście nie widzę stodół, śpichlerzów, obór i chlewów, więc w niéj muszą być sami złodzieje, którzy ze złodziejstwa i oszukaństwa żyją. Prostota moja przystawowała mi tylko wiadomość sposobu życia rolniczego, przesąd o szlachectwie gruntował mniemanie, że jako ten jest stan najgodniejszy, tak i najpoczciwszy. Uprzedzenie, przez które z własnéj pychy pogardza się stanem miejskim, nastręczyło podejrzeniu zamiar, że miast wielkich mieszkańcy są złodzieje i z oszukaństwa żyją“ (1).

Poduczywszy się nieco łaciny, prawdopodobnie u pijarów w Łukowie i idąc śladami ojca, z wyobrażeniami Kutasińskiego, które w latach dojrzałych tępił słowem i piórem, — został Franciszek Salezy regentem ziemskim łukowskim. Nieźle podobno szło młodzieńcowi na zajętym urzędzie; mógł sobie wróżyć przyszłość spokojną tembardziéj, że w r. 1762 znaczniejszego się dobił majątku: jako sukcesor ciotecznéj siostry Franciszki, córki Maryanny z Kiełczewskich Bielskiéj, miecznikowéj żytomierskiéj, wprowadzony został z rodzeństwem w posiadanie Sobieniów Narzymskich, Zambrzykowa i Smoniewic (2). Lecz młody Jezierski „ile z jednéj strony był obdarzony rzadkim dowcipem, z drugiéj był serca wcale nieinteresowanego...; porzucił więc perspektywę zysków, jakie mu profesya prawnicza nastręczać mogła. Ojciec jego postrzegłszy w nim widoczny do prawnictwa niesmak, prowadził go daléj czasowych uprzedzeń drogą“ (3).

Ordynacya ostrogska obowiązana była na potrzebę rzeczypospolitéj utrzymywać milicyę, złożoną z piechoty i dwu konnych chorągwi: husarskiéj złotéj i pancernéj, przezwanéj białą (4). Pisarz

(1) Jarosza Kutasińskiego herbu Dęboróg, szlachcica łukowskiego, uwagi nad stanem nieszlacheckim w Polsce (str. 11—22, 30—38).

(2) Akta grodzkie czerskie, ks. 31 f. 387.

(3) Kołłątaj w przedmowie do dzieła Jezierskiego p. t. *Niektóre wyrazy, porządkiem abecadła zebrane*, str. V.

(4) Kitowicz. Opis obyczajów i zwyczajów za panowania Augusta III. Petersburg, 1855. III, 39.

ziemski łukowski, mając w ordynacyi wieś Woronkowce, z któréj wypadało służyć pod złotą chorągwią, oddał je byłemu regentowi łukowskiemu z obowiązkiem powinności wojskowéj. „Początkowo obowiązki téj służby zdawały się łatwe i dogodne młodemu sercu": dwór ostatniego ordynata emulował z królewskim, olśniewały Jezierskiego szumne karnawały dubieńskie, rozrzutność księcia Sanguszki i przepych. Sprzykrzywszy sobie jednak prędko sposób życia próżniaczy, a zapragnąwszy zostać żołnierzem rzetelnym,—jako namiestnik złotéj chorągwi pociągnął na Ukrainę przeciwko kupom plądrującego tam chłopstwa. W podjazdach przeciwko hajdamakom zbrojne gromady znosił, regimentarzowi bogate z chłopskiéj kradzieży sprowadzał łupy. „Z tego względu... mógł zasłużyć na imię bohatyra ukraińskiego." Jako namiestnik chorągwi, miewający pod komendą generałów od infanteryi autoramentu cudzoziemskiego, chciwy u kolegów wziętości, na okazałość i uczty w służbie obozowéj wieś ordynacką roztrwonił... „Zbyt prędko dostrzegł, jak próżne i nikczemne przepędziłby życie, gdyby tą drogą przyszło mu całą młodości swojéj zwieść porę", — porzuca więc obowiązki, „które nie do talentu i serca, ale do wsi przywiązane były" i wstępuje do misyonarzy w Warszawie. Wyświęcony po skończonem seminaryum na księdza, biegły w teologii i historyi kościelnéj, rozpoczął nowy zawód pod okiem biskupa przemyskiego Józefa Tadeusza Kierskiego, u którego zasłużył sobie na poufałość szczególną i względy. Dla dopełnienia wykształcenia udał się do Włoch (1), a po powrocie do kraju znalazł sposobność zgłębiania przy boku Naruszewicza historyi ojczystéj.

Naruszewicz, zabierając się do pisania *Historyi narodu polskiego*, zażądał od króla uformowania kancelaryi, z pięciu wybranych przez niego złożonéj osób: archiwisty, dwóch rejestrantów i tyluż kopistów. Pierwsze tomy układał w domu przyjaciela swego, a krewniaka byłego towarzysza złotéj chorągwi— szambelana Jezierskiego w Pińszczyźnie i przez niego to pewnie poznawszy edukowanego we Włoszech księdza Franciszka, ku pomocy go do kancelaryi swojéj wraz z tłómaczem Horacego, Fabianem Sakowiczem zaprosił. Krotochwilnie zwał Naruszewicz tych mężów *patres esuritionis*, a król się troszczył o ich pomieszkaniu i potrzebach do życia (2).

---

(1) Kołłątaj *l. c.* str. VIII—XI.

(2) List Stanisława Augusta z d. 18 listopada 1777 r. pisany do Naruszewicza, ża ogłoszony ze zbiorów biblioteki puławskiéj (Karol Sienkiewicz. *Pisma. Prace historyczne polityczne.* Paryż, 1862, str. 458). Stosunek Naruszewicza do szambelana, którym był pewnie Piotr Jezierski, ozdobiony w r. 1791 orderem ś. Stanisława (*Kalendarzyk narodowy i obcy na r. p. 1792.* II str. 426), wyjaśniają Koźmiana *Wyciągi piotrowickie* (Wrocław, 1842, tom I).

Mając upodobanie do pracy kaznodziejskiéj, przeniósł się wkrótce Jezierski do Kalisza, gdzie przy miejscowéj kolegiacie pozyskał rozgłos i otrzymał kanonję. Pracował następnie przy kolegiacie lubelskiéj, skąd postąpił na kaznodzieję katedry krakowskiéj (1).

Reforma szkolna Komisyi edukacyjnéj nowe Jezierskiemu rozwarła pole. Rektor wydziału lubelskiego ks. de Camelin po krótkim urzędowaniu przeniósł się do Lubartowa na prywatną edukacyę księcia Romana Sanguszki (2), a na opróżnione miejsce powołany został Jezierski. 20 września 1781 r. przyjął w Warszawie stan nauczycielski, złożył deklaracyę na przestrzeganie przygotowanego świeżo projektu ustaw „dla stanu akademickiego i na szkoły w krajach rzeczypospolitéj“ (3) i niebawem urzędowanie rozpoczął.

Obowiązki Jezierskiego jako rektora były przez czas pewien szczuplejsze, niż innych. W początkach działalności Komisyi edukacyjnéj dzieliły się szkoły koronne na wydziały: krakowski, łęczycki, warszawski, poznański, lubelski, łucki, żytomierski i kamieniecki. W skład lubelskiego wchodziły same prawie szkoły pijarskie; skoro przeto około r. 1782 zrobiono z ostatnich wydział osobny (Piotrków, Wieluń, Rydzyna, Radom, Łuków, Chełm, Warszawa, Szczucin, Łomża, Drohiczyn, Góra, Łowicz, Międzyrzec Korecki),—lubelski pozostał przy jednéj szkole w Lublinie. Kiedy więc inni rektorowie wizytować musieli corocznie dwie lub kilka szkół w swoim wydziale,—Jezierski miał jedną. W połowie r. 1783 nowy zrobiono podział na wydziały: wielkopolski, małopolski, mazowiecki, wołyński, ukraiński, pijarski. Na czele małopolskiego, w skład którego weszły szkoły akademickie w Krakowie, Pinczowie, Sandomierzu, Lublinie i komunistów w Kielcach, postawiony został Jezierski z miejscem zamieszkania w Lublinie. Przemienił się więc z rektora lubelskiego na małopolskiego, a zakres czynności jego znakomicie się zwiększył.

Miał w szkole lubelskiéj profesorów młodych, bo niedochodzących trzydziestek. Prefektem był ks. Wincenty Treffler, wymowy uczył Jan Litwiński, fizyki Franciszek Scheydt, matematyki Pieniążek, prawa Józef Januszowicz, drugą klasę prowadził Florkowski, pierwszą Józef Czech, a kazał ks. Tomasz Śliwiński. W r. 1783 ma-

---

(1) Kołłątaj *l. c.* str. XI.

(2) Kopje listów od kasy generalnéj do rektorów i prorektorów szkół kor. i w. ks. lit. z r. 1781 (Rękopis bibl. uniw. warsz.).

(3) Nie było Jezierskiego na sesyi 5 września 1781 r. w Warszawie pomiędzy rektorami i prorektorami z korony, wezwanymi listem okolnym Komisyi edukacyjnéj ku rozważeniu projektu ustaw i złożeniu deklaracyi na ich przyjęcie.

tematykę objął Czech, drugą klasę Jan Nurczyński, pierwszą Michał Zaleski. W r. 1784 prawa uczył Józef Sołtykowicz, wymowy Józef Girtler, fizyki Mikołaj Chruścielski, drugą klasę prowadził Józef Saliger. Wizytator generalny Hołowczyc w relacyi z r. 1782 zaznacza pewne „nieostrożności“ młodych profesorów lubelskich, lecz spostrzega w nich poczucie honoru i w zawodzie gorliwość. W raporcie, złożonym Szkole głównéj koronnéj w miesiącu lipcu 1783 r. chwali Jezierski pilność, zdatność i obyczaje swoich podwładnych. Mierny był tylko pod niektórymi względami Litwiński, metr zaś języka niemieckiego Jan Godefryd Schütz „z krajów króla pruskiego,“ nie bez zdatności, ale rozwiązły, na zdrowiu „czasem“ zapadający „gdy się natura mści krzywdy,“—był wielkiem „nic potém.“ Czech, Sołtykowicz, Januszowicz i Scheydt niemały późniéj w zawodzie nauczycielskim i w nauce zyskali rozgłos, a i ów w obyczajach i zdatności mierny, lecz zdrowy i pilny Litwiński unieśmiertelnił się *Mową na uczczenie rocznych imienin Najjaśniejszego Stanisława Augusta*, do trybunału koronnego mianą 8 maja 1783 r., wydrukowaną w Lublinie.

Uczniów liczyła szkoła lubelska niewielu. W r. 1782 było ich w sześciu klasach 50, w roku następnym 71. Przyczyną tego zdaniem wizytatora generalnego Kolendowicza było zaniedbanie łaciny, przez co posyłali obywatele swych synów „zagranicę,“ do Zamościa i Lwowa. „W języku łacińskim—pisze Kolendowicz w raporcie—słaby pożytek okazał się w dwóch pierwszych klasach, a to dla tego, że jego używanie w mowie domowéj zaniedbane było. Obywatele wszyscy narzekają na zaniedbanie tego języka, iż edukowani synowie ich fortun i majątków tak swoich, jako i innych bronić nie będą mogli. Praw, pospolicie łacińskim językiem opisanych, znać doskonale nie będą, a dokumenta wszystkie z aktów publicznych drogo przepłacać, tak jak się Polakom na Rusi przytrafia... Obywatele jednak—dodaje wizytator—sami mi oznajmili, że synów swoich zagranicę do Zamościa posyłać nie będą, jeżeli języka łacińskiego większa będzie pilność.“ Bardziéj skomplikowane przyczyny małéj liczby uczniów w Lublinie podaje w raporcie wizytujący w r. 1784 tę szkołę ks. Bonifacy Garycki. „Dla złego uczenia łaciny—pisze,— dla bliskości szkół zamojskich, dawnym sposobem uczących, do których sami obywatele tego miasta na nauki posyłają; nakoniec dla prywatnéj edukacyi po różnych miejscach, szkoły tutejsze są nieliczne. Do czego przyczyniła się niedobra reputacya profesorów niektórych przeszłorocznych. Głos powszechny jest zgromadzenia i niektórych obywatelów, że rektor obowiązków swoich przez siebie nie dopełniał.“ Nie przypuszczamy, żeby pod owy-

mi przeszłorocznymi rozumiał wizytator przeniesionych do Krakowa: Januszowicza i Scheydta; zarzutu znowu, zrobionego Jezierskiemu, nie można chyba brać seryo, skoro według relacyi Hołowczyca w r. 1782 „powinności" swoje wypełnia, a według Kolendowicza „od obywatelów godnych wszystkich osobliwszy ma dla siebie szacunek i wziętość, nietylko dla godnego urodzenia, ale dla prac różnych, jako to: dysput, kazań itp."

Jako rektor, szkoły swego wydziału wizytował Jezierski pilnie. Od 10 do 14 stycznia 1784 r. zwiedza Sandomierz, od 17 do 22 komunistów w Kielcach, 23 Pinczów, od 30 stycznia do 5 lutego szkoły krakowskie, od 1 do 3 grudnia Kielce powtórnie, we dwa dni potém znów Pinczów, chociaż ustawy Komisyi edukacyjnéj wymagały od rektora wizytowania tylko raz na rok. Rozpoczynał wizyty od przemowy do uczniów „o końcu ich edukacyi," wglądał w stan nauk i w ekonomiczne zgromadzenia potrzeby. Wszędzie zaleca „edukacyę fizyczną, ile może zmierzać zręcznością swoją do zdrowia," zabrania nabożeństw „nad przepis" Komisyi, porządkować każe biblioteki, a nad dyrektorami młodzieży kontrolę rozciągać baczną.

Przetrwał na tém stanowisku Jezierski lat cztery „zażywając, według opinii Kolendowicza, sukien długich, zwyczajnych stanowi księży świeckich," mieszcząc się w dwóch pokoikach niewielkich i biorąc pensyi rocznéj 2150 zł. (1). „Zasłużył sobie—pisze zwierzchnik jego, Kołłątaj (2), na świadectwo „słodkiego i pożytecznego rządcy. Nikomu nieprzykry, w obcowaniu łagodny, charakteru wesołego i przyjemnego, zostawił po sobie żal w zgromadzeniu lubelskiém," gdy go Szkoła główna na stanowisko wezwała inne. W zgromadzeniu lubelskiém dać się musiał po Jezierskim uczuć żal szczery tém bardziéj, że wkrótce po ustąpieniu jego pomiędzy nowym rektorem ks. Trefflerem a profesorami: Sołtykowiczem, Girtlerem i prefektem Kwiatkowskim gorszące się wszczęły zatargi, popłynęły obficie wzajemne oskarżenia do wizytatorów i Szkoły głównéj. Hugo Kołłątaj w d. 26 i 27 czerwca 1786 r. odbyć musiał w Lublinie wizytę ekstraordynaryjną dla zażegnania niesnasek.

Już pod koniec urzędowania swego w Lublinie, gdy Jacek Przybylski puścił się w podróż ku zwiedzeniu osobliwości Włoch, Francyi, Szwajcaryi i Niemiec,—wziął na się Jezierski zastępstwo bibliotekarza w Krakowie (3). Od początku października 1784 r.

---

(1) Szczegóły, dotyczące zawodu pedagogicznego Jezierskiego, czerpiemy z akt Komisyi edukacyjnéj.

(2) *L. c.* str. XII.—(3) Bandtkie. Hist. biblioteki uniw. jagiellońskiego. Kraków 1821, str. 116.

za osobno wyznaczoną mu pensyę przez półtora roku obowiązki bibliotekarza pełnił, chociaż na wizytatora generalnego Szkoły głównéj wybrany wkrótce, niezawsze mógł pewnie pogodzić z sobą dwóch zajęć.

„Instrukcya do wizyty generalnéj," zawierająca różne względem wykonania czynności zlecenia, wydaną została Jezierskiemu pod datą 3 kwietnia 1785 r. z podpisami: Kołłątaja, jako Szkoły głównéj rektora, profesora Czechowskiego i Jana Śniadeckiego sekretarza. Polecono mu zwiedzić szkoły: w Wieluniu, Kaliszu, Rydzynie, Wschowie, Poznaniu, Toruniu, Trzemesznie, Łowiczu, Rawie, Piotrkowie, Łęczycy, Warszawie, Pułtusku, Płocku, Węgrowie, Szczucinie, Łomży, Drohiczynie, Górze, Radomsku, Kielcach i Pinczowie. Współcześnie otrzymał podobnąż instrukcyę profesor historyi kościelnéj w Szkole głównéj koronnéj, ks. Józef Bogucicki, dla zwiedzenia Krakowa, Sandomierza, Lublina, Łukowa, Chełmu, Włodzimierza, Łucka, Ołyki, Międzyrzeca Koreckiego, Żytomierza, Lubaru, Winnicy, Humania, Kaniowa, Owrucza, Szarogrodu, Baru, Kamieńca, Ostrogu, Krzemieńca. Pod datą 4 kwietnia wydane zostało Jezierskiemu przez Kołłątaja piśmienne upoważnienie do rozstrzygania wszelkich w ciele nauczycielskiem sporów. „Jako sędzia od nas delegowany—opiewa upoważnienie rektora—wybrawszy sobie do wspólnego sądzenia jedną osobę z duchowieństwa, w dostojności jakiéj postawioną, drugą z obywatelów urzędników, zaufaniem publiczném i szacunkiem z sprawiedliwości zaszczyconą,"— ksiądz wizytator „strony od siebie przypozwie, skarg ich wysłuchawszy, inkwizycyę wyprowadzi, przysięgi, jeżeli od kogo i na co będzie potrzeba wyciągać—odbierze i sentencyę według praw i sprawiedliwości ferować będzie, nie zostawując, ani dopuszczając apelacyi do sądów naszych."

Czynność swoją dla dróg zepsutych rozpoczął Jezierski dopiero w maju. Dnia 9 i 10 odbył wizytę w Pinczowie, 11 i 12 u komunistów w Kielcach, 16 i 17 u pijarów w Radomiu, 20 w Górze, od 23 maja do 2 czerwca zwiedzał szkoły pijarskie i akademickie w Warszawie, 6 i 7 czerwca komunistów w Węgrowie, następnie badał Drohiczyn, od 13 do 15 Pułtusk, od 17 do 19 Płock, 20 i 21 Łowicz, 23 i 24 Rawę, 24 i 25 Piotrków, od 27 do 29 Łęczycę, 6 lipca Wieluń, 13 Trzemeszno, od 15 do 18 Poznań, 21 Wschowę, 22 Rydzynę, od 25 do 28 Kalisz. Szkół toruńskich Komisya edukacyjna nie kazała mu zwiedzać, miała je bowiem zamiar do Radziejowa przenieść; łomżyńskie i szczucińskie odstąpił Jezierski prowincyałowi pijarów, jako wydziałowemu rektorowi „nie chcąc się narażać na przykrość, którąby mogła wyniknąć z dwóch wizyt razem." „Upa-

trywałem nawet w tém—pisze w raporcie do Szkoły głównéj—krok, wartujący żartu, gdyby albo po mnie ks. prowincyał, albo ja po nim w kilka dni wizytę odnawiał.“

Raport Jezierskiego, złożony Szkole głównéj krakowskiéj o odbytéj w r. 1785 wędrówce, dobrze maluje zapatrywania wizytatora i na stan szkolnictwa w koronie światło rzuca ciekawe. Z pośród zakonnych, szkołę benedyktynów w Pułtusku wyróżnia, jako najlepszą; pełen jest uznania dla księży pijarów,—w relacyi o Drohiczynie nie może się powstrzymać od wykrzyku: „dałaby najwyższa Opatrzność, aby wszystkie szkoły były podobne drohickim!“ U cystersów we Wschowie zastał tę „osobliwość,“ któréj mu się nie przytrafiło w innych widzieć szkołach zakonnych,—wszyscy profesorowie mieli zaświadczenia, że podług ustaw Komisyi edukacyjnéj uczyli się w Szkole głównéj krakowskiéj i wraz z kandydatami odbywali popisy. Za to komuniści w Kielcach, a bardziéj jeszcze w Węgrowie, najsmutniejsze na wizytatorze robią wrażenie. „Lekcye, które profesorowie w szkołach dają, nie wiedzieć, do czego stosować: ani to jest sposób nowy, ani dawny,—jestto jakieś chaos. Mało na co dzieci odpowiedzieć umiały nawet z tych rzeczy o które się ich właśnie zapytywali profesorowie. Był to najlepszy sposób utaić, jak się dzieci uczą i jakim sposobem edukacya w Węgrowie dawaną była,—zostawić je w tym stanie, aby na nic odpowiedzieć nie umiały. Edukacya w tych szkołach prawdziwie jest nędzna i szkoda straty czasu tamtejszych dzieci.“ Ze szkół akademickich gorsząco się prezentowały łęczyckie. Z wyjątkiem profesora Osękowskiego, uczyły tu same osoby duchowne: fizyki Koniczewski, wymowy Delerdt, klasę pierwszą prowadził Krygier, prorektorem zaś był źle usposobiony dla reformy ks. Joachim Więckowski. Będąc jeszcze rektorem wydziału małopolskiego, jechał Jezierski razu pewnego w towarzystwie Januszowicza do swojéj posesyi w kaliskiem i, stanąwszy na popas w Łęczycy, uznał za rzecz stosowną księdzu Więckowskiemu, jako przełożonemu szkoły miejscowéj, złożyć wizytę. „Cała nasza zabawa—powiada Jezierski—na tém zeszła, że ja broniłem rozrządzenia Komisyi i nowo-zaprowadzone nauki, a ksiądz prorektor łęczycki przeciwko nim następował.“ Otóż pod kierownictwem nieprzyjaciela Komisyi edukacyjnéj „nauki w szkołach łęczyckich idą takim sposobem, jak uczono przed zniesieniem jezuitów tj. uczą alwara, a w wyższych klasach retoryki i filozofii, tak jak przedtém, ciągle dając loikę, fizykę i metafizykę; żeby jednak udać posłuszeństwo rozkazom Komisyi i Szkoły głównéj, każą uczyć się i z książek elementarnych, zaczynając od Wielkiejnocy. Czynią to dla udawa-

nia przed wizytatorem sposobu uczenia teraźniejszego, dla obywatelów bowiem utrzymują dawniejszy. Trafiało się, że na popisach wykładali część historyi naturalnéj, rozciągając umyślnie jedną materyę, ażeby uczniom o niczem więcéj z téj nauki nie dozwolić powiedziéć, a tém samém żeby nowo-przepisany sposób podać w ohydę. Raz zaczęli o gołębiach popisywać się; obywatele słysząc to, udali się do szemrania: „a cóż to? czy to o gołębiach samych uczyć tylko będą?“ Na te utyskiwania obywatelów profesorowie, spuściwszy na dół oczy i pomieszawszy słowa z westchnieniem: „takie nam nauki przepisuje Komisya edukacyjna“,..; lubo Komisya od lat kilku zniosła po szkołach dawanie z historyi naturalnéj *de regno animali*, a to przez wzgląd, że nauczyciele jeszcze nie umieją tego przedmiotu. Więc w téj mierze profesorowie łęczyccy sprzeciwiają się rozporządzeniom Komisyi, dając naukę o gołębiach, zwierzyńcach itp. Mają oni wielki wstręt do teraźniejszego przepisu nauk; ja jeszcze posądzam ich, że nie mają wyobrażenia na umysłach swoich nowego sposobu uczenia.“

Radził Jezierski zmienić zupełnie personel nauczycielski w Łęczycy, tém bardziéj, że i prowadzeniem się swojem zasiewał zgorszenie. Nauczyciele—powiada wizytator—„dopuszczają się pijaństwa: księdza Koniczewskiego widziałem pijanego dwa razy, bawiąc się cztery dni; o innych zaś miałem powziętą wiadomość od studentów, mieszczan i żydów, że nietylko upijali się w domu i na mieście, ale nawet i do szkoły przychodzili nietrzeźwi... Robią między sobą kłótnie, łają się wyrazami sprośnemi, jeden drugiemu na złość czyni. Ks. Koniczewski, będąc prowizorem domu, piwo, pod pozorem potrzeby stołowéj sprowadzone, miał kazać szynkować. Ci, do których czopowe należy, zaczęli się o to upominać: studenci ich potłukli, poranili, a pomieniony ks. Koniczewski miał dowodzić z okna wołając, aby dobrze bili i z téj to okazyi pozachodziły manifesta i obdukcye.“ Tenże Koniczewski z innym kolegą Osękowskiemu wobec wizytatora groził batami... Zagrożony „uciekł przed popisami, boby miał zapewne obietnicę ziszczoną.“

W innych szkołach akademickich znajduje Jezierski profesorów uzdolnionych i chętnych, niezawsze jednak miłych obywatelstwu, przywykłemu do nauczycieli w rewerendzie mniszéj lub w sukni. W szkołach poznańskich i płockich „obyczaje profesorów—pisze Jezierski, nie są naganne;—jest między nimi zgoda i zachowana przystojność; jednakże niektóre postępki posłanych tam akademików psują im reputacyę, lubo tylko mocą przesądów... Chodzą we frakach, są wesołymi, łatwi do wyśmiania rzeczy, które się im nie zdają, w nabożeństwie nie mają układności, nie starają się prze-

stawać z ludźmi pierwszéj dystynkcyi, co im przeszkadza do zjednania sobie wziętości... Takie rzeczy wpadają nadto ostro w oczy obywatelów, stąd wypadają na nich szemrania i podejrzenia"...

Nie pomijał wizytator i szkółek. Znalazł pięć bez pozwolenia Komisyi edukacyjnéj otworzonych: w Gnieźnie, Żurominie, Ciechanowie, Siemiatyczach i Radomsku. W Gnieźnie poznał nauczyciela „nieco" zuchwałego, który, jako postanowiony od kapituły gnieźnieńskiéj, w niéj tylko widzący zwierzchność, nie chciał się zrazu wizycie poddać; w Żurominie zastał 300 uczniów, okrzesywanych w gramatyce, poetyce i retoryce przez reformata, uczącego wszystkiego. „Ta bałamutna szkoła—pisze Jezierski w raporcie, bardzo ciężko, aby mogła być poprawiona; utrzymuje się pod pretekstem przychodzących uczniów z zagranicy pruskiéj. Już kilka razy reformaci upominani byli od Komisyi i od wizyt, lecz się nie poprawiają. Jeżeli P. Komisya zechce zaradzić téj nieprzyzwoitości, potrzebaby tak urządzić, aby reformaci nie próżnowali. Niech np. będzie dobra parafialna szkółka, a bracia niech uczą rzemiosł. Niemożna zakonnikom szkół parafialnych pozwalać, tylko zaraz trzeba na nich tyle włożyć zatrudnień, żeby się nie rwali do dawania nauk." W Ciechanowie uczył augustyanin, w Siemiatyczach misyonarz, w Radomsku franciszkanin, — tak samo, jak żuromiński reformat.

„Liczba uczniów we wszystkich szkołach odemnie wizytowanych — kończy Jezierski swój raport — wynosi 4269, t. j. w sześciu szkołach akademickich znajduje się 1569, w tyluż zakonnych 1130, w dziewięciu pijarskich 1570. Z tego rozbioru liczby uczniów pokazuje się, że prawie wszystkie szkoły akademickie niedosyć są ludne w proporcyę łożonych na nie kosztów; że szkoły zakonne te tylko są ludniejsze, w których nie zachowują się zupełnie przepisy P. Komisyi,—jedne tylko szkoły pułtuskie wyjąwszy, w których ludność największa i przepisy P. Komisyi są wykonane. Szkoły zakonne położeniem swojem nie przeszkadzają ludności w szkołach akademickich, wyjąwszy tylko Kielce, które nadto są bliskie Pinczowa. Szkoły pijarskie równie dobrą i proporcyonalną mają odległość względem siebie, szkół akademickich i zakonnych. Góra tylko nadto jest bliska Warszawy, a tém samém nieludna. Ludności szkół wielką są przeszkodą pseudo-szkółki, czyli te szkoły, w których bez pozwolenia P. Komisyi i przeciwko jéj przepisom nauki publiczne dawane bywają. Tak szkółka w Gnieźnie jest na przeszkodzie szkołom trzemeszyńskim, — obydwie te szkoły razem stać nie mogą, jedna drugą koniecznie o upadek przywiedzie.... Szkółka w Żurominie i w Ciechanowie jest na przeszkodzie szkołom

pułtuskim, płockim i łomżyńskim; szkółka w Siemiatyczach—drohickim i łukowskim, w Radomsku—wieluńskim.

Gramatyka najlepiéj dawana jest w szkołach pijarskich, w akademickich najgruntowniéj ją tłómaczą w Warszawie, w zakonnych najdokładniéj dawana jest w Pułtusku. Trzeba zaś szczerze wyznać, że nauka gramatyki tak w szkołach akademickich, jako i zakonnych, nie daje się z tém przekonaniem i z tą pilnością, jaka jest koniecznie potrzebna tak dla okazania korzyści w uczniach, jako téż dla zaspokojenia troskliwości obywatelskiéj o język łaciński. Gdzie są eks-jezuici profesorami gramatyki, nie mogą zapomnieć alwara i nie mogą się przekonać o dobroci nowéj gramatyki; z tém wszystkiem żaden mi nie podał na piśmie uwag, wartujących szczególnego zastanowienia się. Gdzie są akademicy, tam widać bardzo słabą ochotę pracowania około języka łacińskiego, co może stąd pochodzi, że profesorowie akademicy mało który skończyli zupełny bieg nauk, a zatém może nie mieli dosyć sposobności obznajmienia się z gramatyką i z językiem łacińskim. U zakonników ta nauka najgorzéj idzie, w jednym tylko Pułtusku lepiéj od innych.

Matematyka w szkołach akademickich najlepiéj idzie i widać, że akademicy, do szkół na profesorów przysyłani, najwięcéj z téj nauki korzystać musieli; u pijarów ta nauka idzie słabiéj i nie widać między nimi tego gustu do wysokich matematyki części, jaka się okazuje w wielu akademickich. Między zakonnikami benedyktyni i cystersi jakożkolwiek tę naukę dają, lecz bartoszkowie i kanonicy regularni nie umieją jéj wcale.

Fizyka i historya naturalna po wszystkich szkołach jeszcze bardzo mizernie idzie: w wielu bardzo miejscach byłoby nawet lepiéj, żeby jéj nie dawali, osobliwie po szkołach zakonnych i niektórych akademickich, gdyż nieumiejętne dawanie téj nauki najwięcéj ściąga szemrania między obywatelami. Raczy Szkoła główna zastanowić swoją uwagę, ażeby kandydatów w tym obiekcie najlepiéj przyjrzéć, bo tego gatunku profesorów bardzo wielu będzie potrzeba. Niedostatek także książek elementarnych historyi naturalnéj sprawuje, iż się najśmieszniejsze dziwactwa na tę lekcyę po szkołach dyktują. Od lat kilku Komisya edukacyjna zakazała dawać historyę naturalną o zwierzętach, a przecież tę naukę w wielu miejscach zastałem.

Nauka moralna i prawa w szkołach pijarskich lepiéj idzie, niżeli w akademickich, w zakonnych najnikczemniéj, osobliwie zaś historya i geografia, nauki najłatwiejsze, bardzo niedobrze są znajome profesorom akademickim. Prawo natury i polityczne, prawie w każdych szkołach akademickich i zakonnych inakszym sposo-

bem dawane, przekonywa, że albo profesorowie akademicy nie musieli odsłuchać zupełnie całego kursu téj nauki, gdy na szkoły rozesłanymi byli, albo niedostatek książek elementarnych czyni ich śmiałymi to wszystko dawać, co w jakichkolwiek książkach bez braku wyczytać mogą. Tu trzeba zastanowić uwagę, że co się tejże nauki moralnéj tyczy, nie można jéj zupełnie spuszczać na rozum profesorów szkolnych, gdyż bardzo często trafia się, że nieroztropne wybieranie z autorów moralnych maksym, ściąga krytykę na szkoły i na nauki w Szkole głównéj dawane. Dla zapobieżenia takowym przypadkom byłaby rzecz istotnie potrzebna jak najprędzéj książki elementarne przyśpieszyć, a profesorów, na szkoły wyjeżdżających, dobrze z téj nauki doświadczać, czyli ją umieją. Co się tyczy nauki o kunsztach i rzemiosłach, o zachowaniu zdrowia ludzkiego i innych tym podobnych, które są na klasy rozłożone, o tém ani złego, ani dobrego doniesienia uczynić nie mogę. Mało gdzie te nauki dawane bywają, a jeżelim je gdzie w których szkołach znalazł, tedy w taki sposób, że nie mam co o nich powiedziéć.

Obyczaje wszędzie znalazłem dobre tak w nauczycielach, jako i w uczniach. Zakonnicy mają za sobą szczęśliwą opinię, a zatém, choćby się jakie między nimi trafiały płochości, — te furta i święta opinia pokrywa. Akademicy mają przeciw sobie uprzedzone *publicum*, dla czego najmniejsza płochość, od akademika popełniona, wystawuje się rzeczą nadto przykrą w oczach obywatelstwa i duchowieństwa, czemu najwięcéj eks-jezuici przyczyną bywają, lubiący koniecznie znaleźć różnicę między teraźniejszym a dawniejszym nauczycielów stanem. Z tém wszystkiém, nie znalazłem nic takiego między akademikami, coby ich obyczaje oskarżać mogło, chyba to, że chodzą we frakach, są weseli, lubią wyśmiać nieroztropne stare zwyczaje, osobliwie księży jezuitów, za co byli upomnieni przykładnie. Wreszcie, tylko w saméj Łęczycy znalazłem wady pijaństwa i kłótnie, lecz tam nie było dotąd żadnego akademika, gdyż—jak mi się zasłyszéć dało — i p. Osękowski, profesor wcale niedotarty, nie ma być ani z liczby kandydatów, ani z liczby dawnych akademików. Względem księży pijarów rzetelne daję zaświadczenie, iż w ich zgromadzeniach znalazłem wszędzie zgodę, dobre obyczaje i we wszystkiém zachowaną przystojność."

Podczas wizyty udzielał Jezierski w imieniu Szkoły głównéj niektórym profesorom stopnie doktorskie: w Pułtusku ks. Antoniemu Muszyńskiemu, w Warszawie ks. Baltazarowi Paszkiewiczowi, w Kaliszu Józefowi Linczowskiemu i przypominał kancelaryi Szkoły głównéj wydanie patentów. W myśl ustaw Komisyi edukacyjnéj na osobności z każdym profesorem rozmawiał, badał obywateli

i uczniów, wglądał w potrzeby szkoły, zalecenia i uwagi stosowne czynił. Pijarom w Warszawie i Radomiu zalecał, aby karać uczniów za kłamstwo i wszelkiego gatunku szalbierstwo „ponieważ ten występek zdaje się bardzo w naszym wieku pomnażać“; w Płocku księdzu kaznodziei „iżby studenci przed zakonnikami nie spowiadali się, ale przed księżmi świeckimi;“ w Kaliszu, aby profesorowie tog akademickich używali „o co upraszał ksiądz rektor upewniając, że się to ma obywatelom podobać“; w Poznaniu „ażeby profesorowie starali się przestawać z dystyngowanemi osobami, co będzie dla nich lekarstwem, że się ochronią podłych obcowań i obmów“; w Łęczycy „aby studenci po zamku pustym nie chodzili i przechodzących ludzi nie bili gruzami“; w Węgrowie „aby dzieci w spokojności utrzymywać, żeby na przejeżdżających i przechodzących żydów kamieniami nie ciskały“; wogóle zaś zabrania uczyć alwara, zaleca używanie przepisanych przez Komisyę książek elementarnych, młodzież zachęca do konwersacyi w języku łacińskim.

Raport Jezierskiego przekonywa dowodnie, jak ciężkie Komisya edukacyjna w pracach swoich znachodziła trudności; na ile trafiała zawad dla braku nauczycieli uzdolnionych i chętnych i dla zakorzenionych w obywatelstwie przesądów. Właśnie Jezierskiemu, jednemu z najgorliwszych i najświatlejszych pracowników około reformy szkolnéj, przypadło stać się ofiarą walki ze starą rutyną.

„Ile mi kolwiek przychodziło odwiedzać szkoly — pisze w raporcie—starałem się zastanowić młódź nad celem, do którego przez edukacyę dąży t. j. nad tymi obowiązkami, do których się dla ojczyzny przez edukacyę sposobi. Przekładałem więc najstosowniejsze obowiązki stanu szlacheckiego i, chcąc dać uczuć szlachetnéj młodzi, iż jako jest przeznaczona zastępować wszystkie obowiązki stanu rządzącego w kraju, tak, wcześnie sposobiąc się do pełnienia onych, powinna być ostrzeżoną o wszelkich gatunkach przesądów, które mieć możemy jako ludzie, jako Polacy i jako szlachta. Ostrzegałem przytém, że ludzie, urodzeni w stanie szlacheckim, nie powinni nigdy pogardzać żadną inną klasą obywatelów, a, mając zaszczyt z swego własnego urodzenia, obowiązani są tembardziéj starać się o przymioty osobiste, które dopiero potrafią ich uczynić godnymi następcami cnoty swych poprzedników... Wszędzie takowy dyskurs—dodaje—był dobrze przyjęty, prócz województwa łęczyckiego, gdzie, powtórzywszy te zdania, zasłużyłem na niechęć obywatelów“ (1).

(1) Raport wizyty generalnéj, odprawionéj przez ks. Fr. Sal. Jezierskiego ś. T. D. kanonika kolegiaty kaliskiéj, dany Szkole głównéj r. 1785.

Treść owych do młodzieży przemówień, oburzenie Łęczycan i wynikłe z tego następstwa szczegółowiéj przedstawił Jezierski w broszurze, w któréj poglądy swoje wkłada w usta profesora, w ten sposób prawiącego do ucznia o szlachcie. „Rozróżnienie człowieka od człowieka wyrabia cnota, głosem téj cnoty jest chwała, któréj zaszczyty przyłączone z ojca na syna, z syna na wnuka. Herby i genealogie są nie narzędziem cnoty, ale tylko znakiem pamiątki o jéj bytności... Ten prosty człowiek, który najpierwszy sposób wynalazł solenia śledzi, choć był wzgardzony ze swego sposobu życia przez rozumienie przesądu, przecież on stał się dobrodziejem narodu, sprowadził miliony zarobku swemu krajowi i więcéj dokazał, jak wszystkie urojonéj zacności zaszczyty. Gdy się więc dopytujesz, czyli Achiles albo Ulisses był szlachcicem, mogę ci śmiele powiedziéć, że bajki najdawniejszéj historyi greckiéj stworzyły szlachectwo, wiek bohaterski potwierdził, a wiek gotycki ugruntował zupełnie... Jeden akademik, wizytujący szkoły — dodaje w owéj broszurze autor — gdy w podobnym sposobie myślenia o szlachectwie mówił do młodzieży szkolnéj w jednéj prowincyi, — takie-to zrobiło oburzenie serc najpierwszych obywateli, iż przeciw niemu podano oskarżenie po przełożeństwa nauk krajowych, od którego został ukarany złożeniem z urzędu i pozbawieniem stanu akademickiego, w którym pracował lat kilka“ (1). Z urzędu wtajemniczony w tę sprawę Kołłątaj objaśnia (2), że życzenia obywateli „choć niezawsze są sprawiedliwe i pożyteczne, meneżowane jednak bywają;“ ulegając przeto żądaniom, zwierzchność edukacyjna dalsze prace wizytatora musiała wstrzymać. W nagrodę kilkoletnich w zawodzie szkolnym mozołów wyniósł Jezierski gorycz, no—i stopień doktora teologii i filozofii, którym go w imieniu Szkoły głównéj wizytator generalny Kolendowicz 28 czerwca 1783 r. ozdobił w Lublinie.

Usunięty od zajęć szkolnych, pełnił jeszcze obowiązki bibliotekarza, dopóki nie powrócił Przybylski, a jednocześnie otrzymał koadiutoryę kanonii krakowskiéj. Gdy z podróży kaniowskiéj zjechał do Krakowa w czerwcu 1787 r. Stanisław August, Jezierski wystąpił wobec niego z kazaniem. 24 czerwca, w niedzielę „za zebraniem się na pokoje zamkowe licznych jak zawsze gości i obywatelstwa, wyszedł jego królewska mość w zwykłéj majestatowi asystencyi do kościoła katedralnego, gdzie podczas mszy śpiewanéj obrządkiem biskupim przez księcia imci prymasa“, kazał na temat „o wielkości Boga“ Jezierski, słuchany od Stanisława Augusta „i wszystkich przytomnych z wielką pochwałą dla gruntowności nauk religii i wyboru

---

(1) Jarosza Kutasińskiego uwagi, str. 25. — (2) *L. c.* str. XIII.

wymowy“ (1). Znać dla talentów i wiedzy w kapitule krakowskiéj powagę miał dużą, albowiem w r. 1787 obrany został przez nią deputatem na trybunał (2). „Sprawował ten urząd — powiada Kołłątaj (3) — z powszechnym dla siebie szacunkiem i potrafił na nim zjednać nietylko miłość współsędziów, ale nawet osób, pod sąd trybunału przychodzących.“ Kiedy nasz deputat funkcyę swoją kończył w Lublinie,— w Warszawie pod pomyślnemi wróżbami zbierał się sejm. Jezierskiemu poraz wtóry wypadło kazać przed królem, a poraz pierwszy dostąpił zaszczytu przemawiania wobec reprezentantów narodu. 6 października 1788 r. t. j. w dniu, wyznaczonym na rozpoczęcie obrad, król o godzinie 11-éj w asystencyi senatorów, ministrów, posłów i licznie zgromadzonych obywateli udał się do kolegiaty ś. Jana, gdzie nabożeństwo odprawiał biskup płocki Szembek, a Jezierski dowodził w kazaniu, jako „wolność, gdy nie jest przyjaciółką powinności, nie może praw stanowić, ani ich wykonywać; zepsutéj zaś wolności samo tylko przeświadczenie się o prawdach religii może być skuteczną pomocą“ (4).

Właśnie młodszy od Jezierskiego o lat dziesięć Kołłątaj, ustąpiwszy w r. 1786 z posady rektora Szkoły głównéj krakowskiéj, otrzymał od króla referendaryę litewską i nastałe osiadł w Warszawie w posesyi swojéj na Solcu, zwanéj „pasztetem.“ Z okazyi sejmu z roku 1788 w dziele *Do St. Małachowskiego ref. kor. anonyma listów kilka* nakreślił program rdzennéj rządu przemiany, dla przedstawicieli od mieszczan oddzielną w sejmie stworzyć chciał izbę i polepszyć los chłopstwa. Potrzebował do agitacyi politycznéj zdolnego pomocnika i znalazł go w kanoniku Jezierskim, który na nowém dla siebie polu zyskał niebawem rozgłos jako „Wulkan gromów kuźnicy“ (5). Niewątpliwie bliższe pomiędzy Kołłątajem a koadiutorem kanonii krakowskiéj stosunki zadzierżgnęły się jeszcze w epoce wspólnéj ich pracy w zawodzie szkolnym, w początkach zaś sejmu 1788 r. „najściślejszą“ są złączeni przyjaźnią. Jezierski osiadł w Warszawie, zamieszkał w domu Kołłątaja i jako prawa ręka jego

---

(1) Naruszewicz. Dyaryusz podróży St. Augusta króla na Ukrainę w r. 1787. Wyd. Mostowskiego, str. 443.

(2) *Directorium officii divini pro dioec. crac.* z r. 1788.

(3) *L. c.* str. XIV.

(4) Mówił na temat: *Praebete aures vos, qui continetis multitudines et placetis vobis in turbis nationum, quoniam data est a Domino potestas vobis et virtus ab altissimo. Qui interrogabit opera vestra et cogitationes scrutabitur. Sap. cap. 6.* (*Dyaryusz seymu ordynaryjnego r. p. 1788.* T. I, część I, str. 1).

(5) Wolski *l. c.* str. 92. Wojciecha Turskiego odpowiedź na dzieło x. Hugona Kołłątaja ref. w. x. lit. *Uwagi nad pismem* etc. Warszawa, 1790.

propagandą kierował. Równie jak referendarz litewski gorący wyznawca idei wieku, w klubie radziwiłłowskim posiedzenia zagajał hasłem: „Co było na górze—będzie na dole, a co było na dole—będzie na górze!“ (1); wróg przywilejów i organizacyi stanowéj, niby żagwie rzucał w przesądne tłumy szlacheckie „odgłosy, pisma, druki, przestrogi i groźby,—bezimienne uszczypliwości i potwarze — powiada niechętny mu pisarz (2),— w różną przybrane formę.“ Istotnie, pociski swoje w najróżnorodniejszą, a zawsze ponętną przystrajał postać. Zachęcony poczytnością naśladownictw Fenelona, ogłasza opowieści historyczne, w których najmniéj mu chodziło o charakterystykę osób i dzieje; na wzór encyklopedystów francuskich abecadłowo układa i objaśnia wyrazy, które nasuwały okazyę do krytyki istniejącego porządku i zastarzałych poglądów; w formie katechizmowéj na ustrój rzeczypospolitéj zjadliwą pisze satyrę, o bezkrólewiach źródłowy sporządza traktat, to znowu w wir uliczny rzuca pamflety i świstki. „Równie był skwapliwym do wiersza, jako i do prozy“, szczególniejszą zaś miał zdolność do naśladownictwa polszczyzny staréj, mianowicie stylu Bielskiego. „Od płochych roznosicielów“ pisemek forma artykułów Jezierskiego najwięcéj była „wielbioną“ i ciekawych nęciła. „Ks. Kołłątaj—powiada Wolski (3), zbierał z pisarzów maksymy nowości, które jak wojsko na sejmie do narodowego stosował ubioru; ks. Jezierski skaleczonemi dziejami i swego smaku żartobliwościami dodawał tym nowościom przyprawy i wagi.“ Istotnie, nikt tak bystro słabéj strony w przeciwniku nie umiał spostrzedz i tak dosadnie nie potrafił razić sarkazmem, jak „Wulkan gromów kuźnicy.“ Przez Kołłątaja, który, zostawszy w r. 1790 członkiem deputacyi do ułożenia ustawy rządowéj, stanowisko swe wzmocnił i dla stronnictwa patryotycznego stał się jednym z głównych filarów,—Jezierski wszedł w poufalsze stosunki z najznakomitszymi tych czasów ludźmi i wspólnie z nimi do obrad około nowéj formy rządu należał. W domu przyjaciela właśnie zbierali się na poufne narady: Ignacy Potocki, ks. Piatoli, Naruszewicz, Piramowicz, Bars, prezydent Dekiert i inni (4).

---

(1) Wspomnienie, str. 41.

(2) Wolski, *l. c.* str. 54.

(3) *L. c.* str. 93.

(4) Wegner. Dzieje dnia trzeciego i piątego maja 1791. Poznań 1865, str. 55. O bliższych Jezierskiego z Piramowiczem stosunkach przekonywa list ostatniego, z Kurowa 28 maja 1789 r. do Kołłątaja pisany: „Dziś sługa Imci ks. kanonika Jezierskiego oddał mi dar drogi: zaczynam z niego korzystać, a ks. Jezierskiemu uniżoność moją zasyłam“ (*Rozprawy i sprawozd. z posiedzeń wydz. fil. Ak. um.* T. V, str. 417).

BIBLIOGRAFIA. — W przeciągu lat dwóch następujące pisma Jezierskiego ukazały się w druku:

1. Kazanie przed stanami rzeczypospolitéj na sejmie w r. 1788 w kościele św. Jana w kolegiacie warszawskiéj, powiedziane przez x. Franciszka z Gołąbków Jezierskiego. Warszawa, 8-ka, kart nlb. 8.

2. Goworek herbu Rawicz wojewoda sandomirski. Powieść z widoku we śnie. Cena w oprawie alla rustica zł. 2 gr. 15. W Warszawie 1789. Nakładem i drukiem Michała Grölla, Księgarza Nadwornego J. K. Mci. 8-ka, str. 122.

3. Rzepicha matka królów, żona Piasta, między narodami sarmackiemi słowiańskiego monarchy tey części ziemi, która się nazywa Polska. W Warszawie, w drukarni P. Dufour Kons. Nad. J. K. Mci, Dyr. druk. korp. kadetów. 1790, 8-ka, część I str. 1—220; część II str. 221—428 i 4 karty nlb. regestru obu części.

Drugie wydanie pod tym samym tytułem i u tegoż Dufour'a 1794. 8-a, str. 308 i 4 k. nlb. regestru.

4. Rząd polski w tajemnicach odkryty, Jaki był około Roku 1735. Przez Jmci P. Sterne w Języku Angielskim, potym Francuskim, a teraz Oyczystym Językiem przedrukowany. Roku Tego. Bez m. i r. 8-ka, str. 16. — Broszura w formie pytań i odpowiedzi, na ostatniéj stronicy zawiera „Wyznanie rządu polskiego."

Inne wydanie p. t. Katechizm o tajemnicach rządu polskiego, jaki był około Roku 1735, napisany przez JP. Sterne w języku angielskim, potym przełożony po Francusku, a teraz na koniec po Polsku. W Samborze, w Drukarni Jego Cesarsko-Królewsko-Apostolskiey Mości. Roku 1790, dnia 10 stycznia. 8-ka, kart nlb. 8.

Trzecie pod tym samym tytułem, w Samborze 1790 r. 8-ka, str 24.

Czwarte wydanie pod tym snmym tytułem, w Samborze 1790 r., tylko zamiast „dnia 10 stycznia" ma: *dnia stycznia*. 8-a, str. 24.

5. Jarosza Kutasińskiego herbu Dęboróg, szlachcica łukowskiego Uwagi nad stanem Nieszlacheckim w Polszcze. Roku 1790. Bez m. 8-ka, str. 40.

6. O bez-królewiach w Polszcze y wybieraniu królów, począwszy od śmierci Zygmunta Augusta Jagiełły aż do Naszych czasów. Dzieło w teraźnieyszych okolicznościach do wiadomości przydatne (z godłem: *Polonia est Regnum an Interregnum*. Kwestya w Manusk. Boruckiego po wyjeździe Henryka z Polski). W Warszawie 1790 Roku. 8-a, str. 99 (od str. 57 *Noty*).

7. Wzmianka krótka o zjednoczeniu Xięstwa litewskiego z Królestwem Polskim w duchu wolności i równości. Bez m. i r. 8-ka, str. 40 (od str. 29 *Noty*).

8. Wypis z kroniki Witykinda, tłómaczony przez Grzegorza à Słupia, decretorum doktora, opata świętokrzyskiego, który żył około roku 1375, z autografu w bibliotece na Łyséj Górze znajdującego się. Bez m. i r. 4-ka, str. 10.

9. Ktoś piszący w Warszawy (Na trzeciéj stronicy powtórzony tytuł, a pod nim: „Dnia 11 Lutego 1790 R."). Bez m. 8-ka, str. 24.

10. Duch nieboszczki Bastylii, czyniący uwagi nad karą, więzienia, niewoli i nad stanem pospólstwa francuskiego w dzisieyszéy odmianie rządu, z francuskiego przełożony przez Autora Rzepichy. W Warszawie, w drukarni P. Dufour Konsyliarza Nadwornego J. K. Mci, Dyrektora drukarni korpusu kadetów, 1790. 8-a, 3 karty nlb. wstępu p. t. „Do tego, kto będzie czytać" i str. 156.

11. Głos na prędce do stanu mieyskiego (Bez oddzielnéj karty tytułowéj z godłem: *Quomodo sedet civitas plena populo, facta est quasi vidua... Princeps Provinciarum, facta est in deserto.* Jeremias). Bez m. i r. 8-ka, str. 15.

12. Niektóre wyrazy porządkiem abecadła zebrane y stosownemi do rzeczy uwagami objaśnione. Dzieło pogrobowe przez Xiędza Franciszka Salezego Jezierskiego, kanonika krakowskiego i kaliskiego napisane, po śmierci jego wydane. Cena w opr. alla

rust. złp. 4 (z godłem: *Sunt certa piacula quae te ter pure lecto potuerunt recreare libello.* Horatius). W Warszawie 1791. Nakładem i drukiem M. Grölla, Księgarza Nadwornego J. K. Mci. 8-ka, str. XX i 292).

Wydanie drugie pod tym samym tytułem, bez zmiany, w r. 1792.

„Niektóre wyrazy", poprzedzone krótkim życiorysem Jezierskiego, ogłosił Kołłątaj (Wolski *l. c.* str. 92) i od niego to dowiadujomy się, kto był autorem pism 2—10. Że „Głos na prędce", o którym Kołłątaj nie wspomniał, jest również pióra Jezierskiego, dowodzą wzmianki w broszurze: „Dorywczy rozbiór pisma pod tytułem *Głos na prędce do stanu mieyskiego*" (bez m. i r. 8-ka, str. 64), na co pierwszy zwrócił uwagę Pilat (*O lit. polit. sejmu 4-letniego.* Kraków, 1872, str. 180). „Nieszukajcie podpory — przemawia bezimienny do mieszczan (str. 58) — w zuchwałéj do buntu porywczości, w bezczelnych czernidłach, jakich przykład daje wam burzliwy śmiałek JX. J....... znany autor *Głosu na prędce...* Zdziwiłem się, gdym powziął wiadomość, że pismo to dziełem jest pewnego księdza, pracującego w téj ogromnéj kuźni, z któréj najostrzejsze na honor cnotliwych wypadają groty."

Zapowiadał Kołłątaj w przedmowie do „Niektórych wyrazów" (str. XIX) wydanie reszty pism Jezierskiego, jak „Kazań", „Podróży po Polszcze" i „Korespondencyi z Krakowa", lecz zamiaru nie doprowadził do skutku. Oprócz zapowiedzianych przez Kołłątaja krążyły w rękopismach broszurki: „Kat krakowski" (wierszem) i „Sąd Leszka" (Wolski *l. c.* str. 93).—„Kata krakowskiego" nie znamy, „Sąd Leszka" wyszedł z druku p. t. „Wypis z kroniki Witykinda." Wspólnie z Branickim i innymi dotknięty został tém pismem Turski, jako delator w sprawie Ponińskiego, która jest właśnie głównym przedmiotem broszury. O trzech niewymienionych z tytułów „paszkwilach," pomiędzy nimi pewnie i o „Sądzie Leszka" wspomina Turski (*l. c.*), że miał je ochotę na czele swego dzieła drukować.

Pilat (*l. c.* str. 145, 146, 182) radby Jezierskiemu przypisać: 1) Katechizm narodowy. W Warszawie 1791, w drukarni uprzywilejow. Michała Grölla, Księgarza Nadw. J. K. Mci (8-a, str. 16. Wyd. 2-e tamże, 8-ka, str. 31). — 2) Rozmowa między Sołtykiem biskupem krakowskim y Deklertem Prezydentem miasta Starey Warszawy na polach elizeyskich. Roku 1790. Bez m. 8-ka, str. nlb. 43. — 3) Reflexye nad pismem, wydanym pod imieniem Jmci Pana Rzewuskiego het. pol. kor. W Warszawie, w drukarni Nadw. J. K. Mci i P. Komisyi Eduk. Narodowej. Roku 1790. 8-ka, str. 32. — 4) Krótkie uwagi nad pismem Wojciecha Turskiego: O królach, o sukcesyi, o przeszłym i przyszłym rządzie. Warszawa 1790. 8-ka, str. 36.

„Katechizm" pod względem formy do „Katechizmu o tajemnicach rządu polskiego" podobny jest bardzo, ma nawet na końcu odpowiadającą „Wyznaniu rządu polskiego" — *Modlitwę.* Poglądy na sprawę mieszczan i chłopów do zapatrywań Jezierskiego zbliżone, lecz w innych kwestyach niemają mocy autora „Rzepichy". — „*P.* Co jest szlachcic? *O.* Szlachcic jestto osoba, któréj najwyższa zwierzchność nadała ten tytuł w nadgrodę zasług dla społeczności czynionych, w nadgrodę talentów i cnót." Podobna definicya nie jest w zgodzie z tém, co Jezierski napisał w „Jarosza Kutasińskiego uwagach", że szlachectwo stworzyły „bajki."

„Rozmowa" treścią swoją i wyrażeniami przypomina „Głos na prędce", nie rozumiemy jednak, dla czego by miał Jezierski dwa razy w jednym pisać przedmiocie. Zamiast przypisywać autorstwo Jezierskiemu, wolimy przypuścić, że naśladowca jakiś rozrabiał temat „Głosu na prędce."

O autorze „Reflexyi" pisze Rzewuski (*O tronie polskim zawsze obieralnym z dziejów i z prawa dowody*, str. 108 i 109): „...wiem, że duchowny, potwarz rzucający, grzeszy przeciw charakterowi swemu... Przeszło siedmdziesięcioletni starzec, bliski zgonu swego anonim, winien jest... dla przygotowania sobie mniéj burzliwéj niż było życie

jego śmierci, odwołać potwarz.“ Istotnie, Jezierski, jak to okazała przyszłość, zgonu był bliski, lecz w roku 1790, w którym wyszło dzieło Rzewuskiego, liczył dopiero pół wieku.

„Krótkie uwagi“ przypominają styl Jezierskiego, to znowu—jak zauważył Pilat—noszą na sobie cechy pióra Kołłątajowskiego, przezco trudno stanowczo autorstwo jednemu lub drugiemu przypisać.

Sobieszczański (*Encykl. powszechna Orgelb.* t. XIII, str. 306), a za nim Pilat (*l. c.* str. 182) przypisują Jezierskiemu broszurę „Co to jest stan trzeci we Francyi“ (Warszawa 1791, 8-ka), tłómaczenie dzieła Sieyès'a: *Que s'est que c'est tiers. ètat.* Podobna jednak broszura— o ile nam wiadomo — nie wyszła nigdy; Sobieszczański ją stworzył, źle zrozumiawszy przedmowę Kołłątaja do „Niektórych wyrazów“. „Siódme dzieło jego (Jezierskiego)—pisze Kołłątaj (str. XVI)—jest tłómaczenie z francuskiego pisma pod tytułem *Co to jest stan trzeci we Francyi...* Dzieło to wyszło p. tyt. „*Duch nieboszczki Bastylii.*“ A więc Sieyès'a *Que s'est que c'est tiers ètat* wyszło p. t. „Duch nieboszczki Bastylii“ i innego przekładu Jezierski nie robił.

Bentkowski (*Hist. lit. polskiey.* II, 101) mylnie za własność Jezierskiego poczytuje pisemko „I ja też“ (z godłem: *Rara temporum felicitas, ubi sentire, quae velis, et quae sentias dicere licet.* Tacit. hist. lib. I. 8-ka, bez m. i r. str. 20); mylnie też objaśnia Kołłątaj (*l. c.* str. XVII), że na „I ja też“ odpowiedział Jezierski broszurą „Ktoś piszący z Warszawy“, ostatnia bowiem, o rozmaitych traktując sprawach, o autorze tamtéj wspomina tylko przygodnie.

Szujski (*Dzieje Polski.* IV, str. 607 i 623) przypisuje Jezierskiemu broszurę „Co się też to dzieje z nieszczęśliwą ojczyzną naszą. Wiadomość poświęcona prawdzie i przyszłości“ (W Chełmie, roku 1790, 8-ka, str. 56. 2-e wyd. w Warszawie 1790, w drukarni Michała Grölla, 8-ka, str. 56. 3-e wyd. w Warszawie w druk. Zawadzkiego, bez r. 8-ka, str. 43. 4-e wyd. 1791, bez m. 8-ka, str. 46); lecz nie przytacza dowodów. Pilat (*l. c.* str. 44 w przyp.), na starym katalogu oparty, Kołłątajowi autorstwo przyznaje.

Zresztą, oprócz dwunastu pism znanych, będących niewątpliwą Jezierskiego własnością; oprócz rękopismów („Kat krakowski“, „Kazania“, „Podróż po Polszcze“, „Korespondencya z Krakowa“), które ktoś z czasem może odkryje, autor „Katechizmu“ niejedno jeszcze pewnie sam lub wspólnie z Kołłątajem napisał. O „wspólnéj pracy owocach“ przyjaciół wspomina Wolski (*l. c.* str. 92).

Władysław Smoleński.

PESSYMIZM WSPÓŁCZESNY.

(Seweryn Smolikowski—Filozofia wyzwolenia. Warszawa, 1883.)

Kwestya znaczenia wyrazu filozofia, a oraz treści i zakresu téj gałęzi wiedzy ludzkiéj należy do najsporniejszych pytań w dziejach nauki. Jakiekolwiek jednak istniéć mogą opinie w téj mierze, historyczny przebieg badań filozoficznych wykazuje jasno, iż myśl ludzka, na tém polu swego działania, w trzech zawsze stałych posuwała się kierunkach, a te są *metafizyka*, *teorya poznania i etyka*.

Zadaniem *metafizyki* jest zbadanie ostatecznéj bytu przyczyny i oznaczenie jakie w obec téj istoty bytu zajmuje stanowisko człowiek.

Ustalenie kryteryum prawdy dla umysłu, badanie granic poznania dostępnych dla tegoż, kwestya subjektywizmu lub objektywizmu wiedzy należy do *teoryi poznania*. Moralnéj wreszcie natury kwestye, tyczące się człowieka, są zadaniem *etyki*.

Jakkolwiek w każdym z systemów filozofii wszystkie trzy te kierunki silniéj lub słabiéj są reprezentowane, to jednak porównywając dane systematy z sobą, dostrzeżemy łatwo, że w jednych przeważa metafizyczna strona, w drugich teorya poznania, w trzecich etyka. Skąd pochodzą te różnice?

Prawdopodobnie przyczyną téj przewagi pojedyńczych odgałęzień filozofii w danych systematach, jest pewien rodzaj, acz bynajmniéj nie ściśle chronologicznego, następstwa po sobie trzech tych zasadniczych kierunków filozoficznéj wiedzy, w każdym z pojedyńczych okresów dziejów filozofii.

Po badaniach z zakresu wiedzy przyrodniczéj, które zawsze poprzedzają rozkwit filozofii, pojawiają się najprzód systemy niemal wyłącznie *metafizycznego charakteru*. Filozofia w owym czasie nie troszczy się bynajmniéj o zdobycie pewnego kryteryum prawdy, nie

bada granic poznania ludzkiego, lecz dowolnie tę lub ową obrawszy metodę badań, z ścisłym dogmatyzmem wysila się na rozwiązywanie zagadnień metafizycznych. Zwolna dopiero, w miarę jak coraz większe umysł w tym kierunku zaciekań się napotyka trudności, słabnie ufność w bezwzględność wiedzy; pojawiają się pierwsze ślady oceny metody badań, pierwsze poszukiwania za kryteryum prawdy, a nawet niewiarę w możliwość jakiejkolwiek wiedzy tu i owdzie się spotyka. Wreszcie kwestya poznania nabiera w oczach myślicieli tak wielkiego znaczenia iż filozofia, porzuciwszy zupełnie metafizyczne pytania, staje się wyłącznie niemal teoryą poznania. Tak zjawia się na widowni dziejów filozofii *krytycyzm*, którego bynajmniéj nie jest twórcą dopiero Kant, lecz który, począwszy od wystąpienia Sofistów w Grecyi, przez cały ciąg historyi filozofii ma swych przedstawicieli (Sofiści, Sceptycy, Locke, Hume, Kant). Niedługo jednak filozofia zachowuje ten kierunek swych badań; wkrótce bowiem, doszedłszy do sceptycyzmu, zniechęcony duch ludzki zwraca się ku ostatniéj przystani myśli, ku etyce i tu buduje wyłącznie moralnego znaczenia systematy, lub wreszcie rzuca się w objęcia nienaukowego *mistycyzmu.*

Zastrzegam jednak raz jeszcze przeciw mniemaniu, jakoby te trzy kierunki myśli filozoficznéj następowały po sobie w ściśle chronologicznym porządku. Dzieje filozofii najlepszym są dowodem rozmaitego ugrupowania i następstwa po sobie metafizycznych, krytycznych i etycznych pierwiastków. Mimo jednak niezaprzeczonéj téj nieprawidłowości w następstwie systemów filozoficznych co do ich treści, systemy etyczne pojawiają się zazwyczaj ku końcowi danego okresu dziejów filozofii, podobnie jak metafizyka rozpoczyna każdy nowy rozświt filozoficznych dociekań.

W epoce dzisiejszéj, w epoce najbujniejszego rozkwitu filozofii, dokonał się już zwrot, ku ostatniemu z kierunków badań filozoficznych, ku etyce. Zwrot ten zaznacza świetnie rozkwitający w Niemczech *pessymizm*, zainaugurowany przez Schopenhauera, a obecnie reprezentowany przez Hartmanna i wielką liczbę zwolenników jednego lub drugiego z tych mistrzów, między którymi odznacza się Schopenhaurzysta Mainländer, jako poniekąd samodzielny umysł na niwie pessymizmu.

Historyczny punkt wyjścia pessymizmu stanowi krytycyzm Kanta. Królewiecki myśliciel udowodniwszy z jednéj strony formalny subjektywizm wiedzy naszéj, z drugiéj uznał konieczność istnienia jakiegoś przedmiotu, jakiejś *rzeczy saméj w sobie*, niezbadanéj dla umysłu, a będącéj materyalną wszelkiego poznania podstawą. Na têm idealistyczno-realistycznêm, pośredniêm stanowisku, system Kan-

ta zatrzymał się, nie rzucając się w objęcia żadnego z ekstremów. Przerobienie krytycyzmu na skrajno idealistyczne lub skrajno-realistyczne systemy, stało się zadaniem dopiero następców Kanta, do których należy i ojciec dzisiejszego pessymizmu Schopenhauer.

Wyzyskuje on idealistyczną stronę krytycyzmu, uznaje bowiem wyłączną subjektywność wiedzy naszéj, ogół bytu widzialnego czyni zawisłym od podmiotu myślącego; odrzuca jednak przyjętą przez Kanta niemożność poznania rzeczy saméj w sobie.

„Świat jest mojem wyobrażeniem“ brzmi Kanon Schopenhauerianizmu. Jeżeli zatém, jestto konieczna konsekwencya owego kanonu, wszystko co jest, jest tylko wyobrażeniem podmiotu, to byt cały jest tylko złudzeniem, wszelka wiedza, wszelkie poznanie niema najmniejszéj wartości. Tą drogą idąc zatém Schopenhauer dojść byłby musiał do końcowego sceptycyzmu. Tak się jednak nie stało. Jakkolwiek Schopenhauer z krytycyzmu wcielił do swéj filozofii pojęcie czasu i przestrzeni, jako subjektywnych form spostrzegania, jakoteż konieczność istnienia wrodzonych kategoryj myślenia; to jednak ograniczył on pierwotną liczbę Kantowskich kategoryj z dwunastu na jedną tylko, a nią jest *prawo wystarczającéj przyczyny* (Satz vom zureichenden Grunde), które opiewa: „każde wyobrażenie mieć musi swoję przyczynę.“

Jeżeli to ostatnie prawo, mniemał Schopenhauer, stosować będziemy nietylko do wyobrażeń zmysłowych i pojęć jakie o świecie zewnętrznym w umyśle naszym się tworzą, ale do motywów naszego działania, to dojść musimy do odkrycia owéj tajemnicy rzeczy saméj w sobie, będącéj bytu całego podstawą.

Czemże jest bowiem pobudka, motyw każdorazowego naszego działania?

O ile pobudka owa jest zewnętrzną przyczyną działania, o tyle należy rzecz prosta do kategoryi wyobrażeń. Ale wtedy byłaby ona tylko tworem naszego umysłu, niczém realnie istniejącém, gdyż „świat jest wyobrażeniem podmiotu,“ a w takim razie niebylibyśmy zmuszeni ulegać jéj. W każdorazowéj zatém pobudce kryć się musi jakiś inny, niezależnie od podmiotu istniejący pierwiastek, który zmusza ów podmiot do działania w tym lub owym kierunku.

I w rzeczywistości pierwiastek ów istnieje, a o istnieniu jego przekonać się i naturę jego bliżéj zbadać możemy, jakkolwiek nie w drodze spostrzegania zewnętrznego, lecz dzięki wrodzonéj nam możności wewnętrznego oglądania naszéj istoty taką, jaką ona jest w rzeczywistości. Pierwiastek ów, tą drogą odkryty, istniejący niezależnie od podmiotu, który zatém *rzeczą w saméj sobie* jest, jest niczém innem jak *wolą*.

Doszedłszy do takiego rezultatu, zapytamy mimowolnie, *ażali* owa rzecz sama w sobie, wola, byłaby realną pobudką wyłącznie tylko czynów naszych, czy jeśli przekonaliśmy się, iż ona jest jedynym bytem realnym, nie stokroć prawdopodobniejszą byłoby rzeczą uznać ją za przyczynę całego widzialnego bytu? Schopenhauer niewaha się przyjąć za prawdę to drugie mniemanie. *Wola* zostaje wyniesioną na tron istnienia całego, staje się jedyną przyczyną całego świata zjawisk, wszystkich wyobrażeń naszych o wszechświecie...

Krok ten uczynił Schopenhauer chcąc się uratować od najskrajniejszego sceptycyzmu, od zaprzeczenia rzeczywistości wszelkiego bytu, a co zatém idzie możliwości i wartości wszelkiéj wiedzy. Jeżeli bowiem przypomnimy sobie ów kanon jego filozofii: „świat jest moim wyobrażeniem,“ to idąc konsekwentnie, wszechświat cały, byt cały musielibyśmy uważać za ułudne widmo naszéj wyobraźni...

Lecz jakkolwiek Schopenhauer uratował się od tak smutnych wyników swéj filozofii, to natomiast, uznając wolę za jedyne źródło bytu, stanął w otwartéj z samym sobą sprzeczności. Jak bowiem początkowo umysł za jedyny, realny byt uznawał, świat cały za fantastyczny wytwór tegoż umysłu poczytując; tak uznawszy teraz *wolę* za jedyne, realne źródło bytu, wprowadził do swéj filozofii pewnego rodzaju dualizm, świat na dwie wrogie rozłupał połowy, na *umysł* strącony dopiero co z tronu całego istnienia i nowo obraną królowę, *wolę*.

Wola jest zatém u Schopenhauera źródłem całego bytu, realną przedmiotowych wyobrażeń naszych przyczyną.

Byt jednak cały przejawia się w dwu subjektywnych formach czasu i przestrzeni, wola zaś jako *rzecz sama w sobie*, w subjektywne formy ująć się niedaje, byłoby to wprost z jéj naturą sprzeczném. W jakiż więc sposób podmiotowych, od czasu i przestrzeni nieodłącznych zjawisk być może przyczyną? Widocznie kryje się tu sprzeczność nowa. Ratując się od niéj Schopenhauer wskrzesza platońskie ideje.

Świat widzialny jest niedokładném odbiciem *idei*, które pojedyńczemi woli objektywacyami są, a jako takie istnieją poza czasem i przestrzenią.

Ze zlewu idej tych z subjektywnemi spostrzegania formami, to jest czasem i przestrzenią, powstaje świat widzialny, świat wyobrażeń naszych, który tak niedawno jeszcze był tylko podmiotowem umysłu naszego złudzeniem.

Ale w jaki sposób ideje owe, rzeczy same w sobie, łączą się z czasem i przestrzenią w nieskończony łańcuch zjawisk?

Na to pytanie Schopenhauer niema odpowiedzi, jestto tajemniczy dogmat jego filozofii, w który z zamkniętemi wierzyć trzeba oczyma.

Ideje są zatém jedyném, niezmienném, wieczném piękném, byt cały ziemski jest tylko niedoskonałém ich odzwierciedleniem. Czy jednak tajemniczy ów świat piękna, świat zaklęty, gdzieś w sfery niebieskie przeniesiony, jest dla naszego poznania dostępnym. Całość poznania naszego nosi na sobie cechę wyłącznéj podmiotowości. Zjawiska ujawiają się w umyśle naszym w subjektywnéj formie czasu i przestrzeni. Ideje zaś jako pojedyńcze objektywacye woli; owéj rzeczy w saméj sobie, niemogą przybierać na się form subjektywnego poznania nie są więc na téj drodze przystępne dla umysłu. Istnieje jednak inna droga wiodąca nas do wrót tajemniczego raju wiecznego piękna i doskonałości.

Narzędziem poznania jest umysł, ponieważ zaś realną przyczyną całego bytu jest wola, a więc i umysł jest niczém innèm jak uświadomianiem się woli na pojedyńczych szczeblach jéj objektywacyi.

Umysł jest zatém sługą woli. Jak widzimy następuje w tym punkcie zupełny przewrót w filozofii Schopenhauera, jak początkowo umysł był wszystkiem, gdyż „świat wyobrażeniem jest podmiotu.“ jak późniéj *umysł* i nowo odkryta rzecz sama w sobie, *wola*, stanęły obok siebie, jako dwie równorzędne a różne potęgi, tak nakoniec umysł staje się „sługą woli,“ jéj tworem, pada w ofierze monistycznym dążeniom filozofii Schopenhauera.

Posłuszny „sługa woli“ umysł może się jednak wyzwolić z ciężkiego jarzma swéj władczyni, a to przez coraz wyższe doskonalenie samowiedzy i to tak długo, aż wreszcie porzuciwszy badanie zjawiska na podstawie subjektywnych form spostrzeżenia, czyli innemi słowy zamknąwszy oczy, umysł pocznie rozważać w duchu, w mistycznym zagłębieniu się w samym sobie, całość istnienia i pojedyńcze jéj objawy. Wówczas to dopiero przed okiem zdumionym myślącego podmiotu otworzy się wieczny, niezmienny, piękny świat idei, i umysł który ten stopień poznania osięgnął, zdolen jest zapanować nad wolą, dojść do spokoju i szczęśliwości duchowéj...

Mistycyzm więc zakończył teoretyczne wywody Schopenhauera. Co do metafizycznych podstaw swoich system tego myśliciela jest a raczéj miał być idealistycznym monizmem. W rzeczywistości jednak kryje się w nim dualizm, spowodowany przez postawienie realnego pierwiastku woli obok pierwotnie świat cały stwa-

rzającego umysłu. System więc, będący początkowo skrajnym idealizmem, zmienił się w pogląd idealistyczno-realistyczny. Wprawdzie usiłował Schopenhauer wtłoczyć później niewygodnego współzawodnika woli, rozum, w szereg zwykłych objektywacyi tejże woli, przyznając jednak umysłowi możność wyzwolenia się od wpływów woli, odnowił dawny dualizm swéj filozofii.

A teraz wypada nam się zwrócić do praktycznych wyników filozofii Schopenhauera, do owego źródła dzisiejszego pessymizmu.

Wola, jedyny byt rzeczywisty, jest źródłem całego istnienia. Czemże jest ta wola?

Istota woli polega w nieustannym dążeniu i pragnieniu jakiegoś celu. Z chwilą gdy jedno z życzeń woli się spełni, wnet budzi się inne i tak bez końca i spoczynku. Wola jest zatém jedném, strasznêm, wiecznie ogniem niepokoju gorejącém piekłem; a ponieważ świat cały jest dziecięciem owego ponurego pierwiastku woli, więc téż i on jest najgorszém ze wszystkich możliwych światów. Nad byt ziemski lepszym byłby sam niebyt, nad tortury wiecznego niepokoju i wiecznych pragnień, spokój nicości!

Życie więc ziemskie jest najwyższém złem dła człowieka, a jednak istnieje wola do życia. Skąd to pochodzi? Oto wola rozbita na pojedyńcze przedmiotowe byty, z woli powszechnéj w wolę indywidualną się zmienia, każda zaś taka wola indywidualna, póki nie dojdzie do takiego stopnia świadomości, iż ustrój całego świata przeniknąć zdoła, w błędném pozostając mniemaniu dąży do zachowania swego bytu, sądząc, że on jest drogą do szczęśliwości. Dopiero oświecony umysł człowieka, będący najdoskonalszym objawem bytu przedmiotowego woli, przeniknąwszy ustrój całego wszechświata, poznaje, iż byt indywidualny jest najgorszém złem, dąży więc do zniszczenia tego bytu. W jaki sposób dokonywa on tego dzieła?

Źródłem wszelkiego istnienia a więc i umysłu, jest wola; wola zatém doszedłszy do samopoznania, musi powziąść zamiar zniszczenia saméj siebie. Ponieważ zaś wola polega na wiecznêm pragnieniu i dążeniu do nieokreślonych celów, zatém spokój bezwzględy i brak wszelkich pragnień, byłby właśnie owém zniszczeniem woli. Osiągnięcie zaś takiego spokoju dla człowieka, zniszczenie więc indywidualnego bytu, jest możliwém, a to przez poznanie idej, owych niezmiennych wieczném pięknem będących, objektywacyi woli. Poznawszy je umysł osięga stan spokoju bezwzględnego, a tém samém niszczy sam siebie, niszczy bowiem wolę, z któréj powstał a tém samém niszczy byt własny i świata całego, którego istotą jest wola. Straszliwy *circulus vitiosus*! Rozum czyli wola uświadomiona

niszczy sama siebie przez poznanie idej, będących znowuż tą samą wolą.

Stan ów, w którym wola do samowiedzy doszła, postanawia zniszczyć samę siebie, ów stan bezwzględnego spokoju, obumarcia wszystkich żądz i popędów, zowie Schopenhauer, na wzór indyjskich systematów teologicznych, *nirwaną*. W gruncie rzeczy nirwana jest niczém inném jak zatratą zupełną świadomości naszego istnienia, lecz ponieważ stan ów okupionym być może zniszczeniem, unicestwieniem *woli*, jedynéj bytu realnéj podstawy, przeto z nastaniem nirwany byt cały zniknąć musi, wola a z nią świat cały w tonie nicości się pogrąża.

Dogmat zniknięcia bytu, zmienienia się jego w nicość sprzecznym jest oczewiście z całą wiedzą naszą, jest niedorzecznością, to téż Schopenhauer nie rozciąga możności nirwany do całego istnienia; nicość możliwą jest tylko dla człowieka, dla umysłu, téj najwyższéj objektywacyi woli. Daléj, jak zobaczymy, poszli w tym kierunku jego następcy.

Drugiem równie potężném jak Schopenhauer na niwie pessymizmu zjawiskiem jest Hartmann.

Za historyczne podstawy jego systematu przyjąć należy filozofią Hegla i Schopenhauera. Z heglizmu wyniósł Hartmann pojęcie *idei*, z pessymizmu Schopenhauera pojęcie *woli*, jako dwu sprężyn całego istnienia. System jego jest panteizmem, on sam nazwał go filozofią Nieświadomego (Philosophie des Unbewussten). Jedyną przyczyną bytu a oraz bytem samym jest „Nieświadome,“ obdarzone wprawdzie zdolnością do celowego działania, niezdolne jednak wznieść się do stanu świadomości o sobie samém. Nieświadome stanowi jeden olbrzymi organizm całości bytu, indywidua pojedyńcze nie istnieją. Nieświadome posiada dwa atrybuty: woli i idei. Do świata woli należy świat materyi, do świata idei, świat ducha. Z kilku już tych pobieżnych rysów filozofii Hartmanna widzimy, iż jakkolwiek metafizyczną podstawą jego filozofii jest panteizm, to jednak, zapożyczając oba artykuły *Nieświadomego* z czysto podmiotowych cech ludzkiéj osobowości, Hartmann wpadł w hypotezę i mimowiednie przyczyną bytu zrobił istotę.

Ponieważ Nieświadome posiada zdolność celowego działania, świat przeto, jakkolwiek złym jest, nie jest bynajmniéj najgorszym ze wszystkich możliwych, owszem najlepszym, gdyż istnieje w nim celowość a gdzie jest celowość, tam jest harmonia, ład i porządek. Świat jednak jest złym, bo materyalnym pierwiastkiem jego jest wola, a wola jest złem najgorszém, wieczném niezaspokojoném pragnieniem. Nad byt więc taki jakkolwiek bynajmniéj nie najgorszy

z możliwych bytów, sam niebyt byłby lepszym. Lecz jaka droga wiedzie ku temu celowi?

Wiemy iż „Nieświadome“ posiada zdolność celowego działania, jakkolwiek o działaniu tém niema samo świadomości; że urządzeniu jakie myśl Nieświadomego w świat wnosi, nikt, nawet idea, będąca tylko jednym z atrybutów Nieświadomego oprzéć się nie jest wstanie.

Cały zaś ten celowy układ świata zmierza ku istnieniu nie zaś ku nicości. Czyż niema więc wyjścia z tego zaklętego koła cierpień i boleści, które bytem zowiemy?

I znów człowiek, a raczéj umysł jego, jako zbawca świata występuje. Oto przez rzucenie się w objęcia życia, w jego troski i zawody, budzi się, przynajmniéj w większéj części ludzi, *wola negatywna*, wola nicości, a tak świat materyalny będący *wolą pozytywną*, jak wiemy (wola jest atrybutem Nieświadomego mieszczącym w sobie świat materyi), przywiedzionym zostaje, wskutek obudzenia się wprost przeciwnéj woli pozytywnéj potęgi, do niebytu. Skąd jednak ta wola negatywna wypłynie jeśli istnieją dwa tylko atrybuty Nieświadomego, wola pozytywna i idea, czy jaki dobry Anioł rzuci jéj ziarno na niwę wszechświata, czy w inny jaki sposób spłynie jéj cudowne światło na umysł człowieka?... Na to pytanie odpowiedzi niema.

Reasumując wszystko, co o Hartmannie usłyszeliśmy, z łatwością odkryjemy najważniejszy z błędów jego fantastycznego systematu, o którym to błędzie już nieco wyżéj małą uczyniłem wzmiankę, a mianowicie, iż biorąc dwie cechy osobowości ideję i wolę za atrybuty ostatecznéj przyczyny, Hartmann wpadł w hypostazę, Nieświadome uczynił istotą, byt materyalny w niepojęty sposób usiłował zamknąć w ramę czysto abstrakcyjnego pojęcia woli.

Co do pojęcia nirwany, czyli owego zniszczenia bytu, jak widzieliśmy, daje się spostrzedz u Hartmanna pewien postęp, w porównaniu z Schopenhauerem. Jeżeli tamten nirwanę, jako dla człowieka tylko możliwą uważał, to Hartmann przypuszcza możność jéj dla całego istnienia, chociaż zawsze poraz pierwszy budzi się owa chęć nicości w człowieku, chociaż zawsze Nieświadome chęci téj w sobie samém wzbudzić nie może. Dopiero za pomocą człowieka nirwana byt cały pochłonąć by mogła.

Obok Sehopenhauera i Hartmanna, jako umysł samodzielny w filozofii pessymizmu odznaczył się, jak już wyżéj nadmieniłem, Mainländer.

Jest on Schopenhauerzystą, ale posiada wiele oryginalnych myśli, doprowadza teorye swego mistrza do krańcowości i dlatego cie-

kawym jest przykładem zacietrzewienia się w jednostronnym na świat poglądzie.

Wedle Mainländera przed zjawieniem się wszechświata dni dzisiejszych, istniała *jedność przedświatowa*, będąca wolą, jednem słowem Bóg, którego istotę wola tworzyła. Bóg ów istniał, mógł on będąc wolą, wolę ową objawiać, objaw ów zaś odnosić się mógł jedynie do chęci lub niechęci dalszego istnienia. Bóg mógł chcieć tylko istnieć lub nieistnieć. Wybrał on to drugie. Jak widzimy nirwana zyskuje w ten sposób jak najobszerniejsze znaczenie. Ostateczna bytu przyczyna, owa bytu essencya powzięła zamiar zniszczenia siebie samej, przejścia do nicości.

Lecz, postanowiwszy unicestwić siebie, Bóg niemógł uczynić tego od razu, a jedynie drogą pośrednią, rozsypując się na niezliczone formy bytu widzialnego. Tak więc, podobnie jak u Schopenhauera, cały wszechświat jest odbiciem owych woli indywidualnych, owych *idei*, na które wola Boża, przedświatowa się rozdzieliła. Każda z tych idei, jako tworząca drogę do nirwany, dąży do nicości, i to ideje świata nieorganicznego dążą bezpośrednio do nicości przez bezustanne wyczerpywanie się sił nieorganicznych, skutkiem ciągłych przemian w łonie tego świata się odbywających, ideje zaś świata organicznego osiągają ten cel dopiero pośrednio za pomocą życia, które jest środkiem wzajemnego ograniczania się i niszczenia sił organicznych. W owym świecie organicznym wola stopniowo staje się coraz bardziej świadomą samej siebie, lecz początkowo świadomość ta ogranicza się tylko do poznania natury *woli indywidualnéj*, wskutek czego powstaje fałszywa chęć, fałszywy popęd zachowania życia, które jest tylko środkiem osiągnięcia celu najwyższego, największéj szczęśliwości, nirwany. Dopiero w człowieku świadomość woli potęguje się do tego stopnia, iż jest ona wstanie zrozumieć całą swą istotę, poznać, iż wola indywidualna jest tylko pośredniém ogniwem, przez które wola pierwotna, powziąwszy zamiar zniszczenia siebie, dąży do nicości. W człowieku dopiero poznaje wola, iż im prędzéj życie to zakończy się, tém szybciéj cel ostateczny, nicość osiągniętym zostaje. Dlatego umysł oświecony gardzi życiem, widzi w niém największe zło możliwe, przyjemnościami jego i troskami niewiele się zajmuje, a tak człowiek staje się znowu pomocnym owemu Bogu pessymizmu—woli, do osiągnięcia celu ostatniego, nirwany.

Doszedłszy bowiem do takich rezultatów, jak wyżéj powiedzieliśmy, ludzkość wreszcie pozna potrzebę zniszczenia swéj egzystencyi, za środek do tego celu użyje ogólnéj *dziewiczości*, a konając niezapomni i o „młodszéj braci“ tj. zwierzętach.

W porównaniu jednak do swych poprzedników, Mainländer ogranicza znaczenie człowieka jako „współpracownika Boga“ na niwie „nirwanowych dążeń.“ Gdy bowiem Schopenhauer uznawał nirwanę za możliwą przedewszystkiém dla człowieka, gdy Hartmann uznawał już możliwość nirwany dla ogółu bytu, ale zawsze jedynie za pomocą człowieka, to Mainländer uwalnia cały już świat nieorganiczny od wpływu ludzkości, twierdząc, iż on sam już przez się do nicości dąży.

A więc systemy pessymistów, jak widzieliśmy, z odmiennych metafizycznych wyrastają podstaw, wspólnością ich tylko jest dziwaczne przypuszczenie możliwości przejścia bytu w niebyt, istnienia w nicość i ponury pogląd na świat, znużenie życiem, chęć wyrwania się z objęcia tych wiecznych pragnień i ciągłych boleści, które tło dni ziemskich człowieka stanowią. Pessymizm jest wynikiem chwilowego stanu dzisiejszéj ludzkości, jest skutkiem chmur owych co zasnuły umysłowy horyzont Europy.

To dlatego pessymizm jakkolwiek pełen metafizycznych sprzeczności, jakkolwiek przekręcający wyniki badań nauk ścisłych, zyskuje dziś tylu zwolenników; nie urok głębokości filozoficznych myśli pessymizmu pociąga do siebie umysły, lecz dźwięk struny cierpień i przesytu życiem, co tak silnie drga w tonie systemów pessymistycznych.

Temu to kierunkowi myśli, owym ponurym proroctwom nirwany, poświęcone jest dzieło, z którego treścią i poglądami mam na tém właśnie miejscu zaznajomić bliżéj naszych czytelników. Dzieło to nosi tytuł: „Filozofia wyzwolenia“, równobrzmiący z tytułem dzieła Mainländera (*Philosophie der Erlösung*), a autorem jego jest p. Smolikowski, znany już z innych prac nad pessymizmem a mianowicie z dzieła pod napisem: „Rozbiór krytyczny podstaw zasadniczych filozofii Schopenhauera,“ wydanego w 1881 r.

Literatura pessymizmu, przed pojawieniem się dzieł pana Smolikowskiego, jak wogóle nasza literatura filozoficzna nader słabo była reprezentowaną. Oprócz pracy dr. Goldberga, drukowanéj w „Bibliotece Warszawskiéj“ pod tytułem: „Filozofia zasady bezwiednéj, Nowy filozoficzny pessymizm,“ daléj rozprawy p. Bogdańskiego w „Przeglądzie Tygodniowym“ zatytułowanéj: „Do historyi i uzasadnienia pessymizmu“ i nakoniec studyów samegoż p. Smolikowskiego w „Bibliotece Warszawskiéj“ w 1878—1881 drukowanych, bibliografia nasza nie wie o żadnych innych studyach nad pessymizmem. Liczebnie zatém wzrasta nasza bibliografia działu filozoficznego o poważniejsze już rozmiarami, bo 207 str. liczące dzieło. W rzeczy jednak saméj dzieło to jest tylko zbiorem studyów

p. Smolikowskiego nad pessymizmem dopiero co wspomnianych. Jako więc takie luźne zestawienie oddzielnych prac, książka ta grzeszy, rzecz naturalna, brakiem organicznéj całości tak niezbędnie w dziele ściśle naukowém potrzebnéj.

Jako cel dzieła wymienia p. Smolikowski ocenę metafizycznych podstaw pessymizmu (str. IV Przedmowy), jak zaś się z tego wywiązuje zadania — zobaczymy.

Zestawienie owych pojedyńczych rozpraw p. S. w pewną całość noszącą tytuł: „Filozofia wyzwolenia“, dokonano w ten sposób, iż całe dzieło podzieloném jest na dwie główne części, które znów na podziały (w pierwszéj części) i na paragrafy (w drugiéj) się rozpadają. Część pierwszą stanowi dość pobieżne i popularne streszczenie i ocena filozofii Mainländera.

Stawiając na czele zbioru prac swoich studyum nad Mainländerem, pragnął p. S. zapoznać „czytelnika odrazu z najważniejszemi zagadnieniami całéj szkoły“; gdyż wedle jego mniemania, „filozofia Mainländera w zasadniczéj swéj osnowie, jest wierną kopią swego pierwowzoru, Schopenhauera i mało się różni od Hartmanna, tak, że może być uważaną za rodzaj *ewangelii* spółczesnego pessymizmu w Niemczech“ (Przedm str. VI). Niestety, celu zamierzonego w tym razie autor nasz zupełnie nie osiąga. Ani pobieżne, oderwane od historycznego związku, streszczenie filozofii Mainländera, nie może dać o niéj saméj nawet dokładnego wyobrażenia; ani témbardziéj system Mainländera nie może dać wyobrażenia o innych kierunkach pessymizmu. Wprawdzie, zapatrując się ze stanowiska „absolutu“ pana S., które późniéj poznamy bliżéj, „absolutu leżącego na dnie każdéj filozofii“, można w filozofiii Mainländera upatrywać *ewangelią* pessymizmu; ale opinia taka jest wręcz mylną, bo w rzeczywistości nawet najbardziéj wyczerpujący obraz filozofii Mainländera, nie może zapoznać czytelnika, nieobeznanego z przedmiotem bliżéj, z „najważniejszemi zagadnieniami całéj szkoły,“ co najwięcéj daje tylko wyobrażenie o etycznych dążnościach pessymizmu....

Część ta dzieła p. Smolikowskiego dzieli się na rozdziały, z których pierwszy dotyka zlekka metafizyki Mainländerianizmu, ale tak pobieżnie, że czytelnik nie jest w stanie zrozumieć nawet najważniejszych zasad metafizycznych tego kierunku, nie może pojąć zkąd wypłynęły na ocean filozofii te myśli, jakie węzły historyczne łączą je z poprzedniemi systemami filozoficznych badań. Oprócz metafizyki rozdział ten obejmuje także etykę Mainländera w krótkim streszczeniu.

W rozdziale drugim autor zastanawia się nad moralnemi przyczynami odżycia staroindyjskiéj nirwany w dzisiejszém społeczeń-

stwie europejskim, w systematach pessymistycznych zawiera zarazem przelotną wzmiankę o innych systematach nowéj téj szkoły filozoficznéj. Rozdział wreszcie trzeci, najgruntowniéj napisany, roztrząsa hypotezy Mainländera przyrodniczéj treści, jakie ukuł on naprędce celem lepszego poparcia prawdziwości swéj nirwany, czyli nicości w jaką cały byt ma się pogrążyć.

Takim jest pierwszy dział pracy p. Smolikowskiego, który on sam *za wstęp* do swego dzieła uważa, ważniejszą zatém jest część druga, nosząca napis „Nirwana wobec metafizyki,“ która ma — jak sam autor w przedmowie zapowiada — uwidocznić „różnice (metafizyczne) głównych przedstawicieli“ szkoły pessymizmu. Z tego téż powodu drugiéj części pracy p Smolikowskiego musieliśmy poświęcić więcéj uwagi, a jak zaś autor wywiązał się z postawionego sobie zadania, krytyki metafizycznych podstaw pessymizmu i przedstawienia różnic pojedyńczych mistrzów téj szkoły między sobą — zobaczymy....

Oceniając jakąkolwiek pracę filozoficzną, przedewszystkiem spytać musimy, jakiém jest filozoficzne stanowisko autora. Odnośnie do dzieła p. Smolikowskiego, na pytanie to odpowiada nam sam jego autor obszerném *Credo* filozoficzném, na str. 79—113 pracy swéj umieszczoném.

Jedynym możliwym i na niewzruszonych podstawach spoczywającym poglądem filozoficznym — zdaniem naszego autora — jest uniwersalizm, system zbudowany na zasadzie „wszystko ogarniającego,“ wszystko jednoczącego w olbrzymią całość „absolutu.“ Z brzmienia tego ostatniego terminu, z bliższych jego określeń, z wyraźnego potępiania wszelkiego dualizmu w filozoficznych na świat poglądach, sądzićby należało, że uniwersalizm jest albo inną tylko nazwą panteizmu, albo przechrzczeniem monizmu. Tymczasem przy bliższéj analizie, uniwersalizm zdradza najwidoczniejsze podobieństwo z potępianemi przez autora dualistycznemi systematami, dochodzi w ostatecznych rezultatach do rozdziału całego bytu na dwie wielkie połowy: absolutu, będącego myślą, ideą świat porządkującą i materyi, z któréj świat zjawisk się składa.

Tém dziwniejszym wydać się nam musi ten ostateczny rezultat uniwersalizmu, że p. Smolikowski nietylko na oznaczenie podstawy swego systematu używa wyrazu „absolut“, zapożyczonego z monizmu idealistycznego Hegla, ale także wyraźnie (str. 104) oświadcza się przeciw „rozrywaniu ducha i materyi na dwa byty“, przeciw dualizmowi wszelkiemu w filozofii.

A jednak „uniwersalizm“ jest dualizmem w całym tego słowa znaczeniu, dualizmem *par exellence*, dwoistość jego pojawia się w ide-

alistycznėm pojęciu „absolutu“ czyli Boga, jako *idei* przenikającéj świat cały (str. 100), jako *rozumu wiecznego* (str. 107), jako *osobowości* (str. 110), „jednoczącéj w sobie wszystkie odbłyski indywidualności,“ jako intelekt najwyższy jednėm słowem, na którego oznaczenie używa p. Smolikowski terminów „Wielkiego nieznajomego“, „Istności przedwiecznéj“, „Ducha“ z jednéj strony; z drugiéj zaś uznanie rzeczywistego bytu materyi, wprowadzające realistyczny pierwiastek do filozofii uniwersalizmu, systemowi temu cechę idealistyczno-realistycznego na świat nadają poglądu.

Jakaż więc może być przyczyna téj dysharmonii między zamierzonym celem, ujęcia wszystkich przejawów istnienia w wielką całość, a owocem tych usiłowań, którym jest dualistyczny na świat pogląd?

Prawdopodobnie uniwersalizm miał być inną tylko nazwą panteizmu, absolut zaś ostateczną bytu przyczyną i oraz bytem samym, objawiającym się jako duch i materya. Nieszczęśliwie tylko obrany punkt wyjścia stał się przyczyną, iż myśl p. Smolikowskiego w zupełnie innym podążyła kierunku niż dążyć zamierzała, i że niespodzianie zawitała do krain dualizmu, miasto zawinąć do portów panteizmu. Błąd ten w obiorze punktu wyjścia, leży we wzięciu za podstawę całego rozumowania, abstrakcyjnego pojęcia przyczynowości. Fakt, że dla każdego zjawiska szukać musimy przyczyny — jestto rozumowanie p. Smolikowskiego—prowadzi nas do pojęcia nieskończonego łańcucha przyczyn i skutków, który dla myśli nie nastręcza nigdzie punktu oparcia. Brak takowego punktu dla myśli naszéj zmusza nas do uznania *wieczności przyczyny.*

Właściwie zatém nieodkryliśmy nic nowego, prócz prawdy, która właśnie stanowi prawo przyczynowości, iż dla każdego zjawiska szukać musimy jakiejś przyczyny.

P. Smolikowski jednak z pojęcia *wiecznéj przyczyny* inny wyprowadza wniosek, a mianowicie, iż pojęcie to doprowadza nas do odkrycia wieczności istnienia *bez przyczyny*“ (str. 83).

Jakim sposobem, konieczność szukania przyczyny dla każdego zjawiska, doprowadza nas do pojęcia istnienia bez przyczyny—rzecz niepojęta....

Tak odkryte pojęcie wiecznéj przyczyny p. Smolikowski obdarza nazwą *Boga*, który to wyraz, jak sam przyznaje, oznacza w metafizyce pierwszą bytu przyczynę (str. 10).

Zformułowawszy w ten sposób pojęcie Boga (str. 83), p. Smolikowski stanął już—jak widzimy—na gruncie idealistycznym, pojęcie to bowiem czysto jest abstrakcyjném, wyłącznie do świata idei należącém.

Jakież są dalsze cechy charakterystyczne tego Boga?

Odrzuciwszy twierdzenie krytycyzmu o subjektywności pojęć naszych, twierdzenie empiryzmu a raczéj sensualizmu, jakoby zmysły były jedyném poznania i myślenia źródłem, wreszcie potępiwszy skrajny racyonalizm, ideom abstrakcyjnym tylko byt rzeczywisty przyznający, p. Smolikowski staje na dualistyczném stanowisku i, stwierdziwszy w świecie materyi następstwo zjawisk według prawa przyczyny i skutków, na podstawie znów innego prawa, a mianowicie *prawa ciągłości myśli* Leibnitza, uznaje w świecie myśli następstwa idei po sobie, na wzór następstwa zjawisk bytu materyalnego, a stąd dochodzi do pojęcia *jedności myślenia.* Identyfikując zaś następnie wprost, poprzednio już zformułowane pojęcie Boga z myśleniem, czyli — jak się p. Smolikowski wyraża — „przenosząc idealizm myśli naszéj na myśl absolutu“, dochodzi autor „Filozofii wyzwolenia“ do odkrycia drugiéj z cech charakterystycznych Boga czyli „absolutu“ t. j. *jedności istnienia.*

Dwa są zatém—wedle p. Smolikowskiego—atrybuty Boga czyli „absolutu“ a niemi są: *jedność i wieczność istnienia* (str. 94), ponieważ zaś atrybutem zowiemy sposób przejawienia się ostatecznéj bytu przyczyny dla umysłu, przeto Bóg p. Sm. objawiający się jedynie jako „jedność i wieczność“ jest bez... treści. Gdyby p. Smolikowski dążąc do „absolutu“ przyjął był jako atrybuty Boga ducha i materyą, gdyby dopiero w nich odkrył na zasadzie prawa przyczynowości jedność i wieczność istnienia, tak materyalnego jak duchowego, lub téż gdyby był ideę lub materyą za źródło bytu i jedynie rzeczywisty byt uznał, natenczas Bóg tak pojęty mógłby się stać „absolutem.“ Abstrakcyjny jednak punkt wyjścia doprowadza p. Smolikowskiego do pojęcia bynajmniéj nie „wszystko ogarniającego absolutu,“ gdyż chcąc go takim uczynić, musiałby zaprzeczyć realnemu bytowi materyi, tego zaś uczynić niechce; lecz do pojęcia Boga bez treści, pojęcia, którego byt chąc uratować, musiał p. Smolikowski dopuścić się hypostazy, zrobić je „duchem,“ „osobowością“, „wielkim nieznajomym“ i t. d. Tak więc zamiast zamierzonego „absolutu“, dochodzi p. Smolikowski do dualizmu, w którym Bóg osobowy jest ideą świat przenikającą i kształtującą wedle praw logicznego myślenia (str. 111), obok któréj istnieje zupełnie odrębny byt materyalny.

„A jeśli naszym rozumem — są słowa p. Smolikowskiego—granicami *materyi* i *zmysłów* odciętym od jego źródła wiecznego, od bytu uważanego w sobie (czyż byt uważany w sobie jest źródłem tylko myślenia a nie i materyi?), jedném słowem od Boga, nie możemy poznać Tego ostatniego w Jego istocie, w całości Jego atrybu-

tów, to możemy Go poznać z dzieł, z objawień Jego (?), z tworów wszechświat zamieszkujących i z całego obszaru zjawisk istnienia" (str. 108). ....„Powiedzieliśmy, że jednia, jedność, jednolitość, jest atrybutem Boga, że dla nas najwyższym objawem takiéj jedności jest indywidualność czyli osobowość ludzka, już wyrobiona duchowo. Otóż ta osobowość, ta jaźń, jest w nas odbiciem *osobowości, jaźni absolutnéj* („I stworzył Pan Bóg człowieka na obraz i podobieństwo swoje"—*p. r.*). Do poprzednich więc istotnych cech absolutu dodać musimy pojęcie osobowości, czyli, że absolut jest osobowością, ale osobowością nieograniczoną, bo jednoczącą w sobie wszystkie odbłyski indywidualności" (str. 110). Zamierzony zatém „wszystko ogarniający absolut" zeszedł do teologicznego niemal określenia Boga-Ducha, który ukryty za chmurami materyi, nie raczy się ukazać stęsknionéj za nim duszy człowieka. Takie pojęcie absolutu — zdaniem p. Sm. — leżeć ma „na dnie każdéj filozofii" (str. 116), bez niego żaden system obejść się nie może; w gruncie rzeczy zatém autor „Filozofii wyzwolenia" pojmuje ogół systematów filozoficznych jako spoczywający na jednéj i téj saméj podstawie metafizycznéj. Zdaje mi się, iż niepotrzebuję nawet rozwodzić się dłużéj nad bezzasadnoscią tego twierdzenia, takie wtłaczanie przemocą całego mnóstwa systemów filozoficznych w szczupłe ramy „absolutu" jest co najmniéj utopią, do żadnego rezultatu nie wiodącą. Jeżeli bowiem dualistyczny na świat pogląd, a takim jest owa religia „absolutu" p. Smolikowskiego, leży na „dnie każdéj filozofii", jakże istniéć mogą systemy monistyczne, jak systemy panteistyczne? Robienie z pojęć filozoficznych bożyszczy jakiéjś nowéj wiary, którą w głębi serca musi każdy filozof wyznawać, jest zupełnie nienaukową rzeczą.

Z takiego pojęcia „absolutu", „na dnie każdéj filozofii spoczywającego", wychodzi autor, krytykując systemy pessymistyczne. Zgodnie z wiarą swoją w jedną, ogólną podstawę całéj filozofii, przejęty ideą swego „Wielkiego nieznajomego", z bezwzględną apriorycznością, widzi on w pessymistach tylko rodzaj zbłąkanéj, jak zobaczymy, sekty wyznawców „absolutowéj" religii. Takowy pogląd, na cały nowy kierunek filozoficznéj myśli ludzkiéj, jest przyczyną najpierwszego i najgłówniejszego błędu w dziele p. Smolikowskiego, a jest nim traktowanie systemów pessymistycznych jako niemal jednozgodnych, co do ich metafizycznych podstaw, gdyż opartych w gruncie rzeczy na jednéj i téj saméj zasadzie, „leżącego na dnie każdéj filozofii absolutu."

P. Smolikowski zatém oceniając metafizykę pessymizmu, powoduje się zasadą szablonowéj krytyki wszystkich trzech systemów

nowéj szkoły filozoficznéj naraz. W pojęciu *woli*, tak wybitną rolę grającym w pessymizmie, widzi on całkiem *à priori* swój absolut, ale na nieszczęście absolut ów, że pozwolę użyć sobie tego nienaukowego wyrażenia, jest skoszlawionym. P. Smolikowski zatém za pierwszorzędny cel swéj krytyki uważa jedynie wykazanie tych niedokładności, które pessymiści popełnić mieli formułując pojęcie swego „absolutu.“ Całe zaś, w przedmowie zapowiedziane uwidocznienie w téj części dzieła różnic metafizycznych, pojedyńczych systematów pessymizmu, streszcza się tylko do wykazania różnych *odcieni* w pojmowaniu mniemanego „absolutu“ przez każdego z mistrzów pessymizmu.

Tego rodzaju pogląd na naturę nirwanowych systemów, zniewolił mię do umieszczenia pobieżnego choćby szkicu metafizyki pessymizmu we wstępie do niniejszego sprawozdania; pragnąłem bowiem czytelników, mniéj z przedmiotem obeznanych, przekonać jak fałszywą jest rzeczą, systemy te filozoficzne na całkiem różnych zbudowane zasadach, przemocą do wspólnego punktu wyjścia sprowadzać, jak ogromny błąd popełnia autor nasz narzucając twórcom pessymizmu obce im zupełnie pojęcie „absolutu.“

Wobec takiego pojmowania rzeczy autor nie troszczy się bynajmniéj, lub bardzo mało, o historyczny punkt wyjścia pojedyńczych systematów pessymizmu; jeżeli bowiem „na dnie każdéj filozofii kryje się absolut,“ mniéj tylko lub więcéj dokładnie zrozumiany i określony, to i cóż, wobec tego wspólnego źródła wyjścia wszystkich kierunków filozoficznéj myśli, znaczy historyczne następstwo po sobie różnorodnych na świat poglądów?

Czytelnik zatém, który z dzieła p. S. pragnąłby dopiero zapoznać się z dziejami i treścią pessymizmu, nie dowie się nigdy skąd na widownią dziejów filozofii wypłynęły ponure systematy nirwany, po jakich szlakach metafizycznych zaciekając się myśl ludzka doszła do tego rodzaju rezultatów, z jakich historycznych podstaw wyrastają gmachy te nowego prądu myśli. Z tego téż samego powodu, jakkolwiek celem działu było przedstawienie metafizycznych podstaw pessymizmu, o metafizyce tego nowego kierunku myśli ludzkiéj słabe tylko, nader słabe z pracy p. S. powziąść można wyobrażenie. Toż mimo całéj erudycyi i głębokiéj wiedzy autora „Filozofii wyzwolenia,“ jego sposób przedstawienia rzeczy, jego krytyka pessymizmu zadowolić czytelnika nie może. Ta ostatnia bowiem streszcza się tylko: do usilnego udowodniania wypaczenia pojęcia „absolutu“ w szkole pessymizmu i wyliczania poszczególnych braków tego pojęcia.

Jakaż jest przyczyna tego skoślawienia absolutu—wedle p. S.— w szkole pessymizmu?

Oto pessymiści — zdaniem naszego autora — stanowią zastęp przeciwników *idei* w filozofii (str. 57). Lękając się więc powrotu, wygnanéj z upadkiem idealistycznéj filozofii, z dziedziny myśli ludzkiéj, idei, uciekli się zwolennicy nowéj szkoły do innego pierwiastku osobowości ludzkiéj, do *woli* i pojmując ją jako „siłę“, „potęgę“, „życie“ (str. 120), jako „absolut“ jedném słowem, rozsnuli na téj podstawie sieć nirwanowych systematów. I oto uczyniwszy krok ten, zepsuli zupełnie czyste pojęcie „absolutu.“ Pojęcie to bowiem jest nieodłączne od pojęcia idei (str. 58), *wola* zaś oderwany od osobowości ludzkiéj pierwiastek, zastąpić idei nie jest w stanie. Wkrótce téż w duszy czcicieli woli odezwała się tęsknota za ideą, za „absolutem“ prawdziwym i to tak silna, iż sprowadziła bezwiednie ową ideę do ich filozofii, jakkolwiek ukrytą pod płaszczykiem wszechwładnéj woli (str. 58). Tak więc pessymiści, sądząc się hołdownikami *woli*, mimowiednie stają się czcicielami idei, a tak idea mści się na tych, którzy ją chcieli na łaskawy chleb skazać; występuje ona teraz jako „Nemezis filozoficzna“ oślepiająca za karę swych prześladowców do tego stopnia, iż ci ubóstwiając jéj przeciwniczkę, *wolę*, ją samę ubóstwiają (str. 58). Zemsta idei, wkroczenie jéj powtórne na tron „absolutu,“ walka z *wolą*, nieograniczenie dotąd panującą, czyli antyteza „idei i woli“ a ztąd rozdwojenie w łonie samegoż „absolutu“—oto najgłębsza przyczyna błędów nowéj filozoficznéj szkoły, jakie ta popełniła modyfikując pojęcie zasadnicze na dnie każdéj filozofii leżące.

Poznawszy przyczynę, poznajmy i skutki. „Antyteza woli i idei“ zrodziła w pojmowaniu „absolutu“ u pessymistów szereg błędów, — jakiéj są one natury?

Błędy te—zdaniem autora—dwojakiego są rodzaju: psychologiczne i metafizyczne. Błąd psychologiczny pessymizmu tkwi według niego w „hypostazie, uosabianiu pojęć, mających uzasadnienie jedynie w połączeniu z pojęciem istoty osoby“ (121). Uwaga ta nader słuszna, w rzeczywistości bowiem, jak każdy na idealistycznéj podstawie zbudowany system, pessymizm, bez personifikacyi wziętego za podstawę bytu abstrakcyjnego pojęcia woli, obejść się nie może. Nawiasowo tylko pozwalam sobie zauważyć, że pojęcie „absolutu“ w uniwersalizmie, także niczém inném nie jest jak hypostazą idei.

Co się jednak tyczy metafizycznych błędów pessymizmu, trudno zgodzić się z naszym autorem. Metafizyczne sprzeczności istnieją wprawdzie, jak w każdym systemie, tak samo i w szkole pessymistów, są one nawet wiele liczniejsze niż gdzie indziéj; z krótkiego

rysu nowéj téj filozoficznéj myśli na wstępie niniejszego sprawozdania zamieszczonego, mógł się o tém czytelnik przekonać; błędy te jednak zupełnie odmiennéj są natury od tych, które p. Sm. widzi w filozofii pessymistycznéj. Opanowany utopią „absolutu“ „na dnie każdéj filozofii leżącego,“ widząc w filozofii pessymizmu jedynie przekształcony swój uniwersalizm; p. Sm. zupełnie bezzasadnie upatruje w pojęciu woli w pessymizmie swój „absolut“, „rozszczepiony“ jednak wzmiankowaną już poprzednio „antytezą woli i idei“ na dwie wrogie sobie części, „przepołowiony“ wreszcie nirwaną na istnienie i nicość bezwzględną. A więc metafizyczny błąd pessymizmu streszcza się — zdaniem autora „Filozofii wyzwolenia“ — do 1) uznania *woli* jako „absolutu“ (str. 129), 2) do ukrytego w tém pojęciu dualizmu (!), który tkwi: *a*) „w stawianiu obok *woli* pierwiastku idei, rozumu, *b*) „w wprowadzaniu rozsadzającego elementu (?) do łona samegoż absolutu, tworząc przez to antytezę w samém tém pojęciu“, *c*) w uznaniu bezsilności Boga i domaganiu się od czasu i współdziałania stworzeń, urzeczywistnienia zamiarów jego t. j. pogrążenia się w nicość“ (str. 137).

Powyższe zestawienie metafizycznych błędów pessymizmu smutnym jest dowodem, do jakiego stopnia zaślepienia prowadzi chęć wtłoczenia przebojem różnobarwnych systematów filozoficznych w ramkę, „leżącego na dnie każdéj filozofii absolutu.“

Mylnie oceniając zupełnie znaczenie pojęcia woli w pessymizmie, hołdując sam mimowiednie dualistycznym na świat poglądom, autor nasz robi zarzut dualizmu tam, gdzie albo go zupełnie niema, albo słabe tylko są ślady.

Dualizm pessymistów kryje się — zdaniem p. S. — w owéj nieszczęśliwéj, „antytezie idei i woli“; antyteza ta ujawnia się zaś, a raczéj ma się ujawniać, w walce idei i woli, któréj skutkiem jest nirwana. Pessymizm zatém przedstawia się autorowi naszemu jako widownia wielkiéj krwawéj bitwy, w któréj wola, „absolut“, królowa całego istnienia, napadniętą zostaje przez ideę i po krótkiéj walce na głowę pobitą, ażeby stało się zadość filozoficznéj Nemezis, mszczącéj się za poprzednie napaści idei.

„Podobnie jak w głoszeniu *wieczności*—mówi p. Smolikowski—tak i w pojęciu *jednolitego*, systemata ich (pessymistów) przepoławiają się, absolut, z cechą wyłączności i jednolitości, gości w nich wprawdzie, ale gości dopóty tylko, dopóki systematy te goszczą w abstrakcyi, dopóki twórcy ich krążą jedynie w transcendentalnych sferach filozofii swojéj. Jak tylko jednak schodzą oni z tych wyżyn oderwanych na pole zastosowawcze, jak tylko głoszą światu nirwanę i wymagają w myśl swojéj etyki współpracownictwa czło-

wieka z Bogiem, wyłączność woli już nie wystarcza i przybierają w pomoc inne siły dotąd lekceważone przez siebie najzupełniéj. Mówimy tu o *idei*“ (str. 136). U pierwszego z twórców pessymizmu, Schopenhauera, zdaniem naszego autora, pessymizm objawił się w przeciwstawieniu „idei rozumnéj,“ „woli ślepéj“ i „powołaniu“ tym sposobem, idei do walki z „absolutem—wolą,“ któréj skutkiem jest nirwana. Jedynie co do Schopenhauera pogląd powyższy jest słusznym, dualizm, jak to starałem się wykazać we wstępie, a raczéj słaby jego ślad, istnieje w filozofii tego myśliciela.

Wedle p. Smolikowskiego jednak i drugi prorok nicości. Hartmann system swój barwami dualizmu jeszcze jaskrawiéj naznaczył (!). „I w jego więc systemacie z konieczności rzeczy zjawia się odcień *dualizmu*, a jeśli Hartmann różni się w czém pod tym względem do Schopenhauera, to jedynie w sposobie przeprowadzenia téj idei. Gdy bowiem u Schopenhauera dualizm ten jest rzeczywiście ukrytym i staje się widocznym jedynie przy głębszym wniknięciu w osnowę jego filozfii; to przeciwnie u Hartmanna uderza on odrazu, a to wskutek tego, że chcąc dopełnić niedostateczność metafizyki swego poprzednika, Hartmann z umysłu wprowadza *rozszczepienie* (!) do łona samegoż absolutu. Sądził on że tym sposobem ujmie wrogie sobie żywioły świata (*wolę* i *ideę*) w jedno centrum filozoficzne i że przezto właśnie uniknie zarówno dualizmu jak i przyznawania wyłączności jednemu z tych żywiołów. Tymczasem rozdarł on tylko głoszoną przez się *jednię* ducha bezwzględnego (!), stanął w sprzeczności sam z sobą (!), a do syntetycznego pojęcia absolutu tj. złączenia woli i idei w najwyższéj osobowości wznieść się nie zdołał“ (str. 138).

Dla czegóż jednak Hartmann nie doszedł do takiego pojęcia „osobowości,“ czyli innemi słowy „absolutu,“ dlaczego nie uniknął dualizmu?

Oto ponieważ znowu pokłócił *ideę z wolą*, kazał pierwszéj drugą wygnać z krainy bytu a z nią razem i cały wszechświat, a z drugiéj strony zapomniał także, że dla dojścia do pojęcia „absolutu“ osobowego, zamało jest dwie tylko skupić cechy osobowości tj. ideę i wolę (str. 144—145) w jednę całość; a więc i tak zamało w swój tygiel filozoficzny wrzuciwszy pierwiastków absolutu i te jeszcze dobrał tak nieszczęśliwie, iż spowodował wybuch, eksplozyą kończącą się... nirwaną.

W powyższym poglądzie na filozofią Hartmanna nicowanie pessymizmu na temat „absolutu“ i „*dualizmu*“ dosięga szczytu, w dziele p. Smolikowskiego. System Hartmanna, na panteistycznéj zbudowa-

ny, jak wiemy, zasadzie, tak jest dalekim od dualizmu, jak krytyka jego systematu przez autora „Filozofii wyzwolenia“ od prawdy. Idea i wola są tylko, jak wiemy w filozofii „Nieświadomego,“ dwoma atrybutami odwiecznéj tło świata tworzącéj substancyi, nie zaś „rozsadzającym elementem dualizmu, w łonie absolutu.“ Jeśli, do którego myśliciela, to do Hartmanna zarzut dualizmu najmniéj da się zastosować.

Wreszcie i u trzeciego z mistrzów nirwany, Mainländera, widzi nasz autor również *dualizm*, a dualizmem tym ma być skazanie „Boga“ na rozsypanie się w wielość istnienia z przedświatowéj jedności, a w ten sposób odmówienie mu za jednym razem „jednolitości i wieczności, cech absolutu, nieodłącznych od tego pojęcia,“ (str. 145).

A zatém i Mainländer, którego oryginalność w tém właśnie leży, iż widząc pewnego rodzaju dualizm w mistrzu swoim Schopenhauerze, w niemożności pogodzenia rozumu i woli z sobą tkwiący; błąd ów twórcy pessymizmu naprawił w ten sposób, iż nirwanę zawisłą uczynił od postanowienia Boga w transcendentalnéj jeszcze dobie jego istnienia, a nie dopiero od dojścia do świadomości woli w umyśle człowieka, odmówił więc w ten sposób idei pierwszorzędnéj roli w dziele nicości, jest zdaniem pana Smolikowskiego dualistą...

Prawdopodobnie to uparte uganianie się za dualizmem w systematach nirwanowych, jest skutkiem opanowania umysłu autora „Filozofii wyzwolenia“ przez utopią „absolutu jednolitego i wiecznego, na dnie każdéj filozofii skrytego.“ P.S. bowiem nieumie oddzielić w pessymizmie osnowy metafizycznéj każdego z jego systematów, od wspólnego wszystkim zwolennikom tego kierunku, ściśle etycznego rysu, wyobrażenia życia i całego istnienia jako najgorszéj klęski, najgorszego zła dla człowieka, a w skutek tego pragnienia przejścia w nicość, nirwanę, skruszenia żelaznych pęt bytu. Dążenie to, jako ściśle praktyczny wynik pessymistycznego na świat poglądu, o tyle tylko dotyka metafizyki, o ile głosi dziwaczną teoryą skończoności istnienia. Bynajmniéj jednak pessymiści nie zakładali metafizycznych fundamentów swéj filozofii wedle z góry już obmyślanego planu nirwany, lecz dopiero późniéj starali się naginać całą budowę swoję filozoficzną do zgodności z dogmatem nirwany.

Dlatego mówiąc o metafizycznéj osnowie pessymizmu nie należy nadmiernie zwracać uwagi na praktyczne teorye jego o nirwanie, o zniszczeniu bytu całego; teorye te należą niemal wyłącznie do etyki pessymizmu.

A jeżeli takiéj metody trzymać się będziemy, wówczas, z wyjątkiem Schopenhauera, u żadnego z pessymistów nie odkryjemy bynajmniéj zaczajonego dualizmu, pod osłoną monizmu, filozofia „Nieświadomego“ przedstawi nam się wtedy, w prawdziwém świetle, jako panteizm nowego rodzaju, Mainländerianizm zaś jako monizm idealistyczny w nowéj formie.

P. Smolikowski jednak przeciwnéj trzyma się metody. Dbały tylko o należną cześć i nietykalność swego absolutu, w pessymizmie widzi przedewszystkiém jego praktyczne wyniki, nirwanę i skończoność bytu; antytezę idei i woli jako naruszające przedewszystkiém dogmat jedności i wieczności „absolutu.“

To przyznanie pierwszorzędnego znaczenia praktycznym doktrynom pessymizmu, sprawia w umyśle p. Smolikowskiego zupełne pomięszanie tych teoryj z metafizycznemi podstawami tego kierunku filozoficznego, a wskutek tego, dopatrywanie się w metafizyce pessymizmu zgóry oznaczonego sztucznego układu jéj pierwiastków w tym tylko celu, ażeby ułatwić nirwanę dla bytu, nicość dla całego istnienia. P. Smolikowskiemu cały pessymizm zatém przedstawia się jako filozofia zbudowana, na zasadzie „absolutu“ (którym ma być wola) wprawdzie, ale absolutu z góry już wedle obmyślonego planu tak sztucznie z dwu wrogich elementów ułożonego, ażeby w jednéj chwili, nakształt dwu wybuchających pierwiastków, które za zbliżeniem płomyka lampy paląc się, w parę się zmieniają i nikną, za danym przez filozofa znakiem cały absolut w nicość się obrócił. Ponieważ zaś do takiego filozoficznego *hocus-pocus* potrzeba niezbędnie dualizmu, więc téż cały pessymizm w oczach p. Smolikowskiego jest dualizmem *par excellence.*

Wypada nam jeszcze poświęcić słów kilka ostatniéj z przyczyn mniemanego dualizmu w systemach nirwanowych tj. apoteozie człowieka.

Apoteozą człowieka zowie pan Smolikowski zupełnie słusznie, przyznawanie przez pessymistów człowiekowi roli współpracownika Boga w dziele zniszczenia bytu, w dziele nirwany, (str. 148). Wiemy bowiem, iż Schopenhauer nirwanę czyni zawisłą, od dojścia *woli* do świadomości siebie saméj w oświeconym umyśle człowieka, że nawet, jak to trafnie bardzo podnosi (str. 154) nirwanę tę za możliwą tylko dla człowieka, jako oświeconéj, uświadomionéj woli, uznaje. Hartmann, sięgający daléj myślą o nicości w budowę wszechświata, jakkolwiek nirwanę za możliwą dla całego już bytu uznaje, zawsze za warunek jéj zniszczenia stawia oświecony umysł człowieka, natchnięty litościwą chęcią przyjścia w pomoc „Nieświadomemu“

w wyrwaniu go z objęć największego z nieszczęść istnienia (st. 152). Nakoniec Mainländer umniejsza cokolwiek ów potężny wpływ człowieka na wybawienie świata od cierpień istnienia, uwalniając przynajmniéj świat nieorganiczny od jego wpływu, gdyż świat ten, zdaniem tego ostatniego z mistrzów pessymizmu, sam już przez się niepowstrzymanie do nicości dąży. Krytyka apoteozy człowieka w dziele p. Smolikowskiego zupełnie racyonalnie jest przeprowadzoną, tylko pojęcie tego współpracownictwa człowieka z Bogiem, jako rodzaju dualizmu (str. 137) w pessymizmie, jest, jak wszystko co do mniemanéj dwoistości zasad metafizycznych nowéj szkoły u autora naszego się odnosi, jedynie wynikiem pomięszania etycznych i praktycznych teoryi pessymizmu z jego metafizyką.

Mówiąc o apoteozie człowieka w pessymizmie, autor zbacza cokolwiek z drogi krytyki pessymizmu i obszerny, bo od 156—166 str. sięgający, ustęp poświęca teizmowi Stuarta Milla, który autor nasz za „dualizm manichejski“ uważa, a który wiele cech mając pokrewnych z pessymizmem i podobnie jak pessymizm apoteozując pod pewnym względem człowieka, przecież nie kończy się bynajmniéj smutnemi proroctwy nirwany.

Epizod ten zupełnie luźnie, bez związku z resztą całości stojący, chyba ten ma cel, by z jego pomocą tém lepiéj przekonać czytelnika o niemożności spełnienia się wróżb nirwanowych, że religia przyszłości Milla, jakkolwiek bardziéj może pessymistyczna niż nirwanowy Kanon Schopenhauerów i Mainländerów, przecież możności wyzwolenia się z więzów bytu przez nicość nie uznaje...

Opanowany wciąż myślą o nirwanie, jako najbardziéj naruszającéj przywileje „absolutu,“ autor nasz posuwa się aż do jawnego wypowiedzenia zdania, iż metafizyczne podstawy filozofii Hartmanna i Mainländera (Schopenhauera autor pozostawia w spokoju) ułożone zostały sztucznie, jedynie w tym celu, ażeby nirwanę uzasadnić.

Dopóki, zdaniem autora, monizm szedł ręka w rękę z nirwaną byli oni monistami, gdy jednak przekonali się iż dualizm (!) dla ich celów dogodniejszym jest, przeszli na wiarę dualistyczną, (str. 171). Pessymiści zatém wyglądają u naszego autora niby karyerowicze polityczni, którzy dla osiągnięcia osobistych widoków raz są postępowymi, raz zaś konserwatystami. Zarzuty tego rodzaju szczególnie co do Hartmanna, który z gruntu jest panteistą, są co najmniéj zabawne...

Lecz jakkolwiek, podług pana Smolikowskiego, pessymiści z systematami swojemi wyprawiali tak łamane sztuki by koniecznie

prawdziwość nirwany udowodnić; ani „monizm“ ani „dualizm“ nieusprawiedliwiają, w czém zupełnie autor ma szłuszność, przejścia bytu w nicość.

Ostatnie trzy paragrafy drugiéj części dzieła poświęcone są wykazaniu optymizmu w łonie pessymizmu, ocenie rękojmi nirwany i wreszcie zreasumowaniu wyników całéj krytyki.

Optymizm pessymizmu leżeć ma zdaniem autora: 1) „w przyznawaniu człowiekowi władzy dojścia do tego czego pragnie,“ 2) „w przypuszczeniu że życie raz się wyrwawszy z błędnego koła istnienia, nigdzie i w żadnéj nie objawi się już formie“ (str. 176).

„Pierwsze—mówi p. S.—uznaje wszechpotęgę rozumu ludzkiego, drugie, mieszając pojęcie bytu indywidualnego z istnieniem wogóle, głosi arbitralnie nicość bezwzględną. Ani na jedno ani na drugie jednak nie mają oni dowodów. Dla nas zrozumiałym jest ten optymizm, inaczéj bowiem i pessymizm ich nie wyrósłby w praktyczną naukę dla życia, zostałby teoryą, głosiłby nędzę istnienia, ale nie dawałby środków ocalenia. Prawda, że w takim razie byłby to prawdziwy pessymizm, ale prowadziłby on razem konsekwentnie do najczarniejszéj rozpaczy, gotowałby straszne losy swoim wyznawcom.“

Ile mi się zdaje trudno ze względu na apoteozę człowieka i możność nirwany robić pessymistom zarzut optymizmu; pessymizm bowiem niekoniecznie musi głosić tylko nędzę życia, cierpienia bez wyjścia, by być pessymizmem; jest on nim już i wtedy gdy na życie i istnienie wogóle, pogląda z pogardą, gdy upatruje w niém zło najgorsze, gdy nad to zło za stokroć lepszą uznaje nicość.

Gdyby pessymizm głosił tylko nędze świata, gdyby nie stawiał nirwany w głębi swych systematów, wówczas byłby rzeczywiście, jak mówi Hartmann, *miserabilizmem*, byłby narzekaniem bezcelowem, podobném do spazmów roznerwowanéj kobiety. Tylko pessymizm stawiający nicość na miejsce życia, jest pessymizmem prawdziwym. Nie jest on bynajmniéj podobnym wtedy do religii wszelkich, jak mniema nasz autor str. 176, czarno także na świat patrzących, ale które w zamian za to życie raj obiecują ludzkości. Raj, niebo religij wszelkich bowiem, w gruncie rzeczy niczem innėm nie jest, jak bytem ziemskim udoskonalonym, religie więc jakkolwiek przyznają istnienie zła w świecie, to jednak wierzą w jego naprawę, ażeby zaś tak poprawiony byt przenieść nad byt ziemski dzisiejszy, nietrzeba ani zbyt wielkiego zaparcia się, ani walk z samym sobą. Religie więc nie są bynajmniéj podobne do pessymizmu, gdy ludzkości raj zapowiadają, owszem są one optymistyczne jeżeli bowiem

wierzą w możność udoskonalenia świata, to świata owego za zło absolutne uważać niemogę.

Taki jednak pogląd filozoficzny, który nicość, owo widmo wyobraźni, straszące od lat tysiąca umysł badawczy człowieka, za jedyny jeszcze cel godny pragnień naszych uważa, jest pessymizmem w całym tego słowa znaczeniu; aby weń uwierzyć, trzeba zaprzéć w sobie wszystko co ludzkie, trzeba wyrobić w sobie pogardę życia granic nieznającą, przekląć każdą piędź ziemi, po której stopa ślady swoje znaczy!

Religia, raj w zamian za to życie ukazująca człowiekowi, jest nietylko optymistyczną ale i egoistyczną, bo dlatego gardzi bytem ziemskim, że w niebie lepiéj się dzieje; pessymizm, który nietylko o jakimkolwiek polepszeniu ziemskiéj doli człowieka nie marzy, ale który w przeciwstawieniu do życia nicość samę za stokroć lepszą uznaje, pessymizm taki, jakkolwiek przyjmuje z góry możność osiągnienia nirwany, optymizmem żadną miarą nazwać się nie może... nie tu zatém optymistyczna strona pessymizmu się przejawia, lecz w czém inném, a mianowicie „w zżyciu się z okropnościami i nędzą istnienia i znoszeniu tego co jest, w braku tego, czegoby się pragnęło“ (str. 184), czyli innemi słowy w upatrywaniu w świecie przez Hartmanna a w części i Mainländera nie zła bezwzględnego, lecz przeciwnie najlepszego z możliwych złych światów, w pogodzeniu się z urządzeniem całego bytu, jakkolwiek złem, w obojętności na cierpienia i bóle, pocieszanie się nirwaną w czarnych chwilach życia.. Tu a nie gdzieindziéj optymizm pessymizmu się kryje, co autor nasz na str. 184 w zupełności przyznaje.

Lecz o ile dopatrywanie optymizmu w pessymizmie u autora naszego niejest w zupełności słuszném; o tyle świetną jest, w przedostatnim pomieszczona paragrafie krytyka rękojmi nirwany, przez samych mistrzów pessymizmu podawanych.

Nirwana, koniec bytu wszelkiego, pojęcie tak sprzeczne z całą obecną wiedzą, nawet samym jéj głosicielom niemałe sprawiało trudności. Szczególnie pierwszy z mistrzów nirwanowéj filozofii, stawiając dogmat nicości bezwzględnéj, w systemacie swoim mnóstwo sprzeczności stworzył. Z wielką zręcznością i jasnością autor nasz podnosi te wszystkie niekonsekwencye Schopenhauera. Wszystkie te sprzeczności w systemacie ojca pessymizmu, tyczące się nirwany, sprowadza p. S. do dwu punktów: 1) „uzasadnienie prawa przyczynowości, jako wiodące do poznania świata“ 2) „wskazanie na nirwanę jako na jedyny rozumny cel dążeń ludzkich,“ (str. 189). Prawo przyczynowości wykazuje wieczność istnienia, nirwana koniec bytu wszelkiego i o to przepaść głęboka w łonie samegoż systematu...

Ale nie koniec na tém. Do osiągnięcia nirwany jedynie drogą umysłowego poznania dojść możemy, jedynie tą drogą prawdziwą naturę woli, owéj przyczyny wszelkiego zla, wszelkich cierpień i boleści, odkryć możemy; ale z drugiéj strony to poznanie jest czysto subjektywném, nie daje nam żadnéj pewności, żadnéj rękojmi prawdy.

Cóż więc począć mamy, chcąc dojść przebojem do poznania źródła świata, i osiągnięcia nirwany upragnionéj. Schopenhauer ratuje się mistycyzmem, radzi ponurzenie się w mistyczną kontemplacyą (str. 189). Środek to wcale nie filozoficzny dojścia do prawdy; ale przyjąwszy go nawet i przypuściwszy, że za pomocą niego dojdziemy do poznania idei wiecznych, owych objektywacyj woli, a w ten sposób wzbudzimy w sobie pragnienie niebytu i tém samém zniszczymy wolę, będącą właśnie wieczną chęcią bytu więc unicestwimy wszelkie istnienie; to jednak zostanie w nas zawsze pewnego rodzaju istnienie, zostanie owa wiedza idei, owo poznanie, które sam Schopenhauer zowie *schwaches Dasein*, ale zawsze *Dasein*, byt, a więc nirwana absolutna jest niemożliwą (str. 194).

Równie trafną a żywo przeprowadzoną jest krytyka Hartmannowskich rękojmii nirwany. Hartmann nie przypuszcza bezwzględnéj nicości, jedynie przyjmuje powrót „Nieświadomego“ „po zakończonéj ewolucyi świata,“ do stanu pierwotnego spokoju, istnienia tylko w potencyi, nie zaś czynnie się objawiającego.

Jestto wprawdzie dla bytu ziemskiego naszego, nirwaną zupełną, ale nie daje natomiast rękojmii że „Nieświadome“ znów kiedy w byt nie przejdzie czynny. Otóż małe podobieństwo, niemal nic nieznaczące, takiego powtórnego przejścia w czynne istnienie Nieświadomego, Hartmann usiłuje udowodnić zupełnie dowolnie przeprowadzonym rachunkiem prawdopodobieństwa. Bezpodstawność tego rachunku trafnie barzo wykazuje autor, (200—201 str.).

Wreszcie Mainländer, przyjmując ogólne dążenie całego bytu do nicości i teoryą przejścia materyi drogą rozpraszania się w nicość, na równie, jak widzimy, chwiejnych podstawach, stawia dogmat możliwości nirwany ogólnéj (str. 204).

Cały ostatni paragraf części drugiéj dzieła p. Smolikowskiego jest nader cennym dla czytelnika ustępem.

Streszczając wreszcie w ostatnim paragrafie wyniki swéj krytyki, p. S. „zasadniczy błąd téj szkoły“ upatruje w dogmatyzmie i optymizmie nieodłącznym, jego zdaniem, od dogmatyzmu.

„*Dogmatyzm* ten—mówi autor—przejawia się w filozofi nicości w dwojakiéj formie, raz w opiewaniu metafizycznego prologu świa-

ta, odegranego jakoby za kulisami świata, w niebie własnéj kreacyi, drugi raz w kreśleniu metafizycznego finału dla całego istnienia.“

„*Optymizm* znowu przebija się w tém tak łatwém oszukiwaniu samych siebie, gdy chodzi o ścisłe przeprowadzenie z góry powziętych myśli (!), zwłaszcza myśli pocieszającéj, co do osięgnięcia ideału szczęścia, jaki głosi filozofia nicości, t. j. wyrwania się z błędnego koła istnienia i pogrążenia się w nicość bezwzględną, nazawsze.“

Taką jest treść dzieła pana Smolikowskiego, a inaczéj treść zbioru luźnych prac jego nad pessymizmem. Jak każdy utwór śmiertelników dzieło to jak widzieliśmy nie jest wolném od błędów. Naznaczywszy sobie bowiem jako cel pracy, przedstawienie i zbadanie należyte prawdziwości metafizycznych podstaw filozofii pessymizmu, p. Smolikowski bynajmniéj nie dopiął tego celu. Przyczyną zaś tego był, jak widzieliśmy, ów fałszywy pogląd na całą filozofią w ogóle jako zbudowaną na zasadzie „absolutu,“ a tém samém i na jedną jéj gałęź, pessymizm. Krytyka pana Smolikowskiego nietroszcząc się bynajmniéj, lub mało bardzo o historyczny punkt wyjścia pojedyńczych systematów nirwanowych, ogranicza się jedynie do wykazania niedokładności „absolutu“ w téj szkole; nie rozwija zatém bynajmniéj całéj przędzy metafizycznych wywodów pessymizmu, lecz traktując *à vol d'oiseau* wszystkie systemy nirwanowe naraz, to tylko z metafizycznych ich podstaw pod ściślejszą bierze krytykę, co cechom „absolutu“ najbardziéj się sprzeciwia. Dlatego być może, jakkolwiek „Filozofia wyzwolenia“ metafizyce pessymizmu przedewszystkiém poświęconą jest, ile razy autor jéj do krytyki bardziéj praktycznych wyników pessymizmu t. j. dążenia do nirwany, do wiary w jéj bezwzględną możliwość itd. się zwraca; tyle też razy najtrafniejsze uwagi wychodzą z pod jego pióra, krytyka jego zupełnie na słusznych wspiera się podstawach. Ale bo też dogmaty owe pessymizmu, bardziéj praktyczne mające znaczenie, najwięcéj obrażają bóstwo „absolutu“ pana Smolikowskiego.

Mimo tych błędów jednak dzieło pana Smolikowskiego, poprawnym pisane językiem, w tonie popularnym, noszące ślady głębokiéj erudycyi; czyta się przyjemnie i nie bez pożytku, a jakkolwiek ma błędy, właśnie dla zalet dopiero co wymienionych, zdolne jest wzbudzić zainteresowanie się szerszego ogółu tak dziś żywotnemi kwestyami, jak ponure teorye nirwanowe, bujnie rozrastające się pod chmurném i zimném niebem umysłowego życia dzi-

siejszéj Europy. Zwątpienie i apatya, przesyt jakiś życiem, brak sił do dźwigania cierpień i boleści egzystencyi ziemskiéj, zapanowały w łonie dzisiejszéj ludzkości. Królestwo indyjskiéj nirwany, nowe zdobywa sobie obszary... cywilizowanéj Europy.

Dzieło pana Smolikowskiego poświęcone właśnie teoryom nicości, jest więc zjawiskiem bardzo na czasie, jest dowodem że i my bierzemy czynny udział w pracy myśli całéj ludzkości nad groźném pytaniem, postawioném przez nową filozoficzną szkołę, pytaniem, co lepsze—*być albo nie być*?

Witold z *Kaliny Lassota.*

---

brak s. 417-444

WSPÓŁCZESNA RUMUNIA.

II.

Lelewel w sposób następujący zaznacza najpierwsze Rumunów na polu dziejowém wynurzenie się. Opowiedziawszy w krótkich wyrazach ruch przechodniów w krainach bólgarskich, greckich, dalmackich, ilirskich i przerzucanie się takowych na północ Dunaju, tak mówi daléj:

„Między temi wołoskiemi, słowiańskiemi, szeroko rozbiegłemi ludnościami, ukazały się bez nazwiska jakiegoś ludności cale innéj mowy, z górnych ustroni na płaszczyzny wychodzące. Mienili się być Mocy czyli Muntanie językiem swym, to jest góralami. Mowa ich była latinizująca, z łaciną mocno pokrewna; a mnożyło się ich po obu stronach Dunaju, mianowicie w przestrzeniach północnych aż do Dniestru i ci Wołochów nazwę otrzymali. Rozsiedlili się tym sposobem po części na węgierskich ziemiach, po części na ruskich do halickiego lub kijowskiego liczonych księstwa.“

Ziemie węgierskie była to cała Wołoszczyzna dzisiejsza, któréj część, Wołoszczyzna mała, znajdowała się faktycznie pod władaniem korony św. Szczepana, część zaś, zawierająca się pomiędzy Alutą, górami Karpackiemi, Miłkowem i Dunajem, liczyła się za nią *de jure*. Tytuły prawne do posiadania onéj opierały się na zależności biskupstwa Miłkowskiego, jako téż na tém, że dawniejsi mieszkańce krainy téj, Kumani, zamieszkali w Węgrzech, przyjęli węgierskie poddaństwo i tém samém przelali na państwo węgierskie prawa własności. Nie były to prawa wyraźne i pozytywne; nie wsparła onych intromisya faktyczna. Węgrom, cierpiącym na niedostatek ludności, nie śpieszyło się z zajmowaniem okolicy pustéj a obszernéj, któréj posiadanie wymagałoby nakładów znacznych, a nie zapewniało korzyści bezpośrednich, ani ekonomicznych, ani

politycznych. Państwo zwierzchnicze pozostawiało na późniéj uregulowanie sprawy téj, która zagajoną niejako została w roku 1241 przez przesiedlenie się wychodźców z Siedmiogrodu za góry. Wyszli oni z okolic Fagasaszu, położonego nad Alutą i osiedlili się na południowéj pochyłości Karpatów, nieopodal od Ałuty, na porzeczu jednak odrębném, wchodzącém do systemu wód, zraszających Wielką Wołoszczyznę. Od Ałuty dzieliły ich odskoki, wciskające się pomiędzy rzeki, spływające do Dunaju. Zaznaczało to do pewnego stopnia odrębność ich stosunku do państwa zwierzchniczego. Zajmowali krainę, w któréj władza państwowa nie była reprezentowaną zgoła.

Zachodzi pytanie, tyczące się przyczyny wysiedlenia się wychodźtwa tego. Co je sprowadziło? Historycy nie znajdują w źródłach na pytanie to odpowiedzi racyonalnéj. W. Wilkinson (*Tableau hist., géogr. et polit. de la Moldavie et Valachie*) domyśla się, że nastąpiło to wskutek najścia Batu-chana, który w tym właśnie czasie, zająwszy stanowisko pomiędzy Prutem a Seretem, w punkcie gdzie dziś leży miasto Botuszany, wtargnął przez Bukowinę na Węgry. Trudno przypuszczać, ażeby najście to dotknęło mocno okolicy tak górzystéj, jak południowo-wschodni kąt Siedmiogrodu. Inni domyślają się, że działały tu przyczyny religijne. Breve Grzegorza IX nakazywało tępienie szyzmatyków i Andrzéj II król węgierski wziął się do wykonywania nakazu tego bardzo gorliwie. Trwało to atoli bardzo krótko, dwa lata tylko, od 1234 do 1236. Bela IV jak skoro na tron wstąpił, wnet tego zaniechał; dominikanie wydalili się; sześć lat upłynęło i po upływie dopiero czasu tak znacznego nastąpiło wyjście gromadne Rumunów pod przewodnictwem wojewody, zwanego Raduł Negru (Rudolf czarny). Powód więc istotny pozostaje zapytaniem nierozwiązaném. Fakt się stał — powstał zarodek państwowy w dolinie, zwanéj Długiém polem (*Kimpu-lungu*), na porzeczu rzeki Ardżisz.

Raduła owego B. P. Hašdeu uważa za postać bajeczną, pokrewną Bohemusowi Cosmasa (*Chro. Bohem.*), χρωβατος'owi Konstantego Porfirogenity, Lechowi, Czechowi i Rusowi i wszystkim tego rodzaju postaciom legiendowym, wytworom imaginacyi kronikarzy. Opinią tę możnaby przyjąć, gdyby fakt sam nie odnosił się do daty stosunkowo świeżéj. Wszyscy owi Bohemusi, Chrobatosi, Lesi, Czesi, Rusi giną w pomroku wieków oddalonych, w odmęcie wypadków chaotycznych, podczas kiedy fakt przesiedlenia się pewnéj części mieszkańców z jednéj strony na drugą, spółczesny faktom dziejowym zupełnie pewnym, jest przytém bardzo prawdopodobnym, zdarza się bowiem obecnie; obranie zaś wodza odpowiada zwy-

czajom ludności, nawykłéj do wędrowania pod kierunkiem *kiefałów*. Przyjąć więc można Raduła, jeżeli nie jako postać ściśle historyczną, to jako upostaciowanie wychodźtwa.

Radułowi z łatwością przyszło uniezależnić się od korony węgierskiéj, która w momencie owym, przebywając próby ciężkie, nie mogła nietylko o wychodźcach myśléć, ale nawet prowincyj, które w skład państwowy niewątpliwie wchodziły, w zależności należytéj utrzymać. Raduł, wedle podań, sprzymierzył się z banem Krajowy, Michałem. Z przymierza tego, naturalnego ze względu na znaną skłonność banów działania na rękę własną, wykluły się losy dalsze krainy, któréj organizacya pierwotna przypomina w głównych zarysach swoich organizacyą tak zwanych „słobód“ na stepach ukraińskich —owych wolnic ziemiańsko-rycerskich, zakładanych celem wabienia ludności. Organizacya owa polegała na równości absolutnéj. Mieszkańce wszyscy byli żołnierzami; żołnierze dzielili się na czynnych i osiadłych. Wojewoda obieralny tytułował się „wojewodą“ albo „hospodarem“, co świadczy o wpływie otoczenia słowiańskiego. Z po za otoczenia tego jednak działały wpływy, dla których za kanał służył kościół. Ponieważ kościół rzymski prześladował Rumunów, a zatém zwracali się oni do Konstantynopola i tam czerpali obyczaje byzantyńskie. We względzie tym pośredniczyła Bólgarya, która w owym właśnie czasie skrzepła była pod panowaniem Asana II i miała w tém interes, ażeby skłonnym do mieszania się do spraw jéj Węgrom tworzyć kłopoty wewnętrzne. Drogą tą dostawały się do języka rumuńskiego, obok nazw urzędów publicznych słowiańskich, nazwy urzędów dworskich łacińskie i greckie: *kamarasz*, *grammatyk*, *poharnik*, *pitar*, *kapetan*; wojsko zwało się *oste*, ludzie orężni *armaszi*, halabardnicy *trabanci*, *dorobancy*. Na drodze téj urabiała się i praktykowała idea niezależności od państwa zwierzchniczego.

Raduł-Negru założył jakoby miasto Kurte-Ardżis (*Curte-Argis*, dwór ardżiski) i podniósł je do godności stolicy. Przechowują tam po nim pamiątki, które historyk rumuński uważa za podrobione. Uchodzi on powszechnie za założyciela Wołoszy, za Romulusa rumuńskiego; zdaje się jednak, że założycielstwo wyszło od banów Krajowy i racya onego istotna tkwi w ogólnéj wszystkich banów węgierskich dążności wyłamywania się z pod władzy zwierzchniczéj. Z dążnością tą łączył się fakt wychodźtwa. Pierwsza drugiemu przez Alutę rękę podawała. Wzajemne na siebie oddziaływanie polityczne banacyan krajowskich i wolnicy kimpoluńskiéj stawało się o ile naturalném o tyle koniecznem.

Królowie węgierscy nie rychléj jak w r. 1330 przesięwziąść mogli kroki, mające na celu uregulowanie spraw na Wołoszczyznie. Karol Robert wyprawił się z wojskiem. Wyprawa ta ma podobieństwo niejakie do wypraw cesarzy niemieckich przeciwko Słowianom, do dziedzin których pretensye rościli. Jan I Bassaraba nie stawił wojskom węgierskim czoła; owszem, w pokorę uderzył i hołd wiernopoddańczy złożył; kiedy jednak wojska wracały, napadł takowe w przesmykach górskich i zadał im klęskę taką, że król w przebraniu wolność i życie z pogromu zaledwie uratować zdołał.

Wypadek ten postawił pomiędzy Węgrami a Wołoszą czyn dokonany, który to sprowadził następstwo, że Węgry pozostały przy prawie, Wołosi zaś weszli w używalność niezależności, pozostającéj pod ustawiczném ze strony sąsiada potężnego zagrożeniem. Napróżno się z gubernatorami Siedmiogrodu, nawiedzanemi przez takie same co banowie krajowscy zachciankami, wiązali. Z Ludwikiem Wielkim sprawa była trudniejsza, aniżeli z rodzicem jego. Polityka samozachowawcza istot słabych—ta polityka, która polega na szukaniu cudzych pleców do schowania się za takowe — doradzała oglądać się za jakimeś sprzymierzeńcem-protektorem. Wołochom okoliczności same takowego nasuwały. Było nim państwo Ottomańskie, które w wieku XIV wdzierało się do Europy. Wydawało się ono dostatecznie na protektora potężne i poważne, a przytém tą samą potęgą i powagą dające rękojmię dostateczną we względzie chciwowi zaborczéj. Czyż na zaspokojenie apetytów jego nie dosyć było cesarstwa Wschodniego i państw na półwyspie Bałkańskim? Czyż interes onego wymagać mógł kiedy przerzucania podbojów na lewy brzeg Dunaju? Mogło to zresztą nastąpić późniéj—późniéj, kiedyś, ale nie względem tych krain, które za pomocą dobrowolnego przyjęcia zwierzchnictwa zneutralizują z góry zapędy zaborcze.

Przedstawiało się zwierzchnictwo do wyboru dwojakie: węgierskie albo tureckie. Pierwsze odwoływało się do prawa i dążyło do panowania, drugie przybywało zdaleka i nie rościło pretensyj żadnych. To ostatnie przeto nastręczało się niby skarb na drodze znaleziony. Tak się rzecz z punktu polityki wołoskiéj wydawała.

Układ z Turcyą zawarł Mircza Bassarab w Nicopolis r. 1393, na lat trzy przed bitwą nikopolską, w któréj, pod wodzą Zygmunta króla węgierskiego, poległ kwiat rycerstwa europejskiego. Sułtan okazał się dla hospodara bardziéj uprzejmym, aniżeli dla króla, gdy ten wysyłał do niego poselstwo, wstawiając się za pojmanym do niewoli królem bólgarskim, Szyszmanem. Mircza uzyskał przyznanie zupełne praw niezależności państwowéj dla Wołoszczyzny; mogła ona zawierać pokój, toczyć wojnę, sprzymierzać się byle nie

przeciwko Turcyi, która zobowiązywała się bronić niepodległości jéj i wymagała, celem zaświadczenia hołdu, należnego padyszachowi od księcia-rai, haraczu rocznego w ilości 1000 piastrów czerwonych krajowych, czyli 500 piastrów białych tureckich, co czyniło, wedle kursu dzisiejszego, 1800 franków. Nie wiele! Mimo warunki te korzystne, Mircza przyłączył się do ligi chrześciańskiéj, ale zdradę sułtana okupił zdradą chrześcian, przechodząc wraz z rokoszaninem węgierskim Stefanem Lackowiczem na stronę turecką w czasie bitwy pod Nikopolis d. 28 września 1396. Poszło to mu na karb zasługi; wzmocniło to i uregulowało sytuacyę Wołoszczyzny, która od chwili téj zajęła, pod skrzydłem Turcyi, stanowisko państwa pół-niepodległego. Do spraw wewnętrznych Wysoka Porta nie wtrącała się w zasadzie. Zarząd całkowicie spoczywał w ręku hospodara, którego władza stała się dziedziczną faktycznie i który wobec narodu posiadał znaczenie takie same, jak w krajach innych monarcha. Turcya gwarantowała nienaruszalność granic, pobierała jeno haracz, który wzrastał stopniowo, jako kara za sprzeniewierzania się częste, jakich się spadkobierce. Mirczy względem dworu zwierzchniczego dopuszczali. Wład, Diabłem z powodu dzikich okrucieństw, na jakie pozwalał sobie, przezwany, płacił już (1460) 10,000 dukatów, spółzawodnik zaś jego 12.000 i t. d. Z powodu również sprzeniewierzenia się, gwarancya pierwotna modyfikowała się stopniowo w sensie lenności coraz to wyraźniejszéj ze strony hospodarstwa. Układ z Radułem III stanowi niejako punkt wychodni dla przewagi tureckiéj. Wedle układu tego, hospodar uznanym jest jako pasza dwóchbuńczuczny i stanowisko jego legalizuje inwestytura, na znak któréj sułtan przysyła mu kaftan, szablę i buławę. Jako niewierny nosić nie może tytułu paszy. Obowiązki jego względem Wysokiéj Porty polegają, oprócz haraczu, na wystawieniu kontyngiensu orężnego w razie zapotrzebowania, jakoteż na stawianiu mostów na Dunaju i dostarczaniu podwód i kałauzów (przewodników) dla armii tureckiéj, gdy takowa do Wołoszczyzny wkracza.

Wołoszczyzna wyłamując się z pod zależności od korony węgierskiéj dostawała się pod zależność coraz to wyraźniejszą Wysokiéj Porty. Polityka hospodarów wahała się pomiędzy dwoma temi szkopułami, niedopuszczającemi myśli o uniezależnieniu się zupełném. Kombinacya polityczna nie miała punktów oparcia innych, pomimo że się oglądała za takowemi. We względzie tym znajduje się u Dogiela ciekawy bardzo dokument, sporządzony w mieście Ardżisz 18 października 1396, przez Włada, „wojewodę bessarabskiego i bana seweryńskiego.“ Jest-to rodzaj manifestu, zawiadamiającego wszystkich w obec i każdego z osobna komu o tém wie-

dzieć należy, o uznaniu we własném i w poddanych swoich imieniu, za siebie i za potomstwo, władzy zwierzchniczéj nad Wołoszczyzną króla Władysława Jagiełły i małżonki jego Jadwigi, jako téż następców ich. Akt ten, jak się zdaje, do archiwów się dostał i z takowych nie wychodził. Gabinet polski nie produkował się z nim, a to dla tego, że mu brakło podstaw racyonalnych. Data onego jest o dwadzieścia dni późniejszą od daty pogromu wojsk chrześciańskich pod Nikopolis. W bitwie téj przewodził Zygmunt król węgierski, małżonek nie żyjącéj w momencie owym Maryi, po zgonie któréj korona węgierska przypadała prawnie Jadwidze królowéj polskiéj. W bitwie téj brał udział Mircza wojewoda wołoski. Autorem aktu, przez Dogiela z zapomnienia wydobytego, jest syn Mirczy, późniéj Diabłem przezwany. Owóż syn ów, uwiadomiony o pogromie i o zniknięciu po takowym Zygmunta, a nie wiedzący snadź o sposobie, w jaki ojciec wyszedł z onego ręką obronną i z łaski sułtańskiéj zaskarbieniem, miał tron węgierski za przypadły drogą spadku Jadwidze. Do niéj się też zwrócił, jako do prawowitéj zwierzchniczki swojéj, prawowitéj a przytém potężnéj — królowéj polskiéj, wielkiéj księżnéj litewskiéj i ruskiéj. Pokwapił się, ażeby go kto nie uprzedził w zakołataniu do opieki, która się tak poważnie przedstawiała. W następstwie jednak najbliższém pokazało się, że ojciec żył i łask sułtańskich nie postradał; w następstwie późniejszém nieco — że Zygmunt na tron węgierski powrócił: dokument przeto pośpiesznie wystawiony nie sprowadził rezultatu praktycznego i służy jeno jako świadectwo prądów politycznych, za któremi w pierwocinach bytu Rumunii, podawali się hospodarowie wołoscy.

Dokument ten służy jeszcze za świadectwo dwóch rzeczy, a mianowicie: że przy schyłku XIV w. a więc w czasach stosunkowo niedawnych, nazwa krainy nie była jeszcze ustaloną, powtóre, że władza hospodarska nie jednakiéj w odniesieniu do części, z których się Wołoszczyzna składała, była natury. Wład ów podpisał się: *wojewoda* „bessarabski“ i *ban* „seweryński“ Tytuł bana oznacza zależność od korony węgierskiéj, tytuł zaś wojewody oznacza zależność, że tak powiemy, bezimienną. Banów król mianował; wojewodowie zaś bywali obieralni. Faktyczny stan rzeczy nie zgadzał się z tą regułą, albowiem, pomimo że w układach z Turcyą wybieralność wojewodów zastrzeżoną była na rzecz metropolity, biskupów i bojarów, hospodarowie jednak dzierżyli władzę dziedziczną w rodzinie Bessarabów, których dynastya panowała na Wołoszczyznie przez ciąg trzech wieków. Co się zaś nazwy krainy tyczy, we względzie tym zachodzi zamieszanie, które naprożno B. P. Hašdeu (*Istoria critica a Romaniloru*) rozwiklać usiłuje. W aktach urzędo-

wych nazywa się ona raz „Vlachią,“ znów Bessarabią, albo „Bassarabią“ (zapewne od nazwiska dynastyi, niekiedy „Muntenią“ (od *munte*—góra); Turcy mianują ją „Iflak“, Polacy—„Wołoszą dalszą“, nazywając „Wołoszą bliższą“ Mołdawię i dając jéj (?) także nazwę „Multan.“ Naród, w świadomości istnienia własnego, posiada nazwę—imię własne, którém się i sam śród narodów innych wyróżnia i wyróżnianym jest przez narody inne. Podczas kiedy Bólgarowie Bólgarami, Serbowie Serbami, Kroaci Kroatami, Bośniacy Bośniakami zwali się i nazywani byli, w odniesieniu do Wołochów taka co do nazwy zachodziła jeszcze niepewność, że wedle świadectwa p. Hašdeu, Serbowie i Bólgarowie podawali ich informującym się u nich w wieku XIV Turkom pod nazwą „Czarnych Arabów“, „Czarnych Tatarów“, „Arabów-Tatarów.“

Tak rzeczy stały na Wołoszy, to jest w téj części krainy do któréj Węgry pretensye rościły, kiedy na północ od Siedmiogrodu zaszedł fenomen całkowicie identyczny. Nastąpiło wychodźtwo Rumunów i osiedlenie się ich na ziemiach ruskich. Stosunek ziem tych do Rusi był taki sam, co stosunek krainy na południe od Miłkowa do Węgier. Stały one pustką wobec dwóch księstw: Halickiego i Kijowskiego, z których pierwsze zajmowało zaludnieniem Dniestr od źródeł w dół do punktu, leżącego poniżéj trochę wysokości źródeł Prutu, drugie zaś sięgało Dniestru od ujścia Zbruczu niżéj. Granica zaludnienia na linii téj zatrzymywała się, lecz nie oznaczała granicy państwowéj, idealnéj, któréj wytyczne znajdowały się gdzieś w dali, na wybrzeżach sinego Dunaju, aż u morza. Zakreślała je tradycya dawna: „...a Uliczi i Tiwerci siediachu po Buhu i po Dniestru, i prisiedachu k Dunajewi, i bie mnożśtwo ich, siediachu bo po Buhu i po Dniestru, oli do moria, sut' grady ich i do sieho dnie“ (Latopis Nestora). Grody atoli, jeżeli jakie pomiędzy Dniestrem, morzem a Dunajem były, najezdnicy przechodni w perzynę obrócili. Ojcowizna słowiańska opustoszała. Pustka oczekiwała bądź na spadkobierców prawowitych, bądź téż na tych, co do zajęcia onéj zjawią się jako *primi occupantes.* Pierwsi nie posiadali snadź w przyroście ludności odsetków do wysyłania takowych ku południowi celem zajmowania posterunków tych wysuniętych. Przyszli więc drudzy.

Jak się fakt ten stał—rzecz niewyjaśniona. Jeżeli, jak podanie głosi i kronikarze a za nimi historycy wołoscy przyjmują, Jan Bassaraba (ten sam co z Karolem Robertem do czynienia miał) w Mołdawi dzisiejszéj panował, w razie takim obecność w takowéj Wołochów wyzwać mogło wychodźtwo Wołochów w Węgrzech osiedlonych. Tu także wychodźce nie zdaleka przybywali. Przesiedlenie

odbyło się z jednéj strony góry na drugą i trafiło, jak tamto na źródliska Ardzisza i Dębowicy, na źródliska Mołdawy i Seretu. Miejsce, z którego wyszli, bardziéj jest jeszcze niepewném, jak miejsce wyjścia Radula Czarnego: czy to Marmarosz? czyli téż Siedmiogród północny?—czas wypada pomiędzy rokiem 1330 a 1352, zatém o sto lat prawie późniéj aniżeli pojawienie się Rumunów w dolinie kimpoluńskiéj; wódz, co ich wyprowadził, Bohdan, wydaje się postacią bardziéj jeszcze bajeczną, jak założyciel fundamentów państwowych Wołoszczyzny. Badania wyjaśnią może kiedy te ciemne historyi Mołdawii punkta. Pewnym jest jeno fakt; fakt zaś ten nie pierwéj historyczną uzyskał sankcyą, aż jeden z następców legiendowego Bohdana, Stefan, uznał się hołdownikiem korony polskiéj, „przyrzekając i obowiązując tak siebie jak wszystkich swych następców, wojewodów, oraz ziemię Mołdawską w wierności, posluszeństwie i poddaństwie królowi Kazimierzowi i jego następcom, królom polskim wieczyście zostawić“ (1). Odnosiło się to do Kazimierza Wielkiego, a działo r. 1359, i spowodowało wyprawę na Mołdawią, która dla wojsk polskich wypadła tak, jak wyprawa Karola Roberta przeciwko Janowi Bassarabowi. W rok późniéj Jerzy Koriatowicz hospodarem wybrany został, panował lat dwa i po nim Piotr I, brat Stefana, pomógłszy Jadwidze do odzyskania grodów czerwieńskich (1389), złożył Polsce hołd lenniczy w r. 1395. Tytuł lenności téj pochodził od Rusi, któréj chwilowe za Ludwika Wielkiego do Węgier wcielenie wyrodziło węgierskie do Mołdawii pretensye. Pretensye te jednak nie ostały się, pomimo że na Mołdawii wytworzyło się węgierskie stronnictwo, śród sporów o koronę, jakie po śmierci Piotra powstały. Przewaga pozostawała po stronie polskiéj. Hospodarowie jeden po drugim z hołdem pośpieszali, nie wyjmując Aleksandra dobrego (1407—1432), za rządów którego kraina odetchnęła po zaburzeniach srogich. Aleksander w administracyi i finansach ład zaprowadził, handlem się opiekował, wymiar sprawiedliwości uregulował, hierarchią kościelną urządził, klasztory i szkoły zakładał i otworzył szkołę prawa, w któréj nauczano języków greckiego, łacińskiego i słowiańskiego. Wojewoda pokój miłował i byłby takowy do końca panowania swego zachował, gdyby się nie dał Swidrygajle na wyprawę przeciwko państwu zwierzchniczemu namówić. Była to próba wyłamania się z zależności. Próba nie powiodła się. Srodze zgromiony, w rok późniéj z życiem się rozstał. Po śmierci

---

(1) Spondens et obligans tam se, quam universos suos successores palatinos, et terram Moldaviae, in fide, obedientia et subiectione Casimiri Regis, et suorum successorum Regum Poloniae, perpetuo mansuros. — (*Długosz*).

jego w kraju znów zapanowała anarchia; hospodarowie po dwóch naraz Polsce hołd składają: jeden — Stefan, zobowiązuje się płacić 5000 dukatów daniny rocznéj i dawać po 400 koni, drugi—Eliasz, dwa wozy jesiotrów, 100 koni, 400 sztuk materyi jedwabnéj karmazynowéj i 400 wołów.

Anarchii tamę postawił dopiero Stefan Wielki, który silną dłonią ujął władzę w r. 1456. Postać ta w historyi Rumunii jedna z najwydatniejszych, wojownik i dyplomata. Wojował i przymierzył się z Turkami i Polakami, posługując się jednymi przeciwko drugim. Wojna jego z Maciejem Korwinem nosi na sobie charakter epizodyczny. Za oś działalności służyły mu sprawy wołoskie, nad któremi zapanować usiłował i z racyi których, ponieważ Wołoszczyzna pod protekcyą Turcyi pozostawała, wszedł z tą ostatnią w kolizyą. Przedewszystkiém chodziło mu o osłabienie, o umniejszenie Wołoszczyzny. Granica północna téj ostatniéj przekraczała rzeczułkę Milków, obejmowała część południową Mołdawii dzisiejszéj i opierała się o morze Czarne powyżéj Kilijskiego ujścia Dunaju; nie dochodziła jednak do ujścia Dniestru, które pozostawało w posiadaniu Mołdawii. Kilia, miasto warowne, należało do Wołochów, Białogród (Cetate Alba, dzisiejszy Akkierman) do Mołdawianów; linia graniczna pomiędzy dwoma temi hospodarstwami, jak świadczą o tém konwencye handlowe pomiędzy Mołdawią a Polską, przechowane w archiwach miejskich we Lwowie (jedna z 8 października 1407, druga z 3 lipca 1460) (1) przechodziła mimo miast Bakeu i Byrład, w których się znajdowały komory mołdawskie. Na południe od linii téj rozlegała się Muntenya czyli Wołoszczyzna, która nosiła nazwę ziemi Bassarabów—„Bassarabii“, od nazwiska dynastyi na Wołoszczyźnie panującéj. Zauważymy, że nazwa ta nie rozciągała się na prowincyą, która się obecnie Bessarabią mianuje: odnosiła się ona wyłącznie do południowo wschodniéj połaci Budżaku, przyległego do Prutu i ujść dunajskich.

Mołdawia, w chwili kiedy Stefan Wielki władzę obejmował, rozlegała się od gór Karpackich do Dniestru, z Bukowiną dzisiejszą włącznie, ale do Dunaju nie dochodziła. Prawy brzeg onego należał do Turków, lewy do Wołochów. Było to dla Mołdawii korzystném w tym względzie, że nie znajdowała się w bezpośredniéj z państwem Ottomańskiém styczności. Korzyść ta udzielała się i Polsce. Wojowniczy jednak temperament hospodara pominął ten ważny w stosunkach ówczesnych wzgląd i wytknął sobie, jako zadanie główne, pomknięcie granic Mołdawii do brzegów Dunaju. Z zada-

(1) Akta grodzkie i ziemskie. Tom VII.

niem tém łączy się inne, które się w działalności jego politycznéj przebija: uniezależnienie Mołdawii od Polski. To ostatnie widziéć się daje w ociąganiu ze składaniem Polsce hołdu. Potrzeba atoli zabezpieczenia tyłów w zaczepném przeciwko Wołoszczyźnie działaniu nie pozwalała mu zrywać otwarcie. Starał się hołd osobisty zastąpić układami, uznawał się lennikiem, stawiał warunki pomocy wzajemnéj i z taką zręcznością interesa swoje kierował, że pomoc polską dostawał, nie użyczając Polakom pomocy swojéj.

Najpierwsze wystąpienie jego wojenne było w przymierzu z Turkami przeciwko Władowi Diabłowi, który się naraził W. Porcie przez to, że paszę Silistryi na pal wsadził. Z okazyi wojny téj zdobył Kilią i następnie wcielił do Mołdawii cynut Putna, pomykając w sposób ten granicę południową krainy do wybrzeży Miłkowa, który od momentu tego (1475) stale nadal Mołdawią od Wołoszczyzny odgranicza.

Zdobycie Kilii, zagarnięcie części kraju, zwłaszcza zaś podtrzymywanie Włada Diabła przeciwko prowadzonemu przez Turków Radułowi, wplątało Stefana w wojny z Turcyą protektorką Wołoszczyzny. Groza turecka, a mianowicie obawa utraty Kilii, zniewalała Stefana do utrzymywania z Polską stosunków przyjaznych, tém bardziéj że jazda polska stawała mu kilkakrotnie w przygodzie. W roku atoli 1484 nie pomogła mu obecność 3,000 Polaków. Na głowę przez połączone siły tureckie i wołoskie pobity, postradawszy nietylko Kilią ale i Białygród, w pokorę uderzył i (15 września 1485) hołd Kazimierzowi Jagiellończykowi osobiście w Kołomyi złożył. Król posłał mu, pod dowództwem Jana Karnkowskiego, 3000 rycerstwa na pomoc. Pomoc ta jednak przydała się jeno do wyrugowania nieprzyjaciela z kraju, ale nie do odzyskania portów na morzu Czarném, potrzebnych zarówno Mołdawii jak Polsce. Mąż stanu bardziéj rzutki i przezorny, aniżeli Kazimierz Jagiellończyk, byłby Stefanowi nie 3 ale 30 tysięcy posiłków orężnych posłał i Kilią i Białygród na rzecz Polski zdobył. Wskutek niepowodzenia tego, zwrócił się Stefan do Turcyi i zawarł z nią sojusz, dzięki któremu podołał Polakom, gdy ci, pod wodzą Jana Olbrachta w r. 1497 do Mołdawii wkroczyli i stolicę onéj owoczesną, Suczawę, oblegli. Jedyna to była wojna, którą Stefan z Polską toczył. Wypadła ona fatalnie, jak dla Mołdawii, tak dla Polski, a to dla téj głównie racyi, że Turkom drogę pokazała, że tych kilka tysięcy wojsk tureckich, przeprowadzonych przez całą długość Mołdawii, aż do Suczawy, był to rekonesans wojenny, poprzedzający najazdy późniejsze.

Żadnego z hospodarów postać nie jest tak popularną, jak Stefana Wielkiego. Stoi ona w pamięci narodu owiana legendami, które

jéj akcenty szczytności poetycznéj nadają. Zwycięzca Turków, Węgrów i Polaków; mąż który w upadkach odnajdował zawsze siły i sposoby do podźwignięcia się; książę co granice kraju rozszerzył: nie jest on, we względzie idei politycznéj, od zarzutów wolny. Można o nim powiedziéć, że położenia trudnego szukał i w takowém się stawiał, w tym jedynie celu, ażeby dawać zajęcie odpowiednie gieniuszowi, lubującemu się w łamaniu się z trudnościami. Ztąd go, nie bez słuszności, na dworze polskim o przewrotność podejrzywano. Niedowierzano człowiekowi, co debiut swój polityczny zaznaczył przymierzem z Turkami, co był w konszachtach z dworem węgierskim, co się uchylał od hołdu, do którego w czasach owych przywiązywano wagę wielką. Wątpliwości nie ulega, że miał on niepodległość polityczną Mołdawii—a może i Rumunii—na widoku. Zachodzi wszakże pytanie: czy się z okolicznościami liczył? Nie sposób na pytanie to twierdząco odpowiedziéć. Wprowadził Mołdawią pomiędzy Scyllę a Charybdę niby—pomiędzy Turcyą a Polskę i uczynił ją kością niezgody, rzuconą na to, ażeby się dwa te mocarstwa o nią szarpały. Wołoszczyzna w stosunku do Mołdawii służyła téj ostatniéj za przegrodę od Turcyi. On przegrodę tę nietylko usunął, ale dał Turkom sposobność zgwałcenia przestrzeganych przez nich dotychczas warunków, nie zajmowania stanowisk na lewym brzegu Dunaju i nie mieszania się do spraw wewnętrznych Rumunii. Zajęcie Kilii i Białogrodu posunęło ich aż do Dniestru i upoważniło następnie do zakładania warowni w Dżurdżewie, w Braile, w Turnu w Chocimiu; upieranie się przy utrzymaniu na tronie hospodarskim w Bukareszcie potwora takiego, jakim był Wład Drakuł, otworzyło im na ścieżaj wrota do spraw wewnętrznych, domowych. On podtrzymywał Włada, oni prowadzili Raduła, on Raduła dostał i ściął, oni na Mołdawią parol zagięli, jeżeli nie dla czego innego, to w tym celu, ażeby zneutralizować w niéj możność stawania im w poprzek. Sytuacya, jaką wytworzył, w oczach mu stanęła w przededniu śmierci i spowodowała napisanie testamentu, w którym doradza synowi, ażeby, celem uchronienia kraju od losu smutnego, jaki spotkał Bólgaryą i Serbią, oddał się dobrowolnie pod opiekę Turcyi. Poszedł za przykładem Mirczy. W sto lat późniéj wynurzyła się Mołdawia na teatrze dziejowym i w sto lat późniéj dostała się pod opiekę turecką.

Krok ten dziś tłómaczą i usprawiedliwiają. Nowocześni historyozofowie rumuńscy przypisują Mirczy i Stefanowi gienialną na wieków pięć i cztery naprzód sięgającą przezorność, przedstawiając opiekę turecką, pod skrzydła któréj się dwaj ci hospodarowie schronili, pod postacią dzwona szklannego, służącego do przechowania

narodowości rumuńskiéj. Jest naciągania trochę w tém historyozoficznèm przedstawieniu, w którém byłoby może podobieństwo do prawdy, gdyby nie to, że śród zamieszkałych o miedzę Serbów i Bólgarów narodowość przechowała się bez dzwona żadnego. W kroku też tym nie co innego upatrywać można, jak troskę dynastyczną. Komu tam z panujących przy schyłku wieku XIV i na początku XVI o narodowość chodziło! Narodowości przechowywały się i przechowują za sprawą natury, wbrew usiłowaniom najdowcipniejszym, mającym na celu zniszczenie takowych. Świadczą o tém Czechowie, śród których czechizm ogniem i mieczem cesarze niemieccy tępili; świadczą o tém Rumuni w Siedmiogrodzie, Marmaroszu i Banacie, którymi się Turcy specyalnie nie opiekowali. Można by przezorność gienialną Mirczy i Stefana odnieść nie do narodowości, ale do zawiązku państwowego, gdyby nie to, że i w tym względzie postrzegawczość historyczna nasuwa na myśl przykłady, zaprzeczające własnościom dzwonu tureckiego. Zawiązki państwowe bólgarski i serbski uchowały się przecie—a nawet serbski lepiéj aniżeli rumuński, który okoliczności przyjaznych doczekał się w stanie autonomii wprawdzie, ale tak smutnéj, skołatanéj i roztrzęsionéj, jakby po przebyciu niewoli najsroższéj. Uchowanie w sposób ten autonomii przydało się mniéj, aniżeli nie na wiele, albowiem ani na Wołoszczyznie, ani na Mołdawii nie zaznaczył się przez to w kierunku żadnym pożytek najmniejszy.

Oceniając krok ten mołdowołoskich hospodarów ze stanowiska politycznego, widzi się w nim jeno następstwo konieczności. Wypowiada to wyraźnie w testamencie swoim Stefan wielki, mówiąc o Węgrach i Polsce, o uginaniu się pierwszego z tych dwóch mocarstw pod naciskiem Turcyi, o zatargach w łonie drugiego, a zatém o niemożności oparcia się o jedno lub drugie. Nastaje na to, ażeby się państwu Ottomańskiemu poddać dobrowolnie, a to celem zaskarbienia sobie w sposób ten względów wysokiéj Porty. O widokach na niepodległość ani wspomina. Miałżeby nie mieć takowych? Cała czterdziesto-ośmio-letnia działalność jego świadczy inaczéj. Przypuszczać raczéj należy, iż nie wytykał jéj synowi dla tego, że nie ufał zdolnościom jego we względzie doprowadzenia do końca rozpoczętego przez siebie dzieła, że nie ufał ażeby dzieło to, trudnościami wielkiemi najeżone, podjąć zdołał który z następców jego.

Jakoż wojownik ten znakomity, ten polityk przebiegły zeszedł ze świata bezgodnych siebie potomków. Syn jego był wiernym testamentu wykonawcą. Rozpęd wojowniczy, jaki Stefan wielki Mołdawii nadał, posłużył do wyszykowania dwóch na Polskę wypraw, z których je-

dna (1509) ściągnęła na Mołdawię odwet srogi, druga (1531) rozbiła się pod Obertynem.

W epoce téj do powiększenia komplikacyi w sprawach rumuńskich przybywa Siedmiogród, który, wyłączywszy się z kompleksu państwowego węgierskiego, wszedł w stosunki z państwem Ottomańskiém. Do kombinacyi politycznych przybył żywioł nowy, etnograficznie i geograficznie klinem pomiędzy dwa hospodarstwa Turcyi już zholdowane wchodzący. Wołoszczyzna i Mołdawia były Turcyi zhołdowane, ale nie w jednakowym stopniu—pierwsza bardziéj, aniżeli druga. Miarę we względzie tym stanowiła nominacya hospodarów. Na Wołoszczyznie zależało ona od Turcyi całkowicie; na Mołdawii zaś Polska reklamowała prawa nabyte i czuwała nad tém, ażeby władza w kraju dostawała się w ręce ludzi jéj życzliwych. Stąd lenność kraju rozchodziła się w dwie strony. Hospodarowie mołdawscy hołdowali i Turcyi i Polsce zarazem. Wytwarzało to dla nich sytuacyą nad wyraz trudną, a tém trudniejszą, że z wysokości panujących zeszli oni na wysokość możnowładców polskich, z którymi się pokrewnili i koligacili i ze strony których miewali interwencye, często nie pożądane a zawsze kłopotliwe. Panowie polscy prowadzili politykę na rękę własną, pojmowali w małżeństwo *domnice* mołdawskie i czuli się upoważnionymi do urządzania sprawy wedle reguł, sprzecznych z regułami rozumu zdrowego. Łascy, Wiśniowieccy, Mieleccy, Sieniawscy na wyścigi się na polu czynności tych spółubiegali, ściągając przez takowe interwencye tureckie i narażając Polskę na nieporozumienia groźne z Wysoką Portą. Niepokoje wzmogły się szczególnie po wygaśnięciu rodu hospodarskiego, który początek swój od napół bajecznego Bohdana wyprowadzał. Współzawodników do tronu garnęło się dużo: jedni szukali poparcia w Polsce, inni w Turcyi. Niektórzy tak dalece gorliwość o zaskarbienie sobie łask tureckich posuwali, że na islanizm przechodzili (Stefan VII i Eliasz). Tron stał się w końcu przedmiotem licytacyi w Konstantynopolu i dostawał się temu, co bogatsze upominki wielkiemu wezyrowi dawał i większy haracz płacić się podejmował.

W upadku tym zabłysła dla Rumunów chwila świetna, gdy na tronie hospodarskim w Wołoszczyznie zasiadł Michał Waleczny (1592), wprowadzony przez Turków. Nie pozostał on im wiernym długo. W momencie objęcia władzy spotkał się z planem ligi chrześciańskiéj, ułożonym przez Zygmunta Batorego księcia siedmiogrodzkiego a przyjętym przez Rudolfa II cesarza niemieckiego i Aarona hospodara mołdawskiego. Układem w Karlsburgu zaprzysiągł księstwu siedmiogrodzkiemu lenność i sprawił zamieszkałym

w Rumunii Turkom nieszpory sycylijskie. Zamieszkali w Bukareszcie Muzułmani wyrznięci zostali co do nogi. Wywiązała się ztąd wojna, prowadzona na rachunek Zygmunta Batorego, która wzięła obrót bardzo pomyślny, Turcy bowiem nie tylko z terytorium wołoskiego wyparci zostali, lecz, na prawym brzegu Dunaju ścigani, potracili punkty takie ważne, jak Silistrya, Nikopolis i Widdin. Rozwój jéj dalszy przerwał wybryk fantastycznego Zygmunta, który się Siedmiogrodu na rzecz cesarza Rudolfa zrzekł. W skutek tego Michał hołd Turcyi 1597 zaprzysiągł i w rok późniéj zawarł w Tyrgowisztach z cesarzem również zaprzysiężony traktat, poczynający się od wyrazów: „My Michał, wojewoda krajów zagórskich królestwa węgierskiego, radca Jego Cesarsko-Królewskiéj Mości“ etc. Przysięga pierwsza miała racyą i druga miała racyą. Racya pierwszéj tłómaczyła się zamiarem zajęcia w Siedmiogrodzie miejsca Zygmunta Batorego, do czego potrzebną była pomoc turecka; racya zaś drugiéj polegała na tém, że cesarz potrzebował pomocy Michała najprzód przeciwko Zygmuntowi, który zrzeczenie swe cofnął, następnie przeciwko Andrzejowi Batoremu, którego brat do zajęcia ustąpionego cesarzowi tronu upoważnił. Michał Andrzeja pokonał i życia go pozbawił, Siedmiogród na rzecz własną zajął i wnet oręż przeciwko Mołdawii zwrócił, celem podbicia takowéj i zaokrąglenia przez to całości państwowéj, obejmującéj Wołoszczyzną, Siedmiogród i Mołdawię z dzisiejszą Bessarabią i dzisiejszą Bukowiną. Podboju dokonał. Chwilę jedną był władcą krainy obszernéj i marzył już o opanowaniu Polski i Węgier. Marzenie to rozbił Jan Zamojski w r. 1600. Wojska Michała w jednéj bitwie rozbił i strącił go z tronu mołdawskiego, na który przywrócił Jeremiasza Mohylę i wołoskiego, na który wprowadził Szymona Mohylę. Michał Waleczny szukał schronienia w Siedmiogrodzie, tam jednak zamiast schronienia śmierć z ręki morderców znalazł. Skończył, jak przeciwnik jego, Andrzej Batory, widok głowy którego, gdy mu takową przyniesiono, miał na nim, jak podanie niesie, przykre sprawić wrażenie. „Czemu ksiądz ten nie na swoję porwał się rzecz!“—wyrzekł jakoby.

I on porwał się na rzecz nie swoją. Powodzenie go zaślepiało. Miotając na wsze strony przysięgi, darł się naprzód z orężem w ręku, wyżéj a daléj. Gdyby był Węgry i Polskę podbił, byłby zapragnął Niemiec i Moskwy. Rumuni go za bohatera podają. Należy on do tego rodzaju bohaterów co kniaź Dymitr Wiśniowiecki, co Olbracht Łaski, Podkowa, ataman Sirko i im podobni awanturnicy. Awanturniczość cechuje go przeważnie, jeżeli nie wyłącznie. Pomiędzy nim a Stefanem Wielkim zachodzi różnica ogromna. Hospo-

dar mołdawski zastanawiał się, myślał, przewidującym być usiłował, hospodar wołoski przedstawia się pod postacią gracza, rzucającego na kości fortunę całą. Tamten kombinuje, odwrót sobie zapewnia, pod ciosami przeciwnemi nie upada, działa i milczy. Ten, o zamiarach swoich światu ogłosił, a dostawszy się pod żelazną hetmana polskiego prawicę, zgruchotać się dał od razu. Wszakże takimi jak on byli po większéj części państw założyciele i jeżeli w historyi powszechnéj wrzawa, jaką w tym zakątku Europy sprawił, przeszła niepostrzeżenie, za to w historyi Rumunii zajmuje on stanowisko przewodnie. Nie *Stefanul czel Mare*, ale *Michał Witież* jest postacią wytyczną. Miecz Michała Walecznego wskazał cel dążenia i zakreślił sferę działania mężom stanu i patryotom rumuńskim doby dzisiejszéj.

Michał Waleczny zamyka sobą ten w dziejach Rumunii okres, w którym się przejawia działalność polityczna mniéj lub więcéj samodzielna. Stefan zeszedł ze świata jakieśmy wyżéj rzekli, bezpotomnie; śród następców jego atoli zdarzali się tacy, co go naśladować usilowali. Po Michale polityka hospodarów wchodzi na drogę bierności całkowitéj, polegając na tém, że w stosunkach z Wysoką Portą dworów polskiego i austryackiego pełnią oni względem tych ostatnich funkcyą informatorów tajemnych, stojąc otwarcie przy Turcyi, w pogotowiu odstąpienia jéj w razie, gdyby się od niéj szczęście odwróciło. Z jednéj strony układy sekretne, z drugiéj wysługiwanie się jawne. Niepewność jutra, zależnego od intryg w Konstantynopolu, każe im przedewszystkiém myśléć o sobie. Losy kraju obchodzą ich mało. Zgromadzenie fortuny i ulokowania takowéj w miejscu bezpiecznóm: oto troska ich główna. Zapewniają sobie prawo schronienia w razie potrzeby w krajach ościennych, nabywają tam majątki i czynią zabiegi celem utrzymania się jak najdłużéj na chwiejnych tronach, których znaczenie nie przekracza zakresu dochodów, jakie one niosą: taką jest nić przewodnia, któréj się hospodarowie trzymają. Śród nich wszakże od czasu do czasu pojawiają się ludzie obdarzeni i zdolnościami wyższemi i poczuciem obowiązku panujących względem narodu. Stanowią oni wyjątki na posępném tle zdzierstwa, którego nawet systematyczném nazwać nie można, albowiem każdy z tych, co za pomocą zabiegów w Konstantynopolu poprzednika swego spychał i miejsce jego zajmował, wprowadzał system inny, zastosowany do odmiennych na kwestyą fiskalną poglądów i do temperamentu osobistego. Do wyjątków na Wołoszczyznie należą, przed Michałem Walecznym Raduł wielki (1493—1508) a po Michale Szerban Kantakuzen (1678—1688). Pierwszy protegował handel, który téż w kraju bogactwami naturalnemi

przepełnionym, wrychle zakwitnął. Okręty weneckie, genueńskie i dubrownickie zawijały do Braily, mieniając wyroby fabryk zagranicznych na artykuły surowe. Przy pomocy wygnanego z Carogrodu patryarchy Nifona zaprowadzał hospodar w kraju porządki, a mianowicie: podzielił ludność na stany, bojarów wielkich (*bojëri czej mari*), mających prawo nosić brody, bojarów bez brody i bojarów tytularnych, uzyskujących dostojność szlachecką stosownie do urzędów, jaki sprawowali; daléj szli niamuri (potomkowie bojarów), mieszczanie, maryli (wyzwoleńcy) i moszniadżi (starce, przedstawiciele ludu wiejskiego). Duchowieństwo zajmowało stanowisko osobne a poczestne. W sposób ten ukonsolidował się podział społeczeństwa na trzy klasy: bojarską, średnią i duchowną, pomiędzy któremi ostatnia zapewnione miała znaczenie najpoważniejsze, skąd wynikł w następstwie największy w ręce jéj przelew majątków. W Mołdawii wytworzyło się toż samo. Szerban, czyli Serban Kantakuzen, którego panowanie przypada na epokę pogromu Turków przez Sobieskiego pod Wiedniem, czynił usiłowania w kierunku cywilizacyjnym a w duchu narodowym: założył w Bukareszcie kolegium rumuńskie, rozszerzył drukarnię założoną przez jednego z poprzedników jego Macieja Bessaraba, kazał przetłómaczyć bibliją na język wołoski i w języku tym odprawiać nabożeństwa w cerkwiach, odprawiane do czasu onego w niezrozumiałym ani dla księży ani dla ludu języku starosłowiańskim; protegował handel i oddał krajowi usługę ogromną, usługę która się ostała na zawsze i za którą mu się ze strony pokoleń najpóźniejszych wdzięczność należy, wprowadzając do kraju uprawę kukurydzy. Za czasów jego bojarowie używać poczęli nazwisk rodowych. Na Mołdawii na zaznaczenie zasługuje Bazyli Lupul (1634—1654), teść Janusza Radziwiła i Tymka Chmielnickiego, człek uczony, który obdarzył kraj kodeksem pisanym, regulującym wymiar sprawiedliwości i zawierającym w sobie rozporządzenia, które dziś dziwnemi się wydają. Według kodeksu tego, bojar, gdy na śmierć zasłuży, nie mógł być ani wieszanym ani na pal wbijanym, ale ścinanym; cygan nie podpada karze za kradzież kur i gęsi, jakotéż człowiek każdy karanym być nie ma za okradanie nieprzyjaciół i niewiernych; uwodzicielowi dziewczyny wlewa się w gardło ołów roztopiony. Rozporządzenia w kodeksie tym przeplatają maksymy w takim, np., rodzaju: „Sędzia, co w wymiarze kary folguje, powoduje się miłością, miłość zaś jest albo chorobą, albo szaleństwem.“ Tak o miłości sądzić racyą miał hospodar, na głowę którego miłość, jaką młodsza córka jego wzbudziła w sercu starszego syna Bohdana Chmielnickiego, ogromne ściągnęła plagi.

Szerban Kantakuzen znosił się potajemnie z Leopoldem I cesarzem niemieckim i z carami moskiewskimi Janem i Piotrem. Stosunki z Moskwą nawiązują się wcześniéj. Ślady onych najpierwsze zaznaczają się w r. 1674, jako następstwo bitwy pod Chocimem, w ciągu któréj hospodarowi mołdawski i wołoski, Stefan Petriczejko i Grzegorz Ghika, przeszli z szeregów tureckich na stronę polską. Dezercya ta wprawiła ich w sytuacyą wobec W. Porty wielce fałszywą, za spólném więc porozumieniem wyprawili kaługiera ze św. Góry, mnicha Teodora, rodem Moskala, do cara Aleksieja Michajłowicza, celem proszenia go o przysłanie wojska, któreby ich od Turków zasłoniło. Wysłaniec powrócił z odpowiedzią, przyjmującą obowiązek zasłaniania Mołdowołochów wojskiem, pod warunkiem, ażeby Mołdawia i Wołoszczyzna uznały nad sobą zwierzchnictwo carskie i ażeby hospodarowie w celu tym wyprawili do Moskwy poselstwo, złożone z zasługujących na zaufanie mężów z pomiędzy duchowieństwa i bojarów, Car domagał się oraz ze strony hospodarów nie oddawania się pod zwierzchnictwo Polski. W razie przyjęcia warunków tych obiecywał nietylko od nieprzyjaciół krzyża świętego ich bronić, ale im i zapomóg pieniężnych udzielać, (*Resboale dintre Rusi si Turci p. A. D. Xenopol.* Jassy, 1880). W takiém to ponętném świetle zapowiedziały się stosunki Rumunii z Rosyą. Na razie próba ta próbą pozostała, świadcząc jeno, że przy schyłku wieku XVII Moskwa wchodziła już w znaczeniu cyfry dodatniéj do kombinacyi politycznych, tyczących się kwestyi wschodniéj. We dwa lata po téj hospodarów mołdawskich próbie, agent rzeczypospolitéj Weneckiéj Giacomo Soranzo, zaznacza w relacyi do senatu znaczenie to i do zaznaczenia dodaje motywa: „Księcia moskiewskiego obawia się tedy i sułtan, ponieważ książę ten należy do kościoła greckiego tak samo jak i ludy Bułgaryi, Serbii, Bośni, Morei i Grecyi; są mu one bardzo oddane, jako trzymające się tego samego obrządku religijnego, i zawsze są gotowe porwać się do broni i powstać, żeby się wyłamać z pod jarzma tureckiego i oddać się pod jego władzę“ (1). Następnie Szerban Kantakuzen próbę wznowił i, lękając się, ażeby szczęście wojenne, które Sobieski pod sztandary niemieckie sprowadził, nie spowodowało zamiany panowania turec-

(1) „Del Moscovito dubita poi anche il Gran Signore, perche quel granduca e della chiesa greca come i popoli de la Bulgaria, Servia, Bosnia, Morea e Grecia, divotissimi percio al suo nome, come quelli che tengono il medesimo rito greco di religione, e serian sempre prontissimi a prender l'armi in mano e sollevarsi per liberasi della schiavitù turchesca e sottoporsi al dominio di quello“ (*Alberi.* Relazioni degli ambasciatori veneti al Senato).

kiego na niemieckie, wyprawił Izajasza, archimandrytę z góry Athos, na dwór moskiewski. Poseł ów przywiózł odpowiedź takąż samą, jak mnich Teodor z temże samém, co do zwierzchnictwa „państwa obcego“ zastrzeżeniem. „Państwo obce“ oznaczało Polskę i cesarstwo niemieckie, w owym bowiem momencie dwór wiedeński Wołoszą Sobieskiego łudził, w niéj mu wynagrodzenie wskazywał i osiągnięciu wynagrodzenia przeszkadzał. Dla śpiesznego sprawy téj załatwienia młodzi carowie, Iwan i Piotr, archimandrycie umyślnego za towarzysza, który miał do Moskwy wnet wrócić, dali. Rzecz jednak bez rezultatu pozostała, a to z powodu, że Szerbana śmierć (1689) zaskoczyła.

W lat dziesięć późniéj stanął pokój karłowicki. Pokój ten Turcyą osłabił, ale Mołdowołoszczyznie ulgi nie przyniósł żadnéj. Położenie hospodarstw pozostało *in statu quo ante*. Polska zwróciła zajęte i załogami polskiemi w czasie niefortunnych wypraw Sobieskiego obsadzone miasta mołdawskie. Stosunek Mołdawii do Polski miał być nadal takim, jak dawniéj—tylko że się w Polsce stan rzeczy zmienił, czasy potęgi przeminęły, do wglądania w sprawy hołdowniczego hospodarstwa nie było ani ochoty, ani możności: hołdowniczość przeto stało się nominalną, a wprędce zapomnianą. Wypadki smutne dla Rumunii próby gotowały.

Zabiegi w stosunkach do dworu moskiewskiego, pozostające dotychczas w stanie prób i projektów układów, mających na celu zespolenie losów hospodarstw z losami wzrastającego na północy w potęgę mocarstwa, któremu pokój karłowicki przyznał w posiadanie Azów, pierwsze do wybrzeży morza Czarnego przymknięcie, urzeczywistniły się pod postacią traktatu. Sprawcą takowego był Dymitr Kantymir, zamianowany hospodarem mołdawskim w tym celu, ażeby dozorował Konstantego Brankowana, hospodara wołoskiego, który się Wysokiéj Porcie podejrzanym wydawał. Umowa zawartą została za pośrednictwem Łuki Wisternika, w r. 1711, w tym roku, w którym Turcya, naglona przez pobitego pod Pułtawą Karola XII, wysłała olbrzymią przeciwko Piotrowi Wielkiemu armią. Tyczyła się umowa owa Mołdawii i Dymitra Kantymira i, pomimo że w niéj o protekcyi mowy nie było, oddawała kraj pod opiekę Rosyi, zobowiązując tę ostatnią do upominania się u Wysokiéj Porty, gdyby się takowemu krzywda działa i do utrzymywania wojska mołdawskiego na żołdzie rosyjskim. Wiadomość o traktacie i osnowę onego podaje hetman Kantemira, Jan Niekulcza (*Letopisitile*).

Świadectwa pamiętnikowe, odszukiwane i publikowane obecnie przez uczonych rumuńskich, opowiadają o przyjęciu, jakiego doznały wojska rosyjskie, poraz pierwszy na grunt rumuński wkra-

czające. Według Jana Niekulczy (*Joan Neculcea*), Mikołaja Mustia (*Neculai Mustea*), Mikołaja Kostina (*Neculai Costin*) i in., powitał naród Rosyan jak zbawców, jak chrześcian prawdziwych (*crestini adeverati*), prowadzonych przez prawdziwego imperatora. Wyraz „imperator“ (*imparat*) miał w mniemaniu ludu znaczenie mistyczne, które—jak się domyślać należy—odnosi się do dawnych, mgłą wieków oddalonych osłoniętych wspomnień o imperium (*imparatia*) rzymskiém. Przymiotnik został zapomniany; pozostał jeno rzeczownik, wyobrażający powagę i potęgę nadludzką, a tém większe wzbudzającą uszanowanie, że nie nacechowaną, ani katolicyzmem, z którym przychodzili Polacy (*Lesi*), ani muzułmanizmem, którzy w oczach Rumunów uchodził za pogaństwo. Z otwartemi więc ramiony przyjęto wojsko Piotra Wielkiego. Naród gotów był nie tylko w lenno, ale w poddaństwo Rosyi się oddać. Śród bojarów było stronnictwo nieznaczne, któremu przewodniczył Jordaki Ruset, wornik, które się oświadczało nie przeciwko Rosyi, ale za trzymaniem się polityki dawnéj, polegającéj na tém, ażeby wyczekiwać aż powodzenie orężne przechyli się na stronę jedną lub drugą i przyłączyć się do téj, która będzie górą. Polityki téj chwycił się hospodar wołoski. Hospodar moldawski postąpił sobie inaczéj. Pierwszy drogi ponaprawiać i prowincye przysposobić kazał, ale wojska swoje cofnął; drugi się odrazu z armią wkraczającą złączył, przyprowadzając do obozu rosyjskiego, zamiast przyrzeczonych 30,000, pomoc bardzo słabą.

Wojna się dla Piotra Wielkiego zakończyła o tyle pomyślnie, że postradawszy Azów i przyjąwszy warunki pokoju względnie uciążliwe, nie doznał takiéj jak St. Żółkiewski porażki. Położenie cesarza Rosyi nie różniło się zgoła od położenia, w jakiém dziewięćdziesiąt i jeden lat temu znalazł się był, w tejże saméj okolicy, wielki hetman koronny polski. Ten próbował wydobyć się z onego orężem—i zginął. Los podobny zgotowanym był dla Piotra Wielkiego. Uratowała go dyplomacya, urokom któréj oprzeć się nie umiał wódz turecki, wielki wezyr Mahmud Baltadżi. Wojska rosyjskie wyszły z opałów szczęśliwie, wyciągnęły z Mołdawii, zostawiając krainę rumuńską na łaskę i niełaskę zwycięzców.

Łaska też ta i niełaska zaciążyła nad biedną krainą straszliwie.

Wysoka Porta celem zapobieżenia nadal zdradom tego rodzaju, jakiéj przykład dał Dymitr Kantymir, pozbawiła Rumunów nominalnego już prawa wybierania hospodarów, mianowała ich sama i hospodarów krajowców zastąpiła Grekami z Fanaru, przedmieścia konstantynopolskiego, śród których rekrutowała urzędników, zwanych „terdżimanami“, „dragomanami“, to jest tłómaczami

przy wysokich dostojnikach państwa. W zasadzie chodziło o ludzi w wierności wypróbowanych, o takich jakich wzorem był Aleksander Maurocordato, dzięki któremu traktat karłowicki nie wypadł dla Turcyi tak źle, jakby wypaść był powinien. Wielkie oddane przezeń usługi wskazywały sferę, z któréj wychodził, za najwłaściwszą do szukania w niéj ludzi na zaufanie rządu zasługujących. Zasada atoli odrazu się ugięła pod naporem chciwości wezyrów i seraju. Hospodarstwa stały się dzierżawą, którą Wysoka Porta wypuszczała na czas nieograniczony tym, co więcéj dawali. Zasnuły się w Konstantynopolu intrygi, mające za oś przekupstwo. Bogacze z Fanaru spółubiegali się jedni z drugimi, spychali jeden drugiego z tronów w Bukareszcie i Jassach. Zrazu do współzawodnictwa stają trzy rodziny: Maurokordatowie, Ghikowie i Rakowicowie. Konstanty Maurokordato sześć razy zasiada na tronie w Bukareszcie i cztery razy w Jassach. Trwa to przez lat sześćdziesiąt blisko, aż pojawiają się nazwiska Kallimachów, Muruzich, Ipsylantich, Sutzów, Rossetów, Karatzasów, Maurogenesów—wszystko Fanaryoci. Każdy z nich zajmował tron tak długo, póki go drugi w Konstantynopolu nie podkupił, a zatém nie troszczył się o co innego, jak o odzyskanie funduszu na zaintronizowanie się wyłożonego i o zgromadzenie majątku jaknajwiększego. Działać w zakresie tym należało szybko i energicznie, nad każdym bowiem, niby miecz Damoklesa, wisiała destytucya. Łatwo więc wyobrazić sobie, jakie kraj pod rządami tego rodzaju przechodził koleje.

Stan ten trwał z górą lat sto, od 1711 do 1830.

Naród ze skóry obdzierany dwóch szczególnie doznawał krzywd, które go najmocniéj dotykały: ekonomicznéj i narodowościowéj. Ekonomicznie nietylko obdzierany, ale i wywłaszczany, wydziedziczany był. Każdy nowy hospodar przybywał z pocztem licznym krewnych ubogich i spółziomków, którymi urzędy obsadzał i którym nabywanie dóbr ułatwiał. Fortuny ogromne przechodziły z rąk rumuńskich w ręce greckie. Grecy poczuwając się do obowiązku wywdzięczania się za takowe niebu, czynili zapisy na klasztory, nie rumuńskie atoli, ale greckie. Nabożność taka i Rumunom się udzielała, zwłaszcza że niepewność jutra, w jakiéj pozostawał ogół ludności, urabiała popęd do zasługiwania się Bogu. Popęd ów bardzo musiał być silny, kiedy w przeciągu jednego stulecia, drogą dotacyi, trzy piąte obszaru ziemi rumuńskiéj przeszło na własność stowarzyszeń klasztornych na górze Athos. Fenomen ów, w rodzaju swoim jedyny, zastanawia ze względu na to, jakiemu obłędowi podlegać może ogół ludności pod naciskiem okoliczności! Z powodu warunków trudnych, w jakich się znajdowała ojczyzna ziem-

ska, wszystko się zwróciło do ojczyzny niebieskiéj. Najlepiéj na tém wychodzili mnisi, którym bez troski i trudu dostawały się dochody ogromne.

Pod względem narodowym ludność nie bardzo zaawansowana cofnęła się ogromnie. Grecy jęli się hellenizować Rumunów. Założone przez Macieja Bessaraba drukarnie i otworzone przez Szerbana Kantakuzena kolegium—zmarniały. Otwierano szkółki greckie dla greckich dzieci, obok których dla rumuńskich miejsca nie było. Rumuni zamożniejsi, którym chodziło o względy panujących i sfer rządzących, przyjmowali język i obyczaj grecki, poprzebierali się wedle wzorów z Fanaru przyniesionych, w kaftany długie i w kołpaki wielkie, spoważnieli a zarazem znikczemnieli ogromnie. Bojar zmienił się w rodzaj bałwana milczącego, hardego wobec niższych, pokornego wobec wyższych, pozbawionego władzy myślenia i pragnienia. Przed rokiem 1711 w kraju, pomimo ucisku, istniało życie jakieś; pod rządami Fanaryotów wszystko zamarło i rumunizm poszedł w poniewierkę taką, że człowiek szanujący siebie nie przyznawał się do onego. Wyraz „Rumun“ oznaczał chłopa, stał się jednoznacznikiem wyrazu „czaran“ czyli „caranul“ (od „cara“—ziemia).

Rzecz prosta, o myśli, o idei politycznéj, o jakowemś dążeniu polityczném mowy w epoce téj smutnéj być nie mogło. Rezygnacya bezmyślna znamionowała wyraz ogólny nastroju, w jakim się duch narodowy znajdował, — duch, o którym myśléć było można, że zamarł i nie zmartwychpowstanie już nigdy. Był on tylko uśpiony, zanarkotyzowany. Nie budziły go jednak wypadki, które się przez Rumunią przewalały, a które przyjmował obojętnie, nie posiadając organu do wypowiedzenia się. Hospodar panował samowładnie, zwołując od czasu do czasu dywan na to jedynie, ażeby mu wolę swoję oznajmić. Wojsko nie istniało, „ich wysokoście“ bowiem trzymali jeno, dla bezpieczeństwa osobistego, straż przyboczną, złożoną z Albańczyków najętych; dla utrzymywania zaś porządku w kraju, do rozwożenia rozkazów i dokonywania egzekucyi starczyli tak zwani „służitori“, pół-policyanci, pół-żandarmi, którzy pozostawali pod władzą „perkałabów“ i isprawników. Zresztą się ludność nie buntowała—przycichła, spokorniała, kołki sobie na łbie ciosać dawała i czekała na jakąś „imparacyą“, która jéj krzywdy wynadgrodzi.

Oczekiwana „imparacya“ nawijała się od czasu do czasu, ale na wynagrodzenie krzywd wciąż i wciąż czekać trzeba było.

Po pomyślnie dla oręża niemieckiego zakończonéj wojnie, w któréj się odznaczył Eugieniusz Sabaudzki, Niemcy na mocy trak-

tatu Pożarewackiego (1718), zagarnęły Małą Wołoszczyznę po Ałutę. Turcya odstąpiła to, co do niéj nie należało. Dwór wiedeński dał przykład zaboru kraju, pomimo woli i wiedzy istotnych i prawowitych onego właścicieli. Zabór ten musiały Niemcy we dwadzieścia jeden lat późniéj zwrócić. Turcy im takowy odebrali i Wołoszczyznie oddali. Niepomyślnie wiodło się Wysokiéj Porcie z Rosyą, wojska któréj zajęły były, pod wodzą feldmarszałka Minicha, Mołdawią i Wołoszczyznę. Gabinet atoli petersburski, zawierając pokój w Belgradzie (1739), nie zastrzegł ulg żadnych na korzyść hospodarstw, pozostawionych *in statu quo*, a to przez wzgląd na Austryą sprzymierzoną w wojnie téj z Rosyą, a mocno przez Turków poturbowaną. Wzgląd ten nie istniał w wojnie następnéj, w kampanii Rumiancowskiéj, która jest jedną z najświetniejszych dla oręża rosyjskiego. Wojska rosyjskie znów Mołdowołoszczyznę zajęły; pozdobywały wszystko co do zdobycia było — Izmaiłów, Kilią, Bendery, Braiłę, Akkierman; toczą wojnę przez lat sześć (1768—1774); generał br. de Elmpte odbiera od mieszkańców Rumunii przysięgę na wierność cesarzowéj Katarzynie II-éj; bojarowie wraz z duchowieństwem wyższém podają adresy wiernopoddańcze, następuje pokój i losy kraju pozostają takiemi, jak *ante bello*. Wojna ta miała na celu wyswobodzenie Tatarów — i celu tego dopięła. Co się Rumunów tyczy, warunki traktatu podpisanego w Kuczuk-Kajnardżi, zastrzegały dla nich zapomnienie i przebaczenie przewinień wszystkich, jakich się względem państwa zwierzchniczego dopuścić mogli, oraz nie pobierania haraczu przez lat dwa. Przysięga poszła na wiatr. Fanaryoci rządy napowrót objęli. Nie zmieniło się nic, z wyjątkiem tego, że Austrya, która w czasie wojny zawarła była z Turcyą traktat tajemny *de subsidiis*, to jest podjęła się za wynadgrodzeniem 10,000,000 piastrów i ustępstwem Małéj Wołoszczyzny, na co zadatku wzięła 3,000,000 odwrócić od Turcyi ciosy rosyjskie, zagarnęła Bukowinę. Gabinet wiedeński odegrał wówczas rolę tę samę, co w r. 1878. Ciekawą jest historya zaboru Bukowiny. Negocyacye zawiązane w celu tym nie zapowiadały rezultatów pomyślnych. Wysoka Porta tłómaczyła się, że odstępować nie może tego, co do niéj nie należy; gabinet berliński obalał wszystkie racye, jakie gabinet wiedeński podawał, a które usprawiedliwiał fakt pierwszego rozbioru Polski, dokonanego za sprawą Prus. Na drodze układów dyplomatycznych rzecz do przeprowadzenia okazywała się bardziéj, aniżeli trudną i byłaby spełzła na niczém, gdyby gabinet wiedeński nie poszedł za radą ambasadora swego w Konstantynopolu, który pisał do Kaunitza, że „*eine wirkliche Possessionsergreifung weit leichter zu behaupten, als eine*

Cession von der Pforte zu bewirken sein dürfte..." Mołdawia zapłaciła za to, że Austrya od Turcyi ciosu nie odwróciła. Austrya uzyskała przytém prawo na równi z Rosyą utrzymywania konsulów w Bukareszcie i Jassach.

Wojna która nastąpiła za porozumieniem się Katarzyny z Józefem II, nie kazała na siebie czekać długo. Wybuchła w lat trzynaście po podpisaniu traktatu kuczuk-kajnardzkiego, wielkim zamiarem zrestaurowania cesarstwa Wschodniego, przyczém Austrya zabrać miała Małą Wołoszczyznę. Serbię i Bośnię, a Potemkin zostać księciem zjednoczonych Mołdawii i Woloszczyzny i zakończyła się powrotem hospodarstw do stanu dawniejszego. Traktat w Jassach (1792) stypulował dla nich warunki te same, co poprzedni; od chwili téj wszakże poczyna się wglądanie Rosyi w sprawy wewnętrzne księstw rumuńskich, tłómaczące się zabiegami, mającemi na celu uregulowanie nominacyi hospodarów. Wskutek zabiegów tych Selim III ogłosił (1803) hati-humajum, przywracające prawo wybierania hospodarów i zakreślające dla nich lat siedem panowania, pod warunkiem sprawowania się dobrego. Warunek, wedle brzmienia literalnego, tyczył się rządów, administracyi, sprawiedliwości etc., w istocie jednak miał znaczenie polityczne, odnoszące się zarówno do Turcyi jak do Rosyi. Znaczeniu temu podporządkowywało się prawo wyboru, które się przez to stawało illuzorycznem; było jednak prawem, jakiemś prawem, pierwszém zjawiającém się po długich latach bezprawia. Dowodem, że było ono illuzorycznem jest to, że wybór padł na Fanaryotów: na Aleksandra Moruzi w Mołdawii i Konstantego Ypsilanti w Wołoszczyźnie, protegowanych przez Rosyą. Dwaj ci wybrańcy podali pretekst do nowéj wojny. Wysoka Porta za „złe sprawowanie się" zdestytuowała ich po trzech latach, mianując, albo raczéj „wybierając" na hospodarów na miejscu Muruziego—Kallimacha, na miejscu Ypsilantego—Sutza. Gabinet petersburski, z powodu że popierali oni Serbów, którzy się w 1804 r. do oręża przeciwko Turcyi porwali, znajdował sprawowanie się ich dobrém, zażądał przywrócenia im władzy i, nie namyślając się długo, rozkaz dał gen. Michelson wkroczyć do Mołdawii. Turcya przerażona, mając na karku powstanie serbskie, Paswana-Ogłu, Ali-Tepelena i niepokoje w Azyi, pośpieszyła z zadośćuczynieniem żądaniu Rosyi. Rosya atoli na tém nie poprzestała i wojsk swoich nie wyprowadziła z téj racyi, że Wołoszczyzna napadana i rabowana przez hufce orężne Paswana-Ogłu, potrzebuje obrony. Wywiązała się ztąd (1816) wojna — wojna pomiędzy Rosyą a Turcyą pierwsza, w któréj za powód służyła Rumunia. Według Zinkeisena (*Geschichte des Osmanisches Reiches*. Gotha 1859),

Rosya się domagała powściągnięcia rozbojów Paswana-Oglu orężem bądź tureckim bądź rosyjskim i żapewnienia spokoju i porządku na Mołdowołoszczyznie za pomocą zorganizowania siły narodowéj, która byłaby w stanie bronić kraj przeciwko sąsiadom. Takim był punkt wychodni i z punktu tego pretensye gabinetu petersburskiego przybierały, w przeciągu lat sześciu jak wojna się toczyła, postaci rozmaite. Zależało to od grupowania się mocarstw, popychanych raz w tę znów w inną stronę przez Napoleona I. Z początku, póki Anglia stronę Rosyi trzymała i Austryi pomagała, zakreślonym był podział Turcyi, z którego Rosyi dostać się miały hospodarstwa rumuńskie i Bulgarya; następnie, wskutek pokoju zawartego w Tylży i zjazdu w Erfurcie, Anglia stanęła po stronie Turcyi i plan podziału Turcyi zmodyfikował się i modyfikował późniéj jeszcze, ale zawsze Mołdawia i Wołoszczyzna Rosyi przyznawane były (Zinkeisen, *Gesch. d. Osm. Reiches*). Anglia, nieprzyjaciółka Turcyi w roku 1806, zawiera z nią traktat Dardanelski 5 stycznia 1809 i staje się podporą jéj jedyną. Stan ten rzeczy ulega nagle zmianie w r. 1812. Napoleon I zawiadamia Wysoką Portę o zamiarze swoim wydania Rosyi wojny; zawiadomienie to atoli dostaje się do rąk dragomana Panajota Moruzi, który takowe odsyła bratu, hospodarowi mołdawskiemu, Aleksandrowi Moruzi i ten podstawia natomiast inne, a mianowicie, przeraża Wysoką Portę raportem, zwiastującym postanowienie gen. Kutuzowa przekroczenia Bałkanów i dyktowania pokoju w Adryanopolu. Wieść ta zawarcie pokoju przyśpieszyła, tém bardziéj że Rosya okazała się skłonną do ustępstw, odstępując od żądania, tyczącego się oddania jéj całéj Mołdawii i Wołoszczyzny. Traktat podpisany 28 maja 1812 roku w Bukareszcie, oddawał jéj po Prut Mołdawię tylko i obok klauzuli zwyczajnych, powtarzanych w traktatach poprzednich a odnoszących się do przebaczenia i zapomnienia przewinień, nie pobierania w ciągu dwóch lat haraczu i folg innych pomniejszych, zawierał zastrzeżenie autonomii dla Serbii. Mołdawia została przepołowioną; zresztą stan rzeczy wrócił do porządku, jaki panował dotychczas. W pierwszéj chwili Turcy się cieszyli, że cudzym kosztem powstrzymali Kutuzowa w marszu do Adryanopola. Fortel atoli wydał się. Moruzowie — dragoman i hospodar—bez sądu skazani, śmierć z rąk tureckich ponieśli.

Rok 1812 jakkolwiek zaznaczył się wielką dla Mołdawii szkodą, zaznacza się jednak dla Rumunii jako moment zwrotu ku lepszemu—zwrotu, który się okazał następnie i wchodzi do rozwoju życia politycznego w dobie spółczesnéj, zasilającego się żywiołami, które przeszłość nagromadziła i urobiła.

T. T. Jeż.

IGNACY CHODŹKO.

SZKIC LITERACKI.

Będziesz żyć póty, póki Litwa żyje.
Wład. Syrokomla.

I.

Było to w Wilnie, w 1857 r. Lato dobiegało do końca, a dzień 31 lipca, na jednym z uroczych przedmieści Wilna, Popowszczyzną zwaném, obchodzono świątecznie, w skromnym, na poły wiejskim dworku. Miłych sobie gości podejmował Władysław Syrokomla (Ludwik Kondratowicz). Z czarką, w której miód litewski kipiał, zbliżył się do najdostojniejszego znać w tém gronie, do starca o srebrzystych włosach odgarniętych z wysokiego czoła, o oczach, których pogodę przed niedawnemi dopiéro czasy zaćmił najboleśniejszy z ciosów: strata jedynéj córki. Winszował mu imienin naprędce zaimprowizowanym wierszykiem:

„Sto lat ci życzyć......"

A gdy na zakończenie, ze zwykłą sobie skromnością zawołał:

„Ojca nam potrzeba!"

obecni zawtórowali mu jednogłośnie:

„Niech stary Choździko nam pobłogosławi!"

Solenizantem bowiem, którego sześćdziesiąte piąte imieniny obchodzono w 1857 roku, w Wilnie, na Popowszczyźnie, w skromném mieszkaniu Syrokomli, był Ignacy Chodźko, weteran wielkiéj armii pisarzy naszych z pierwszéj połowy bieżącego stulecia, ulubieniec współczesnych, kochanek Litwy. Zapatrzony w nią, w rodzime zasłuchany głosy, wchłonął w siebie, w wyobraźni swéj odzwierciedlił, wiernéni piórem uwiecznił, podania jéj, przyrodę, uczucia, wierzenia, aż do najdrobniejszych właściwości.

A jednak..... w lśkniących się tych od barw i świateł obrazach są głębokie cienie, skazy, ciasne je okalają widnokręgi. Z pod pióra Chodźki nie wyszedł obraz, który by zawarł w jednych ramach narodową epopeję. Nie talentu po temu pisarzowi zabrakło, o nie! zabrakło mu czegoś innego, o czém pomówimy niżéj, we właściwém miejscu, tych podstaw, bez których najświetniejszy talent nie wzbije się do gieniuszu, przedewszystkiém jednak wypada zbadać naturę samego talentu i jego właściwości.

„Obrazy“ Chodźki zajmują w piśmiennictwie miejsce odpowiednie temu, które w malarstwie zajmują rodzajowe obrazki szkoły flamandzkiéj. Sam pisarz czuć musiał powinowactwo z mistrzami téj szkoły, gdy opisując w „Dworkach na Antokolu“ rodzinę Dowiatów siedzącą w półkole, o zmroku przed kominkiem, obrazek ten porównał do obrazów Teniers'a. Analogia polega na metodzie, na sposobie traktowania przedmiotu, na przedziwném obrabianiu szczegółów, na tém, że i tego i tamtych talent z rodzimego wykwitając gruntu, gruntu się tego trzyma i zamyka w ciasnych ramach, niby umyślnie dla skupienia swych właściwości i zaznaczenia odrębności; polega nadto na nadzwyczaj wierném portretowaniu. Zaklęte w szczupłych ramach pędzlem Teniers'ów, Dow'a, Mieris'a, pospolite napozór, czasem zgrzybiałe, szpetne postacie budzą zajęcie i sympatye widza. Dla czego? Dla tego że wierne są, typowe i z silnie przy tém zaznaczoną indywidualnością w postawie, ruchach rysach twarzy; dla tego że nie brak im ani jednéj zmarszczki, ani jednego z najprzelotniejszych uśmiechów, ani jednéj z dawno zaskrzepłych łez pod powieką, ani nawet jednéj szpetnéj brodawki. Każdy znał podobne postacie, widział, spotykał po tysiąc razy; w toku życia spotkane mijał obojętnie a dopiero na skrawku płótna dostrzeżony skrzypek siwy, nauczyciel wiejskiéj szkoły temperujący pióro, polewająca doniczkę z kwiatami, lub nieruchomo ze splecionemi na kolanacb dłońmi siedząca staruszka, wrażają się w pamięć. Toż samo z postaciami Chodźki. Rotmistrz „Dźwęk,“ Bekieszka, Mieleszko, Żegota, Norejko, Rupejko, Wołkonowscy, Sołohuby, Laskarysy, Stelniccy, Swieboda, Rudomina, Reut, typy polskie, lecz na litewskim wydane gruncie i już odrębne, wrażają się głęboko w pamięć. „Panie kochanku“ naprzykład, malowano nam tysiąc razy, na tysiąc różnych sposobów, lecz go nam dopiero jak żywego, sprawującego sławne w Nieświeżu syndykostwo, lub płaczącego po Wołodkiewiczu, zaklął na papierze Chodźko. Jak flamandzcy mistrzowie tak i Chodźko, żadnych objaśnień nie daje do swych obrazków. Żadna etyczna, filozoficzna lub społeczna teza nie wciela się w nie gwoli intencyi twórcy. Postacie, sceny wymowne są samą swą

szczerością, drgającą w nich prawdą życiową, niezrównaną plastyką i nie tylko własne, lecz szczepu swego dzieje, właściwości, ukochania opowiadają jasno, dobitnie. I w dziele Chodźki, jak w dziele flamandzkich mistrzów rodzajowych, żyje zaklęte życie narodu i epoki, lecz rosproszone w szczegółach nie powiązanych z sobą przewodnią nicią ideału. Są to przebłyski, strumienie jasne, do zbiorowéj treści narodu i epoki pozostające w stosunku sączących się ze zmarszczyn górskich krynic, względem szumiącego potoku—a jednak...

Wyobraźmy sobie ścianę zawieszoną rodzajowemi obrazkami jednego pędzla, tak dobranemi, że choć każdy z nich jest skończoną, w osobnych ramach zawartą całością, ze wszystkich razem tworzy się jeden wielki obraz. Całość ta dojrzaną zresztą być może z pewnego tylko punktu, na jakim staje patrzący. Takie utwory, jakim jest w malarstwie sąd Michała Anioła, a w piśmiennictwie naszém „Pan Tadeusz,“ uderzają od razu widza i czytelnika; najobojętniejszych, najmniéj na rzeczy się znających olśniewają, odsłaniając przed nimi widnokręgi, które objąć można z tych tylko wysokości, gdzie orły się gnieżdżą, na jakie orły porywają z sobą. Tu przeciwnie pisarz-malarz nie był zdolnym rozpiąć płótna szerszych rozmiarów i na epiczną zdobyć się kompozycyą, lecz rysownik nie bez śmiałości, kolorysta świetny utworzył niesłychaną ilość drobnych obrazków pociągających zwykłego widza i czytelnika swą prostotą, plastyką i barwami świetnemi. Są to promienie oderwane, po za któremi widz i czytelnik pospolity nie dostrzeże jądra ogniska, są to kryształowe krynice, po za któremi nie domyśli się rwącego potoku. Dopiéro większy tych rzeczy znawca czy miłośnik, rozciekawiony fragmentami temi, roznamiętniony rojem tych geniuszków, które z mnogich ram wyskakując, otoczą go wirującém, pstrem kołem, cofnie się, skupi, wpatrzy bacznie w zawieszoną obrazkami ścianę i dopiéro ułożą mu się one w jedną całość, a gwarne te, niesforne gieniuszki splotą się w taniec rytmiczny, w wieniec podtrzymujący obraz, utworzony niby w przezroczu ze wszystkich tych obrazków pomimo woli i wiedzy malarza.

Temi dla pospolitych widzów i czytelników niesfornemi w dziele Chodźki gieniuszkami, które oryginalny i istotny tylko talent okiełzać i w służbę swą zaprządz zdoła, są typy.

Typy zaś, są to oryginalne jednostki, skupiające w sobie właściwości całych warstw lub grup społecznych. Jednostka, aby zostać doskonałym typem, nie zaś postulatem, zachować winna wszystkie cechy indywidualizmu. Bez zachowania cech tych, każde, bodaj na najszczytniejszych postulatach opierające się dzieło sztuki, chybio-

ném bywa. Nie idee bowiem, uczucia, zasady, zadaniem jest artysty i pisarza mniéj więcéj udatnie upostaciować, lecz takie do dzieła swego dobrać pierwowzory, w których idee, uczucia, zasady, nałogi, instynkty palą się najwyraźniéj i gasną najnormalniéj. O ludzi takich nie trudno—pełno ich wszędzie! Śmiało nawet powiedziéć można, że najwięcéj udatnych i wiernych typów, dostarczają przeciętni członkowie społeczności każdéj, tylko.... nie każde oko dostrzedz i pochwycić je potrafi. Nie poradzi sobie z tém ani najpracowitsze poszukiwanie, ani znajomość socyologii i psychologii, ani nauka, ani filozofia. Za ich pomocą umysł pochwyci teoryę typu, ale żywego odtworzyć nie zdoła. Na to potrzeba tego czegoś, co się za żadną nie da nabyć cenę, ani zastąpić przez coś chociażby przewyborniejszego; tego, co na wybrańca sztuki spada jak promień słońca na przechodnia, rozpala mu brylantową nad czołem gwiazdę a w oko wprawia czarodziejski pryzmat, w którym się wszystko odbija jaśniéj, dokładniéj; przez który dają się dostrzedz światy całe tam, gdzie inni, tym słonecznym promieniem nie uwieńczeni, nie rozświeceni, nic a nic zgoła nie widzą.

Od typów udatnych, przewybornych roi się dzieło Chodźki. Można by nawet powiedziéć, że nagromadził w niém większą od któregokolwiek bądź z pisarzy liczbę oryginałów. W tym względzie porównywano go — (Ludwik Kondratowicz) — z Walter Scott'em. Istotnie, jak Walter Scott tak i Chodźko, żyli w społeczeństwach nadzwyczaj bogatych pod tym względem. Nie każde społeczeństwo i nie w każdém stadyum rozwoju swego posiada jednostajną ilość jednostek ściśle z niem spojonych, będących niby wyskokiem jego treści, lecz wyskokiem zaprawionym szczególnemi, samorzutnemi odrębnościami. Ilość ich zmniejsza się i ród wyginąć może tam, gdzie, jak to miało miejsce na zachodzie Europy, pokolenia wszystkich warstw społecznych zlewały się w karbach państwowéj dyscypliny i towarzyskiej a cywilizacyjnej oglady. Na wschodzie niewola i despotyzm zacierają wybujałości indywidualizmu, których to właśnie, co nazywamy pospolicie oryginalnością, jest skamieniałym w zewnętrznéj formie wyskokiem. Albion oblany wodami, odosobniony, przedstawiał pole dla rozrostu indywidualności i jéj wyskoków, zwłaszcza od czasu reformy kościelnéj i państwowéj, która na tronie absolutnych Stuartów posadziła protektora z ludu. Myśmy nie mieli mórz oddzielających nas od reszty świata, ani politycznego gwałtownego przewrotu, lecz od mórz skuteczniéj odosobniało nas nasze geograficzne stanowisko, a ustrój społeczno-polityczny krzewił wybujałości indywidualizmu. Pod działaniem zachodu nie znikały u nas pozostałości wschodu. Społeczeństwo rozpa-

dło się na dwa odłamy szlachty i ludu, pomiędzy któremi nie było szczebli jak gdzie-indziéj, ponad któremi nie było niwelującéj żelaznéj dłoni jednowładcy! Zadziwiające, na owe czasy, swobody polityczne, w których nieograniczony udział brała, nie szczupła garstka oligarchii, lecz cała szlachecka warstwa narodu; wpływy zachodu zmięszane ze wschodu pozostałościami; kultura łacińska pod którą się podszywał bizantynizm,—sprzyjały wybujałościom indywidualizmu; kto wie czy o całéj szlachcie polskiéj na ogół, a o litewskiéj już w szczególności, powiedziéć-by się nie dało, że była zbiorowiskiem oryginałów? Lud, zlewał się w typ jeden, określony; w szlachcie indywidualizm wzmożony, nie zawsze prawidłowo skierowany, wybujał w oryginalność, została ona typową, przechowała się zaś dłużéj niż gdzie-indziéj. Na Litwie, nieco zapadłéj, zacofanéj, było jéj siedlisko i brat Michał Ławrynowicz, dowcipny ów kwestarz, miał z kogo wzorki zbierać, począwszy od litewskich królików Radziwiłłów aż do asesora „Ptaluteczku“ i „szlachcica na łopacie.“ Nie dziw, że ich nazbierał tyle, tak wiernych, przewybornych a zawsze swojskich.

Na téj wspólnéj obu pisarzom łatwości wynajdywania oryginałów, ogranicza się zresztą, jeśli się nie mylę, nadużyte porównanie pomiędzy Chodźką a Walter-Scott'em. Chociaż przyjaciel młodości Chodźki, Julian Kossak, wołał nań.

„Niechcesz wierszem, idź prozą w ślady Walter-Scota!“

niemożna powiedziéć, aby Chodźko w ślady Scott'a wstępował. Odznacza się on pewną samodzielnością talentu, którejbyśmy napróżno szukali u autora „Quentin Durwarda,“ „Ivanhoe“ „Purytanów,“ posiadającego zkądinąd świetne pisarskie zalety, którychbyśmy znów napróżno szukali u autora „Pamiętników kwestarza“ i „Dworków na Antokolu.“ Talent Walter-Scott'a wyrobiony, poparty jest znakomitą pisarską zdolnością architektoniczną. Nie obce mu najznakomitsze tajemnice kompozycyi. Sama tam pozorna prostota, sztuczna jest, taką jaką anglicy zowią *imposed* a francuzi *voulue.* Walter-Scott typy i oryginałów wplata w kanwę doskonale obmyślanego, niby umyślnie z góry utkanego tła historycznego. Tłumny personel zamyka szczelnie w umiejętnéj kompozycyi ramach i pokazuje czytelnikowi w odległéj perspektywie, przy odpowiedniéj, z archeologiczną ścisłością obrobionéj dekoracyi, unikając archaizmów, w pasmie biegle i często, pomimo pozornéj prostoty, pracowicie splątanéj intrygi. Jest to sztuka doskonała ale widoczna, bo i któż z najbieglejszych zaręczy, że cały ten personel nie składa się z przednich, w odpowiedniém świetle ustawionych, naturę naśladujących manekinów? Stanowi to zresztą nieuniknione może szkopuł historycznéj

powieści. To pewna, że przy lada zmianie światła lub pozycyi wywołalibyśmy w powieściach Walter-Scott'a chaotyczny zamęt. To pewna, że utwory Chodźki można rozdrabiać na fragmenty, przestawiać jak się podoba, bez uszczerbku dla nich i dla sztuki. Podobne one są w tém do kolorów tęczy, które w słoneczném rozdzielane widmie nie tracą barw i blasków. Pisarz barw nie dobierał, kanwy nie utkał. Umysł jego nie zdobył się na pomysł ani historycznéj, ani społecznéj, ani nawet obyczajowéj powieści. Nie był on erudytą, ani archeologiem, ani historyozofem, i nic w dziele jego nie zdradza, aby go żywo zajmowały rzeczy społeczne. Artysta „z bożéj łaski", że tak powiem, kopiował z natury co mu w oko wpadło i utwory jego porównanemi być mogą do kroniki bogato ilustrowanéj na marginesach. Brał co napotkał, dzięki pryzmatowi talentu, jaki mu przyroda wprawiła w oko, odkrywał do koła kopalnie barw i kształtów, typów i oryginałów, pełną z nich czerpał dłonią i pełną rzucał na papier, nie troszcząc się wcale o dobór i układ.

Rozrzutność ta dowodzi nie samego bogactwa zasobu, lecz zarazem pewnéj lekkomyślności, w którą nie popada umysł szeroki i pisarz w zasadach estetyki i w sztuce swéj wyćwiczony. W najlepszych swych utworach: w „Pamiętnikach kwestarza" w „Dworkach na Antokolu", Chodźko zużytkował materyału, któryby oględniejszemu pisarzowi dostarczył wątku do kilkunastu właściwych powieści.

Jak tezy tak i właściwego jądra w utworach Chodźki szukać nie trzeba. W „Dworkach na Antokolu" błahy romans Ludwika ze starościanką służy jeno za błahy pretekst do snucia obrazów i kreślenia zamaszystych portretów. W „Pamiętnikach kwestarza" obyło się i bez błahego pretekstu. Zawodzi ta nawet autora intencya, jaką miał, o ile się zdaje, przedstawienia 1812 roku, jako środkowego punktu opowieści. Epizody takie jak sejmiki połockie w Usaczu, kapituła w Nieświeżu, klasycznie opowiedziana sprawa Wołodkiewicza, silniejsze na czytelniku wywierają wrażenie niźli wejście do Wilna wojsk napoleońskich.

W utworach Chodźki uderza nas brak drugo i trzecio planowych figur, zagłębień perspektywy. Wszystko na jednéj linii; jednego niemal kalibru, po wszystkich zakątach obrazu równe, jednostajne rozlane światło. Radziwiłłowie na Ołyce i Nieświeżu, wojewodowie, starosta Antowilski, Rudomina, Sulistrowski, Chomiński, Dowiatowie w klasztorze i w palestrze, nie ustępują sobie kroku, a po za nich zaledwie się cofa ciżba rycerzy sejmikującéj szlachty, oficyalistów i gości po pańskich dworach, palestrantów, mnichów, rolników, partyzantów, maruderów. To pewno, że w „Pamiętni-

kach kwestarza" nietylko barwna postać „Panie kochanku," lecz nawet skromna księdza definitora, zaćmiewają postać Napoleona, siedzącego na drewnianym stołku przy Zielonym moście na Śnipiszkach. Tatar Amurat posiadający pałasz, którego „klinga prawdziwie turecka ale osada i furdyment polski," Radwiński „głowacz wielki bez filigranowéj roboty", Świeboda z „Harasimem" występują wydatniéj niż wkraczający do Wilna na czele konnicy, na pysznym karym rumaku, szwagier cesarza, awanturniczy Murat. „W kołpaku aksamitnym, *per modum* tureckiego zawoju na głowie", wygląda on daleko pospoliciéj chociażby od téj jejmości co to każe milczéć swemu „jegomostkowi" i o pokucie dla niego „sama z księdzem proboszczem pogada."

Kto jest bohaterem w „Dworkach na Antokolu"? Konia z rzędem kto odgadnie! Może Ludwik, a bohaterką starościanka? Czyż nie jest nim raczéj skarbnik lub porucznik Stelnicki, gdyby nim nie był ksiądz Ambroży? W każdym razie postać księdza Ambrożego najgłębiéj pomyślana, najsubtelniéj odcieniowaną została.

Te niedobory kompozycyi w dziele Chodźki nagradza rzadka plastyka, jako téż werwa niezrównana, humor aż dosadny często, lecz zawsze szczery i porywający, zawsze swojski. Humor jest niewątpliwie jedną z naszych cech narodowych. Śmiejemy się chętnie, głośno, a kto się śmieje prawdziwie po polsku, ten—wyznać trzeba—śmieje się rubasznie. Dziś nawet, gdy pod naciskiem okoliczności wielu, humor nasz pobladł, przycichł, dziś jeszcze u przednich pisarzy naszych witamy mile rodzime jego przebłyski. Dawniéj.... dawniéj śmiała się Polska jak długa i szeroka; od stóp tronu, od sejmowéj izby do dworka szlachcica o lada nic wybuchano homerycznym śmiechem. Bawiono się i umiano bawić, umiano wyzyskiwać komizm, nie mający zresztą nic wspólnego z finezyami dowcipu francuskiego. Więcéj téż u nas było konceptów niż dowcipu, więcéj werwy niż finezyi. Koncepty te, tę narodową, obcą dwuznacznikom wszelkim, obyczajną, wówczas nawet gdy dosadną, zamaszystą i naiwną poniekąd werwę, spotykamy na każdéj niemal stronnicy dzieła Chodźki. Ile jest tego w „Dwóch konwersacyach z przeszłości" ile w „Borunach," w „Pamiętnikach kwestarza," w „Dworkach na Antokolu" i gdzie-indziéj. Humor nie szukany, naturalny, porywa czytelnika, a raczéj widza i słuchacza, gdyż doprawdy zdaje się nam, że widzimy naprzykład tryumfalny pochód infułata Laskarysa do Ołyki, że słyszymy kazanie sejmikowe imci pana Reuta, lub że w Wilnie na kadencyi prześwietnego trybunału słuchamy jak Mateusz Antonowicz, adwokat znany „ex fluida eloquentia", tak zręcznie igra z nazwiskiem Bohomolca i Zaranka. Jaką niezrów-

naną werwę posiada stolnik Chomiński! Co to za skarbczyk ten jego raptularz! Niemałą zaletą humoru i werwy Chodźki jest i to jeszcze, że uniknął szarży i karykatury, w które tak łatwo popaść, przy zamaszystości zwłaszcza jaką się pióro jego odznacza. Francuzi naprzykład humor podobny mogliby wziąć za szarżę, jak za szarżę zresztą zgoła biorą „les satrapes du nord“, o których wyobrażenia nie mając, bają jak o żelaznym wilku. Dla nas przeciwnie, sama ta właśnie zamaszystość ma powab narodowy... powab wylotów, bekieszek, podkręconych wąsów, siarczystych kopercza-ków, husarskich skrzydeł, tureckich rzędów, wymowy przechodzącéj w gadulstwo. Lecz i w zamaszystości téj podziwiać musimy doskonałą artystyczną miarę Chodźki. Raz mu się tylko pióro pośliznęło.... ależ bo i pokusa była nadludzką! Pamiętacie tę wdówkę, która się z kwestarzem raczy „ratafiją“; płacze po „aniołeczku, symplaczku,“ pierwszym swym mężulku, który „dziesięć lat przestał przy piecu“—znosząc szturchańce jejmości? Odtąd jejmość „ciesząc swoję biedę“, ciągle zamąż chodzi i oto jeszcze żywi matrymonialne widoki względem konkurenta swéj córki. Oj ta wdówka! Karykatura, lecz karykatura nielada!

Chodźko był może ostatnim z narodowych pisarzy naszych, który potrafił śmiać się tak szczerze, zachować niczém niezmąconą pogodę umysłu. Współcześni jego nie śmieli się już wcale. Obok tego wszystkiego, co na naszym parnasie zmieniło swobodę humoru w najgłębszy liryzm, całą literaturę europejską owiał był smutek, rozpacz, bajronizm. Pogoda Chodźki jest tedy podwójną anomalią i zrobimy z niéj zarzut, we właściwém miejscu myślicielowi i obywatelowi, artyście nie możemy jéj wyrzucać a nawet przyznać musimy, że stanowi najponętniejszą z zalet jego utworów, którym obok werwy i humoru, nie zbywa przeto na rzewności i na poezyi, zwłaszcza w prześlicznych, pełnych świeżości opisach przyrody rodziméj.

Do tych wybitnych przymiotów dodajmy skromność pisarza, przekonanego o wielkości samegoż pisarskiego zawodu, lecz nierobiącego wielkich rzeczy z tego co sam rzuca na papier, od niechcenia niby. W prywatnéj swéj korespondencyi (do Symonowicza) wyznaje po kilkakrotnie, że się czuje, „aż nadto wynagrodzonym za słabe owoce swéj pracy przez dowody współczucia, jakie otrzymuje w pismach i w partykularnych odezwach.“ Gdzie-indziéj mówi, że „dość miał sławy autorskiéj“, a nigdzie w jego dziele nie przebija się ubieganie za tąż sławą. Rys to również sympatyczny jak rzadki. A szczerość?..

Czytałam gdzieś — w pięknych sentencyach królowéj rumuńskiéj—jeśli się nie mylę: „Il est plus essentiel pour le poète d'etre

vraie de sentiment que d'invention.“ Jeśli do kogo, to do Chodźki zdanie to może być zastosowane. Szczerszego pisarza trudno wyobrazić sobie, a chcąc go studyować, nie potrzebujemy zwracać się do biograficznych szczegółów. Utwory jego dostarczają obficie wskazówek nie tylko odnośnych do wpływów, pod jakiemi talent się jego rozwijał, nietylko wyświecających najdokładniéj naturę tegoż talentu, lecz rzucających jaskrawe smugi światła na naturę umysłu i charakteru pisarza. Zanim jednak do zbadania wskazówek tych przystąpimy, nie od rzeczy, być może, będzie, zwrócić uwagę czytelnika na samę charakterystykę talentu, jako téż na wartość artystyczną, bardzo nie równą, utworów Chodźki.

Talent, a z nim czarodziejski pryzmat wprawiany przezeń w sztukmistrzów oko, dwojakiéj bywają natury: oderwanéj i konkretnéj. Pierwszy, uogólniając typy, wzbija się do ideału i szerokie zwykle obejmuje widnokręgi. Drugi trzyma się zakresów ciaśniejszych, obrabia, że tak powiem, szczegóły i dla powetowania niby sobie braku wysokich lotów, posiłkuje się wyraźniejszą nieraz od pierwszego plastyką. Bardziéj, a może równie konkretnego talentu jak talent Chodźki, w piśmiennictwie naszém wskazać nie podobna. Trzeba się chyba cofnąć do pisarzy Zygmuntowskich. Odtąd.... odtąd tyle przeróżnych okoliczności wpłynęło na szczególny wzrost u nas wyobrażeń oderwanych, skłonności do uogólniania.... Skłonność ta, w większym lub mniejszym stopniu odznacza wszystkie nasze współczesne, jakiego bądź pokroju i stopnia, pisarskie talenty. Każdy pisarz u nas zostaje mniéj więcéj teoretykiem—i możnaż się temu dziwić! Chodźko tak dalece wyłamuje się z pod ogólnego tego prawidła, że go posądzamy niemal o to, że się wyłamał, w części przynajmniéj od ogólnych na wytworzenie prawidła tego działających motywów. Niezdolny do uogólniania, obcy wyobrażeniom oderwanym, realista jakich mało, uderzony bywa przedewszystkiém zewnętrzną stroną zjawiska. Wyobraźnia jego jest po prostu kamerą obskurą, w któréj zjawiska te odbijają się wiernie. Odbicie przenosi na papiernie wkraczając w żadne hipotezy, żadnych nie wysnuwając wniosków. Czy miał słuszność? Miał ją o tyle o ile natura jego talentu do takiego się tylko nadawała tworzenia. Widoczném to jest w utworach jego. Gdzie talent na odpowiednim stanął gruncie, wydał owoce zdrowe, jędrne, gdzie wpadał w refleksyą, sięgał po rzeczy oderwane lub po wytkniętych kroczyć chciał drogach, śród ckliwości i niedołęztwa tonęły rozsypane brylanty plastyki i werwy. To nawet, co mniéj samorzutne talenty zasila, co niemi steruje, prawidła kompozycyi, to go krępuje, bruździ mu, płoszy werwę, wiedzie na manowce. Z kompletu pism Chodźki bez

uszczerbku dla literatury i sławy pisarza, dałyby się wykreślić „Poddany“, „Ranek przed ślubem“, „Powrót dziedzica“, „Duch opiekuńczy“, „Drugie pamiętniki kwestarza“, „Jubileusz“ i niektóre podania. Chcąc kroczyć wyżéj, umysł pisarza nie dopisał, a talent chybił. Gdy przeciwnie tam, gdzie się Chodźko żadną nie krępuje rutyną, żadnéj nie rozwija tezy i tworzy wbrew przyjętym prawidłom kompozycyi, pod piórem jego czytelnik znajduje prostotę, towarzyszkę wielkości, prawdę nie dająca się oddzielić od piękna i aż do filozoficznéj głębokości, wydzielającéj się bez współudziału jakoby pisarza, z saméj doskonałości utworu. Porównywając jedne z drugiemi utwory Chodźki, widzimy dowodnie, że najlepsze z nich są dziełem samego talentu bez współudziału rozmysłu pisarza. Rzadkie to zjawisko — i to, co powiedziałam dopiero, wydać się może zrazu paradoksem, gdyż zwykle talent potrzebuje być zasilanym przez umysł i bez tego zasiłku marnieje, trwałego nie wydaje dzieła. To téż z walki tej niebezpiecznéj wyjść może zwycięzko tylko talent konkretny, trzymający się oburącz realizmu, ostatnie słowo doskonałéj kopii. Chodźko dostarcza nam jedyny może w swym rodzaju przykład bogactwa treści i wdzięku formy oryginalnéj na wskróś, obok tak zupełnéj, rażącéj nieudolności do uogólniania. Czytając go, wówczas nawet gdy się jasno widzi wszystkie jego usterki, bierze ochota zastosować do niego to, co Ezop podobno wygłosił, a stolnik Chomiński w raptularzu swém zapisał: „Si me et turba mea par esse potueris, cedam loco“... Ale nie przedtém.

II.

Chodźko urodził się na schyłku przeszłego stulecia, w 1794 r. Rodzina jego odznacza się umysłowemi zdolnościami. Stryja znamy w piśmiennictwie naszém pod imieniem *Jana ze Świsłoczy.* Przy nim to właśnie wychował się Ignacy. Z trzech synów pana Jana: Aleksander został profesorem literatur Słowiańskich w Paryżu, Józef podróżnikiem, Stanisław chemik, dokonał podobno użytecznych w agronomii wynalazków. Inni znów, nie wiem już w jakim stopniu krewni Ignacego, odznaczyli się: Leonard jako bibliotekarz w bibliotece św. Genowefy w Paryżu, Michał jako literat, Dominik jako wydawca dzieł Brodzińskiego. Wszystkich ich zaćmił Ignacy, chociaż wiek cały „doma“ siedział, z dziedzicznéj swéj Dziewiętni, w powiecie Oszmiańskim, nie wyglądając na świat szerszy.

Uczył się u Bazylianów w Borunach i prześliczny pozostawił potomności obrazek szkolnych swych czasów („Boruny“). Był po-

tém w uniwersytecie w Wilnie. Od najpierwszéj młodości czuł pociąg do literatury i do pióra. Zrazu klasykiem był i pisał wiersze serdeczne i sztuczne zarazem, z których-by mu jednak potomność nie splotła nietylko laurowego wieńca, lecz ani nawet skromnéj niezabudek równianki. Niepospolitém jest bardzo zjawiskiem to, że jego samorzutny w wysokim stopniu talent, nie wyskoczył odrazu i nawet się nie ujawnił za młodu. Sami przyjaciele jego zarzucali mu, że „laty długiemi uzbierany skarb kryje we wnętrznościach ziemi.“ Nalegali nań, „aby zasiane w wieku wiośnie ziarno wydało owoc.“ On się ociągał. W prawdzie w 1829 r. to jest licząc już wieku lat 35, dał do wychodzącéj w ówczas w Warszawie *Meliteli* Odyńca powiastkę „Poddany“, nie mającą żadnéj artystycznéj wartości, chociaż ją chwali bardzo w jednym ze swych listów pobłażliwy Mickiewicz. *Athenaeum* Kraszewskiego drukowało potém parę jeszcze literackich drobiazgów nierównéj wartości, gdyż był tam prześliczny obrazek: „Domek mojego dziadka“ i taka ckliwa elukubracya jak „Ranek przed ślubem“ i taka gruba farsa jak „Samowar.“

Wszystko to nie dawało miary tego, co Chodźko mógł i miał zrobić. A lata biegły. Dobiegły mu do przełomu męzkiego wieku (1), zanim się zdobył w 1843—1844 roku na „Pamiętniki kwestarza“, a w sześć lat późniéj dopiero na „Dworki na Antokolu.“ Trudno niemal uwierzyć, aby utwory te tak świeże, *prime-sautiers*, wedle doskonałego francuskiego orzeczenia, były owocem spóźnionego wieku, powstały z długoletniéj aglomeracyi wspomnień i wrażeń. Tak było jednak. Wrażenia i wspomnienia, lgnąc jedne do drugich, przez lata długie krystalizowały się w wyobraźni i myśli pisarza, zanim spadły mu z pióra jak deszcz gwiazd promiennych. Kryształy te na pyłki rozbite nie tracą swych ścislych geometrycznych linij i kształtów.

Cóż mogło tak opóźnić ostateczne zamanifestowanie się tak wybitnego talentu? Co? Natura tego talentu nie dopasowana do prą-

---

(1) Pan Feliks Zawadzki, obecny przedstawiciel w Wilnie zasłużonéj wydawniczo-księgarskiéj firmy, zechciał na prośby moje sprawdzić daty znajdujące się na rękopismach Chodźki, złożonych w archiwach jego księgarni. Serya I (zawierająca powiastki czyli raczéj obrazki drukowane po różnych przedtém pismach) wyszła w 1840 r. Serya II („Brzegi Wilii“) pisana była w 1841. Serya III („Pamiętniki kwestarza“) nosi datę na rękopiśmie 1843—1844. Wychodziła zaś w 1844—1845. „Dworki na Antokolu“ wyszły w seryi V w 1850. Potém wyszły „Podania“, „Dwie konwersacye z przeszłości“ — obie te rzeczy drukowane przedtém były w roku 1854 i 1855, w odcinku „Gazety Warszawskiéj.“ Jednym z ostatnich utworów Chodźki są „Nowe pamiętniki kwestarza.“

dów czasu, w którym miał tworzyć, sama jego sprężystość nie dająca się nagiąć lub wciągnąć na nieodpowiednie dlań tory.

Dwie szkoły walczyły wówczas o „klucze z ametystu otwierające drzwi Geady.“ Była doba, w któréj się walka zaogniła w spór zawzięty. Gieniusz Adama, nakształt Aleksandrowego miecza przerzynającego prawem zwycięzcy gordyjski, przez ciemne wyrocznie splątany węzeł, roztrzygnął spór klasyków z romantykami. Za Mickiewiczem poszła cała plejada poetów i narodowych naszych pisarzy. Na te przepyszne lecz spienione uczuć i namiętności wylewem szlaki, na które romantyzm porywał wielkie i umysły serca wielkie, nie puszczała Chodźkę, jego niezdolność wzbicia się do pojęć oderwanych, jako téż jego iście klasyczna, chłodem trącąca pogoda ducha. Romantyzm wszystko uogólniał, wzbijał do abstrakcyi, wszystko oprócz boleści, co go przykuwała do ziemi wówczas nawet, gdy się wznosił najwyżéj w sferach ideału. Zrodzony z burzy rewolucyi, rwącéj przeróżne więzy, wziął rozbrat z pogodą i ze spokojem, karmił się negacyą, cofał przed absolutem, wówczas nawet gdy zginał przed nim „gromowładne czoło.“ Wobec przeszłości, o któréj zwątpił, wobec głuchych poruszeń nurtujących dna społeczeństw i myśli ludzkiéj, wobec przyszłości, któréj tajemnice pragnął przeniknąć, stawał zbuntowany lecz zbolały i zwątpiały, pyszny jak budzące się do życia w łonie ludzkości przedtém bierne siły, ciskając do koła palące zaklęcia i zuchwałe pytania. Duchowe i intellektualne te wiry porywały „gromowładne“ dusze, w których dopiero po burzy „Dziadów“ i „Wallenroda“ zajaśnieć miał spokój narodowéj epopei w „Panu Tadeuszu.“ Wiry te, rozświecone błyskami gienialnych umyslów i serc gienialnych, olbrzymich pragnień i ukochań, pociągały téż duchy bierne, aby je roztrzaskać lub wyrzucić na brzeg piaszczysty—pospolicie, nakształt tych ślimaków, o których mówi poeta, że raz tylko

„. . . . . falą niepogody
Porwane z mętnéj wynurzą się wody,
Otworzą usta, raz westchną ku niebu
I znowu wrócą do swego pogrzebu!“

Obok wulkanów tedy wybuchały na arenie romantyzmu błędne ogniki, obok słońca zapalały się meteory. Ale Chodźko nie był ani „gromowładnym“ ani biernym duchem, nie był słońcem i wulkanem, ale téż nie był meteorem kreślącym na horyzoncie szybką parabolę by zgasnąć we mgłach. I on czuł w sobie potęgę, tylko inną, różną od téj, która stała się podówczas duchową i literacką dźwignią. Stał tedy opornie wobec wszystko porywającego potoku. Niezdolny zapewne zgłębić jego nurty, niezdolny dążyć ku oceanom, ku któ-

rym odpływał ów potok spieniony, realista z temperamentu, umiarkowany, zrazu czujném uchem pochwycił same rozdźwięki huraganu, trzeźwem okiem humorysty, przesadę w jaką romantyzm popadał. Wyśmiewa tedy tych, którzy „nie myśląc głębiéj i powierzchownie znowu do naśladowania nowéj obczyzny, do imienia, do form nowych i do tytułów się przywiązując, we wskrzeszeniu średniowiecznéj minstrelów i trubadurów poezyi, doskonałość widzieli i nowe Donkiszoty starego Pegaza na Rossynantę jakoby przehandlowawszy, we własne go tylko i swojskie, mniéj więcéj zręcznie podrobione stroili rzędziki.“ Na młodziutkiego wówczas Odyńca woła:

„Czy zły duch, Panie odpuść, w sercu twojém siedzi,
Że cię ni żadne prośby, ni żadne przestrogi,
Z tak zwanéj romantycznéj nie sprowadzą drogi...“

Romantyzm uważa za importacyą obcą. Słucha z uwagą barkaroli przyjaciela swego Juliana (Korsaka):

„Po dolinie
Brenta płynie,
Po niéj płynie cień gondoli,
Z szumem wiosła
Fala niosła
Tęschną nutę barkaroli!“

Przyznaje, że to jest melodyjne, wdzięczne, ale... jemu więcéj do serca przypada prosta piosenka tkliwego kochanka Justyny:

„Potok płynie doliną,
Nad potokiem jawory....“

To go dopiero rozmarza, rozkwila. To przemawia do konkretnych właściwości umysłu jego i wyobraźni. Dolinę, potok, jawory i drżącą do piersi ukochanego tulącą się dziewczynę, znaleść można tuż, obok, w téj saméj kochanéj, dziedzicznéj swéj Dziewiętni. Tego nie trzeba szukać gdzieś po za krańcami świata—to jest Litwy. To nie ułuda, to rzeczywistość, równie dostępna jak ponętna. Romantyzm lubuje się w ułudach, stwarza je tam nawet, gdzie ich niema, w najpospolitszych zjawiskach widzi nadprzyrodzone, roi się w nim od czarownic, biesów, potępieńców. Jest to obłęd, zdaniem Chodźki. Dowcipnie téż paryoduje on (1) balladę, tę ulubioną przez swych młodych przyjaciół formę:

Szło dwóch w nocy z wielką trwogą,
Czy to pies?
Czy to bies?

---

(1) Wiersz ten powszechniéj przypisują A. E. Odyńcowi. — (*P. R.*).

Rzecze jeden do drugiego,
Czy ty widzisz psa czarnego?
Żaden nic nie odpowiedział,
Żaden bowiem nic nie wiedział.
Czy to pies?
Czy to bies? i t. d.

Znacznie już późniéj, wówczas kiedy najpotężniejsze głosy romantyków milkły już, a pozostawał tylko niedołężny świegot bajronizmu, Chodźko każe drugiemu swemu kwestarzowi (w 1855 r.) spotkać próżniaka, maniaka, „któremu orzeł Albionu objawił się i nauczył go patrzéć z wysoka na świat i ludzi.“ Młodzian ów woła słowami najserdeczniejszego przyjaciela młodości Chodźki, Odyńca:

„O wy ludzie! wy psy! wy gorsi
Od psów.....“

A daléj:

„Wrzeszczcie, czcza wasza rachuba!
Próżniactwo moje to chluba!“

Poczciwy bernardyn na poskromienie szaleństwa tego młodzieńca, którego wartoby odesłać do czubków, daje stroskanemu rodzicowi „preskrypcyę“ wedle Naruszewicza:

„......proszek doskonały
Na upor, muchy w nosie, miłośne zapały.“

Jeśli jednak Chodźko zajmuje oporne stanowisko względem romantyków, to i klasykom nie przepuszcza, nicując nawet własne swe poetyczne utwory. Żartuje sobie „z szumnych od, milutkich anakreontyków, słodziutkich tryoletów i czterowierszy, które pan Ignacy (on sam) pisuje, talent czy tylko pretensyą do talentu wyniosłszy z lekcyi Euzebiusza Słowackiego literatury polskiéj, wykładanych w uniwersytecie wileńskim, najściślejszym wówczas klasycyzmem i francuszczyzną tchnących.“ Daléj tak pisze w tym samym przedmiocie: „Ktoby dziś dojrzałym a bezstronnym sądem rostrząsał te poezye i wszelkie inne z tamtego czasu, bo wszystkie podobnego sobie są kroju, znalazł by w nich wielką umiejętność rymowania, politurowaną gładkość wiersza, niekiedy dowcip, w niektórych wyraz przypominający Trembeckiego rzymską polszczyznę, lecz nigdzie poezyi ducha, nigdzie samoistności.“ Gdzie indziéj jeszcze surowszy sąd wydaje o tych grzechach swojéj młodości. „Ody— pisze w 1859 do Symonowicza — popal, zmiłuj się. Są to najgłupsze deklamacye a przesadzone od początku do końca, nie chciałbym i śladu takich kiepskich poezyj.“

I tu źle i tam niedobrze. Przeciw akademickiéj rutynie i martwocie pseudo-klasycyzmu buntują się właściwości oryginalnego talentu, ta „samoistność,“ którą Chodźko czuje w sobie. Na szlaki romantyzmu, zbyt strome, zbyt w górę wybujałe, nie puszczają go słabe strony jego umysłu i samegoż talentu konkretne właściwości. Z jednéj strony ziębią go sztuczne „polirowane“ połyski. Jeśli czyje to jego pióro zamaszyste, nie nadawało się do akademickiéj téj politury. Z drugiéj strony odstraszają go wulkaniczne wybuchy. Jeśli nie jest tak wystudzonym, aby poprzestać mógł na tém, co dać może zwiędły pseudo-klasycyzm, to znów jakżeby mógł, chociażby w roli *juniora* zaciągnąć się do bractwa zrozpaczonych, on ani zwątpiały, ani zbuntowany, zostający w zgodzie z całym światem, grek pogodny, nawet wobec zbałwanionych mórz oceanu ludzkości, nawet wobec żałoby, któréj całuny przysłaniały jego dach rodzinny? „Iskra święta“ talentu i twórczości, płonęła mu w piersi jasnym, spokojnym, nie strzelającym pod niebiosa, ale i nie niknącym w mgłach i chmurach płomieniem. Właściwego dla niéj ujścia długo znaleść nie mógł. Lata biegły, dobiegły mu do przełomu męzkiego wieku, a on nic jeszcze nie stworzył. Mieszkał na wsi, nie osobliwie wiódł gospodarkę, udzielał się sąsiadom lubiany za dowcip i pogodny humor, przypatrywał się, przysłuchiwał, przypominał zwłaszcza, zbierał, marzył téż zapewne, we właściwy sobie sposób, nie oderwany, nie głęboki, nie nurzający się w obłokach fantazyi lub otchłaniach filozoficznych zagadnień, lecz utkany z barw i linij pochwytnych wprost z natury i dających się natychmiast określić. Marzył raczéj jako malarz niż jako poeta a w tajemniczéj pracowni jego ducha wyrabiały się materyały do „Obrazów litewskich.“

Jednocześnie wyrabiały się wyobrażenia jego o samym pisarskim zawodzie. Czego potrzeba dla treści? Tego właśnie czém czuje się przepełnionym: „*rerum cognoscere causas.*“ Dla formy? Tego co mu się ciągle marzy i co ma mu posłużyć za motto: „prostéj a zatém najkrótszéj linii“. Linia ta prosta i krótka, może się wszelako zabarwiać wszystkiemi barwami tęczy — kolorysta w rodzaju Rubensa, wszędzie widzi barwy. Nie dość na tém, w różnorodnych kształtach, które dostrzega do koła a które w wyobraźni jego odbijają się jak w kamerze obskurze, linije owe proste i krótkie mnożą się do nieskończoności, układają coraz to inaczéj. Klasycyzm, czyli raczéj ta jałowa zmiana w piśmiennictwie naszém, która się klasycyzmem być mieniła, nie znała barw ani linij śmiałych. Do miary romantyzmu on znów nie dorósł. Tam wszystko było wystygłym pozorem nie zaś godło owo „rerum cognoscere causas,“ tu, zamiast owych prostych, w stały grunt wbitych głęboko linij, przekwitłego

gotycyzmu arabeski gubiące się aż tam.... gdzie ich oko i myśl Chodźki doścignąć nie zdołały. Znalazł on wreszcie to czego mu było potrzeba. Dojrzały, pogodny wkroczył..... mamże powiedzieć? na drogę realizmu w sztuce.

Przypisanie Chodźce ojcostwa téj szkoły, mającéj się za nader świeżą, nie ubliży jéj chyba, chociaż cofnie nieco wstecz jéj metrykę? W rzeczy samej szkoła to jak świat stara, i któréj wszystkie znane piśmiennictwa zawdzięczają swoje, jeśli nie przednie, to przynajmniéj nie starzejące się utwory. Tylko, Chodźko wcale o szkole téj nie wiedział i może lepiéj na tém wychodzą i pisarz i czytelnicy? Nic nie wiedząc o teoryi *doświadczalności* (*le roman experimental*), nic nie wiedział o społecznych tezach i naukowych—częstokroć nader rezykownych hipotezach, które wciśnięte w naturalistyczne ramy, przechadzają się dziś po powieściach szkoły realistycznéj, jak na szczudłach, najzupełniéj niczego nie dowodząc, chyba tego, że się szkoła rozwija, że swém zadaniem, goniąc za teoryą tam, gdzie, wedle nadpisu na frontonie, idzie o samą objektywną obserwacyę faktów i zjawisk, o wierne przenoszenie takowych na płótno lub papier.

Bądź co bądź najgłośniejsi a współcześni nam adepci szkoły téj, pomimo protestacyi swych i tysiąckrotnie ponawianych zapewnień, są teoretykami. Z gromady zjawisk wybierają, a zwłaszcza już—i w tém zdaniem mojém błąd tkwi—*odosobniają* te, które najjaskrawiéj ilustrują bronione przez nich tezy. Upewniają, że rysują z natury, tymczasem najpospolitszy czytelnik posądzić ich może, w obec ich jednostronności, że są co najmniéj na jedno oko nie widomi. Oślepieni Hartmanowskiém przeczeniem naszego wieku, nie są jednostajnie czuli na wszystkie podmuchy życia i natury. Wybierają same rozkładowe, cuchnące, zabójcze. Nie wątpimy wprawdzie, że te ciemne społeczne, psychiczne, patologiczne wreszcie szlaki, po których kroczą, z tryumfem talentu i plastyki: Zola, Flaubert, bracia Goncourt, krzyżują się na bożym świecie, że się po nich roi tysiące i tysiące tysięcy istnień ludzkich; że ich wyziewy zatruwają zdrowotność społeczną, a ich ofiarami padają nie tylko ludzie tych dolnych warstw, w których się rekrutował personel „Assomoiru,“ ale i tych, w których obracają się różnorodni czciciele „Nany“, aż do tych, którzy stoją na szczytach, na które wspina się jego ekscelencya Eugienjusz Rougon. Tém nie mniéj są na bożym świecie szlaki inne, szczytne, świeże, i od sztuki, odzwierciadlającéj objektywnie i bezwzględnie prawdę zjawisk życiowych, mamy prawo domagać się, aby nam nie przedstawiała samych cierni, lecz i kwiaty, nie same fosforyczne połyski zgnilizny, lecz i ciepłe promienie

słoneczne, nie same ciężkie bryły lecz i niepochwytne ćmy mgławic i srebrzyste smugi księżyca. To też w realizmie Chodźki, ponętną jest przedewszystkiém jego szczerość, prawda istotna, nie zaś sztuczna, odźwierciadlanie zjawisk wierne, kreślenie obrazów, w których się światła i cienie krzyżują do nieskończoności. Świateł tu będzie nawet daleko więcéj niż cieni. W samych chociażby krajobrazach, stanowiących malownicze tło jego opowieści. W tym względzie, i wracając do porównania literatury z malarstem, pióro Chodźki przypomina pędzel Ruisdael'a i Rosy Bonheur, dla tego też, warto abyśmy przegląd utworów Chodźki rozpoczęli rzutem oka na te malowane opisy przyrody rodzimé j.

III.

Pisarz i artysta, chociażby najbardziéj objektywny, tworząc snuje coś z siebie, do tkaniny dzieła swego, używa nici zafarbowanych wrażeniami, których świadomość utracił od dawna, a które na pracy jego kładą te odbłyski jakie zaszłe dawno słońce zostawia na chmurach i obłokach zachodu. Społeczność która go zrodziła, z przeszłością swą, dążnościami, ruchem obecnéj chwili, rodzina z któréj wyszedł, nauka którą otrzymał, otaczają go pewną atmosferą, po przez którą spogląda na otaczające go zjawiska. Przyroda wreszcie śród któréj wzrasta i żyje, silne wpływy wywiera na naturę i kierunek jego zdolności. Konkretne właściwości talentu Chodźki czyniły go nie wątpliwie czulszym i wrażliwszym na *powszednie*, że tak powiem, wpływy przyrody rodziméj. Wyobraźnia nie przenosiła go w odległe krainy i pod dalekie nieba. Jemu się, wraz z „Farysem“ nie śnił wschód płomienny. Nie zdołałby pod skwarném niebem przeboleć konania „Ojca zadżumionych,“ ani się przerzucić z „Anhelim“ na śnieżne całuny okrwawione zorzą północną. Ani razu, ani na chwilę ulotną świat mu się nie wydał „cmentarzem z łez, z krwi i błota.“ Nie przebywał „Golgoty“ podnoszącéj męczenników swych do wieszczéj godności. W obec rodziméj przyrody stawał za to jako naiwny lecz tkliwy kochanek. Nie była mu ona ani „Eloe,“ ani „Beatryczą,“ ani aniołem, była poprostu dziewczyną, którą chciał tulić do bijącego serca, lub matką-karmicielką, u któréj piersi zawisł, spijając z niéj same mleczne słodycze. Matka ta karmicielka, dziewuchna ta sielska, szumem gajów i szmerem strumieni nuciła mu same rzewne, łagodne kołysanki. Miałżeby tęsknić po piaskach Sahary, po niezmierzonych oceanu przestrzeniach, po lasach dziewiczych i niebotycznych skałach? Po co mu to? Wszak

miał łan zboża, gaik na skraju, na obłokach gór i skał załomy zmienne, ruchome, a do koła opasała go morową wstęgą „rodowita“ jego Wilja. Mnogie w nią wpadają strumienie, czasem od dłoni nie szersze, pląsają po dnie wysłaném kamykami i niby kipiącym w godowych czarach szampanem tryskają w błękitne źrenice zapatrzonych w nie niezabudek, lub przycichają stłumione i w gęszczu *ajeru* (tataraku) wiodą roshowory z żabkami, zalecanki stroją do łóz o długich warkoczach zielonych. Brzegi Wilii niezbyt gęsto osiedlone. Miejscami panuje tu cisza dziewiczéj niemal natury. Tu, niegdyś w zmierzchach przysłoniętych nie dającemi się usunąć tajemnicami przeszłości, odróśl starożytnych Aryów przeniosła „zaświatowe“ swego szczepu marzenia. Gdy u stóp Himalaju marzenia te potęgowały się i nabierały nieznanéj innym strefom grozy, gdy na zachodzie przerzucały się w czyny, tu, na tym litewskim skrawku ziemi, odciętym przez lat wiele od ruchu całego świata, niedostępnym europejskiéj kulturze, przycichły one i zastygły w pragnienia, w szepty rzewnéj zadumy. Wszystko tu do snu kołysze: cisza, pary zwisające nad rzeką, puszyste łąki, szumy borów, i te kotary, któremi bory opięły to litewskie gniazdo. Wilja płynie równo. Słychać śpiewne nawoływanie flisaków: „U-laż! a-u-o! na-stos!“ Rozumiemy pisarza, gdy nas upewnia, że „dobrze jest z pogodną duszą, bez tęsknoty i trwogi, w pięknych dniach wiosny roku i wiosny życia, puścić się i płynąć bezpiecznie rzeką ojczystą, po któréj brzegach co raz to nowe, coraz to rozmaite, coraz piękniejsze, a wszystko swojskie, domowe, „kochane“ spotykamy widoki („Brzegi Wilii t. I, str. 171). Nie sądźcie tylko proszę, aby w widokach tych było coś osobliwszego. Tu, kamień Pacem zwany, łysy łeb wysuwa z wody, tam młyn jakiś, lub w Żodziszkach młynu szczątki. Tu historyi wpół starta karta, tam od historyi żywotniejszego podania strzępki. Tu okop—ślad pobojowiska! tam omszona ruina—ślad zgasłéj świetności! Tu i owdzie, w niebo strzelają wysmukłe dzwonnice, na tle sadów dwory bieleją i dworki—siedlisko uspółecznienia, kultury niestarte ślady... Wszędzie gromady strzech niskich, niby w kucki przysiadłych, szarych, powichrzonych. To wioski litewskie! A tam, na wzgórzach piaszczystych rozwiane wiatraki płynącym po nad niemi obłokom przesélają znaki porozumienia, a krzyże na wiejskich *mogiłkach* (cmentarzach) i przy rozstajnych drogach wyciągają długie ramiona, na których spoczywają wędrowne ptaki. Taką jest „piękna i szeroka Litwa nasza“, napawająca nas „rozkoszą czystą, niewinną, prawdziwą nadewszystko“ („Brzegi Wilii t. I, str. 171).

Roskoszy téj zapewne nie odczuje nie wtajemniczony. Obcemu może się Litwa nasza nie wyda ani „piękną,“ ani „szeroką.“ To

jednak pewne, że znać „krainy naszéj Bóg nie upośledził", jak mówi autor „Obrazów litewskich," skoro wzbudza ona najtkliwsze przywiązanie swych dzieci, skoro jéj przyroda nastraja takie śpiewne liry. Mickiewicz porównał ją ze zdrowiem, dał jéj Grażynę, Walenroda, Dziady i Pana Tadeusza. Syrokomlę ci, którzy go niedoceniają, pomawiają aż o zaściankowy patryotyzm. Rzec można, że Litwa stała się piastunką poetów a kto ją zna bliżéj, uderzony bywa poetycznemi skłonnościami wszystkich niemal jéj mieszkańców. Najskąpiéj przez naturę i oświatę wyposażone umysły marzą tu coś wpół śnie wpół jawie, ludzie zaś, którzy nic zgoła nie czytają a piszą nieortograficznie, rymują na zabój.

Ilu znam na Litwie podobnych *sui generis* poetów, nie zliczę; ile w przeciągu niespełna trzyletniego istnienia swego, wydawnictwo Orzeszkowéj i s-ki w Wilnie otrzymało zeszytów rymowanych, w to uwierzy ten chyba, kto poznał tę lawinę: poematów i dramatów, balad, piosnek, sonetów, których.... drukiem ogłaszać było chyba niepodobna, tak się mało kwalifikowały do rzędu literackich produkcyj. Tém nie mniéj w popędach tych poetycznych, tak szeroko rozrodzonych na Litwie, jest niewątpliwie *coś*, co niedojrzałym, niewykształconym nawet umysłom naszeptuje otaczająca je przyroda. Niech owo *coś* wpadnie w ucho artysty, niech je pochwyci talent, a będzie utwór cenny, w którym góruje swojska nuta, swojska barwa. Te nuty podsłuchał i podchwycił, barw tych dopatrzył i na papier je przeniósł w całym ich blasku Chodźko. Wiosną oczarowały go dziewicze rumieńce i dreszcze rodziméj przyrody. Śnieg, pisze, „wcześniejszym dogrzany promieniem, stopniał i w szumne rozlał się potoki. Gdzie-indziéj pod płotem leżał on jeszcze zczerniałym kosmem, jak stary łazarz w łachmanach, oczekujący chwili, gdy go ziemia pochłonie; lecz natura czuła już popęd do życia. Chwila jeszcze sennego odrętwienia... przejdzie natychmiast a wszystko razem jedną ożywczą popchnięte siłą rozwinie się, zazieleni, zakwitnie. Skowronek w powietrzu, wierzba na ziemi obwieszcza tę chwilę i uprzedza."

Cóż się złożyło na ten obraz? Niby nic: kosm zczerniałego śniegu i dosadne porównanie do łachmana nędzarza, którego ziemia pozrze, słońca promień cieplejszy, szum wód przybywających, kiściasta wierzba i na słońca promieniu nad ziemią zawieszony skowronek. Z tych kilku prostych a tęczowych linij Chodźko utworzył krajobraz owiany wiosną. Teraz lato się zbliża, więc i barwy będą gorętsze, chociaż nie stracą porannéj świeżości.

„Gęsta mgła rozwlekła się nad ziemią i nad rzeką, przejmowała pierwsze promienie wschodzącego słońca, które padały w nią

z góry i tonęły, lecz przebić jéj i rozproszyć nie mogły." W taki to letni poranek, podróżni płyną z biegiem Wilii, nie widząc ani rzeki, która ich niosła, ani jéj brzegów. Kiedy niekiedy tylko rybołów szerokim, białém i błyszczącém skrzydłem rozciął horyzontalnie, jak mieczem mgłę, plusnął piersią po rzece i wyrwał z wody płotkę, z którą znowu we mgle utonął"... „Powoli jednak ćmy te wilgotne, mocniejszym słońca promieniem dogrzane, rozrzedzać się i niknąć zaczynały." Rozwiała je wreszcie dzienna pogoda. „Niebo oblało się światłem, gdzieniegdzie tylko poskupiane obłoki, lekkim pędzone wiatrem, płynęły po jasnym błękicie. Dziwne i rozmaite ich formy w coraz to nowe zmieniały się widma. Tam coś nakształt ogromnego sfinksa, przechodzącego powoli i nieznacznie w straszliwą figurę czarownicy z miotłą w ręku i z zawojem na głowie; owdzie kawalerzysta na wielbłądzie, którego długa szyja rozciągając się coraz dłużéj, zamienia się razem z jeźdźcem w smoka ze skrzydłami, tam znowu jakby z wysp ruchomych, skupiających się jedna na drugą, wznosi się góra ogromna, w szczerbate połamana krawędzie, któréj wszystkie brzegi, słońce za nią ukryte złotem oblamowało; po tych szczerbach i krawędziach, wspina się, czepia i przewija coraz wyżéj mały obłoczek. Nagle zanurza się i ginie w olbrzymich zwojach chmury... Po chwili słońce wzbija się nad chmurę, osiada na jéj szczycie, zapala tam ognisko wulkana i gorejącym promieniem rozczepia góre na dwoje... chwieje się ona całym ogromem i nakoniec kłębami lawy rozpływa się po niebiosach."

Zwróćmy uwagę na barwy tego krajobrazu, na panujący w nim ruch naturalny, swobodny, na realizm opisu, nie ujmujący nic wysokiéj poetyczności. Istotnie opis ten mistrzowski, poranku wytrzymać może porównanie ze sławnym zachodem słońca Byrona: „The sun is up and yet it is not night." Spójrzmy jak zachód wygląda pod piórem Chodźki.

„Dzień się skłaniał ku schyłkowi, promień zachodzącego słońca spadł na rzekę, łamiąc się rozmaicie podług jéj biegu: raz nam ćmił oczy jaskrawym blaskiem, odbitym na wodzie jak na palącém zwierciadle i płynęliśmy natenczas ogarnieni światłością, która nas ze wsząd i z pod wody nawet oblewała, to znowu gdy rzeka inny brała kierunek a zapadające słońce borem się zasłoniło, wypływaliśmy na ciemne głębinie i przesuwaliśmy się przez szerokie cienie zalegające nurt rzeki i jéj brzegi a ustępujące powoli i nieznacznie blademu wieczornemu światłu. Zewsząd dochodziły głosy owych krzykliwych a smutnych pieśni włościanek naszych, któremi się one wracając z pola do domów pocieszają; zalatywała woń miła i ożywiająca świeżych pokosów, kwitnących jeszcze z rana, podciętych

w południe, więdniejących wieczorem..... kilka stad krówek przybiegało z paszy do rzeki i brodząc po miałkich jéj brzegach gasiło pragnienie i kąpało się rzeźwo.“

Któż z nas nie zna tego wieczornego krajobrazu. Widzimy podobne codziennie niemal w letniéj porze. Istotnie „swojskie“ to, „kochane“ i malowane z prostotą i wdziękiem pogody i spokoju. Może sądzicie, że noc ta, która ma zapaść, przyniesie mroki grozy pełne? Gdzie tam! W typowym dworze litewskiego szlachcica, u pana wojskiego oszmiańskiego, w Dziewiętni, wieczór zapada „cichy, ciepły.“ Na Wilii dostrzegamy: „zdaleka ruszający się płomień, nagle powiększa się on i rozszerza, oznaczają się w blasku lub znikną w ciemnocie dęby, jak olbrzymy nieruchome; między niemi snują się dziwaczne ludzkie postacie, to kłębami dymu otoczone, to czerwieniejące się naokoło ogniska. Nakoniec cała ta zgraja szatanów rozbija się, dzieli po rzekach, ogniska oddalają się powoli, błyskają coraz słabiéj po wodzie, wkrótce wszystko niknie, przepada...“

Tą „zgrają szatanów“ byli poprostu rybacy. Komu są znane fabryczne okolice w Anglii i we Francyi, a chociażby bliżéj nas na Szlązku, huty rozpalone, kominy olbrzymie, kłęby dymu i iskier śród których uwija się w nocy ciżba ludzka, ten niech porówna te otchłanie, istne piekła, w których wre, kipi praca, z tym nad-wilejskim nowym krajobrazem, gdzie ognie, ludzie nikną, płyną śród zaczarowanéj ciszy nocy i przyrody. Robi to wrażenie fragmentu z zaczarowanéj jakiejś baśni. W mieście taż sama niemal co na wsi cisza. Śnieg pokrył ulice Wilna, noc upływa cicho i niktby godzin nie liczył, gdyby nad niemi nie czuwały zegary na wieżach kościelnych, i gdyby stróże nocni, za każdém ich uderzeniem nie przyśpiewywali:

„Mości panowie gospodarze,
Już dwunasta na zegarze,
Strzeżcie ognia i złodzieja,
Macie Boga Dobrodzieja.“

Czasem jednak po tém tle nocném przemyka obraz fantastyczny. Jesteśmy w epoce, w któréj Wilno posiadało Dworki na Antokolu lecz nie posiadało latarni „posępnie wprawdzie lecz wyraźnie rysujących miasto“... „Natenczas, mówi Chodźko, w mieście pogrążoném w ciemnościach każdy sam własne oświecał drogi i dla tego smolne, ogniste, iskrzące się lonty, splątane w grube liny i na mocnych osadzone pałkach, przebiegały po ulicach jak meteory, przed pojazdami panów, gęstym dymem i rozlatującym się na wszystkie strony zarzewiem, rozbijając nocną pomrokę. Niekiedy kilka i kil-

kanaście takich ognisk postępowało na czele licznéj, brnącéj po kolana w rozbłoconym śniegu bandy, huczne wykrzykującéj wiwaty..... Na ciemnych i krętych pomniejszych uliczkach uwijały się gęsto latarki zachodząc aż na dalekie przedmieścia i jak błędne ogniki snując się między dworkami.“ A w dworkach, spokojni ich mieszkańcy gwarzą w izdebkach ciasnych, ciągnąc z lampek stary węgrzyn, lub rozkładając pasyanse. W tém pod oknami huknie cech „miastowych włóczęgów:“

„Powstań Czarnecki! przetrzyj swe powieki“...

Lecz Czarnecki zasnął sném nieprzespanym, nie zbudzi go nawoływanie nasze, zbudzi go chyba trąba ... Archanioła. Tymczasem pieśń ta nie przypada do smaku księdzu Ambrożemu. Hej śpiewaki, zanućcie inną, pełno ich macie w swych kantyczkach:

„W Tobie, Panie ufność moja,
Niech się dzieje wola Twoja!
Oj biedaż, to, to. Nadziejaż to, to.“

Już z tych przytoczeń kilku, mogliśmy się przekonać o tkliwéj miłości Chodźki do rodzinnéj przyrody, którą malowniczo maluje i o skłonności jego do kreślenia krajobrazów pogodnych, spokojnych. Wypływa to już z indywidualnego usposobienia, z temperamentu pisarza. Przyroda tutaj nie zawsze bywa uśmiechniętą. Nie wszędzie żyzne rozciągają się łany, po łąkach nie wszędzie tłuste pasą się „krówki.“ Są i wydmy ze skąpo zieleniejącemi się krzakami jałowca, są bagna i topiele pokryte kępinami czarnego torfu, spowitemi w zielsku lśkniącém, do wężowych splotów podobném. Nie same tu nam nucą skowronki, nie same pieją słowiki. Cyranki napełniają powietrze przeraźliwym krzykiem, bąk jęczy, kulik płacze, siewki urywanym głosem zdają się wzywać pomocy; w chorale przyrody błotne ptastwo, którego jest tu tyle, spełnia rolę płaczek, sowy żałobnice i puhacze popisują się przytém po cmentarzach, uroczyskach, pustkowiach, ruderach, których zapewne nieco mniéj było za czasów Chodźki, lecz których w przeciągu ostatnich lat dwudziestu namnożyło się bez liku, zwłaszcza w niektórych okolicach Litwy. Po polach naszych, po drogach, nie same wiosenne bywają roztaje. Szlochają na nich długotrwałe jesienne słoty, srożą się zimowe śnieżyce. Zwierciadła wód nie zawsze lśknią się „jak potok złoty.“ Mącą się, pienią, wylewem grożą. Nie same muślinowe, dziewicze poranne mgły owijają brzegi rzeki. Niepogoda zmienia je w ostre smugi ulewnych deszczów, mróz ścina w sine lodu bryły, ziemię całą śnieżne spowijają pokrowce. Lecz i te zpod pióra Chodźki wychodzą tylko ubrylantowane słońcem. Przypomnijmy

tylko sobie podróż porucznika Stelnickiego z księdzem Dowiatem do starostwa Kapinowskich („Dworki na Antokolu"). Przypomnijmy ten zaprząg świetny, ten *clangor*, rumor niezrównany. Ile na obraz ten autor wysypał barw i tęczowych kryształów słowa, przekonać się można chyba odczytując w „Dworkach na Antokolu, rozdział poświęcony téj saméj podróży. Najobszerniejsze przytoczenia wyobrażenia o niéj nie dadzą. Gdzie-indziéj, zima i śnieg posłużą mu jako tło do malowania scen ze szkolnych czasów, wesołéj zgrai chłopiąt na rynku w Borunach, hałaśliwych szturmów do okopów z lodu. Kiedy przypomniemy sobie jakie obrazy i sceny widok śniegu nasuwał naprzykład wyobraźni Grotgera, przyznać musimy, że pomimo niezaprzeczonych wpływów jakim na zewnątrz podlega, pisarz i artysta snują z głębi własnego łona i do zjawisk zewnętrznych stosują komentarze podyktowane własnym swym temperamentem. Tam, gdzie jeden na śnieżnym stepie wyciąga, jak rozpacz długie ponure i porwane sznury pątników... za praojca grzechy, drugi mknąć każe siwym rączym koniom, mknąć z „clangorem i rumorem," unosząc wesoło, dowcipnie gwarzących szlachcica i księdza. Oba te zimowe krajobrazy są wierne... narodowe. Tylko jeden powszedni i pospolity, choć po mistrzowsku, świetnie malowany przez Chodźkę drugi..., też powszedni lecz niepospolity. Jeden jest kartką z *raptularza* szlachcica litewskiego, drugi kartą kamienną historyi narodu. I kto wie, czy ta historyczna karta nie będzie dopełnieniem tamtéj, kolorowanéj, codziennéj, ulotnéj? Że zaś dwóch artystów na ten sam przedmiot patrzą inaczéj, dowodzi to tylko różności stanowiska na którém stają. Jeden wznosi się na szczyty, z których wzrok zapuszcza bardzo daleko, tak jak Grotger, aż po za granice mroków zagrobowych, drugi staje wprost oko w oko ze zjawiskiem codziennem. Porywa ono jego wyobraźnię jakąś barwą, jakimś słupem światła, po za to nie sięga barwę, słup światła żywcem przenosi na płótno lub papier i basta. Gdy jednak przenosi z tak mistrzowską wiernością jak Chodźko naprzykład, to pozwala czytelnikowi sięgać głębiéj i wyżéj, odsłania przed nim horyzonty, o których sam ani marzył, gdyż ich nie dostrzegał wcale. Pod każdém istotném dziełem sztuki, pod każdą nawet wierną i doskonałą kopią, znajdują się takie zagłębienia i horyzonty, których dostrzeżenie zależy już najzupełniéj od.... stanowiska, na którém stanie czytelnik.

(*c. d. n.*) *W. Z. Kościałkowska.*

POCZĄTKI CHRYSTYANIZMU.

(E. Renan. Histoire des Orygines du Christianisme. I—VII, 1862—1882).

II.

Osoby i fakta.

4.

Cywilizacya starożytna kroczyła po drodze prowadzącéj wprost do wiedzy, którą słusznie się szczycą czasy nam współczesne. Uszlachetniona pięknem, nieścieśniona żadnym dogmatem religijnym, ani téż powstrzymywana w rozwoju żadnym przepisem z zewnątrz narzuconym, nęciła jednostki echem swobody i niezależności, podnosiła umysły prawdziwą, świadomą swych środków i celów nauką. Jednakże nic jéj nie ustrzegło od zagłady zupełnéj; nic owoców jéj nie ochroniło od kilkunastuwiekowego zapomnienia. Dotknęła ona bowiem tylko uprzywilejowane od przyrody narody, a w tych narodach wyniesione przez wypadki dziejowe klasy społeczne. Miał prawo do życia politycznego obywatel, który na fali wydarzeń wypłynął jako zwycięzca; posiadał naukę filozof, który miał stosowne środki do jéj nabycia i całe życie poświęcił jéj nabywaniu. Pomiędzy wierzchniemi warstwami w każdym narodzie i większością jego utworzyła się przepaść niezgłębiona. Nie było poza obrębem państwa ojczyzny, wspólnéj dla wszystkich matki sprawiedliwéj; nie było szkół, któreby niby mosty prowadziły z klasy niższéj do wyższéj. Nic więc warstw społecznych nie łączyło z sobą. Dzieliło zaś je to wszystko, co tylko dzielić może ludzi, począwszy od nawyknień, upodobań, zabaw, wierzeń, a nawet języka, a skończywszy na pogardzie, okazywanéj przez wyżéj stojących niżéj stojącym, głuchéj nienawiści ku tamtym i nurtującéj ich zazdrości. Wyniesieni na górę nie poczuwali się do żadnych obowiązków względem tych, co u stóp ich nurzali się w błocie nędzy, gmatwali się w sieci chorób. Trzymający pochodnię wiedzy nie probowali nawet nigdy tak skierować jéj światła, by promień jego mógł spo-

cząć na pogrążonych w wiecznéj ciemności, tonących w wirze zabobonów i fanatyzmu.

To, co przynosił Chrystyanizm, było przedewszystkiem lekarstwem na rany społeczne.

Miłość braterska, którą Jezus uczuł dla swych ziomków cichych i pokornego serca, uczucie miłosierdzia dla pognębionych, które tchnął w serca blizkich siebie, przeniosły się i na obce ludy i ogarniały je powoli. Błogosławieństwa, które zesłał na prześladowanych, zapowiadając im blizką nagrodę za cierpienia i poniżenie, obiegały miasta w postaci „dobréj nowiny.“ Ci, co jeszcze nie wywalczyli sobie praw ludzkich lub wydziedziczeni byli z przywilejów obywatelskich, odtrąceni za winy swe lub ojców od społeczeństwa, niedopuszczeni do korzystania z owoców cywilizacyi, poraz pierwszy usłyszeli, że wszyscy ludzie są braćmi i jako bracia są równi sobie; poraz pierwszy się dowiedzieli, że wszyscy są synami jednego, dotąd nieznanego ojca, którego potęga i moc wnet się objawić mają w przewrotach kosmicznych i społecznych, którego sprawiedliwość zamierza wynieść ich po nad gnębicieli dotychczasowych i zapewnić im wyłącznie uczestnictwo w przyszłym królestwie bożem na ziemi. W straszną więc i nieuleczalną popadła ludzkość chorobę, skoro lekarstwem na nią mogła się stać tylko negacya dotychczasowego jéj dorobku cywilizacyjnego; skoro dla większości jéj pociechę i nadzieję przynosiła myśl, że wszystko dąży do zagłady, że całemu obecnemu porządkowi rzeczy na ziemi grozi koniec nieunikniony.

Dla tych, do których się zwracali apostołowie „dobréj nowiny,“ rozpoczęła się od chwili, gdy ją usłyszeli, w nią uwierzyli, jéj znaczeniem się przejęli, nowa w życiu epoka. Nieznane przedtém uczucia spokoju i pewności do serc ich zawitały; marzenia jasne i pogodne owładnęły ich umysłami, a przez umysły i całą ich istotą. Teraźniejszość i dla nich, jak niegdyś dla uczestników idylli galilejskiéj, utraciła była wszystkie swe cechy rzeczywistości i zlała się z widzeniami przyszłości. Życie stało się, niby pod wpływem czarodziejskiego lekarstwa, i dla nich snem tylko. Lecz tak ułudnym, tak uroczym był ten sen, że nikt nie chciał przetrzeć sobie oczu, by się przekonać, że śni tylko. Tak krzepiącém, odradzającém okazało się lekarstwo, że zapomniano, z jakiego ono pochodzi źródła, nie pytano, czyja je ręka podaje. Nie rozbudziły przeto śpiących ni gromy spadłe z ręki Tytusa na Jerozolimę, ni ostateczne pognębienie narodu żydowskiego. Wiary w lekarstwo nie podkopało wymarcie pierwszego pokolenia, które na własne oczy miało ujrzeć zapowiedziane przewroty.

Gdy pod koniec I-go stulecia ery naszéj zbory chrześciańskie przerodziły się w gminy, gdy jedno pokolenie, wzrósłszy w pojęciach nowych, przywykło do nich zupełnie, logika faktów zmusiła przygotować się do dłuższego istnienia, niż pierwotnie przypuszczano; rzeczywistość czasom, jak mniemali, przejściowym tylko nadała znaczenie utrwalonego porządku rzeczy.

Lecz dla historyka nastaje bardzo trudna epoka. Źródła stanowiące Nowy Testament pod koniec I-go stulecia zamykają się zupełnie. Na wystąpienie na arenę piśmienniczą pisarzy chrześciańskich pod własnymi nazwiskami i z cechami indywidualnego charakteru w pracach czekać należy z pół wieku. Giną więc ślady wszelkie dawniejszych działaczy. Mrok zupełny pokrywa czyny nowych. Fakta zacierają się pomysłami. Osoby rozwiewają się w legendach,

Pozostaje przeto historykowi tylko z poglądów utrwalonych w wieku III i IV, lub za błędne i heretyckie wówczas poczytywanych, wnosić o treści pracy umysłowéj w wieku II. Pozostaje, wychodząc z zasady powolnego wyrabiania się wszelkich pojęć i wierzeń, początek wierzeń i przekonań późniejszych przenieść na ową epokę; naturalnie z zastrzeżeniem, że każde wierzenie, nim się ostatecznie uwydatniło w pewnéj, ściśle określonéj formie, przechodzić musiało wiele stopni pośrednich; że wszelki pogląd, który się daje sformułować w kilku wyrazach, potrzebował, nim się mógł skrystalizować w umysłach ogółu, czasu dłuższego, niż można sądzić z pozoru, i pracy mozolniejszéj, polegającéj na kombinacyi różnych pojęć, niż z jego prostoty wywnioskować można. Metoda taka stała się koniecznością, zaledwo bowiem kilka autentycznych dokumentów, chociaż przebranych w szaty apokryficzne, zaznacza ważniejsze zwroty w rozwoju pojęć pod wpływem wypadków znaczenia ogólnego.

Zburzenie Jerozolimy i wzmocnienie władzy Rzymian w Palestynie zasadniczych pojęć historyozoficznych, na których opierał się Judaizm a wraz z nim i Chrystyanizm, w oczach chrześcian nie obaliły; a nawet poniekąd posłużyły do ugruntowania się ich. Że Żydzi byli dotychczas narodem wybranym, dowiodło tego przyjście na świat syna bożego wśród nich. Oni pierwsi usłyszeli byli z ust jego nowe prawdy. Lecz sami odtrącili z własnéj woli „dobrą nowinę“ i przynoszącego ją na śmierć haniebną skazali. Przeto, co ich obecnie spotkało, było tylko słuszną karą za czyn zbrodniczy. Z narodu wybranego stali się po śmierci Jezusa za śmierć ową narodem potępionym, na prześladowanie i zagładę skazanym.

Takie przedstawienie rzeczy pociągnęło za sobą fakt bardzo ważny w następstwach, a mianowicie, zupełne oderwanie się Chrystyanizmu od pnia, z którego powstał. Rozciąwszy stające się więzami ogniwa, które go łączyły z Judaizmem współczesnym, Chrystyanizm mógł nadal przybierać formy odpowiednie do potrzeb chwili, mógł się naginać, naturalnie w pewnych tylko granicach, do wyobrażeń i pojęć ludów, wśród których zaszczepionym został.

Oderwanie się od Judaizmu doprowadziło nawet do zerwania zupełnego z Chrystyanizmem palestyńskim. Dziwne losy spotkały zbór jerozolimski, owę pierwotną próbę wcielenia w życie pomysłów Jezusa, ową macierz wszystkich zborów chrześciańskich. Członkowie jego przez swoich odtrąceni, jako wyznawcy mesyanizmu Jezusa, do ogółu chrześcian nie przyjęci w skutek swoich judaistycznych przekonań, trzymania się ściśle zakonu i zachowania w całości rytuału żydowskiego, a nawet nazwy chrześcian nie noszący, wkrótce po skazaniu na śmierć Jakóba, przewidując klęski mającéj nastąpić wojny, opuścili Jerozolimę i schronili się za Jordan, początkowo do Pelli, miasta zostającego pod władzą bezpośrednią Rzymian, a następnie do Kokaby, w Batanii. Tam, pozostając ciągle pod kierownictwem członków rodziny Jezusa, trzymając się ściśle obok Zakonu tradycyjnych zasad jego nauki, rozszczepiając się coraz to bardziéj na drobniejsze zbory, wiedli cichy i skromny żywot i jako sekciarze zaginęli w pomroce wypadków. Siebie sami nazywali oni *Ebionim* (biedni); wśród otaczającéj ludności znani byli pod imieniem Nazarejczyków.

Również i spóźnianie zapowiedzianego powrotu Jezusa na ziemię nie wywarło skutków, którychby można było oczekiwać. Oderwanie się od Judaizmu przytłumiło odrazu poczucie interesów i potrzeb narodu żydowskiego i, co zatém musiało nastąpić, osłabiło z nich głównie wynikłe pojęcia mesyaniczne. Literatura apokaliptyczna, nie wyłączając nawet Objawienia Jana, traciła coraz bardziéj w świecie greckim na powadze i uznaniu. Ci, którzy z wiarą pierwotną oczekiwali jeszcze w czasie bliższym powrotu Jezusa i urzeczywistnienia się w całéj rozciągłości z tylu opisywań tak dobrze znanych już przewrotów; a nawet i ci, którzy odkładali je z jednéj epoki na drugą, mieszcząc w ściśle określanych terminach, zaczęli, podobnież jak i chrześcianie palestyńscy, uchodzić z czasem za sekciarzy (*millenaryści* lub *chiliaści*) (1), naiwnie lub błędnie naukę Jezusa tłómaczących sobie.

---

(1) Przypomnijmy sobie, że autor Apokalipsy Jana zredukowywał ostatecznie trwanie ery mesyanicznéj po powrocie Jezusa do lat tysiąca. Otóż trzymający się ściśle

Przytém w skutek zaszłych następnie kombinacyj pojęć żydowskich o zmartwychwstaniu ciał z pojęciami greckiemi o nieśmiertelności duszy, oraz wskutek coraz bardziéj uwydatniającéj się przewagi żywiołu religijnego nad społecznym w chrystyanizmie, powrót Jezusa i związane z nim przewroty już drugorzędne dla czasów owych przybrało znaczenie. Kara bowiem za złe a nagroda za dobre uczynki, która miała, według pojęć apokaliptycznych, spotkać społeczeństwo ludzkie za przyjściem Messyasza przy ogólnym zmartwychwstaniu ciał, wskutek przyznania duszy nieśmiertelności, przeniesioną została na żywot zagrobowy człowieka i sąd indywidualny, oczekujący każdą jednostkę po śmierci. Raj i piekło, pomieszczone w sferach za-ziemskich, wyrugowały ostatecznie królestwo boże z ziemi. Nadzieja połączenia się z Jezusem w niebie zastąpiła tęskne oczekiwanie przybycia jego na ziemię. Trwoga ugrzęźnięcia w piekle bardziéj niż miłość ku jego osobie i przejęcie się jego nauką zniewalala do zachowywania pewnych przepisów pozostałych z pierwotnego urządzenia. Przeto, co początkowo jako wstęp do nowéj ery służyć miało, przyjęte następnie za kres ostateczny istnienia wszechświata, odsunięte w przyszłość bardzo odległą, na czas nieograniczony odłożoném zostało.

Tak więc Chrystyanizm przyjął się, zakorzenił, wzrósł przedtém jeszcze, nim bieg wypadków dziejowych podkopał idee mesyaniczne, na których się formalnie opierał. Jednakże, by gmach nie runął, należało usuwające się podstawy zastąpić innemi, te, które padły zamienić na mocniejsze, od wypadków mniéj zależne, a więc bardziéj niewzruszone.

Nowe podstawy w *dwóch* głównie odkryte były kierunkach: pierwszym z nich był *teologiczny*, drugi *hierarchiczny*. Samo z siebie wypływało, że wszelkie pomysły teologiczne zostały początkowo skierowane przeważnie na osobę Jezusa, w celu wyświecenia jego pochodzenia, a ztąd i znaczenia dla wszystkich narodów.

Ponieważ pojęcie Mesyasza, pod którém znano Jezusa, gdy imię jego przekroczyło granice Judei i Galilei, będąc czysto żydowskiém, nie znajdowało nic analogicznego w pojęciach narodów aryjskich i zaszczepić się w nich nie dawało; przeto Paweł nazywał już Jezusa głównie synem bożym i obszerniejszy zakres przeznaczał jego działalności, niż wypływało to z roli Mesyasza. Lecz i wykład Pawła nie mógł zupełnie zadawalniać umysłów rozwiniętych na filozofii greckiéj, obeznanych ze stanem współczesnym nauk. Przy-

---

tych teoryi apokaliptycznych, od brzmień łacińskiego i greckiego wyrazu tysiąc nazywani byli *millenarystami* lub *chiliastami*.

tém pojęcie to raziło, jako zbyt mitologiczne. Tyluż to bowiem synów bożych Grecy lub Rzymianie już znali. Rola zaś przeznaczona Jezusowi w teologii Pawła ściśle była związana z hebrajskiemi podaniami kosmicznemi i etnograficznemi, niezgodnemi z badaniami naukowemi Greków. Dalsze więc losy chrystyanizmu zależały od szczęśliwszego niż poprzedni pomysłu i zręczniejszego przedstawienia, kim był Jezus; zależały od rozwiązania odpowiedniejszego wymaganiom logiki i metafizyki owocześnie panującéj pytania o jego naturze.

Stanowczy zwrot w tym kierunku stanowi Ewangelia „według Jana.“ Jezus w Ewangelii téj staje na tle metafizycznêm. Dzieje jego sięgają początków istnienia wszechrzeczy. Rola jego rozwija się w sferach dostępnych tylko spekulacyom filozoficznym. Osoba jego oswobodzona od wszelkich więzów wkładanych przez historyą danego kraju, lub podania danego szczepu, nic niema wspólnego z biegiem rzeczywistym wypadków dziejowych.

Lecz autor Ewangelii „według Jana“ bynajmniéj nie stwarza systematu własnego w celu objaśnienia pochodzenia i roli Jezusa; pomysł w jakim go przedstawia nie jest wcale oryginalnym i dla niego wyłącznie tylko powziętym. Autor zużytkowuje tylko dla obecnego wypadku systemat filozoficzny Filona Aleksandryjskiego; metafizykę jego realizuje przez zastosowanie do faktu rzeczywistego, historycznego.

Chcąc zrozumiéć pomysł autora Ewangelii 4-éj, a raczéj, poznać Jezusa w nowéj postaci i roli, przenieść się musimy na grunt Aleksandryi, dotknąć się ówczesnego ruchu filozoficznego w têm mieście.

W Aleksandryi, założonéj przez Greków na ziemi egipskiéj i będącéj od samego założenia najważniejszą nad morzem Śródziemném kolonią żydowską, zetknęły się z sobą trzy odrębne kultury starożytne, egipska, grecka i żydowska, we wszystkich swych przejawach. Zetknięcie się to najwięcéj oddziałało na Żydów. Wpływ jego najszerzéj się uwydatnił w piśmiennictwie żydowskiém, do którego przybył nowy okres aleksandryjski. W okresie aleksandryjskim dwa rodzaje utworów, wskutek swéj doniosłości dziejowéj, głównie zwracają uwagę. Są to dydaktyczno-epickie poemata Sybilli i pisma filozoficzne Filona.

Autorowie ksiąg Sybilli (żydowskich) wypowiadali w greckich heksametrach układanych na wzór homerowskich pomysły mesyaniczne. Filon obrazy biblijne tłómacząc allegorycznie, drogą eklektyzmu dochodzi do systematu filozoficznego.

Żydzi w piśmiennictwie swojém przechowali pojęcia sięgające głębokiéj starożytności a wspólne wielu narodom wschodnim; oto *słowu* ludzkiemu przypisywali wyjątkową moc. Słowo w ustach jednych ludzi odkrywa przyszłość nieznaną; w ustach drugich dokonywa rzeczy nadprzyrodzonych. Według ich poglądów realistycznych nawet Jehowa, by z chaosu pierwotnego wyprowadzić wszechświat, używał słów. Z czasem owo Słowo wraz z *Mądrością* stanowić zaczęło własność Jehowy, oderwaną od jego istoty; otrzymało przeto byt zewnętrzny, a nawet występowało w charakterze posła jego, pośrednika pomiędzy nim a ludźmi. W aleksandryjskiéj epoce, gdy żydzi posługiwać się zaczęli językiem greckim, Słowo (*dabar* hebrajskie, *memera* syryjskie) stawszy się *logos*, zawarło, stosownie do znaczenia w greckim, jeszcze nowe pojęcia mądrości, przyczyny, i zlawszy się wtedy z tém, co nazywano Mądrością Jehowy, spotężniało, wzrosło, zyskało na samodzielności.

Filon, wyniósłszy antropomorficznego Jehowę do wysokości abstrakcyjnego pojęcia przyczyny i początku wszechrzeczy, Słowu przyznał byt realny, oderwany od Jehowy; lecz zarazem, wskutek swych panteistycznych dążności, robi ze Słowa pierwsze wcielenie się Jehowy we świecie, pierwszy objaw Jehowy w życiu materyi i ducha. Słowo w filozofii Filona jest zarazem duchem bożym, wszystko ogarniającym, i bogiem uzewnętrznionym, jest najwyższym prawodawcą i jedynym objawicielem. Przytém nazywa je Filon drugim bogiem i człowiekiem boskim, to jest bogiem antropomorficznym. Poznać Słowo, to jest rozważać boga i świat, jest według Filona najwyższym celem istnienia człowieka na ziemi. W podobny więc sposób tradycyjny Jehowa został odsunięty na plan drugi i przez Słowo zastąpiony.

Autor Ewangelii „według Jana“ nazywa Jezusa Słowem. Początek téj Ewangelii wykazuje już myśl autora: „Na początku było Słowo, a Słowo było u Boga, a Bogiem było Słowo... Wszystko się przez nie stało, a bez niego nic się nie stało, co się stało. W nim był żywot, a żywot był światłością ludzi... A słowo stało się ciałem i mieszkało między nami...“ (I, 1—14). Tém słowem, które się stało ciałem, był właśnie Jezus. Wstęp ten zawiera w całości myśl autora.

Jezus przedstawiony jako Słowo nic nie mógł mieć wspólnego z Judaizmem. Samo jednakże pojęcie Słowa było już żydowskie. Przyjęcie Jezusa za Słowo uwalniało od historyozofii i teologii Żydów, lecz wprowadzało do ich filozofii. Należało przeto jeszcze szersze wyszukać podstawy dla Chrystyanizmu a pojęcie dla Jezusa. Próbowali tego *Gnostycy*.

Przybrawszy nazwę od *gnosis* (=najwyższa mądrość, wiedza absolutna), poczytywali oni siebie za wyjątkowych mędrców, wyłącznie tylko wiedzących, a naukę swoją za jedynie prawdziwą, odkrywającą wtajemniczonym tajniki wiedzy istotnej. Rekrutując się z przedstawicieli rozmaitych narodów, Gnostycy tworzyli szeroko rozgałęzioną szkołę, albo raczéj sektę filozoficzną. Siedliskiem jéj były większe miasta w Azyi Mniejszéj oraz Aleksandrya. Gnostycyzm powstał współcześnie z Chrystyanizmem. Szybki rozrost nowéj religii zwrócił na nią uwagę mistrzów kilku szkół gnostycznych.

Do wiedzy absolutnéj, od któréj nazwę przybrali, dochodzili gnostycy nie przez naukę ścisłą, lecz spekulacyą filozoficzną, mocno zabarwioną fantastyką wschodnią. Dla rozwiązania zagadnienia, w jaki sposób z pierwiastku czysto duchowego, jakim według nich był Bóg, powstać mógł świat materyalny, uciekali się do teoryi panteistycznéj emanacyi. Produktem téj emanacyi boskiéj były *eony*. Pojawienie się po kolei różnych eonów dało początek istnieniu świata, wszechrzeczy na nim i tworzy historyą. W ten to właśnie subtelny systemat metafizyki panteistycznéj, w ten, tak szeroki szemat historyozoficzny wprowadzają Gnostycy Chrystyanizm, uznając w Jezusie jednego z eonów, i to najpóźniejszego. Eon-Chrystus wcielił się w człowieka Jezusa dla oświecenia, a więc i zbawienia ludzkości, gdyż prawdziwy żywot polega na wiedzy.

Tak więc z kolei Jezus z Mesyasza i Słowa stał się Eonem, a Chrystyanizm wynikiem emanacyi boskiéj. Wyniesienie Jezusa do stanowiska Eona jednocześnie podnosiło go i poniżało. To, co tracił pod jednym względem, wygrywał pod drugim. Tracił na wyjątkowém swojém stanowisku bądź to jako Mesyasz, bądź jako Słowo; wygrywał na wszechświatowém znaczeniu. Jeżeli jako Eon nie był jedynym, a nawet i nie ostatnim, gdyż po nim mogły znowu powstać jeszcze inne Eony, za to jako późniejszy od innych do tego czasu wieńczył dzieło swych poprzedników. Również i Chrystyanizm. Z sekty judaistycznéj, z religii prywatnéj, pokryjomu przez kilkanaście czy nawet kilkaset rodzin, należących do najniższych sfer społecznych, w kilkudziesięciu miastach wyznawanéj, stał się religią powszechną, w dziejach rozwoju ludzkości najpóźniejszą, a więc uzupełniającą inne wcześniejsze. Gnostycyzm przeto w rozwoju pierwotnego Chrystyanizmu odegrał bardzo ważną rolę i, co najważniejsza dla czasów następnych, ostatecznie przeważył szalę na stronę pierwiastku religijnego.

Ponieważ Gnostycy budowali historyą na podstawie planu pewnego i wprowadzali do niéj ideę rozwoju, przeto Chrystyanizm w ich systemacie nie stawał już jako negacya przeszłości. Zmienił

się więc jego stosunek do czasów ubiegłych, a zwłaszcza do religii dawniejszych. Stawszy się religią powszechną, inne uzupełniającą, rozpoczął przygotowywanie do istnienia dłuższego, zaczął wytwarzać kult stosowny, wcielać do kultu sztuki piękne. Przez Gnostycyzm połączywszy się z religiami starożytnemi, przejął od nich to, czego mu dotychczas jako religii brakło, gdy wskutek zerwania zupełnego z Judaizmem odrzucił formy i rytuał żydowski.

Współcześnie z Gnostycyzmem, rozwiązującym kwestyę pochodzenia Jezusa na tle metafizycznem, pojawiła się próba rozwiązania na tle psychologicznem. *Dokeci* uczyli, że ponieważ Jezus był synem boskim, a więc bogiem, przeto ciało jego było tylko pozornem ciałem ludzkim, wszystkie objawy bytu ludzkiego, jako to: urodzenie, żywot, cierpienia doznawane przed skonem, wreszcie śmierć pozornemi tylko zjawiskami. Jako Bóg przeszedł on przez życie nie zaznawszy wcale jego rozkoszy, nie podległszy jego przypadłościom. Pomiędzy nim przeto a tymi, którzy go otaczali, wszelkie stosunki polegały na obustronnem łudzeniu się. Jezus łudził się, że cierpi, ponosi śmierć, która miała zaświadczyć o prawdziwości jego nauki. Uczniowie łudzili się, że mistrz ich umiłował, żył wśród nich, dzielił ich troski i rozkosze.

Również nie obyło się bez próby poprawienia Chrystyanizmu, uzupełnienia go. Teorye filozoficzne Słowa, czy też emanacyi i Eonów, nie zgadzały się z pojęciami społeczno-politycznemi mesyanizmu. Autor Ewangelii „według Jana“ pomija milczeniem wszelkie obrazy apokaliptyczne. Jezus w jego Ewangelii już nie zapowiada swego powrotu. Natomiast, chcąc zawsze podtrzymać żywy stosunek między sobą i uczniami swemi, obiecuje im zesłać Ducha Pocieszyciela (= παράκλητος; Jan XIV, 16, 26; XV, 26; XVI, 7), który miał ich wzmocnić, pokrzepić, świadczyć o nim, a nawet nauczyć wszystkiego i przypomnieć to wszystko, cokolwiek on im powiedział.

Nie ulega wątpliwości, że życie chrześcian w miarę tego, jak bieg czasu bardziej je oddalał od wypadków galilejskich i katastrofy jerozolimskiej coraz odmienniejszem się stawało od życia pierwszych uczniów Jezusa, coraz odleglejszem od ideałów ewangelicznych. Potrzeba pod tym względem reformy w duchu tradycyi stawała się widoczną i konieczną. Otóż niejaki Montanus, z miasta Ardabaw, w Mizyi, frygijczyk rodem, a więc pochodzący z ziemi klassycznej wszelkich tajemnic religijnych i illuminizmu, wystąpił w drugiej połowie II stulecia w charakterze owego Parakleta zapowiedzianego, jako jego wcielenie i, wznawiając pietyzm dawniejszy, nakłaniał do ascetyzmu. Przytem sam swoje powołanie tłoma-

cząc osobistém natchnieniem, uprawniał indywidualne natchnienie każdego członka gminy i do zasady je podnosił. A ponieważ niewiasty bardziéj od mężczyzn skłonne były do podlegania wizyom rozmaitym i ekstazie, wprowadzał je do gminy w charakterze prorokiń, do świątyni—na urzędy kapłańskie.

Takie to były prace i innowacye konieczne w kierunku teologicznym. Przechodzimy do drugiego.

Stanowisko owoczesne gmin chrześciańskich w społeczeństwie sobie obcém i wrogiem, wobec władz czujnych, zawsze skorych i gotowych do wymierzania kary za każde ujawnienie przez jednostkę swych przekonań, wymagało ścisłéj jedności w poglądach, prawdziwéj harmonii w dążnościach członków, tembardziéj, że gminy te były rozrzucone na przestrzeniach rozległych, pozbawione łatwéj komunikacyi z sobą. A tymczasem rozwój teologiczny prowadził do podziału, niszczył zgodę, podkopywał tradycye. Gdy Chrześcianie palestyńscy i syryjscy przetwarzali się w sektę judaistyczną: Millenaryści, trzymając się wizyj apokaliptycznych, z dnia na dzień oczekiwali powrotu Jezusa i stosownie do tego urządzali swe życie i sprawy; dla Doketów żywot Jezusa był tylko pozornym aktem istnienia, a więc wszelki ruch spowodowany przez to istnienie miał pozorne tylko przyczyny; daléj, gdy Gnostycy z Chrystyanizmu robili religię powszechną, lecz tylko czasową, na wzór tylu innych, które padały, ustępując miejsca późniejszym: Montaniści czerpiąc naukę w wizyach a zasady w ekstazie, zrywali z przeszłością i podkopywali przyszłość, stawiali ją bowiem w zależności od zmiennych jak natchnienie usposobień jednostek.

Pomimo takiéj różnorodności w dążeniach, takiego roztrzelania w przekonaniach, przybierających jeszcze tysiące odcieni pośrednich, wynikłych ze wzajemnego na siebie oddziaływania, Chrystyanizm istniał jako idea, od żadnego dążenia cząstkowego w istocie niezależna; istniał jako całość wszystkie pojęcia obejmująca, po nad wszystkiemi unosząca się różnicami; potężniał, rozrastał się, rozwijał, jako społeczeństwo żyjące własném swém życiem.

Dla większości ważniejszém jeszcze pozostawało, co przynosił Jezus, czego on nauczał, niż czém sam był z natury swéj. Tak niedawno jeszcze echo tradycyi roznosiło błogosławieństwa, że one dotąd niby żywe słowa dźwięczały w ustach wszystkich, głusząc rozlegające się spory teologiczne. Żywioł religijny pochłaniał już, lecz jeszcze nie był pochłonął żywiołu społecznego.

Resztę w kierunku jednoczenia dokonywała *hierarchia.* Jedność i prawidłowość w jéj rozwoju równoważyła rozprężliwość działania teologii.

Im się bardziéj rozwiewały urocze widzenia królestwa bożego na ziemi, im dotkliwiéj chłodna rzeczywistość zmuszała przenosić je na żywot zagrobowy, a życie ziemskie wobec takiego zwrotu wyraźniéj traciło na swéj wartości i znaczeniu, hierarchia wzrastała i nabierała powagi. Wynikało to z zasady, na któréj się opierała.

W czasach bezpośrednio stykających się z żywotem Jezusa, gdy uczniowie jego rozbiegłszy się po Galilei lub ponownie zebrawszy się w Jerozolimie oczekiwali z dnia na dzień powrotu jego, nie mogło powstać nawet pytanie, kto zastępuje go tu na ziemi. Panowała wówczas zupełna równość pomiędzy członkami zboru. Każdy czuł się równym drugiemu, ponieważ każdy był jednakowo uczniem Jezusa, jednakowo oczekiwał powrotu jego i rolę jednakową po powrocie jego miał odegrać.

Rzeczy przybrały postać inną, gdy do zboru jerozolimskiego, początkowo z uczniów jego wyłącznie złożonego, wstępować zaczęli tacy, którzy Jezusa osobiście nie znali, a zwłaszcza, gdy „dobra nowina“ przedarła się za obręb zboru, wyszła za granice Palestyny. Wówczas nie tylko stało się rzeczą ważną, w czyjém imieniu głoszą błogosławieństwa i zapowiadają przewroty, lecz jakie kto ma prawa do owego ogłaszania i zapowiadania. Na czele więc zboru stają *Starsi* (Presbyteri).

Według tradycyi, z biegiem czasu nabierającéj coraz większego znaczenia, Jezus nie wszystkich swoich uczniów upoważnił do opowiadania „dobréj nowiny,“ lecz tylko pewną i ograniczoną ich liczbę, czy to będzie 12-stu i 70-ciu, jak utrzymuje autor Ewangelii „według Łukasza“ (IX, 1; X, 1), czy tylko 12-stu, jak utrzymują autorowie innych Ewangelii (Mat. X, 1; Mar. VI, 7). Nie wszystkim przeto, którzy go słuchali, lecz tylko niektórym dał prawo nauczania w swém imieniu.

Nadanie prawa nauczania, aczkolwiek mogło być nagrodą za usługi doznane i wynikiem odkrycia w wybranych koniecznych do tego warunków, przedstawiało się zarazem, stosownie do mistycznych pojęć wieku, jako akt symboliczny, wprowadzający odpowiednie zmiany w osobistościach i właściwie je uzdolniający. Podobny akt w tym wypadku stawał się koniecznym nawet, ponieważ Jezus, jak chce tradycya, z prawem nauczania przelewał na apostołów swe nadprzyrodzone własności; dał im moc wypędzania z ludzi dyabłów, uzdrawiania chorych i kalek, „związywania i rozwiązywania,“ to jest roztrzygania stanowczego wszelkich sporów i wyrokowania nieodwołalnego we wszystkich sprawach. Wybrani ci przybrali nazwę apostołów. Oni to właśnie wraz z krewnymi Jezusa dostarczali owych starszych zborowi.

Dalszy bieg wypadków wprowadził w tém pierwotném urządzeniu zmianę bardzo ważną. Ciągłe podróże misyjne, wypływające bezpośrednio z pomysłu apostolstwa, odrywały apostołów od zarządu zborem. Tymczasem, komplikujące się coraz bardziéj interesa wymagać zaczęły pewnéj sprężystości w ich załatwianiu, jedności— w roztrząsaniu. Z łona więc starszych wyszedł jeden, mający główny nadzór nad wszystkiém—*episkopos*. Takim właśnie był z zborze jerozolimskim Jakób „brat pański.“

To, co się działo w Jerozolimie, powtarzało się we wszystkich zborach chrześciańskich.

Pierwsi, najdawniejsi chrześcianie, uczniowie bezpośredni przynoszącego „dobrą nowinę“ w stosunkach do późniejszych stanowili *starszych*. Na jednego z nich apostoł, lub upoważniony przez apostołów przelewał władzę otrzymaną od Jezusa. Zostawał on przeto *biskupem*. Po śmierci jednego władza ze wszystkiemi jéj atrybucyami przechodziła na jego następcę. Bywał on zwykle obierany przez radę starszych. Gmina wybór dokonany potwierdzała. Aktu symbolicznego przelania władzy otrzymanéj od Jezusa to jest poświęcenia dokonywał posiadający sam to poświęcenie biskup gminy sąsiedniéj.

Chrystyanizm rozwijał się w obrębie państwa rzymskiego. Hierarchia przeto państwowa nie mogła nie wpływać na ukształtowanie się hierarchii kościelnéj, jak również podział administracyjny na prowincye i okręgi na uformowanie się jednostek większych niż gminy. Każda prowincya, każdy okręg miały swoje stolice, siedliska władz administracyjnych na daną przestrzeń. Biskup miasta stołecznego stawał się przeto, mocą wyłącznie samego faktu, starszym wśród biskupów miast zależnych od tego miasta (arcybiskupem). Gminy pomniejsze, zwłaszcza w sąsiedztwie bliskiem od gminy większéj, mającéj swego biskupa, otrzymywały tylko jego zastępcę. Nakoniec, czém Rzym był wśród innych miast państwa rzymskiego, tém biskup rzymski stawał się pomału wśród biskupów i arcybiskupów całego państwa. Powstająca legenda podnosiła biskupa rzymskiego do godności następcy Piotra apostoła, ucznia Jezusa.

W zarządzie gminą pomagali biskupom, jak i ongi w gminie jerozolimskiéj, *dyakoni*. Biskup mianował dyakona, gmina potwierdzała. Coraz bardziéj bowiem uwydatniało się w Chrystyanizmie to zasadnicze prawo władzy monarchicznéj, że podwładni nie mogą sami stanowić nad sobą starszego.

Ważności hierarchii w pierwotnym Chrystyanizmie dowodzi piśmiennictwo. Nieliczne pomniki pochodzące z końca I-go i począt-

ku II-go stulecia prawie wyłącznie są poświęcone téj sprawie. Są to: List Klemensa rzymskiego do Koryntyan (1) i trzy listy apokryficzne, przypisywąne Pawłowi (dwa do Tymoteusza i jeden do Tytusa).

Oto według słów jednego z tych apokryfów, jakim ma być biskup: „Jeżeli kto biskupstwa pożąda, dobrego dzieła pożąda. Ma tedy biskup być nienaganiony, jednéj żony mąż, trzeźwy, roztropny, obyczajny, wstydliwy, gości ochotnie przyjmujący, ku nauczaniu sposobny, nie winopilca, nie bijący, ale skromny, nie swarliwy, nie chciwy, ale w domu swym rządny, utrzymujący synów pod swą władzą z wszelką godnoścą (μετὰ πάσης σεμνότητος). Jeśli kto bowiem nie umie domem swym rządzić, jakąż pieczę będzie miał o kościele bożym? Nie ma być przytém świeżym chrześcianinem (νεόφυτος) a mieć dobre świadectwo od tych, którzy są obcymi. (I Ad Tim. III, 1—7).“ W inném miejscu autor twierdzi, że „biskup ma być bez winy, jako szafarz (οἰκονόμος) boży (Ad Tit. I, 7).“

Po biskupie w godności kościelnéj szli dyakonowie. I o nich moralista nie zapomniał. „Dyakonowie także niech będą czyści, niedwoistego języka, nie kochający się w wielkim piciu wina, nie szukający szkaradnego zysku; tajemnicę wiary przy czystém niech wyznają sumieniu. I ci téż niechaj pierwéj będą doświadczani; niech służą nie mając żadnéj winy... niech będą mężowie jednéj żony, dobrze rządzący dziatkami swemi i domami (Ad Tim. III, 8—12).“

5.

Aczkolwiek w treści „dobréj nowiny“ kryło się lekarstwo na rany społeczne, a w formie jéj leżała jawność zupełna; jednakże dla wielu przyczyn, wynikłych z warunków historycznych, propaganda jéj otoczoną była pewną tajemniczością, a powstające w skutek propagandy téj zbory chrześciańskie znalazły się odrazu w przeciwieństwie bardzo jaskrawem nie tylko z religią i nauką ludów rozmaitych, wśród których się krzewiły, lecz nawet i z interesami, stanowiącemi istotę bytu społecznego, nawet z zasadą, na któréj się opierały urządzenia państwa.

Przeciwieństwa zaznaczone inny miały charakter i doniosłość, gdy zbory te występowały w pierwotnéj swéj formie, jako dorywcze i luźne stowarzyszenia, zawiązywane jedynie w celu odpowie-

(1) Ośmielam się przypomnieć to, co o liście Klemensa powiedziałem w części I-éj téj pracy: *Ateneum* za wrzesień 1882, str. 486.

dniejszego przygotowania się do oczekiwanych przewrotów kosmicznych i społecznych. Inny zaś jeszcze przybrały charakter, inną zdobyły doniosłość, gdy przekształciwszy się w stałe i zamknięte towarzystwa, torujące drogi do istnienia pozagrobowego i zapewniające wieczną szczęśliwość pośmiertną, wytworzyły sobie jednolitą organizacyą, która połączyła je wszystkie w jedną całość i jawnie a wytrwale dążyć zaczęła do zastąpienia wszystkich dawniejszych instytucyi i władz. Wówczas to gminy chrześciańskie stały się społeczeństwem w społeczeństwie; społeczeństwem, rozwijającém swe odrębne ideały od ideałów ogółu, uprawiającém swe własne cele, niezgodne z celami większości; stały się państwem w państwie: państwem opartym na zasadach teokratycznych, podkopujących zasady każdego innego.

Społeczeństwo i państwo, czując się jednakowo w swych podstawach zagrożonemi, przeciwdziałały znanemi sobie środkami. Społeczeństwo—pogardą, nienawiścią i ostrą, przybierającą częstokroć charakter oszczerstwa, krytyką, któréj wszelako tajemniczość, jaką się otaczali chrześcianie, nadawała pozory słuszności. Państwo—zakazami i prześladowaniem do ostateczności nieraz posuniętem. Okrucieństwo dzikie przeistaczało prześladowanie to w bezprawie zupełne; gwałtowność szalona przeradzała je w pastwienie się wstrętne nad bezbronnymi. Społeczeństwo gniotło chrześcian wyrazem opinii publicznéj; państwo edyktami i rękami katów.

Dwojaka akcya przeciw chrześcianom, ze strony społeczeństwa i ze strony państwa, to jest rządu, wywołując zjawiska dwojakie, wytworzyła podwójny szereg faktów, które zasługują na bliższe poznanie. Klucz do zrozumienia jednego szeregu faktów leży w drugiém.

Akcya wyszła ze strony społeczeństwa. Społeczeństwo pobudzało rząd, przyjmując najżywszy udział w najwstrętniejszych nawet czynnościach jego. Rząd w najzuchwalszém i najbrutalniejszém wystąpieniu swém przeciwko chrześcianom opierał się zawsze na społeczeństwie. Dowodzi tego istota zarzutów czynionych chrześcianom przez społeczeństwo. Stosunek więc społeczeństwa do chrześcian wyjaśnia stosunek rządu do nich.

Krążące w społeczeństwie opowiadania o zwyczajach chrześcian, o praktykach ich religijnych i środkach propagandy, wyrabiająca się na tych opowiadaniach opinia publiczna, na opinii oparty sąd, a na sądzie wyrok—nie przebrzmiewały wyłącznie w formie gawęd, lecz się przyoblekały w szaty utworów piśmiennych. Oskarżenie publiczne wywołuje obronę publiczną. Stawiani przed trybunałem opinii publicznéj chrześcianie bronią się bronią tą samą.

Zarzuty sobie robione zbijają zarzutami wystosowanemi przeciw swoim przeciwnikom. Krytyką na nieprzyjaciół odpowiadają na krytykę na siebie. Powstają obrońcy publiczni Chrystanizmu. Utwory ich zwane *apologiami*, w obec literatury legendowéj (Ewangelie i Dzieje Apostołów różnych apokryficzne) i dogmatycznéj (Listy), tworzą pierwszy zaczątek filozoficzno-historycznéj literatury chrześciańskiéj.

Przyszłość należała do Chrystyanizmu. Oręż piśmienniczy ukuty przeciw tym, którzy w przyszłości zwyciężyć mieli, okazał się wkrótce niepotrzebnym i bądź jako zużyty sprzęt został zapomniany, bądź téż uległ zniszczeniu rozmyślnému w chwili zwycięztwa orężem tym dosięganych. Dość, że nie posiadamy nic z tego, co przeciw chrześcianom i Chrystyanizmowi pisano. By się dowiedziéć chociażby o imionach występujących, obeznać się z zarzutami przez nich czynionemi, zawadzić należy o Apologie.

Orygenes odpowiada Celsusowi (1). Sądząc ze znaczenia tego, kto podjął rękawicę, wnioskować możemy, że rzuciła ją ręka potężna, światła, rzuciła wprawnie i rozgłośnie. Celsusa groźne *Alethes logos* weszło w całości do Apologii Orygenesa i w niéj się tylko przechowało. Przeciwnik uratował przeciwnika z toni niepamięci. Zbijając go, przekazał imię jego i zasługi zdumionéj niemi potomności.

Celsus nie był wcale ateuszem; uznawał istnienie bogów i pragnął, trzymając się ściśle zasad konserwatyzmu, utrzymać kult starożytny. Chociaż przyjaciel Lucyana, owego Woltera wieku II-go, nie satyrą ośmieszającą, nie ironią zjadliwą, jak tamten, lecz słowy poważnemi, dowodami jasnemi starał się przeciwdziałać rozprzestrzenianiu się nowości, Chrystyanizm poznał on ze źródeł. W licznych podróżach badał na miejscu stan rzeczy. Znał przytém w całości literaturę hebrajską; znał wszystkie sekty chrześciańskie. W egzegetyce biblijnéj wyprzedził o siedemnaście stuleci najśmielsze umysły wieku XIX-go. Duma przedstawiciela cywilizacyi starożytnéj przebija się w słowach następnych, którémi maluje wrażenie doświadczone na widok żydów i chrześcian: „są oni podobni do stada nietoperzy i mrówek, które opuściły swoje kryjówki, lub téż żab rozsiadłych na brzegu błota, robaków zebranych na naradę w kupie nieczystości... powtarzających: nam to Bóg objawił prawdę i obwieścił swe wszystkie zamiary. Reszta świata nieobchodzi go wcale. Niebiosa i ziemia idą sobie swoim torem, on tylko nami jest zajęty. Jesteśmy jedyne istoty, z którémi utrzymuje on stosunki za pośred-

---

(1) Celsus żył we środku II-go stulecia ery naszéj. Orygenes (185—254) należy do pisarzy chrześciańskich III-go wieku.

nictwem swych wysłańców, jedyne, z któremi życzy sobie przebywać. Nas to stworzył na podobieństwo swoje... Wszystko poddał naszéj władzy; ziemię, wody, powietrze, gwiazdy stworzył dla nas i przeznaczył na nasze potrzeby. A ponieważ niektóre z nas wykroczyły przeciw danym nam przez niego przepisom, sam on przyjdzie do nas, lub zeszle swego syna własnego, by spalić złych a wiernym sobie zapewnić z sobą żywot wieczny.“

Przebiega następnie szczegółowo życie Jezusa, bada podstawy krytyczne każdego głośniejszego faktu, zatrzymuje się dłużéj na zmartwychwstaniu. Czytając te uwagi i wywody ulega się złudzeniu, że się czyta Straussa. Daléj przechodzi do antagonizmu, wywołanego przez opowiadających „dobrą nowinę“ pomiędzy Chrystyanizmem a kulturą naukową i estetyczną, i wykazuje środki propagandy, potępiając je.

Naturalnie, że wychowaniec cywilizacyi starożytnéj podkopywanéj przez Chrystyanizm nie mógł dojrzéć znaczenia społecznego nauki Jezusa, a więc zrozumiéć konieczności takiéj propagandy. Razi więc go przedewszystkiém, że chrześcianie zwracają się do najniższych członków a nawet wyrzutków społeczeństwa, że powołują do gminy nie tylko nie mających żadnéj nauki, lecz nawet częstokroć i środków do życia; że unikają mędrców, możnych, zwracają się do niewiast, dzieci, a słowa swe i naukę otaczają tajemniczością i zalecają skrytość. Mówi więc: „komu idzie o poznanie prawdy, powinien tylko rzucić ojca swego, wyrzec się nauczyciela i wraz z niewiastami i niedorostkami skryć się w kobiecéj części domu, lub w budzie szewca, sklepiku przekupnia: tam on się dowie, co jest wiedzą absolutną... Kto tylko jest przestępcą, bez nauki, umysłu słabego, słowem, nędznik każdy niech wejdzie do ich towarzystwa: królestwo boże jego będzie“... Oskarża więc o rozrywanie związków rodzinnych, podkopywanie władzy ojcowskiéj, podburzanie żony przeciwko mężowi, dzieci przeciwko rodzicom. Potępia zwracanie się do przestępców i upadłych, gdyż twierdzi że, natura ludzka nie da się zmienić w krótkim przeciągu czasu; zli niepoprawiają się siłą ani téż dobrocią. „Czyż Bóg nie byłby niesprawiedliwym, jeśli by się zwrócił do łotra, który odkrył sposób jak ma do niego przemówić, a zapomniał o sprawiedliwym, który tego sposobu nie posiadł?“ Nakoniec porównywa chrześcian do tych empiryków, którzy obiecują wyleczyć chorego, lecz pod warunkiem, by nie wzywał lekarza...

Ze stanowiska krytyka, filozofa-moralisty Celsus przechodzi na stanowisko patryoty i obywatela. Według niego religia może być tylko narodową. Absolutna, uniwersalna, nie oparta na żadnéj na-

rodowości, a więc kosmopolityczna, wydaje mu się utopią szkodliwą. Dla tego przyznaje nawet pierwszeństwo nad Chrystanizmem Judaizmowi, chociaż i względem niego dzieli uprzedzenia całego świata. Przynajmniéj Judaizm jest religią narodową, powtarza, człowiek rodzi się wyznawcą Zakonu; chrześcianinem zostaje z wyboru. Chrystyanizm więc jest według niego bardziéj protestem przeciw każdéj religii narodowéj w interesie korporacyi, niż właściwą religią. Przeto, ponieważ w miejsce władzy państwa wprowadza własną i obywateli czynnych przekształca na niewolników, pod przymusem wykonywających tylko pewne obowiązki obywatelskie, podkopuje państwo; ponieważ rozrywa węzły rodzinne, a interes cały z życia tu na ziemi przenosi na istnienie pozagrobowe, niszczy społeczeństwo.

Z innego rodzaju zarzutami może nas poznajomić Apologia Minucyusza Feliksa (1) pod tytułem *Oktawiusz.* Jest to dyalog. Jeden z interlokutorów, Cecyliusz, poważny konserwatysta, a więc obrońca przeszłości, cywilizacyi, bogów, rodziny i porządku społecznego przez nowości zagrożonego, a więc przeciwnik Chrystyanizmu; między innemi taki zarzut wygłasza. „Ponieważ człowiek, skazany za zbrodnie na śmierć ohydną, stał się przedmiotem ich czci, przeto mogą oni wznosić ołtarze dla wszystkich nędzników i zbrodniarzy... By łatwiéj utrzymać w związku każdego, kto po raz pierwszy wchodzi do ich towarzystwa, zmuszają go uderzyć mieczem w ciemności po jakimś nieznanym mu przedmiocie. Gdy tego dokonał, pokazują mu, że to było dziecię... Następnie zbierają z chciwością krew ofiary i pożerają mięso, wyrywając sobie kęsy wzajemnie... W dnie świąteczne zgromadzają się wszyscy na wspólną ucztę, bez różnicy płci i wieku. Gdy jadło ich posiliło, napoje podnieciły, gaszą światło. Wtedy przypadek rządzi ich związkami“...

Nietylko zwyczaje chrześcian przerażają Cecyliusza; doktryna ich religijna oburza: „Utrzymują oni, że ich Bóg, którego nie mogą widzieć ani pokazywać, śledzi pilnie ich postępki, słyszy każde ich słowo, przenika myśli najbardziéj ukryte; że chodzi po wszystkich miejscach, wszędzie jest obecny. Zrobili z niego istotę dokuczliwą, natrętną, ciekawą do bezczelności, gdyż wdziera się on w każdy czyn wasz, podąża za wami, gdziekolwiek byście się skryli...“ I z głębokim politowaniem zabarwionem ironią dodaje: „I oni grożą ziemi, gwiazdom, światu całemu pożarem, który ma wszystko pochłonąć; przepowiadają koniec wszystkiemu, jak gdyby porządek wieczny,

---

(1) Autor, z życia którego prawie żadnych szczegółów nie znamy, żył pod koniec II-go stulecia. Wzmiankowany utwór swój mógł napisać około 185 r.

utrwalony przez prawa natury, mógł być zachwiany; łańcuch wspaniały, wiążący wszystkie istnienia, zerwany; gmach nieśmiertelny nieba i ziemi zniszczony... Obwieszczają koniec słońcu i gwiazdom, które się nigdy nie zmieniają, które opuszczamy w takim stanie w jakim zastajemy; obiecują zaś wieczność istotom, których już niema, zmarłym, nakoniec nam, cośmy się porodzili, aby umrzeć...“

Zarzuty te i inne takiego rodzaju oblegały chrześcian ze wszystkich stron. Oddziaływanie ich na nich było podobne do oddziaływania wypadków historycznych. Jak i one bowiem zmuszały do pewnego oprzytomnienia, rozglądnięcia się wokoło siebie, zastosowania swego życia do wymagań otaczającego społeczeństwa i chwili dziejowéj. A nadto, by zasłonić swą naukę od pocisków ironii i żartu, by uwolnić ją z pod zarzutów bezsensowności, byli zmuszeni wykazać w niéj podstawy pewne, dojść do swojéj filozofii i historyozofii.

Lecz jeśli do piśmiennictwa poważnego, uprawianego według wszelkich zasad estetyki pisarskiéj, wtargnęły takie zarzuty, ileż to ich i w jakiéj formie krążyć mogły wśród pospólstwa, które się ciągle z Chrześcianami stykało, każdy ich czyn śledziło, a z uprzedzeniem i nienawiścią roztrząsało; jakie to pretensye powstawały w rodzinie, z któréj chociażby jednego członka wyrwała nowa nauka!

Na takiém usposobieniu względem chrześcian całego społeczeństwa opierając się, mogło państwo rzymskie bezkarnie przedsiębrać wszelkie przeciw nim środki. Tém łatwiéj zaś mu to przychodziło, że wszędzie gdzie tylko krzewił się Chrystyanizm mogło dotrzéć, gdyż wszędzie posiadało organa swéj władzy, urzędników i wojsko. Krzewił się on bowiem wyłącznie tylko w jego granicach i, wskutek warunków historycznych, za te granice przekroczyć jeszcze nie mógł.

Zabezpieczając więc z bezprzykładném powodzeniem granice swoje od wrogów zewnętrznych ze wszystkich czterech stron świata, państwo rzymskie, wewnątrz tych granic zabezpieczonych, znalazło wroga niepokonanego.

Pomimo wszelkich medyatorskich tendencyi Pawła, dobry chrześcianin nie mógł być nigdy dobrym obywatelem rzymskim. Najżywotniejsze interesa państwa dla niego mogły mieć tylko znaczenie warunkowe, a nawet fikcyjne; władza rządowa nigdy nie mogła się stać jego własną władzą, którą mógł on uznawać z zasady, przed którą korzyłby się z przekonania. Wszystkie partye polityczne i społeczne były dla niego zupełnie obojętne; każda forma rządu jednakowo dobra lub zła.

Zrozumiało to państwo, odczuwały instynktownie czujne jego organa. I stał się fakt na pozór dziwny. Im rozumniejszy, szlachetniejszy i sprawiedliwszy mąż nosił purpurę Cezara, tém gwałtowniejszemu i systematyczniejszemu ulegali chrześcianie uciskowi.

Początki Chrystyanizmu przypadają na czasy, kiedy rzeczpospolita rzymska, wcieliwszy w obręb swój cały owoczesny świat historyczny, ulegając nieubłaganéj logice wypadków, przetwarzała się powoli w monarchią, poraz pierwszy w Europie według pojęć narodów wschodnich urządzoną; a światem rządzili ludzie, którzy się w dwojaki sposób, oprócz obioru bezpośredniego, do najwyższéj władzy dostawali. Jedni—na zasadzie téj, że ich ojciec, stryj, wuj, a zresztą dziad babki lub ojciec ciotki rządzili już państwem rzymskiém, bez obudzenia widocznéj opozycyi. Drudzy — że własnymi przymiotami zwrócili na siebie uwagę rządzącego Cezara i zostali przez niego adoptowani na syna i następcę. Zasada pierwsza obdarzyła świat Kaligulą, Klaudyuszem, Neronem, Domicyanem, Kommodusem. Zasada druga—Trajanem, Adryanem, Antoninem, Markiem-Aureliuszem.

Rzymianin, miłą pewność że nie kto inny, tylko świeżo urodzony Neron lub Kommodus będzie nim rządził w przyszłości, naturalnie, jeśli bogowie łaskawie użyczą nowonarodzonemu zdrowia na przeżycie lat dziecięcych, a zawiść braciszka jakiego lub wujaszka nie sprzątnie go zawczasu ze świata, przepłacał nieraz głową własną i mieniem całéj rodziny. Przeznaczona bowiem przez zbieg różnych przypadków według prawa krwi na pana świata istota ludzka, wychowywała się odrazu w warunkach niezwykłych, które z niéj normalnego nigdy nie mogły wytworzyć człowieka. Będąc otoczeni niewolnikami podłymi, przyszli władcy świata nigdy nie zdołali poznać ludzi, nauczyć się ich oceniać, lub szanować. Nie mając sami żadnych potrzeb, rozumieć potrzeby społeczeństwa i módz im zaradzić nigdy nie potrafili. Użycie, poprzedzając zawsze zachcenia, wyradzało w nich przesyt ciągły. Wywołaną przez otoczenie pogardę i nienawiść, jedyne z ludzkich uczuć, które znali, przenosili następnie na całe społeczeństwo. Zajęci zabijaniem arystokratów, w celu zagrabienia ich mienia, zabijaniem filozofów i wszystkich ludzi prawych w celu oduczenia swego społeczeństwa od myśli niezależnych i czynów szlachetnych, Cezarowie tacy nie mieli nigdy dość wolnego czasu, by badać grożące państwu niebezpieczeństwa, a zwłaszcza jeszcze tak odległe. Prześladowanie chrześcian, wszczynane na rozkaz takiego Nerona lub Domicyana, skoro zabrakło im nowego przedmiotu, miało charakter wybuchu szaleństwa; nigdy przeto nie było systematycznie przeprowadzane.

Inaczéj się rzeczy miały w II-gim stuleciu, gdy następcy Cezara przez adopcyą na rządy powoływani byli. Wynoszeni do tak nadzwyczajnéj godności w latach, w których już pojęcia się sformułowały, przekonania utrwaliły, poczucia potrzeb osobistych rozwinęły, społecznych zbadane zostały, brani ze sfer średnich lub niższych, zwykle zdolni i rozwinięci umysłowo, dochodzili do władzy czując jéj ponętę, lecz zarazem rozumiejąc odpowiedzialność swą i obowiązki zaciągane. Tacy rządzili od Nerwy do Marka-Aureliusza. Ten oddając władzę synowi, Kommodusowi, przeciął ich szereg. Rządy ich stanowiły najszczęśliwszą chwilę w życiu ludzkości za panowania nad nią Rzymian. Jedne ją tylko zohydzają wspomnienia, jedne wypadki zakrwawiają. Naczelnik państwa rzymskiego poczytywał wtedy za swój obowiązek prześladowanie chrześcian dla ratowania państwa. Mądrość przeto rządowa nakazywała mu dokonywania tysiącznych zbrodni. Interes rządowy zmuszał go do podlenia ogółu całego przez zaprawianie jednostek do szpiegostwa, tłumów—do okrucieństwa.

Z tych właśnie czasów pozostały dwa wielce ciekawe i ważne dokumenta. Jednym jest list legata cesarskiego z Prowincyi Pontu i Bitynii do Trajana i odpowiedź Trajana na ów list. Drugim list Ignacego, biskupa antyochijskiego, na wzór listów Pawła do Rzymian napisany.

Owym legatem cesarskim był Kajus Pliniusz Cecyliusz Sekundus, jeden z wykształceńszych i humanitarniejszych ludzi swéj epoki, przyjaciel osobisty Cezara Trajana. Mądrzy Cezarowie, do których Trajan należał, sami wnikali we wszystkie szczegóły zarządu prowincyami. Przyjaźń osobista Cezara nie usamowolniła nawet Pliniusza. Stosunki dobre pozwalały mu tylko często udawać się do monarchy z zapytaniami i odbierać częste odpowiedzi. Ztąd powstała korespondencya między nimi, w któréj jeden list sprawie chrześcian poświęca Pliniusz.

Do takiego stopnia utrwaliło się już było podówczas w społeczeństwie rzymskim i sferach rządowych przekonanie, że wyznawanie Chrystyanizmu było zbrodnią, która bezwzględnie na karę śmierci zasługiwała, że Pliniusz ani na chwilę nie wątpi, że, skazując chrześcian w rządzonéj przez się prowincyi na śmierć, postępuje zupełnie prawnie. Idzie mu tylko o pewne szczegóły. W tych właśnie pragnie zasięgnąć rady Cezara. Oto one: czy należy przy wymierzaniu kary za wyznawanie Chrystyanizmu baczyć na wiek karanego, czy odróżniać młodzieńca od starca lub męża w sile wieku, niedoświadczoną dziewicę od matrony poważnéj? Daléj, czy przebaczać całkowicie tym, którzy się zaparli wyznawanéj nauki, czy

też ci, którzy raz byli obwinieni o to przestępstwo, nigdy już nie mają mieć zwróconych sobie praw? Nakoniec, czy to już za samo miano chrześcianina karać należy, chociażby obwiniony nie wykroczył przeciwko żadnemu przepisowi państwowemu, inaczéj, czy zbrodnia nie jest odłączoną od miana chrześcianina?

Humanitarny monarcha odpowiada: „wyszukiwać chrześcian nie należy (*non sunt requirendi*), lecz gdy są wskazani urzędowi i gdy udowodniono im, że są chrześcianami, powinni być karani,“ więc płeć ani wiek wpływać na karę nie ma. Odstępcom zaś poleca Trajan zwracać prawa, jeśli tylko odstępstwa swego dowiedli oni w sposób niewątpliwy, np. jeśli złożą ofiarę bogom (Plinii Epistolæ, X, 96, 97). Oba te listy pochodzą z 112 roku.

Władcy świata osobiste bezpieczeństwo swe będąc winni tłumowi stołecznemu, który ich w każdéj chwili mógł porwać, zgnieść, rozszarpać, poczuwali się dla niego do wielkiéj wdzięczności. Karmili więc go, rozrywali, bawili.

Najulubieńszych rozrywek, oprócz uroczystości rządowych, dostarczał zwykle cyrk, gdzie gladyatorowie walczyli z sobą, i zwycięzca zabijał pokonanego współzawodnika, gdzie dzikie zwierzęta rozszarpywały ludzi, rzucanych im na pożarcie. Rzucanie takie należało do sposobów wymierzania sprawiedliwości, do zadośćuczynienia pogwałconym prawom. Lwy i tygrysy odgrywały rolę dzisiejszych katów i żołnierzy, a lud zgromadzony, patrząc na spełnianie wyroku, bawił się doskonale i oklaskiwał w zadowoleniu zarówno rozrywanego skazańca jak i krwiożerczego a nieświadomego swego czynu potwora. Sądy najwięcéj rozpraw miały wtedy z chrześcianami. Społeczeństwo chrześciańskie najwięcéj przeto dostarczało na widowiska te ofiar. Dla zwiększenia uciechy widzów dobierano zwykle mniéj pospolitych postaci: to starca, odznaczającego się powagą szlachetną, to dziewicę, nęcącą wzrok skromnością i wdziękiem, to męża w sile wieku, którego wzrok nieustraszony a członki muskularne zdawały się wyzywać do walki lwy same. Tłumne oklaski wynagradzały umiejętnego reżysera widowiska. Tysiącami ust powtarzano imię wspaniałego i dbałego na potrzeby ludu monarchy. Dozwalało mu to rozkoszować się popularnością, łudzić się miłością tłumów, napawać się zyskaną na wieki sławą. Zwożono więc z krańców wszystkich cesarstwa takie okazy, które na pewno mogły zadowolić gusta wybredne i zepsute panów owoczesnych świata.

Ignacy, biskup antyochijski, skazany na śmierć w Antyochyi był właśnie wieziony w tym celu do Rzymu. Pisze więc z drogi list do garstki swych współwyznawców, oczekujących jego przybycia. Lecz czego on żąda od chrześcian rzymskich? Oto tylko tego, by

nic zgoła nie przedsiębrali w celu uwolnienia go od zgotowanego mu losu. Nie straszy go śmierć okrutna, w oczach urągającego się motłochu, dzikszego jeszcze od lwa pożerającego; nie smuci obawa o przyszłość, czy to narodu, zabawianego w taki sposób przez swoich władców, czy też współwyznawców swoich, tępionych tak licznie i tak okrutnie.—Nie. Jak sam wygłasza, troska jego płynie z innego źródła. Obawia się mianowicie, by miłość ku niemu chrześcian rzymskich nie stała się przyczyną jego niedoli, by —jeśli go uwolnią z rąk nieprzyjaciół — nie stracił tak świetnéj i pewnéj okazyi połączenia się z Jezusem. „Jeżeli nic niebędziecie czynić przeciw wyrokowi, będę należał do Boga; jeżeli zaś zbytecznie kochacie moje ciało, oto znowu rzucony jestem na ten świat“—mówi w swym liście. I tak daléj przemawia nieustraszony i nieugięty starzec: „Dozwólcie mi stać się pokarmem dla zwierza dzikiego. Dzięki jemu bowiem, będę się wkrótce rozkoszował Bogiem. Jestem ziarnem bożem. Bym się stał chlebem Jezusowym, potrzeba, bym pierwéj został zmielonym zębami zwierząt dzikich. Głaskajcie raczéj je, niech się prędzéj staną grobem moim, niech zawrą mnie całego, pochłoną całkowicie moje ciało, by resztki moje nie potrzebowały już pogrzebu. Stanę się wtedy prawdziwym uczniem Jezusa, gdy nikt nie dojrzy szczątków ciała mojego na ziemi... Od czasu, w którym opuścił brzegi Syryi—dodaje—z bestyami dzikiemi już walczę, walczę na lądzie i morzu, dniem i nocą, ponieważ związany jestem z dziesięciu lampartami (żołnierze dozorujący go). Ich obchodzenie się ze mną, dzikie i okrutne, przygotowuje mię należycie do tego, co ostatecznie spotkać mię ma. Lecz nie dość mi na samym przygotowaniu. Odpocznę, gdy stanę wobec zwierząt, głodzonych na moje przybycie. Do pożarcia mię natychmiastowego zmuszę je pieszczotami...“

Co wypowiadał Ignacy, nie było rzeczą wyjątkową. Maluje on dokładnie uczucia wszystkich. Ta sama chęć zobaczenia Jezusa i tęsknota za nim, która wiek temu, gdy oczekiwano z dnia na dzień powrotu jego, odrywała od rodziny, zajęć, dziś zmieniła się w pragnienie śmierci, która tylko jedna połączyć z nim mogła. A jakaż śmierć bardziéj zdołała zalecić Jezusowi wyznawcę jego mesyanizmu, czy też boskości, jak śmierć poniesiona za wiarę w niego, poniesiona dla niego. Jak dawniéj ciągłe oczekiwanie powrotu utrzymywało umysły w stałéj ekstazie, tak obecnie—jutro niepewne, możebność poniesienia męczeństwa. Przykład pociągał. O śmierci każdego męczennika powstawały legendy. Cudowność w nich zastąpiła wszystkie warunki rzeczywiste, ekstaza—wszelkie uczucia. Dla pewnéj części społeczeństwa chrześciańskiego stały się legendy

te istotnym pokarmem i jedyném źródłem wykształcenia wyznaniowego.

Prześladowania ze strony państwa nie powstrzymały rozwoju Chrystyanizmu. Tyle okrucieństwa, tyle zbrodni prawnych nie przyniosły żadnych owoców. Podlenie społeczeństwa ze strony monarchów zwróciło się przeciw nim samym.

Non licet esse christianos wyznawca Jezusa dojrzał na każdém obliczu urzędnika, słyszał w każdym wyroku sędziów, w postanowieniu rządowym. A zakaz taki—o straszna ironio losów — wydawali ci, którzy sami skazani już byli przez wypadki dziejowe na śmierć, zagładę, zapomnienie.

Stan rzeczy wytworzony przez państwo rzymskie w świecie historycznym głównie się przyczynił do przyjęcia i rozwoju Chrystyanizmu. Gospodarka grabieżczych prokonsulów po obcych krajach i miastach, wysysanie tylu narodów na rzecz jednego, demoralizowanie ich przez pozbawienie wszelkiej inicyatywy w sprawach miejscowych, ogłupianie—przez zabicie wszelkiego w nich interesu do życia społecznego, napędzały zwolenników nowéj nauki gminom chrześciańskim. Cezarowie przeciw temu występowali, co sami nieświadomie szerzyli; jedną ręką burzyli, co bezwiednie drugą budowali.

Renan zamyka dzieje Początków Chrystyanizmu na 180 r., to jest na śmierci Marka Aureliusza, chociaż jeszcze przeszło wiek nurtowała potajemnie nowa religia, nim ostatecznie jako fakt przez państwo uznaną została, chociaż brakło półtora wieku do Soboru nicejskiego, który pierwszy uchwalił symbol wiary, podstawę jéj dogmatyczną i trwałą.

Skłania go do tego właśnie ta okoliczność, że rządy monarchów adopcyjnych były szczerą i mądrą próbą utrzymania dawnego porządku rzeczy. Śmierć Marka Aureliusza przerwała próbę. Rozpoczęła się agonia świata starożytnego. Chrystyanizm wziął górę.

Renan w przedmowie do tomu ostatniego twierdzi, że początki Chrystyanizmu właściwie sięgają VIII wieku przed erą naszą, to jest czasów, kiedy w dziejach żydowskich występować zaczęli prorocy. Przyznaje więc, że dziełu jego brak prologu. Miejmy nadzieję, że, gdy z czasem obdarzy swój naród prologiem do dziejów Chrystyanizmu pierwotnego, zechce téż uzupełnić swą pracę i epilogiem.

I. Radliński.

ZAMIESZANIE W POJĘCIACH

O STOSUNKACH GMINNYCH

Pisząc przed paru laty studyum o stosunkach Gminnych w Król. Polskiem, zamieszczone w niniejszém piśmie (T. IV. rok 1880) i następnie wydane w osobnéj odbitce (1881 r.), niespodziewaliśmy się widzieć tak prędko pracy naszéj w powtórném niejako chociaż nieco skróconém wydaniu, opatrzoném w dodatku komentarzami— „oraz potrzebném jéj uzupełnieniem,“ jakowe podjął p. Aleksy Hempel w osobnéj broszurze wydanéj w r. 1883, ną dochód gazety Sądowéj warszawskiéj.

Jeżeliby chodziło jedynie o rozmaitość poglądu w szczegółach, nieprzekraczających pojęć wyrobionych naukowo i stanowiących samę treść rzeczy, a nawet o uzupełnienie opuszczeń możliwych w każdéj ludzkiéj pracy, nie uważalibyśmy za potrzebne podejmować polemiki, dlatego że rozmaitość zapatrywania rzecz samę zbogaca i że twierdzenia wszelkie jako tako uzasadnione, mogą same siebie obronić, w obec możliwie jednakich pomiędzy piszącym i czytelnikiem zasadniczych pojęć o ustroju społecznym. Gdy jednak, jak w samych komentarzach tak i w dopełnieniu, spotykamy propozycye przeczące w oczach naszych elementarnym zasadom sprawiedliwości i wyrobionym naukowo pojęciom o zakresie spraw gminnych, uważamy za konieczne, przeciw podobnym orzeczeniom jak najmocniéj zaprotestować, w tém przypuszczeniu, że wygłoszone pojęcia mogą znajdować poklask w obec ludzi u których interes osobisty przyćmiewa bezstronne uczucie sprawiedliwości, i którzy swoje sympatye mogą oprzéć na powadze prasy lekceważącéj swoje obowiązki i kompromitującéj się, w obec głębiéj myślących czytelników, lekkomyślnemi recenzyami i sprawozdaniami jak to i w zajmującéj nas rzeczy, zrobił niezbyt dawno Kuryer Warszawski zdając ni-

by sprawę w osobnym artykule o „pracy p. Aleksego Hempla“ nad naszym artykułem i wskazał czytelnikom, te dwie prace dopełniające się wzajemnie jako najwłaściwsze źródło do poznania rzeczywistego rozwoju stosunków gminnych w naszym kraju. W obec jednak tego faktu, że te dwie prace zamiast się dopełniać wykluczają się wzajemnie, nie chcąc posądzać szanownego sprawozdawcę o zupełny brak elementarnéj logiki, wolimy zatrzymać się na przypuszczeniu: że raczéj obu rzeczonych prac wcale nie czytał, co przy nawale roboty nieraz pono się zdarza literatom z profesyi.

I.

Traktując kwestyą gminną w całym jéj zakresie, głównie z uwzględnieniem egzystujących w Królestwie Polskiém stosunków, rozpatrując chociażby i krytycznie obowiązujące w nas przepisy, mieliśmy na względzie właściwy ich rozwój, stopniowe możliwe udoskonalenie, bez wywracania lub podkopywania saméj podstawy, byłoby to bowiem niepotrzebne i nie prowadziłoby do żadnego praktycznego rezultatu, gdy wszelkie projekty zmian radykalnych, nietylko w naszych, ale i w innych, nawet swobodniejszych warunkach, najczęściéj do wyklejania ścian posługują.

W liczbie ważniejszych traktowanych przez nas kwestyj, była naturalnie i podatkowość gminna. Przyjęta w naszéj ustawie zasada składni gminnéj od morgi posiadanéj przez płatnika ziemi, jakkolwiek w gruncie rzeczy ma swoję racyą bytu, przedstawiając rodzaj podatku rzeczowego, grzeszy głównie swoją jednostronnością, złe skutki któréj staraliśmy się wykazać. Niedotyka ona wielu członków gminy, którzy w skutek swojéj *widocznéj zamożności* powinni się przyczyniać do podtrzymania instytucyj gminnych—i obciąża jedynie samą ziemię, któréj produkcyjność zależy nie tyle od obszaru, ile od środków eksploatacyi, a więc stosunkowéj siły gospodarskiéj, która by mogła panować nad przestrzenią; nieuwzględnia nakoniec obowiązkowego przyczynku ludzi korzystających z niektórych instytucyj, utrzymywanych kosztem gminy więc jak dotąd kosztem jedynie owéj składki gruntowéj.

Z tego powodu staraliśmy się wykazać, że tylko przy zastosowaniu w gminie *rozmaitych* znanych systemów podatkowych, można dojść do celu, to jest ulżyć cokolwiek wyłącznego ciężaru ziemi, dotknąć podatkiem ten rodzaj zamożności, który ciężarów gminnych nie ponosi, oraz przypuścić do równouprawnienia takich obywateli, którzy, jakkolwiek w gminie zamieszkali i téjże podlegli,

z praw tych nie korzystają o potrzebach i pożytkach gminy radzić nie mogą, chociaż przy odpowiedniéj kompetencyi byliby nieraz ważnym dopełniającym czynnikiem w kierowaniu interesami gminy. Nie pisząc za tém żadnych projektów prawodawczych, gdyż byłaby to robota zupełnie daremna, w celu jedynie rozszerzenia zakresu pojęć o zasadach gminnego samorządu, podaliśmy nie projekt a raczéj wzór możliwego opodatkowania, na tle stosunków istniejących w trzech gminach przez nas zbadanych. Wzór takiego opodatkowania opierał się na czterech głównych podstawach podatkowych: *a*) na podatku gruntowym, *b*) podatku od domów (rodzaj podymnego), *c*) podatku osobistym klasycznym i *d*) na poborach od korzystających z sądownictwa gminnego i szkoły.

Obok tego, mając na względzie brak przepisu ograniczającego zebrania gminne co do wysokości uchwalonych składek, które, tém bardziéj że jednostronne, mogłyby przy téj dowolności, w razie wypadkowego antagonizmu klas społecznych, jedną z nich niepomiernie przeciążyć; oraz zważywszy, że we wszystkich prawodawstwach gminnych innych państw Europejskich, są położone granice dowolnego opodatkowania się w Gminie po za obrębem których, do odnośnéj uchwały potrzebne jest przyzwolenie władzy prawodawczéj, uważaliśmy za pożyteczne wprowadzenie podobnego ograniczenia. w naszém gminném prawodawstwie. Otóż szukając normy podobnego ograniczenia nie mogliśmy jéj znaleść inaczéj, jak zakreślając maximum uchwalonéj dowolnie składki w ograniczonym procencie ogólnie opłacanych przez całą gminę podatków państwowych. Te ostatnie przedstawiają zawsze pewną stałą i określoną normę; gdy zaś podatek gruntowy i podymne jak w państwie tak i w gminie mają niejakie podobieństwo, jeśli nie w sposobie poboru to przynajmniéj w zasadzie nie umieliśmy innéj normy ograniczenia dla tych dwóch składek wynaleść, jak w stosunku ograniczonego procentu drugich do pierwszych; trudno bowiem przypuścić żeby przeciętnemu obywatelowi gmina kosztowała tyle co państwo. To maximum procentowe nie jest wcale obowiązujące, gmina bowiem może i mniejsze podatki nałożyć; nie odbiera też ono samoistności w opodatkowaniu gminném, gdyż nie stawia warunku rozkładu pomiędzy szczególnych płatników w postaci groszy dodatkowych do opłacanych przez każdego podatków rządowych, który to sposób rozkładu zgodnie z profesorem Bilińskim, za niestosowny, niesłuszny i jedynie mechaniczny musimy uważać; odbiera on bowiem możność gminie, blizko warunków miejscowych świadoméj, zrównoważenia tych nierówności, jakie ogólne opodatkowanie państwowe nieodzownemi czyni.

Z przedstawionego przez nas wzoru opodatkowania w trzech gminach wziętych za przykład, przy którym za maximum podatków gruntowego i podymnego przyjęto od 20—30% takichże podatków rządowych z całéj gminy, w dwóch gminach okazało się znaczne obniżenie opłat dla obu kategoryj własności ziemskiéj jak wielkiéj tak i małéj a to z powodu wprowadzenia poborów, oraz podatku zarobkowego klasycznego; w jednéj zaś tylko gminie, przeważnie wiejskiéj natury, podatek gminny przy znacznéin umniejszeniu dla własności większéj, podniósł się o 35 kop. czyli o 21% na 1 przeciętnego posiadacza własności małéj. Jakkolwiek kwota 35 kop. dla każdego właściciela, w obec wszystkich ponoszonych przez niego opłat rządowych, asekuracyjnych i gminnych jest nic nie znaczącą, i nie warto by było nad nią się zastanawiać skoro ona reprezentuje zaledwo jednodniową robotę rolnika—jednak, z uwagi że niektóre sfery czułe są bardzo pod względem ochrony interesów włościańskich, uważaliśmy za właściwe omówić, że jeśliby taka nawet różnica na niekorzyść mniejszéj własności mogła stanowić zarzut przeciw podanym przykładom, można tę różnicę łatwo zniwelować przez niejaką zmianę stosunku opłaty gruntowéj i od domów. I rzeczywiście zmieniając ten stosunek łatwo dojść do takiego, przy którym owe 21% przewyżki nikną, i mniejsi właściciele będą płacili to samo co i dotąd. Ponieważ zaś skutkiem poprzedniego rachunku więksi właściciele zyskali na podatku 63%, ażeby więc znikły owe 21% przewyżki opłat z własności mniejszéj, muszą one umniejszyć zysk własności większéj;—skoro zaś, biorąc przeciętnie, grunta włościańskie i dworskie pod względem liczby morgów opodatkowanych są sobie prawie równe, zysk ten większéj własności umniejszy się również o 21% czyli zredukuje się do 42%.

Jest to więc kompromis zupełnie możliwy, a w obec dzisiejszych stosunków dla wielkiéj własności bardzo pożądany, nikt bowiem twierdzić nie będzie, że zmniejszenie podatku blizko o połowę nie jest dobrodziejstwem dla klasy któréj przysluguje.

Otóż takie niewinne wyrachowania sprowadziły cały grom zarzutów i argumentacyj ze strony szanownego naszego komentatora. Uznaje więc że dowodzą one „braku zasady dla wskazania podatkowości gminnéj, przy udziale poglądów socyalnych (?) które zapatrzone w ogół, nie rozróżniają w nim jednostek, to jest *osób*, z jakich on się składa, bez których istnieć nie może. Za dowód służy zdanie, zmieniające wysokość oznaczonych procentów od podatków państwowych, dla przeniesienia ciężarów na obszary dworskie... Wartość i cena przedmiotu zależą od danych w nim złożonych, które są jednakiemi dla wszystkich klas, społecznych, inaczéj nie było-

by równości osób w obliczu prawa, ztąd prawa i własności. Oznaczenie prawa ze znaczenia istnienia ogółu społeczności, cofa ją do czasów przedhistorycznych, a prowadzi na stanowisko organizmu zwierząt, wyrażających się dopiero całkowicie w rodzajach i gromadach, które dla takiego znaczenia nie mają historyi.“

Chociaż ten ustęp mógłby wywołać pewne złośliwe myśli—jednak biorąc go zupełnie na seryo musimy odpowiedziéć, iż nam się zdawało dotąd, że człowiek jest przedewszystkiém stworzeniem jedynie do uspołecznienia uzdolnionym, ztąd jego wyższość nad zwierzętami, ztąd rządzące nim prawa i historya jego rozwoju. Inaczéj pozostaje chyba indywidualna tak dziś modna jako frazes, walka o byt.

Powyżéj cytowany ustęp, niezależnie od całéj swéj retorycznéj i logicznéj wartości, dowodzi chyba jeszcze, że szanowny autor nie zrozumiał nas wcale; nigdzie bowiem nie podaliśmy udzielnych norm podatkowych dla większéj i mniejszéj własności (oprócz naturalnie podatku klasycznego), stosunek zaś procentowy podatków gruntowego i podymnego do takichże podatków skarbowych, dla obu własności w naszych przykładach jednaki: nie może więc być mowy o przenoszeniu ciężarów z jednéj klasy na drugą. Ponieważ, dla dokładniejszego objęcia całości i naukowéj strony zajmującego nas przedmiotu, staraliśmy się wykazać główniejsze zarządzenia prawodawstw gminnych w celniejszych krajach Europy, oraz historyczny ich rozwój w Królestwie, ztąd autor broszury dochodzi do wniosku, że wprowadzenie urządzeń w innych krajach Europy obowiązujących „nietylko by było bezpożytecznèm lecz nawet szkodliwém, dla osiągnięcia zaś w królestwie korzyści powstałych za *jéj* (sic) granicami mocą przepisów prawa, należy je wskazać nowe odpowiadające jego miejscowym warunkom“.

Otóż, pomimo że autor nie może nam wskazać; w żadnym z naszych, przykładów podatkowości gminnéj, jakiegokolwiek naśladownictwa zachodnich lub wschodnich krajów Europy, trzymaliśmy się bowiem miejscowych zwyczajów uświęconych praktyką np. co do podatków gruntowych i podymnego, co do poborów zaś uwzględnialiśmy analogiczną sądową ustawę Cesarstwa, która już obecnie i u nas na korzyść instytucyj gminnych została wprowadzoną; nasz autor jednak niezadowolniony z téj konserwatywnéj niejako metody, chce od razu wstrząsnąć podstawy obowiązujących przepisów, i choćby to miało być straconym nabojem za pomocą „*wskazania znaczenia prawa*“ założyć nową i niewzruszoną podwalinę sprawiedliwości gminnéj. „Gmina (powiada) stanowi stowarzyszenie jakby

rodzaj zawiązanéj spółki, któréj zadaniem jest dokonywanie czynności w zakresie jéj dozwolonym, kosztem tych, na rzecz których one spełnione zostają. Gdyby bowiem dokonanie ich miało być głównie ciężarem pewnéj klasy osób, wtedy spółka taka naruszając prawo własności i marnując fundusze kosztem bogactwa kraju, samém prawem rozwiązana być winna. Czynności główne w zakres gminy wchodzące, odnoszą się *do osób nie do rzeczy*, zkąd podatek *pogłówny i pośredni* odpowiada rzeczywistemu znaczeniu składek gminnych. Odnoszenie tych składek do rzeczy, przeczy ich znaczeniu i czyni je nieprawnemi i niesprawiedliwemi, a wskazując udział członków w zakresie wartości rzeczy, skutkiem ograniczenia indywidualności osób, wyraźną szkodę w jéj rozwoju wyrządza. Znaczenie składki gminnéj i rządowéj wedle ilości głów pojmuje dzieło bardzo poważne ze stanowiska prawa gminnego, bo podręcznik dla sądów gminnych Miklaszewskiego (T. I, str. 35) Tak pojmowały przepisy prawa określające składki gminne do roku 1864, biorąc za zasadę dym jako jednostkę obejmującą daną ilość osób“ (str. 70). Autor jest podobno właścicielem ziemskim, *Da ist der hund begraben.*

Usuwając jednak sprośne przypuszczenie, że interes osobisty mógł wpływać na przekonania autora, widzimy, że stara się on usilnie wpoić innym podobne przekonania „*wskazaniem* znaczenia prawa *osób i rzeczy.*“ Twierdzi on (str. 77), że „dozwolenie gminom rozkładania podatków wedle zamożności osób, usunie znaczenie konieczne obowiązku człowieka i prawa własności (str. 84). Odnoszenie ciężarów do danéj klasy, bez wskazania dowodów, że one dla jéj wyłącznéj korzyści istnieją, przeczy prawdzie i prawu, które obowiązuje do zapłacenia długu bez względu na posiadany majątek.“

Streszczając powyższe twierdzenia autora w formie bardziéj plastycznéj wypadnie: że pobierający u niego (autora) jako właściciela ziemskiego za młóckę groszy polskich 20 Bartek wyrobnik, dajmy nawet że posiadający 3 morgi piasczystego gruntu—jako mający ze swym chlebodawcą jednakie prawa i obowiązki — powinien być do równości składek z tymże chlebodawcą dopuszczony. Rzeczywista to i chwalebna dbałość o podniesienie godności osobistéj współobywatela.

Ażeby zrozumiéć rzeczywistą wartość tych dążności, musimy razem z autorem najprzód wrócić do elementarnego zadania, jakiém jest „wskazanie znaczenia prawa.“

Otóż każde prawo prowadzi za sobą nieodbicie obowiązki, jak więc prawa są *osobiste* i *rzeczowe* takiemiż muszą być i obowiązki. Prawa te i obowiązki obu kategoryj (to jest osobiste i rzeczowe), od-

nośnie do stosunków gminnych, nie należą do zakresu prywatnego lecz stanowią wyłączną dziedzinę prawa publicznego, a więc tém samém gmina nie może być spółką na zasadzie stowarzyszenia li tylko osobistego i bezwarunkowo równego. Im kto większe w danėm społeczeństwie mógł lub potrafił zagarnąć korzyści, tém większe są jego obowiązki i większe też nie mniéj ciężary ponosić winien. Prawda ta niezaprzeczona, nie sprzeciwia się bynajmniéj właściwemu pojęciu prawa własności, które wszakże nigdy absolutném nie było, nie jest i nigdy być nie może.

Nie sięgając daleko, tylko obejrzawszy się w naszą kilkuwiekową przeszłość, widzimy bezsprzecznie, że prawo posiadania dóbr ziemskich stanowiło ogromny przywiléj wybranéj klasy narodu, lecz nakładało zarazem bardzo ciężkie obowiązki niesienia krwi własnéj i substancyi na obronę i potrzeby ojczyzny. Nie będziemy roztrząsali tutaj kwestyi, co w owych czasach ludzie stawiali wyżéj: przywiléj czy obowiązek — bo znalazłoby się dużo faktów świadczących na jedną lub drugą stronę. Dla kogoby jednak przykład ojczysty nie był dostatecznie przekonywającym, temu przypomnimy że i prawo feudalne w Europie stanowiło, iż żaden posiadacz dóbr rycerskich nie mógł takowych innemu odstąpić inaczéj jak za szczególném przyzwoleniem królewskiém; była to rzecz bardzo naturalna: przyswojenie praw i przywilejów równo z nabyciem dóbr było niewątpliwém, kwalifikacye zaś potrzebne do spełniania obowiązków mogły nie iść w parze z kapitałem, ztąd konieczność przyzwolenia panującego na posiadanie, które pierwiastkowo nieinaczéj jak przez zasługi powstawało.

Dopiero liberalno niwelacyjny prąd rewolucyi francuskiéj burząc przywileje, obalił zarazem dawne formy prawa rządzącego własnością ziemską; ziemia sama przechodząc przez konfiskaty dzieliła się między nowych nabywców, których w znacznéj części zdobywcami nazwaćby można. Głównym interesem nowych właścicieli było ustalenie i utrwalenie swego prawa, ogłosili więc jego świętość i nienaruszalność, zrzucili z niego niemiły obowiązek krwi i żelaza odstępując go sankiulotom, i wyposażając ich za to szerszemi prawami osobistemi (1). Własność ziemska w obrocie ekonomicznym zrównała się z własnością ruchomą, co pod względem materyalnym mogło mieć skutki nieraz korzystne, ale też zrobiło z ziemi przedmiot handlu na równi ze wszystkiemi rzeczami do codziennego użytku służącemi.

(1) Myśli te i wyrażenia zostawiamy na odpowiedzialność autora. — (*P. Red.*).

A jednak bałwochwalcy świętego prawa własności, którzy dzisiaj drżą wobec nowych amatorów konfiskat i nowego podziału (boć przykłady bywają zaraźliwe) nie potrafili uwolnić téj własności od ciężarów większych, które niosą, nie już w formie krwi własnéj ale w opłatach na potrzeby publiczne składanych. Takiemu losowi i u nas własność ulegać musi, bo prawo w znaczeniu absolutném występować może tylko jako pojęcie oderwane, wcielając się w życie musi ono podzielać los wszystkich rzeczy żywych i stosować się do warunków otaczających.

Los ten zaklęty w obowiązku ponoszenia większych ciężarów, wiąże właściciela nietylko wobec państwa, lecz niemniéj wobec gminy, któréj instytucye wchodzą — jakeśmy to już zaznaczyli — w zakres tak zwanego prawa publicznego. Jeśliby jednak szanownemu autorowi ten dowód nie wydawał się dosyć przekonywającym— możemy wyprowadzić inny, bardziéj elementarnego gatunku, dla czego przyjdzie nam jeszcze wrócić do historyi Bartka i jego chlebodawcy.

Przyznajemy, że „wskazanie znaczenia prawa“ poucza nas niewątpliwie o zupełnéj i absolutnéj równości praw obu wzmiankowanych indywiduów, tak dalece, że mogliby nawet prawa swe osobiste zamienić bez żadnéj z jakiegobądź źródła urzędowego protestacyi. Jednakże stanowiska ich w kraju i w gminie są tak dalece odmienne, że zamiana taka żadnemu z nich na myśl nawet nie przyjdzie; a przecież udział ich obu w dobrodziejstwach ustroju gminnego i korzyści jakie z niego ciągnąć będą, zależéć musi nie od praw które im służą, ale od stanowiska jakie zajmują.

Dobrodziejstwa te, jak wiadomo, zawierają się w następnych postulatach: *a*) zapewnienie bezpieczeństwa i spokoju publicznego, oraz ochronę moralną własności, co wszystko jest wynikiem saméj egzystencyi władzy administracyjno-policyjnéj i wykonawczéj w gminie, jako ostatniém ogniwie ogólnego łańcucha administracyjnego; *b*) przytrzymanie przestępców i ochrona śladów występku, łącznie z wyśledzeniem pierwszych i najważniejszych poszlak; *c*) baczność na włóczęgów i usuwanie tychże w celach bezpieczeństwa publicznego; *d*) skonstatowanie szkód polowych i leśnych, oraz dokonanie odpowiednich rewizyj i dochodzeń w celu wykrycia defraudacyi; *e*) wydawanie biletów serwitutowych i czuwanie, ażeby przepisy dozorów leśnych zgodne z ustawą były przez użytkujących zachowane; *f*) egzekucya należności skarbowych, o ile dozór zasekwestrowanych ruchomości i sprzedaż takowych do kompetencyi wójtowskiéj należy; *g*) egzekucya wyroków sądów gminnych, a więc ściąganie przysądzonych funduszów naturalnie dla tych, którzy są

w stanie takowe posiadać, oraz odstawianie rebelizujących parobków jeśli ich kontrakty w drodze sądowéj nie zostały rozwiązane; *h*) dozór nad całością mostów i bezpieczeństwem dróg, wraz z egzekucyą potrzebną do ich naprawy; *i*) wszystkie zatrudnienia mające styczność z asekuracyą budowli, oraz konstatowaniem strat przez pogorzel zrządzonych.

Nie możemy zaprzeczyć, że ze wszystkich tych dogodności społecznych obaj, użyci przez nas za przykład, obywatele kraju mają niezaprzeczone prawo w zupełnie równéj mierze korzystać; korzystają więc z bezpieczeństwa publicznego i należytego dróg utrzymania, gdy obywatel Bartek wyczekując cokolwiek za długo u drzwi kasy swego chlebodawcy, unosi około północy zdobyte groszy polskich 20, mierząc elastycznym krokiem, w słomą wypchanych butach, gościniec publiczny w drodze do swoich penatów, niemniéj jak i jego chlebodawca wiozący z miasta na elastycznych resorach pugilares, zawierający otrzymaną wartość mającego się odstawić zboża. Możemy tu jednak dopatrzéć niejaką przewagę korzyści po stronie Bartka, który łatwiéj może dziurę w moście ominąć, korzyść ta jednak zrównoważy się nieco wielokrotną jazdą 20 fornalek dworskich, dostarczających sprzedane produkty.

W kwestyi zużytkowania przywilejów egzekucyjnych, przysługujących władzom gminnym, to najprawdopodobniéj obaj obywatele zatrudnią ową władzę, z tą jedynie różnicą, że Bartek stanie się objektem egzekwowanym, a ztąd ma jeszcze szanse skorzystać z instytucyi kozy gminnéj za jakąś szkodę lub defraudacyą, a może i z okazyi, kiedy zasiliwszy dochód propinacyjny swego chlebodawcy, nawymyśla jego rządcy, dając w ten sposób odpływ nakipiałym dawno urazom. W jednéj wszakże okazyi Bartek egzekucyi nad sobą nie dopuści, a mianowicie kiedy nawet jeszcze przed terminem, chociaż w dziurawych butach, sołtysowi podatek rządowy odnosi.

Nie posuwamy daléj téj paraleli, bojąc się znudzić czytelnika, który resztę sam sobie może w wyobraźni swojéj dopełnić i zarazem wyprowadzić własne konkluzye co do równości obowiązków obydwóch obywateli kraju. Autor broszury, prowadząc wojnę z zasadą podatków rzeczowych bezpośrednich w gminie, powołuje się nawet na nasze własne opinie, mające jakoby potępiać podatek od morgi. Wskutek tego czujemy się w obowiązku zaznaczyć, że nie podnosząc wcale wojny przeciw składce gruntowéj, a tylko uważając za potrzebne zneutralizowanie jéj jednostronności, przez wprowadzenie innego rodzaju dodatkowych składek, sądziliśmy się być na polu *prawa publicznego*, nie wychodząc wcale poza granice pojęć

ustalonych w nauce; skoro zaś spotyka nas zarzut „o niepojmowanie osoby prawnéj, abstrakcyjnéj i znaczenia prawa własności“ — musimy naszemu recenzentowi postawić pytanie, jakie to prawo ma ciągle na względzie: czy kodeks francuski nie mający nic wspólnego z postulatami prawa publicznego, czy jakieś idealne prawo... może z wyspy Nipu zaczerpnięte; chociaż znowu—jak mówi Doświadczyński—że ci wyspiarze terminów prawnych nie znają „i żadnych jurystów tam niemasz.“

II.

Jakkolwiek zwolennik niby bezwarunkowy wszystkich najobszerniejszych przywilejów i swobód świętego prawa własności, nie wszystkim jednak autor zgadza się te prawa przyznawać. Należą się one wyłącznie własności większéj, mała bowiem do nich nie doszła, „nie mając dotychczas ustalonego *tytułu* prawa własności (?) równie jak i możności jéj posiadania (?). Następstwa takie usuwają włościan od dobrodziejstwa ukazu, a sądom gminnym nie dozwalają samodzielnie spełniać obowiązków dla braku dowodów, które strony u władzy właściwéj dopiero wyjednywać muszą.“ Tabele—powiada autor (str. 110)—wskazują przestrzenie, ale nie oznaczają granic (zdaje się że w tém nie różnią się od działu 1-go księgi hypotecznéj). Rozdrobnienie działów ma odbierać możność swobodnego ich używania (?). „Skutkiem takich stosunków włościanin został skaleczony sierpem w nogę, a kobiecie, w podeszłym nawet wieku strzaskano rękę; obie te nieszczęśliwe istoty pozbawione były przez długi czas możności zarobkowania“ (str. 115).

Nie odmawiając zupełnego naszego współczucia stronom poszkodowanym tak ciężko, pozwalamy sobie zrobić uwagę, że owe uszkodzenia były może bardziéj skutkiem ciemnoty i grubych obyczajów niż jakiéj prawnéj zawiłości, bo jeżeli nas posiadane wiadomości nie mylą, to w niezbyt dalekiéj przeszłości szlachta nasza łby sobie na granicach kiereszowała, chociaż jéj posiadanie nie opierało się na tabelach likwidacyjnych.

Ale wracając do rzeczy widzimy, że powyższe argumenty i przykłady (oraz wiele innych, których cytować nie jesteśmy w stanie), „dostatecznie wskazują“ autorowi „potrzebę użycia środków, dla ustalenia tytułu prawa i posiadania własności włościańskiéj.“ Otóż środki te ni mniéj ni więcéj polegają na podziale gruntów każdéj wsi na tyle równych części, ile jest osad we wsi, w niéj bowiem (t. j. we wsi) „nie ma znaczenia *tytuł prawny pojedyńczéj własności*, bo nie ma zapewnionego jéj posiadania“ (?). Moglibyśmy zwrócić

przy téj okazyi uwagę szanownego opiekuna własności, że tak postawiona kwestya agrarna, mogłaby wogólności zagrażać ulubionéj przez niego pupilli, skoro praktyka równego podziału ziemi mogłaby apetyt na taki podział i po zagranicę danéj wsi wyprowadzić; wolimy jednak przedmiot ten pozostawić bez dyskusyi jako wychodzący po za obręb kwestyi gminnéj, a wkraczający w dziedzinę *prawa prywatnego.* Na téjże zasadzie nie będziemy dyskutowali innych dwóch projektów, a mianowicie: przymusowéj komasacyi gruntów włościańskich, oraz uregulowania ostatecznie kwestyi służebności, jako żadną miarą nie podchodzące pod kategoryą prawa publicznego.

Do tego jednak ostatniego zakresu odnieść należy kwestyą reprezentacyi gminnéj, którą nasz autor rozwiązuje w sposób równie łatwy i zadawalniający; oto na zasadzie Ukazu o urządzeniu gmin wiejskich „które mieszczą w sobie jako całości oddzielne—osady, wsie i dwory. Każda z tych jednostek, jako część całości, ma prawa z niéj płynące, które dla wszystkich są jednakie, a zatém każda osada, wieś i dwór przy dozwoleniu wysyłania reprezentantów będą miały zarówno to prawo. Wybór do rady mechaniczny, opierający się na ilości domów, oraz powiększanie liczby członków rady od téj ilości zależne, nie odpowiada znaczeniu rady. Obecny stan rzeczy który wywołuje potrzebę rady, prawdę tę wskazuje.“

Przypomniawszy sobie że szanowny autor, w ciągu swojéj uzupełniającéj pracy, dążył stale do absolutnego równouprawnienia wszystkich właścicieli wielkich i małych pod względem ponoszenia ciężarów gminnych, wobec tak projektowanéj reprezentacyi, złośliwy krytyk mógłby dopatrzéć niejakiéj kontradykcyi, my jednak do tych złośliwych nie myśląc należéć, ostateczną krytykę samemu czytelnikowi wolemy pozostawić.

Na tém właściwie moglibyśmy zakończyć sprawozdanie z broszury uzupełniającéj naszę pracę o stosunkach gminnych w królestwie, uważamy jednak za potrzebne dotknąć chociaż pobieżnie dwóch kwestyj traktowanych we wspomnionéj naszéj pracy a mianowicie: 1° kwestyi nabywania przez żydów osad włościańskich rozwiązanéj przez autora broszury uzupełniającéj, w sposób niespodziewany i oryginalny; 2° kwestyi dotyczącéj ustroju rosyjskiéj gromady włościańskiéj, w któréj dostaliśmy admonicyą aż dwóch na raz recenzentów.

W pierwszéj z tych kwestyj, zaznaczywszy, że nabywanie osad przez Żydów jest sprzeczne z duchem prawodawstwa a opiera się na fikcyjnych świadectwach o włościańskiem ich pochodzeniu, motywowaném na zasadzie niby to pokrewieństwa z obdarowanemi nie-

prawnie wbrew znaczeniu §§ 6 i 10 ukazu, uważaliśmy, że takie posiadanie przypadkowe gruntów włościańskich, nie może dowodzić włościańskiego pochodzenia obdarowanych i tém samém nie może im dawać prawa do dalszego nabywania gruntów tabelowych.

Zastrzeżenie to nasze oparte jedynie na ścisłém pojmowaniu obowiązującego prawa, według autora broszury „odejmuje żydom możność zwrócenia się do pracy fizycznéj produkcyjnéj, jaką daje własność ziemska i nie przedstawia żadnych innych następstw. Żydzi bowiem, nie mogąc nabyć gruntu na własność będą wydzierżawiać we wsiach mieszkania i prowadzić daléj handel jak dzisiaj. Dla uniknienia więc skutków odrębności, szczególniéj szkodliwych dla nieoświeconych, uważa autor broszury w obecnym czasie za potrzebne, zabronienie żydom prowadzenia we wsiach jakiegokolwiek bądź handlu, a nawet ograniczenie wchodzenia z włościanami w stosunki pieniężne.“

Zwrot to zupełnie nieprzewidziany, jako wychodzący z zakresu rzeczywiście obowiązującego prawa i wkraczający, w dziedzinę *nowych* ograniczeń prawa osobistego, ograniczeń stawiających już żydów w położenie bez wyjścia. Traktując drugą ze wspomnionych kwestyj, tyczącą się ustroju włościańskiéj gromady Rosyjskiéj, przedstawiliśmy ten ustrój jako urządzenie gminne *sui generis*, oraz wykazaliśmy moralne i ekonomiczne skutki tego ustroju opartego na wspólnéj własności gromadzkiéj, skutki udowodnione treścią oryginalnych uchwał dwóch gromad, przedstawiających moralny i ekonomiczny ucisk słabszych indywiduów pozostających w mniejszości.

Zupełnie niespodziewanie spotkawszy się w rozbieranéj przez nas broszurze z obroną pomienionych uchwał, jako opartych na prawnéj zasadzie, chociaż tym uchwałom nic myśleliśmy nieprawności zarzucać, a wykazaliśmy tylko szkodliwe owéj prawności skutki, pozwalamy sobie bowiem twierdzić że i prawo każde skoro jest złe i niesprawiedliwe może i powinno podlegać reformom. Pod względem jednak oceny tego prawa przez autora, dowiedzieliśmy się bardzo ciekawéj zkąd inąd rzeczy, a mianowicie: że etycznego rozwoju takiéj gromady „nie wstrzymuje wspólność własności, lecz brak istnienia stosunku prawnego opierającego się na własności lub téż na długoczasowém oczynszowaniu. Gruntów bowiem rozdanych gromadzie do użytku z uwzględnieniem nie osób, lecz zmiennéj tychże zamożności, nie można uznać za własność gromady.“ Radzibyśmy się też dowiedzieć za czyją własność szanowny nasz recenzent poczytuje, owe grunta, które gromada rozdaje swoim członkom? o ile bowiem znamy rosyjską ustawę włościańską, mianuje ona te

grunta własnością gromady, system zaś takiéj własności ma za tytuł „Obszczynnoje ziemlewładienje.“

Autor broszury „szukając przyczyny, która wywołała wnioski i potrzeby (?) autora znajduje ją w niepojęciu osoby prawnéj abstrakcyjnéj i znaczenia prawa własności. Ztąd bowiem powstało mięszanie prawa z potrzebami i z moralnością, odnoszenia własności do rzeczy nie do osób, które wywołały wykrzykniki bez rzeczywistego znaczenia. Na jakie musieliśmy zwrócić uwagę, bo one odkryły drogę następstw największą krajowi szkodę wyrządzających. Nie można bowiem uznać potrzeby żeby prawo opierało się na nowszym poglądzie socyalnym, który nie odróżniając przedmiotów wydaje sądy przeczące rzeczywistości, a tém samém prawu“ (str. 22).

Widocznie szanowny recenzent wymierzył nam te plagi pod wpływem przestrachu przed naszemi niby nowemi socyalnemi poglądami; śpieszymy więc go zapewnić, że żadnych podobnych poglądów nie zamierzamy w naszym kraju wprowadzać, bo i rzecz ta wcale od nas nie zależy, a nawet i podsuwać podobnych myśli nie było naszym zamiarem; twierdzenie bowiem że wspólność rosyjskiéj gromady jest czysto pierwotną i niepodobną w niczém do naszych socyalnych poglądów, nie jest bynajmniéj rekomendacyą tych ostatnich o ile one podkopują ustrój społeczny, pochodzący z naszéj historycznéj tradycyi, oświeconéj nowszemi zasadami humanitaryzmu. Spokojne i uważne powtórne odczytanie tego cośmy w téj materyi pisali, powinno w zupełności szanownego naszego krytyka uspokoić.

Zostaje nam jeszcze parę słów przesłać pod adresem innego w tejże materyi recenzenta.

Spotkaliśmy się przypadkiem w tygodniku „Prawda“ z recenzyą rozbieranéj przez nas broszury p. Hempla, gdzie krytyk przejeżdżając się żartobliwie po ogólnikowych prawniczych orzeczeniach autora, jakkolwiek łaskawie do naszéj pracy się odnosił, pod względem jednak kwestyi ustroju rosyjskiéj gromady, udzielił nam obu uprzejméj rady, zebyśmy lepiéj nierozprawiali o rzeczy, któréj nie znamy i nie rozumiemy wcale. Zarzucał zaś piszącemu te słowa, że słyszał coś o téj rzeczy jednostronnie i nie uwzględnił odrębnych stosunków Rosyi północnéj.

Otóż musimy zaznaczyć, że stosunki owéj północy nie zajmowały nas wcale. Bardziéj jeszcze odrębne, moglibyśmy znaleść w Kamczatce lub kraju nadamurskim. Przyznajemy, że na północy włościanie rozrzuceni po bezludnych i leśnych przestrzeniach dóbr rządowych, mają tyle ziemi ile im się podobało zająć takowéj. Nie mają więc dotąd prawdopodobnie potrzeby zmieniać działów, lub

takowe jednym na korzyść drugich odbierać. Prawny jednak ustrój i w nich również opiera się na zasadzie *„obszczyny“*, i w dalszym ciągu do takich że skutków doprowadzi jak w Rosyi środkowéj, którą głównie mieliśmy na względzie, gdzie przy znacznem zaludnieniu i małych stosunkowo „nadziałach“ dzieje się to cośmy w naszéj pracy o gminie napisali.

Pisaliśmy zaś z zupełną znajomością rzeczy, opartą na osobistéj kilkoletniéj obserwacyi na gruncie, na dokładném obeznaniu z ustawą włościańską cesarstwa, i w ostatku powołując się na bardzo objektywne studya, niezaprzeczonego zwolennika „Obszczyny“ p. Tryrogowa, który jako członek zarządu włościańskiego dokonał bardzo sumiennych obserwacyj również na gruncie i pomimo całego przywiązania do zasady, nie wahał się wykazać odważnie wszystkich ujemnych zjawisk protegowanego przez siebie ustroju. Ze wszystkich zatém wyłuszczonych powodów, poczuwamy się do prawa, uprzejmie nam udzieloną przez recenzenta z „Prawdy“ poradę, na jego własny użytek odwrócić.

Julian Łapicki.

LITERATURA GRUZIŃSKA.

Na dalekim Wschodzie, pomiędzy morzem Czarném i Kaspijskiém, w rozkosznych dolinach starożytnéj Kolchidy mieszka mało liczny naród, którego przeszłość niewielu tylko jest znana i o którego dzisiejsze dążenia cywilizacyjne nikt się na Zachodzie nie troszczy. Są to chrześciańscy *Gruzini*, Georgowie albo Kartwelowie, jak się w swym własnym języku nazywają. Historyczna przeszłość tego, zaledwie milion głów liczącego ludu, znaczeniem i wielkością nie wiele ustępuje innym narodom zachodniéj Azyi, gdyż rola, którą Gruzya odegrywała, kiedy się jéj granice za Bagratydów rozciągały od wielkiego Kaukazu aż do Araksu, była znakomitą i do ograniczenia potęgi Islamu—przynajmniéj w owych okolicach—wielce się przyczyniła. Przez długie wieki albowiem bronili Gruzini naturalnego mostu pomiędzy Azyą i Europą przeciw Persom, Arabom i Turkom i walkę tę tak przeciągłą prowadzili z większą wytrwałością aniżeli europejscy Krzyżownicy w Palestynie. Cały przebieg tych krwawych wojen przedstawia zajmujący i szacunek wzbudzający obraz prawdziwie chrześciańskiego rycerstwa, którego ogólny charakter wiele ma podobieństwa ze średniowieczném rycerstwem Europy. Obrona religii i kraju, to są główne czynniki dawnych dziejów Gruzyi; stan duchowny i rycerstwo, główne filary jéj średniowiecznego ustroju społecznego.

Naród ten dla liczebnéj szczupłości swojéj nie zaważył naturalnie nigdy na szalach dziejów świata, ale pomimo to spełniał niegdyś ważne posłannictwo i spełniał je z chwałą. To samo można powiedzieć o jego działalności umysłowéj, która pomimo swéj istotnéj wartości, jeszcze dotychczas nie wniknęła w ogólny prąd powszechnego życia umysłowego i w żadnéj historyi literatury jeszcze uwzględnioną nie była. Jest-to krzywda uczyniona nie jednemu

pisarzowi i, wobec dzisiejszego wyczerpania się twórczéj oryginalności w piśmiennictwie Zachodu, może nawet strata. Nie chcę przez to bynajmniéj powiedziéć, że literatura gruzińska chowa w sobie jakieś zaklęte skarby, które po swém odkryciu świat mają wprawić w zdumienie; nie — bynajmniéj! Ale w każdym razie znajdzie się w niéj niejeden klejnot, który przynajmniéj tę ma zaletę, że jest prawdziwym i oryginalnym.

Praca niniejsza ma być krótkiém zestawieniem działalności literackiéj Gruzinów, od klasycznéj epoki ich piśmiennictwa aż do dzisiejszych czasów, przyczém naturalnie uwzględnić musiałem dzieje rozwoju ich cywilizacyi wogóle.

I.

Pochodzenie języka gruzińskiego dotychczas jeszcze nie jest dostatecznie wyświetlone pomimo dość obszernych w tym kierunku badań. Zmarły przed paru laty profesor Akademii petersburskiéj, francuz Brosset, który lepiéj niż ktokolwiek znał ten język i bardzo jasno wyłożył proces jego rozwoju, zauważył jego powinowactwo z językami indo-europejskiemi, przyznając jednak, że rodzime jądro jego z językami temi nic niema wspólnego. Należy więc przypuszczać, że mowa gruzińska nie jest pochodzenia indo-europejskiego, ale że na rozwój jéj wpłynęły język perski, zendzki i sanskryt, co prawdopodobnie się odbywało za pośrednictwem ormiańskiego. W swym dzisiejszym stanie posiada język gruziński mnóstwo obcych naleciałości, zwłaszcza perskich i arabskich, a nawet od czasu, jak się starano nagiąć go do potrzeb nowożytnego rozwoju cywilizacyi, przyswojono mu wiele słów europejskich, co bynajmniéj nie wpłynęło na jego upiększenie. Tyczy się to zwłaszcza wyrazów technicznych, ale i oprócz tego kaleczą go niektórzy dziennikarze gruzińscy, bez przyczyny dodając do obcych słów gruzińskie końcówki bez względu na to, czy słowa te staną się przez to zrozumiałemi. Przeciwko temu zepsuciu języka walczą jednak teraz filologowie gruzińscy i kilku z nich z p. Kipiani na czele pracuje nad zastąpieniem tych obcych wyrazów swojskiemi.

Ułożenie swego pisma przypisują Gruzini królowi Farnawazowi, założycielowi ich państwa, który miał żyć w czasach Aleksandra Wielkiego. Pismo to było pochodzenia zendzkiego i duchowieństwo chrześciańskie, żeby zatrzéć w nim tę pogańską cechę, zamieniło je w czwartym wieku naszéj ery, przekształcając kończatą formę liter w okrągłą. Forma ta niezmiernie utrudnia czytanie, do

czego się także nieco przyczynia znaczna liczba znaków piśmiennych, których jest 38. Dzięki temu bogactwu liter, ortografia nie przedstawia prawie żadnych trudności, gdyż znając dokładnie dźwięk każdego znaku, z łatwością można bez błędu pisać po gruzińsku. Jest-to wielkie uproszczenie, które początkowe trudy przy wyuczeniu się abecadła znacznie wynagradza.

Z pogańskich czasów Gruzyi nie doszedł do nas żaden utwór literacki, najstarszym zaś pomnikiem z ery chrześciańskiéj są przekłady Biblii i kilku dzieł treści teologicznéj. Jak wszędzie tak i w Gruzyi były nauki początkowo uprawiane wyłącznie przez duchowieństwo, którego głównem staraniem było umocnienie w kraju religii chrześciańskiéj i w tym celu postarało się o przekłady najsławniejszych w owéj epoce dzieł teologicznych, przeważnie greckich. Grecy byzantyńscy albowiem byli pierwszymi nauczycielami Gruzinów i do jedenastego stulecia wyższe duchowieństwo prawie wyłącznie z nich się rekrutowało. Wpływ byzantyński rozpościerał się wówczas na całe życie Gruzinów, tak, że ich cywilizacya przez wieki się rozwijała na greckich wzorach, aż silne rządy Bagratydów i powolny upadek cesarstwa wschodniego zależność tę osłabiły. Urok wyższéj cywilizacyi nie zaciera się jednak tak łatwo i dla tego téż widzimy Gruzinów jeszcze długo pod wpływem tych pierwszych swych nauczycieli; a nawet wtedy, gdy już w Gruzyi zaczęło się wytwarzać życie narodowe, posyłano jeszcze młodych ludzi na nauki do Aten i innych miast Grecyi.

W jedenastym stuleciu pojawiają się w Gruzyi pierwsze utwory literatury świeckiéj, a mianowicie przekłady greckich i łacińskich klasyków, które się stały podwalinami piśmiennictwa świeckiego, gdyż wywoławszy chęć naśladownictwa, rozbudziły i w tym kierunku działalność literacką. Właściwy rozkwit średniowiecznéj literatury Gruzinów przypada na dwunaste stulecie, nastąpił więc jednocześnie z największą potęgą materyalną, jaką się ten naród kiedykolwiek cieszył w swéj bogatéj w zdarzenia i wstrząśnienia przeszłości. Rycerski duch jego zaczął już wówczas słabnąć, ale pomimo to wojny prowadzone przez Gruzinów w owéj epoce były jeszcze po większéj części dla nich szczęśliwe i potęga ich była jeszcze groźną dla sąsiadów. Przypisać to można albo ich wyższości cywilizacyjnéj, albo ich dość silnéj organizacyi społecznéj, która niezmiernie ułatwiała wszelkie wyprawy wojenne. Bez względu na to, młodzieńcza siła tego narodu już znikała w dwunastym stuleciu i działalność jego zaczęła się zwracać na wewnątrz, gdzie życie koło ogniska domowego więcéj obiecywało rycerstwu przyjemności aniżeli ciężkie i w niebezpieczeństwa obfitujące życie obozowe. Oby-

czaje były już dość łagodne i w stosunkach towarzyskich panowała nawet pewna ogłada, wyrażająca się także w wielkich hołdach oddawanych płci pięknéj. Było to życie hulaszcze, życie dla używania przyjemności ziemskich, ale nie brakło mu też wyższych pobudek, pewnéj okrasy estetycznéj i wykwintnego urozmaicenia. Zdaje się nawet, że uobyczajenie nigdy w przeszłych wiekach nie stało w Gruzyi tak wysoko jak w dwunastém stuleciu, za rządów ubóstwianéj przez wszystkie ludy Kaukazu królowéj Tamary. Łagodzący jéj wpływ widać wyraźnie we wszelkich objawach ówczesnego życia.

Szczęśliwe wojny, umocnienie wewnętrznego bezpieczeństwa i bogate zdobycze zrobione na nieprzyjaciołach, podniosły naturalnie dobrobyt kraju, a z dobrobytem i materyalna cywilizacya znaczne czyniła postępy. Nigdy też w Gruzyi nie budowano tyle jak wówczas i nigdy architektura narodowa nie stała tak wysoko jak w téj właśnie epoce, o czém pozostałe w niéj kościoły, klasztory i zamki dziś jeszcze świadczą. Wszystkie te często okazałe pomniki posiadają swój charakterystyczny styl, który choć nie dosięgnął doskonałości swych grecko-byzantyńskich wzorów, stanął jednak na pewnéj wysokości, a estetyczny zmysł krajowców nadał mu wcale przyjemną dla oka cechę. Styl gruziński jest prosty, choć wyobraźnia Gruzinów jest bujną i otaczająca ich przyroda urozmaicona bez końca. Pod tym więc względem trzymali się prostoty i miary i ta okoliczność zdaje się być wymownem ich gustu świadectwem. Z materyalnego dobrobytu wykiełkowały naturalnym biegiem zbytki, a te rodząc coraz nowe zachcianki i żądze, wytworzyły wykwintne wesołością i rycerską lekkością nacechowane życie, którego głównem ogniskiem był wspaniały dwór pięknéj królowéj Tamary. Tu świeciła długie lata pogoda i uciecha, choć szczęk broni często przerywał to świąteczne życie zadowolonego ze swych powodzeń rycerstwa. Po prawie zawsze zwycięzkich wyprawach powrót do stolicy bywał tryumfem, uroczystym pochodem, podczas którego konie rycerzy nieraz stąpały po drogich kobiercach, nie mających już wielkéj wartości wobec bezustannego napływu bogactw mahometańskiego Wschodu. Były to huczne czasy, a cichy kupiecki dziś Tyflis, zupełnie odmienne musiał wówczas przedstawiać widowiska. Bezustannie gościło w jego murach po kilka tysięcy bogatych i chciwych uciech i rozrywek rycerzy, długie karawany przeciągały jego ulice, przynosząc bajeczne skarby, choć kraj sam już posiadał wszelkie do uprzyjemnienia życia potrzebne środki. Dodajmy do tego południową pogodę gruzińskiego nieba, wspaniałą przyrodę, jéj obfite płody i przedewszystkiem ogniste wino, potém powaby pięknych bez liku kobiet, dobry

humor i dowcip mężczyzn, a będziemy mieli prawie wierny obraz życia, jakie wrzało wówczas w Gruzyi, kiedy umysłowy rozwój jéj mieszkańców w pełnym znajdował się rozkwicie.

Poezya zrodzona na gruncie takiego życia nie może być niczém inném jak jego wyrazem, odzwierciedleniem jego treści, gdyż wpośród ogólnego dostatku i zadowolenia z siebie trudno przecież o dążności dalsze, zmierzające do zmiany, o poezyą zawierającą w sobie przygotowujące czynniki życia przyszłości.

To téż umysłowe płody Gruzinów dwunastego stulecia są przeważnie wiernem odbiciem współczesnego życia jak i uczuć społeczeństwa biorącego w niém udział. Bezpośrednim płodem ogólnego usposobienia umysłów była poezya liryczna, gdyż, jakże nie wywnętrzać rozkoszy i cierpień serca w kraju, gdzie wszystko usposabia do poezyi, gdzie się na każdym kroku spotyka czarodziejskie krajobrazy, gdzie pogoda nieba i łagodność klimatu największego prostaka czyni poetą.

Liryka więc była nader gorliwie i nawet namiętnie uprawiana w ówczesnéj Gruzyi, ale przebrzmiała wraz z pieśniami słowików, wtórujących w owym czasie miłosnym kochanków rozmowom.

Z rozmaitych płodów téj poezyi uczuć, zaledwie część przetrwała wieki następne. Inaczéj się ma z utworami epickiemi, które w rękopismach przechowały się jak skarby, aż druk umożebnił ich rozpowszechnienie i utrwalenie.

Najznaczniejszém dziełem tego rodzaju jest „Wepihwis-Tkaosani“ czyli „Człowiek w skórze tygrysiéj“, które w nieco rozwlekłém, do Arabii przeniesionén opowiadaniu, wspaniały daje obraz współczesnego życia Gruzinów. Treść téj epopei jest następująca: Sędziwy Rostewan, król Arabii, zrzeka się tronu na rzecz swéj córki Tynatyny, błyszczącéj — podług słów poety — pięknością jak słońce Wschodu błyszczy blaskiem. Nagle wpada król w smutek, a zapytany o przyczynę, oświadcza, że smuci go zniknięcie waleczności pomiędzy jego rycerzami, gdyż jemu żaden z nich nie dorówna odwagą ani dzielnością. Wtedy Autandyl, jeden z dworzan, prosi go aby mu pozwolił dowieść bezzasadności jego oświadczenia. Król chcąc Autandylowi dać do tego sposobność, urządza polowanie. Tu spotyka płaczącego młodego człowieka odzianego w skórę tygrysią, a będąc ciekawy dowiedzieć się o przyczynę jego smutku, posyła za nim kilku swych rycerzy, lecz młodzieniec ucieka w gęstwinę lasu i skrywa się. Wypadek ten znów zasmuca króla i nic nie zdoła go rozweselić. Wtedy córka jego, by usunąć przyczynę smutku ojca, wysyła Autandyla w daleki świat na odnalezienie tego tajemniczego młodzieńca, obiecując mu w nagrodę za tyle trudów

swą rękę. Autandyl chętnie spełnia rozkaz pięknéj królewnéj i błądzi kilka lat po różnych krajach Wschodu, aż mu się wreszcie udaje odnaleźć młodzieńca i powziąć żądane o jego losie wiadomości. Huczne wesele kończy naturalnie tę, wprawdzie rozwlekłą, ale miejscami nader piękną Odysseę. Jest-to jednak tylko suchy wątek tego poematu, zawierającego w sobie rozmaite inne z głównem opowiadaniem połączone powiastki.

Z naszego stanowiska trudno osądzić rzeczywistą wartość téj perły poezyi gruzińskiéj, gdyż przedewszystkiém wyda nam się treść całéj powieści naiwną, szczegóły zaś będą znowu dla nas zanadto zabarwione pstrą obrazowością wschodniéj wyobraźni. Trzeba jednak wziąć pod uwagę, że poemat ten został napisany w dwunastym wieku i że twórca jego był mieszkańcem kraju, w którym przesada bynajmniéj tak nie razi jak u nas. Pomimo tych niedostatków kompozycyi posiada „Wepihwis Tkaosani“ niezliczone piękności i w rzeczywiście wspaniały sposób roztacza przed czytelnikiem ruchliwe i jeszcze patryarchalną cechę noszące życie dawno znikłego świata. Opisy zgromadzenia dworzan, polowania, jak i obyczajów mieszczaństwa i rycerzy, malowidła cudnych krajobrazów i sceny z życia kochanków są bez zaprzeczenia urocze i wielce poetyczne. Czynnik ogólno-ludzki znika wprawdzie często pod ciężarem ozdób poetycznych, ale téż często występuje tak jędrnie, tak swobodnie bez pęt podmiotowości, że czytelnik mimowoli przyznaje poecie, że jest wieszczem prawdziwym. Poemat swój tworzył widocznie pod wpływem natchnienia i piękne barwy, któremi wymalował obraz cudnéj Tynatyny i żar, który tchnął w miłość Autandyla nie dozwalają wątpić o prawdziwości podania, głoszącego, że poeta kochając potajemnie królowę Tamarę, przedstawił ją w roli głównéj bohaterki, biorąc naturalnie dla siebie rolę kochanka.

Autorem „Wepihwis-Tkaosani“ jest Srota *Rustaweli*, o życiu którego nie wiele istnieje szczegółów. Wiadomo tylko, że się kształcił w Atenach i powróciwszy do kraju został podskarbim królowéj Tamary. Pod koniec życia udał się na pielgrzymkę do Jerozolimy, gdzie téż umarł.

Po Rustawelim muza gruzińska już wyżéj się nie wzniosła i inni poeci tego czasu na niższym już stoją stopniu, choć i w ich dziełach, podług zapewnień znawców staro-gruzińskiego języka, wiele się znajduje piękności. Znawców takich pomiędzy samemi Gruzinami jest nie wielka liczba i dopiero w ostatnich czasach wzięto się energicznie do rozpowszechnienia znajomości dzieł tych pisarzy co za klasycznych uchodzą, przedsięwzięcie, które się może z czasem przyczyni do oczyszczenia dziś tak skaleczałego języka gruzińskiego.

Wydawnictwem klasyków zajmuje się obecnie Zacharyasz Czyczynadze; i pierwszy tomik téj biblioteki wyszedł już przed kilku tygodniami i zawiera poemat Czachczuradzego „Królowa Tamara i małżonek jéj Dawid.“

Z epicznych utworów dwunastego stulecia najznakomitszemi są po „Wepihwis Tkaosani“, „Bariamiani“, „Rostomiani“, „Wisramiani“ Sargisa Tmokweliego i „Dialariani“ Mojżesza Choelego. Pod względem formy, ale mniéj pięknością treści, odznacza się także „Tamariada,“ poemat poświęcony królowéj Tamarze. Imię téj królowéj ma u Gruzinów i nawet u wszystkich ludów Kaukazu jakiś czarodziejski urok i jest jakby zespoleniem wszystkich cnót i powabów niewieścich. Cześć oddawana jéj pamięci ma prawie religijną cechę i o ile wiem, niema w dziejach żadnego narodu postaci kobiecéj, którąby tak uwielbianą była jak Tamara. Prawdziwy ten kult nie wytworzył się jednak tylko na podaniach i nietylko czar przeszłości wzniósł go tak wysoko, gdyż już współcześni Tamary nie mieli dla niéj dosyć słów pochwały i oprócz dwóch czy trzech większych poematów poświęconych uświetnieniu jéj osoby, głosiły wówczas niezliczone mniejsze poezye te same względem niéj myśli i uczucia. W Tamarze albowiem czczono dobroczyńcę narodu, gdyż rządy jéj były łagodne, a wszystkie czynności nacechowane cnotą i sprawiedliwością.

Obok poezyi uprawiano w ówczesnéj Gruzyi także prozę, która jednak jeszcze wyraźnie nosi ślady wpływu Greków, podczas gdy w poezyi oddziaływanie Persów i Arabów czuć się już daje. Najwybitniejszemi prozaikami téj epoki byli Efraim młodszy, Iklatoeli, Jan Taidczi, Szawteli i Petriczy. Szawteli miał napisać „Historyą Abduła Messya,“ która podług świadectw późniejszych pisarzy, była dziełem wielkiéj wartości, ale wraz z innemi utworami tego czasu zaginęła, gdyż najezdnicy mahometańscy z zaciekłością Wandalów niszczyli, podczas swych częstych napadów, liczne po klasztorach i zamkach przechowane księgozbiory.

Ze wspomnionych prozaików cieszył się zawsze wielką sławą Jan Petriczy, zwany „filozofem“, który się zasłużył przekładami niektórych dzieł Platona i Arystotelesa, ale oprócz tego także napisał kilka dzieł oryginalnych. Katolikos Antoni, żyjący w drugiéj połowie ośmnastego wieku, mówi o nim, że „nietylko zna rzeczy, lecz i ich przyczyny i dla tego jest prawdziwym filozofem.“

Po tym stosunkowo dość znacznym rozkwicie umysłowego życia Gruzinów nastąpiły długie wieki upadku. Już za córki Tamary, królowéj Rusudan, wtargnęli do Gruzyi Seldżukowie i naród, jęczący pod ich ciężkiém jarzmem, myślał już tylko o obronie kraju,

która jednak z niewielkiém była prowadzona powodzeniem. Do tych walk z zewnętrznemi nieprzyjaciołmi przyłączyły się późniéj bezustanne wojny domowe pomiędzy licznie rozgałęzioną rodziną królewską. Niesnaski te wstrzymały nietylko dalsze postępy cywilizacyi, ale zapowiadały już zupełny rozkład przeżytego organizmu społecznego, co straciwszy swą siłę jako zgromadzenie rycerzy, nie miał jeszcze w sobie tego żywiołu, który jest niezbędnym dla odrodzenia rycersko-rolniczych społeczeństw. Żywiołem tym bywa jak wiadomo mieszczaństwo. Stan ten lubo w średnich wiekach był dosyć silny, upadł późniéj i dopiero w naszém stuleciu na nowo rozwijać się zaczął w Gruzyi.

W kilku wiekowym peryodzie upadku ustała prawie zupełnie wszelka działalność literacka i tylko od czasu do czasu pojawiały się rozmaite dzieła teologiczne, które wszakże były słabemi jeno odbłyskami przeszłéj uczoności duchowieństwa.

Założenie pierwszéj drukarni w Tyflisie 1712 roku, obudziło na nowo nieco życia w umysłowéj działalności Gruzinów; król Wachtang VI, który sam był pisarzem, przystąpił natychmiast do drukowania znacznéj ilości ksiąg religijnych i świeckich.

Jeszcze przed nim żyjący Sułchan Orbeliani wzbogacił piśmiennictwo swego kraju kilkoma dziełami, z których jedno ma niepoślednią wartość. Jest-to „Bukiet słów“ czyli słownik gruziński, zawierający w sobie około 25,000 wyrazów zebranych przez niego w przeciągu 30 lat z dzieł wszystkich dawniejszych autorów. Życie Sułchana Orbeliani'ego, który wiele podróżował po Europie i nawet tu przyjął był wiarę katolicką, ale się jéj wyrzekł ku końcowi swego życia, było nader bogate w przygody i zdarzenia. Oprócz słownika napisał on jeszcze „Podróż po Europie“ i „Zbiór bajek“, w którym z wielkim humorem maluje wady i słabe strony swoich ziomków. Katolikos Antoni, żyjący w ośmnastém stuleciu i nie lubiący Orbeliani'ego z powodu jego odszczepieństwa, mówi jednak o nim, że „wszystko, co napisał w świeckim duchu, jest doskonałe i poetyczne.“

Ożywienie, wywołane założeniem pierwszéj drukarni, ustało wkrótce, gdyż niedługo potém wtargnęli Persowie do Gruzyi i zniszczyli nietylko drukarnie, lecz i wielką ilość drukowanych już książek. Taki sam los spotkał drugą drukarnię, założoną przez króla Herakliusza II,— podczas ostatniego napadu Persów w r. 1795.

Wiek ośmnasty upłynął więc dla Gruzyi w takimże niepokoju i w takiejże obawie o jutro jak i poprzednie; naród zmęczony bezustannemi najazdami mahometan i wojnami domowemi miejscowych książąt, o nic już nie dbał, gdyż nawet życie ludzkie nie wiele

w tych czasach ważyło. Ciągłe te niepokoje wytworzyły w nim apatyą i wyczerpały energią do przedsięwzięcia jakiegokolwiek kroku dla podniesienia swego bytu, lubo nie brakło przytém zupełnie na pobudkach, gdyż stosunki z Zachodem stawały się teraz coraz częstszemi. Nieco oświaty wnieśli w tych czasach misyonarze katoliccy, przeważnie Włosi, których gorliwy prozelityzm jednak uniemożebniał spokojne rozprzestrzenienie się przyniesionéj przez nich wiedzy, i więcéj wywołał w krajowcach niechęci niżeli założone z ich inicyatywy szkoły przyniosły pożytku. Z powodu niesnasek powstałych wskutek ich pobytu w kraju pomiędzy duchowieństwem, wydalił ich w końcu król Tejmuraz i, ażeby podnieść stan oświaty pomiędzy księżmi i ludnością kraju, założył seminaryum duchowne w mieście: Telawie i oprócz tego szkoły świeckie.

Ostatnimi wybitniejszymi pisarzami ośmnastego wieku są Wachtuszy, syn króla Wachtanga VI i Katolikos czyli arcybiskup Antoni, brat tegoż króla. Literacka działalność pierwszego była bardzo szeroką i świadczy o wysokiém jak na owe czasy wykształceniu. Napisał on między innemi dość obszerną historyą Gruzyi, „Geografią Gruzyi“, „Geograficzny słownik niektórych prowincyj Gruzyi“ i „Rosyjsko-gruziński słownik,“ który służył innym późniejszym tego rodzaju pracom za podstawę. Dzieła Katolikosa Antoniego są również dość liczne i rozmaitéj treści. Oprócz kilku rozpraw teologicznych napisał on „Historyą Gruzyi,“ „Słowo na cześć królów, świętych i pisarzy gruzińskich“ i „Gramatykę języka gruzińskiego,“ która była pierwszą tego rodzaju próbą i naturalnie bardzo wiele zostawia do życzenia. Tłómaczył on także „Filozofią powszechną“ Baumeistera i „Fizykę“ Wolfa z niemieckiego, „Retorykę“ Mchitara z ormiańskiego itd.

Dzieła jego są pisane dość górnym stylem, przez który się miejscami przebija patryarchalna naiwność. Rozróżnia on dwa sposoby wyrażania się: prosty i wykwintny czyli słodko brzmiący. Pierwszym powinien się każdy posługiwać, kto przemawia do ludu, drugim zaś poeci, aby język ich był również wzniosłym jak i przedmiot opisany. Rada jego znalazła wielu posłusznych wykonawców, gdyż i dziś jeszcze znaczna liczba pisarzy gruzińskich trzyma się téj wybujałości słowa, choć w tém może mniéj postępują podług rady Katolikosa Antoniego, aniżeli własnéj ulegają chęci do przesady.

Koniec ośmnastego wieku zamknął epokę samoistności Gruzinów, gdyż kraj przechodzi teraz pod panowanie Rosyi, która kładzie kres długowiekowym najazdom Persów i Turków i przywróciwszy pokój, daje Gruzyi możność łatwiejszego zetknięcia się z Europą.

II

Z początkiem XIX stulecia zaczyna się wprawdzie dla Gruzinów nowa era, ale ruch cywilizacyjny budził się u nich powoli i właściwie dopiero około połowy naszego wieku. Życie europejskie było dla nich taką nowością, że długo wobec niego byli tylko obojętnymi widzami i nie wielu z nich zrozumiało od razu treść i znaczenie cywilizacyi. Największa zaś część Gruzinów pogrążoną była w ciemnocie i na życiu ich ciążyły pęta skostniałego Wschodu, który przez wieki wywierał na nich tak silny wpływ, że pomimo różnicy wiary stali się obyczajami prawie podobnymi do mahometan. Były to obyczaje bez wyższéj moralnéj treści, oparte głównie na bezmyślnych ceremoniach, ale właśnie ten zewnętrzny ich charakter stanowił ich siłę. Obyczaje te leżały na życiu Gruzinów jak twarda skorupa, uniemożebniająca każdy swobodny ruch a tém bardziéj postęp w kierunku zupełnie przeciwnym. Nic dziwnego więc, że kilka upłynęło dziesiątków lat nim ruch cywilizacyjny skruszył tę skorupę i w więcéj do cudzoziemców zbliżonéj warstwie społeczeństwa potrzebę zmiany rozbudzić zdołał. Nastąpiło teraz w Gruzyi to, co zwykle zawsze następuje w krajach, wciągniętych mimowoli w proces odrodzenia: powstał niezmierny zapał, rodzący z każdą chwilą nowe zachcianki i zwracający gwałtownie wszelkie myśli ku téj tak nęcącéj cywilizacyi europejskiéj. Zapał ten działa tak śpiesznie, że nie zostawia czasu do namysłu a jeszcze mniéj do wyboru wprowadzonych towarów. Jest to rodzaj „komedyi cywilizacyjnéj" i naród, który nowością olśniony, grę jéj rozpoczyna, może materyalnie i nawet moralnie zbankrutować, nim treść i jądro cywilizacyi zrozumiéć potrafi. Gonitwa za powierzchownością i wygodami nowego życia, była niestety i w Gruzyi przez długi czas głównym objawem rozpoczynającego się postępu. W Kutaisie i w Tyflisie szły uczty za ucztami, bale za balami i hulaszcze to życie trwało parę dziesiątków lat, aż wyczerpanie się środków materyalnych koło uczestników jego znaczenie zmniejszyło. Byli wprawdzie i przedtém ludzie, którzy zrozumieli, iż należy przedewszystkiém podnieść oświatę i rozbudzić jakie takie życie umysłowe, lecz usiłowania ich były długo daremnemi. Zresztą początek bywa w takich okolicznościach zawsze trudnym, gdyż właściwie nie wiadomo od czego zacząć w pierwszéj chwili, choć późniéj ten początek sam się znajdzie. O zakładaniu szkół nie można myśléć tam, gdzie jeszcze niema nauczycieli, a powolność zdaje się być przy takich warunkach nawet zbawienną. Można więc powiedziéć, że i Gruzya pod tym

względem tylko uległa naturalnemu biegowi rzeczy, gdyż społeczeństwo jéj, ocknąwszy się z szału zabaw i zwróciwszy do rozpatrzenia niezbędnych spraw nowego rozwoju, znalazła już cały zastęp wyćwiczonych przywódców, których kilkadziesiąt lat przedtém jeszcze nie było.

Chcąc rozbudzić życie umysłowe, pierwszém ich staraniem było założenie pisma, w któremby najważniejsze sprawy rozstrząsane być mogły przed liczniejszą publicznością. Pierwszą tę próbę zrobiono jeszcze w 1832 roku, lecz nie miała powodzenia. Tak samo nie utrzymały się inne pisma założone w piątym i szóstym dziesięcioleciu, gdyż brakło jeszcze czytelników. Trudy tych pierwszych publicystów gruzińskich były nie małe, albowiem przychodziło im nietylko walczyć z uprzedzeniami ziomków, lecz musieli jeszcze kształcić język, który nie wystarczał na wyrażenie potrzeb cywilizacyi europejskiéj. W końcu jednak i dla prasy gruzińskiéj nadeszła pora pomyślniejsza a założony w 1866 roku dziennik „Droeba“ (Czas) do dziś dnia istnieje z powodzeniem. Jest to niewielka, lecz dobrze redagowana gazeta, zajmująca się przeważnie sprawami swojskiemi i traktująca obce z praktyczną ścisłością: redaktorem jéj jest p. Meschi. Drugi dziennik wychodzi w Kutaisie i jest jakby organem innego obozu, choć w gruncie te same wyznaje zasady. Częsta różnica zdań pomiędzy temi dwoma pismami daje jednak dowód rozrostu opinii publicznéj.

Oprócz dzienników posiadają Gruzini obecnie jeszcze trzy miesięczniki, z których najlepszy jest „Iweria“ (starożytna nazwa Gruzyi), wydawany przez poetę i powieściopisarza Eliasza Czawczawadze. Jest to pismo skupiające w sobie najlepsze siły literackie i treścią nie ustępujące wielu tego rodzaju wydawnictwom na Zachodzie. Ogólnie biorąc istnieje dziś w Gruzyi dość ożywiona działalność literacka i liczba piszących wzrasta z dniem każdym, przy czém naturalnie i wielu niepowołanych chwyta za pióro.

Dla cudzoziemca rozpatrującego umysłowe płody Gruzinów, ogół tych płodów nie może mieć znaczenia: dość mu się ograniczyć na rozpatrywaniu tych utworów, które są odbiciem miejscowego życia i choć jaką taką mają wartość literacką. Zachodzi tu przedewszystkiém pytanie, czy dzisiejsza literatura Gruzinów jest w ścisłym związku z ich życiem czy też tylko wyrazem indywidualnych uczuć i zapatrywań piszących. Odpowiedź na takie zapytanie będzie trudną, gdyż z jednéj strony widać rzeczywiście odwzorowanie życia, z drugiéj zaś niezgodne z sobą i luźnie rozrzucone naleciałości z umysłowych niw Zachodu, lub téż czysto osobiste zapatrywania autorów.

Nastręcza się także drugie pytanie a mianowicie, czy w dzisiejszém życiu Gruzinów uwydatnia się pewien wybitny prąd umysłowy, czy społeczeństwo to ma swoje przez ogół uznane ideały i cele. Ma je rzeczywiście, ale za mało jeszcze są jasne i ugruntowane, aby mogły być hasłem całego społeczeństwa, a zatém wpływ ich na działalność umysłową jeszcze nie może być ogólnym.

Jak wszędzie istnieje i w Gruzyi po za ruchem postępu, zastój, który tu nawet większą niż gdzieindziéj ma siłę, ale pomimo to nie wielki ma wpływ na dalszy rozwój życia, gdyż brak mu środków do walki, któremi właśnie postęp dzierżący berło oświaty już rozporządza.

Rozstrząsań wielkich zagadnień wieku jeszcze w literaturze gruzińskiéj szukać nie należy, lecz spotkać można w niéj często zdrowy sąd o istniejących stosunkach życia i słuszne skargi na zacofanie znacznéj części społeczeństwa. Obok tych czynników działalności literackiéj, zajmują jeszcze w niéj wybitne miejsce: żal za znikłą niezależnością kraju, moralna potrzeba uświetnienia jego przeszłości i tęskny polot myśli ku lepszéj przyszłości.

Czynniki te we wszystkich prawie gałęziach piśmiennictwa z równą występują siłą: W poezyi, w powieści, w dramacie.

Współczesna poezya Gruzinów przeważnie jest liryczną i jako taka nie daje naturalnie wyczerpującego obrazu życia. Za przedmioty służą jéj najczęściéj uczucia miłośne i piękność roztaczających się po malowniczych górach i dolinach Gruzyi krajobrazów. Jest to zaiste przedmiot powabny w kraju, którego córy niezwykłą się cieszą pięknością i gdzie cudna przyroda wszystko uczyniła dla upoetyzowania szczęścia miłości. Poeta nie potrzebuje tu tworzyć z wyobraźni, gdyż ma przed sobą najcudniejsze dekoracye, mogące upiększyć jego pieśni wątek. Takie bogactwo środków poetycznych, przychodzące niezmiernie w pomoc wielkim talentom, staje się jednak niebezpieczném dla pisarzy miernych zdolności usposabiając ich do przesady. Widać to wyraźnie w większości utworów dzisiejszych liryków gruzińskich, którzy czują i śpiewają bez pojęcia miary. Pomiędzy niemi są jednak wyjątki, a tryumwiratowi ich najwybitniejszych przedstawicieli wad tych zarzucić nie można. Grzegorz *Orbeliani*, Eliasz *Czawczawadze* i Akaki *Cereteli*, którzy dziś bezwarunkowo najwyższe zajmują stanowisko w piśmiennictwie gruzińskiém, są zarazem najznakomitszymi uprawiaczami poezyi lirycznéj. Są to pisarze zasługujący na miano pierwszorzędnych autorów współczesnych, zwłaszcza ze względu na ich oryginalność.

Poezye Grzegorza Orbelianiego są po części liryczne, po części epiczne i odznaczają się przedewszystkiém wyższym polotem

myśli, szlachetnością języka i wielkiém poczuciem piękna. Prawdziwą ich okrasą są wspaniałe malowidła przyrody, przypominające Puszkina i Lermontowa. Jako wielki czciciel przeszłosci swego kraju, opiewa Orbeliani z zamiłowaniem czyny przodków, a po wielu innych uświetnił i on postać królowéj Tamary, któréj życie do dziś dnia nie przestało być ulubionym poetów przedmiotem. Literacka działalność księcia Orbelianiego sięga połowy naszego stulecia i właściwie nie opiera się na nowém życiu Gruzinów rozbudzoném przez wniknięcie do ich kraju cywilizacyi Zachodu. Orbeliani jest Wincentym Polem Gruzyi; zna on tylko zachwyt, uwielbienie i miłość, tak że pieśni jego mają prawie zawsze jakiś spokojny, uroczysty ton, będący jakby odgłosem modlitwy do przeszłości. Orbeliani umarł niedawno jako 83 letni starzec, a Gruzya straciła może w nim najprawdziwszego przedstawiciela swych patryarchalnych czasów. Pogrzeb jego urządzony był z taką wspaniałością i tak żywy współudział wzbudził we wszystkich warstwach społeczeństwa, że śmiało rzecz można iż żaden poeta Kaukazu jeszcze nie był żegnany z podobnym żalem i z podobną uroczystością. Czas dawnego życia, dawnych myśli, czas patryarchalności zamknął się dla Gruzyi wraz z jego mogiłą, gdyż żyjąca generacya już inne ma zapatrywania i z większą skwapliwością przyjmuje czynniki obcéj cywilizacyi, zacierając tém oryginalność miejscowego życia.

Więcéj do teraźniejszości należą Eliasz *Czawczawadze* i Akaki *Cereteli*, którzy aczkolwiek wielce się różnią od siebie, z równą energią jednak pracują nad podniesieniem oświaty i rozpowszechnieniem pomiędzy swemi współziomkami idei postępowych. Pierwszy utwór księcia Eliasza Czawczawadzego pojawił się już przed dwudziestu paru laty i od tego czasu utrzymuje się ten pisarz na pierwszém stanowisku. Gdy rząd rosyjski zamierzał znieść pańszczyznę, był Czawczawadze pierwszym w Gruzyi, co podnosił głos w téj sprawie i starał się przygotowywać umysły do tak ważnéj i humanitarnéj reformy. W dwóch swych pierwszych powieściach „Czy to człowiek?“ i „Opowiadanie żebraka“ skreślił wstrząsające obrazy nieszczęśliwego położenia, jakie wówczas było udziałem włościan gruzińskich. Ludzie, których tu wprowadza na scenę, mają jeszcze na sobie rdzę średnich wieków, ale posiadają téż zarazem siłę i energią, trafiające się w naszych społeczeństwach z rzadka. Nie wierzą oni właściwie w „fatum“ muzułmanów, gdyż są chrześcianami, ale dewizą każdego jest „to be or not to be“ Hamleta, życie ma w ich oczach małą wartość i więcéj od niego waży miłość, nienawiść, wdzięczność lub zemsta. Wszystkie charaktery tych dwóch powieści skreślone są po mistrzowsku. Widzimy tu tyrana z „zasady,“

właściciela ziemskiego, który wobec „towarzystwa“ jest człowiekiem wielkich cnót i względem równych sobie postępuje uczciwie i po rycersku. Zupełnie inaczéj zachowuje się jednak wobec poddanych mu włościan, gdyż ci stoją po za obrębem „towarzystwa“ i nie mają prawa żądać jakichkolwiek względów. Niewolnicy ci są téż na wskróś niewolnikami, albowiem sami są przekonani, że opatrzność przeznaczyła ich do niewoli. Z dziwną obojętnością znoszą oni każdy kaprys swych panów, ale i u nich cierpliwość ma swoje granice gdyż, kiedy ciemiężyciel ich sięga po to, co dla nich najdroższém w świecie, budzi się w nich uczucie godności człowieka i to przebudzenie się sprowadza katastrofę.

Czawczawadze jest wielkim znawcą charakteru i serca swych współziomków; powieści jego, w których skreślenie współczesnego życia miał na celu, są pełne ujemnych rysów i więcéj wykazują ciemnych aniżeli jasnych stron społeczeństwa gruzińskiego. Może niema drugiéj powieści w literaturze tego narodu, któraby tak wierny i wyczerpujący dała obraz życia staroświeckich właścicieli ziemskich jak jego powieści „Czy to człowiek?“ Powieść ta zawiera wszystko w sobie, co do poznania tych ludzi potrzebném być może. Widzimy tu bogatego księcia, mieszkającego bez przerwy na wsi i pędzącego tu życie bezbarwne, spokojne, życie bez celu i wszelkich dążeń. Gospodarstwem książe ten nie wiele się trudni, gdyż nie lubi pracy, lubi za to dobry obiad, ogniste wino kachetyńskie i spokojną siestę na swym dywanie. W postęp nie wierzy wcale i dla tego téż gardzi wiedzą i uważa książki za zbyteczne. Za to jednak wierzy mocno w powołanie swego stanu, czyli lepiéj w swoje posłannictwo, mianowicie w swe boskie prawo do użycia wszelkich wygód i spoczynku. Pod tym względem podług jego przekonania nic się w tym świecie zmienić nie może, gdyż jakżeby mogła Opatrzność pozbawić księcia owocu zasług całego szeregu sławnych jego przodków. Dzieje rodzinnego kraju i dzieje jego własnéj rodziny wielce go zajmują i pod tym względem posiada nasz książę nawet pewną erudycyą. Połowica jego, księżna Daredżana podobna jest do swego małżonka, choć dzięki czytaniu książek nieco więcéj niż on posiada znajomości świata. Dzieje się tak zresztą często w Gruzyi, gdzie kobiety nieraz przewyższają mężczyzn wykształceniem i nauką. Księżna Daredżana lubi książki, ale pomimo to nie może pozbyć się starych zabobonów, tu kreśli nam autor cały kodeks starych wierzeń i zabobonów znajdujących wiarę wśród Gruzinów staréj daty.

W swych powieściach historycznych występuje Czawczawadze więcéj jako poeta i wielbiciel przeszłości swéj rodzinnéj Gruzyi

Kocha on kraj namiętnie i dla tego téż opanowuje go smutek, gdy zastanawiając się nad jéj przeszłą wielkością, widzi jéj dzisiejsze położenie. Poezye, w których opiewa kraj rodzinny, są prawie wszystkie smętne, choć promień nadziei w lepszą przyszłość w nich się przebija. Naprzykład:

WIOSNA.

Znowu wiosna rozbudziła
Życie niw i gór,
I po cudnych gajach Gruzyi
Śpiewa ptasząt chór.

Dawno już przyroda wabi
Młodem życiem swém;
Czemuż ty, ojczyzno moja,
Śpisz tak twardym snem?

Albo:

ELEGIA.

W sennym blasku bladych księżyca promieni śpi mój drogi kraj rodzinny i nad nim w dali srebrzą się olbrzymie lodowce Kaukazu.

Tak cicho! rodzinny kraj nawet własnemu synowi słowa nie szepce i nic prócz jęku śpiącego Gruzina nie słychać.

Ja sam tu stoję! Cień tych wszystkich gór jest jakby stróżem długiéj nocy.— O kraju, kiedyż sen cię zmęczy, kiedyż przyjdzie czas twéj wiosny?

Albo téż w małéj peezyi:

NAD KURĄ.

Więc znowu słyszę szum twój dawno zapomniany, rodzinna rzeko moja! Ach, szum twój budzi we mnie dawne troski, gdyż tylko z boleścią wolno mi patrzéć na twoje fale.

Tak, znowu stara rana się we mnie odkrywa, ból o ten kraj niegdyś tak bogaty w chwałę, jak gdyby w twojéj toni cała wspaniałość pochowaną była, co przed wiekami błyszczała w tych stronach.

Z tego czasu, co tak świetnie upłynął, zostało się nam ledwie wspomnienie; więc rzeko ma rodzinna, zanieś me skargi i me życzenia owym zniklym wiekom!

Obok Czawczawadzego trzyma się *Akaki Cereteli* na wybitnem stanowisku i poezye jego bardzo są w Gruzyi cenione, gdyż oprócz żywo wszystkich zajmującéj treści odznaczają się jeszcze wielkiém ciepłem i wykwintną dykcyą. Za przedmiot służy mu najczęściéj życie współczesne, którego główne prądy i tajniki dobrze mu są znane. Cereteli jest także komedyopisarzem.

Po tych głównych uprawiaczach poezyi posiada Gruzya jeszcze liczny zastęp poetów *minorum gentium*, których większość jednak bezprawnie wdziera się na Parnas. Do prawdziwych poetów należą jeszcze *Barat-szwili* (Barat-syn) i *Rafał Eristawi*, z których ostatni

prawie wyłącznie opiewa życie sielskie i piękność przyrody swéj malowniczéj Gruzyi. Szczere, proste uczucie zdaje się być jednym z głównych powabów jego poezyi, których podaję tu próbkę w tłómaczeniu:

To góry moje, to góry rodzinne!
Tu przeigrałem dziecińswa czas;
Ach, za te wszystkie wspomnienia dziecinne,
Lube me góry, tak kocham was.
Sercem i duszą kocham swój kraj,
On dla mnie milszy niż obcy raj.

Tak mi są drogie te dzikie urwiska,
Te czarne skały, ten lodów blask,
Że żadne szczęście zdaleka czy zbliska,
Mnie ztąd nie wywabi tysiącem łask.
Sercem i duszą kocham swój kraj,
On dla mnie milszy niż obcy raj.

Choćbyście mi dali w obcéj krainie
Bogactwo, sławę i pyszny dwór,
Ja wolę ubóstwo tu w swéj dolinie,
Ja wolę chatę wśród swoich gór.
Sercem i duszą kocham swój kraj,
On dla mnie milszy niż obcy raj.

Powieść już od kilku wieków istnieje w Gruzyi, dokąd prawdopodobnie dostała się z Arabii i Persyi. Była ona i jest do dziś dnia najwięcéj ulubioną gałęzią literatury u Gruzinów, którzy na podobieństwo innych narodów Wschodu wielkie w opowiadaniach mają upodobanie i dzięki bujnéj wyobraźni nie łatwo pod tym względem nasycić się dają. Opowiadania te należą po większéj części do rodzaju baśni—i jako utwory literackie niewielkiéj są wartości. Tém mniéj budzą zajęcia, że po większéj części pochodzą od innych ludów Wschodu, gdyż gruzińskie powiastki ludowe dotąd zebrane nie zostały. Aleksander Cagareli wydał wprawdzie jeden tom bajek i pieśni ludowych, przeważnie mingrelskich.

Początki nowożytnéj beletrystyki gruzińskiéj noszą na sobie wyraźną cechę narodowego gawędziarstwa i nawet porównać się nie dają z utworami tego rodzaju w literaturze Zachodu. Dopiero około połowy naszego stulecia pojawiają się powieści pisane podług wzorów europejskich i zawierające jakie takie obrazy życia i społeczeństwa. Właściwym twórcą istotnéj, prawdziwéj beletrystyki był Eliasz Czawczawadze, o którym już wyżéj wspomniałem; on to wydoskonalił styl i formę i zamiast mało znaczących, wymyślonych przygód, użył do powieści ważnych i ogół obchodzących

kwestyj społecznych. Za jego przykładem poszli wnet inni i wielu młodych wykształconych ludzi starało się popisywać na téj niwie, ale tylko kilku z nich miało powodzenie.

Dziś po Czawczawadzem najwybitniejsze miejsce jako powieściopisarz zajmuje *Moczchubaridze*, gdyż obok poetyckiego talentu odznacza się on wielkim artyzmem i żywością opowiadania. Ulubionym jego przedmiotem jest życie górali Kaukazkich. Życie to, jak wiadomo, obfituje w epizody dramatyczne, gdyż fanatyzm religijny, duma plemienna i dotąd jeszcze nie wykorzeniona zemsta dziedziczna, prawie codzień są przyczyną krwawych zajść, kończących się nieraz zgubą całych rodzin. Nie mniejszą w tém życiu gra rolę miłość, miłość gwałtowna, spotęgowana zabobonami, miłość najczęściéj skryta i niczém nie pohamowana. Uczucie takie jest zawsze krwawą nicią powieści Moczchubaridze'go. Prowadzi on czytelnika w cudnie romantyczne okolice do samotnéj chaty górala i tam zapoznaje go z piękną góralką, która potęgą swéj urody w okamgnieniu zyska serce czytelnika. Lecz niestety, ten anioł gór, ta czarnobrewa Cyko albo Safo,. za któréj miłość niejeden gotów iść na śmierć, już z góry jest przeznaczona do strasznych cierpień, kończących się wreszcie jéj zgubą. Po krótkiém szczęściu spowodowaném wzajemnością dzielnego młodzieńca, zaczynają się prześladowania zawistnych mu osób, potém następuje pogoń po dzikich górach, potém dnie niepokoju i trwogi, może znów krótki czas szczęścia w jakiéjś ukrytéj chacie aż wybije godzina zemsty i śmierci. Zdaje się jak gdyby autor miał upodobanie w tego rodzaju dramatycznych scenach, gdyż z rzadką siłą, z rzadką uroczystością maluje ich grozę, rozwijając przytém wspaniałe obrazy przyrody wśród tego dobrze mu znanego raju ziemskiego. Dnie, wieczory, noce i poranki w górach, zmrok lub zachód słońca maluje jak prawdziwy, wielkiém poczuciem piękna obdarzony artysta.

Oprócz Moczchubaridze'go zasługują jeszcze na wzmiankę A. Orbeliani i Nikoladze, których powieści przeważnie o miejscowém traktują życiu. Dość powodzenia ma w Gruzyi powieść historyczna, któréj głównemi uprawiaczami są dotąd Eliasz Czawczawadze i Rczeuli-szwili (syn). Utwory tego drugiego jak „Królowa Tamara" i „Królewna Anuka" doczekały się nawet kilku wydań.

Najmłodszą gałęzią literatury gruzińskiéj jest *poezya dramatyczna*, która dopiero powstała w 1850 r. wraz z pierwszym teatrem gruzińskim w Tyflisie. Ojcem jéj jest książę *Jerzy Eristawi*. On to powróciwszy po kilkunastoletnim pobycie w Polsce do kraju, podał pierwszą myśl założenia teatru, ale zamiar jego z początku na nie małe natrafił trudności. Chodziło tu bowiem nie tylko o wybór sto-

sownych na aktorów jednostek, które trudno było znaleść, ale także o przełamanie uprzedzeń społeczeństwa, przyzwyczajonego do zamkniętego, patryarchalnego życia. Repertuar łatwo można było stworzyć przekładając stosowne sztuki dramatyczne z języków obcych, lecz właśnie Eristawi znając dobrze swych współziomków, uważał krok taki za zupełnie niestosowny, gdyż życie Zachodu było dla większości ich zupełnie jeszcze obcem. Należało więc ułożyć kilka sztuk dramatycznych, których treść wziętą by była z miejscowego życia i tém dla widzów zrozumiałą być mogła. W tym celu napisał on komedyą „Rozłączenie“ i znalazłszy odpowiednich do jéj ról przedstawicieli, wystawił ją w Tyflisie. Próba ta miała nadzwyczajne powodzenie i zdecydowała o dalszym rozwoju gruzińskiego teatru, którego repertuar Eristawi z początku prawie sam tylko zasilał. Najznaczniejsze jego komedye są: „Skąpiec“, „Chcę być księżną“, „Zaćmienie słońca“, „Mąż pięciu żon“, „Wesele Chewsurów“, „Czy się wujaszek ożenił?“ i „Podróż literatów.“ Wszystkie te sztuki mają za temat czysto gruzińskie życie i charaktery w nich występujące należą do postaci typowych. Widać tu staroświeckich właścicieli ziemskich jak Yaja albo Lomon Godobrelidze, kupców z bruku Tyfliskiego, jak ormianin Rerapet, kobiety—Gruzinki z wszystkiemi właściwościami narodowemi, jednem słowem całą galeryą zajmujących typowych postaci. Przytém nie brak tym sztukom wesołego humoru, stanowiącego zresztą jawny przymiot usposobienia Gruzina. Z téj téż przyczyny rozwinęła się tu przedewszystkiém komedya, podczas kiedy dramat do dziś dnia jeszcze leży w kolebce.

Po Eristawim wystąpili wnet inni komedyopisarze, jak *Meipa-rani*, *Tutai*, *Garsewa-szwili*, *Szerwaszydze* i t. d., tak, że dziś teatr gruziński rozporządza już dość pokaźną ilością komedyj oryginalnych, większa część których, co prawda, wiele zostawia do życzenia. Ze współczesnych komedyopisarzy najwięcéj ulubionym jest *Akaki Cereteli*, którego utwory nie tylko się odznaczają zręczną kompozycyą, ale téż świeżym humorem i zajmującą treścią, gdyż tematy ich pochwycone są z rzeczywistego życia.

Dramat wziął początek z przeróbki poematu Rustawali'ego „Człowiek w tygrysiéj skórze,“ poczém *Antoni-szwili* napisał tragedyą „Ker-ogły“, *A. Orbeliani* „Carewicza Herakliusza“, *A. Purceladze* „Rozbójników“ i t. d. Są to prawie wszystko sztuki historyczne i tylko jako takie mają wartość dla sceny gruzińskiéj, gdyż jako utwory literackie trwałego znaczenia nie posiadają. W ostatnich czasach wystąpili jeszcze dwaj dramatopisarze, którym widocznie nie brak talentu. Są to *Mocrihubaridze* i *A. Cagareli*. Obaj czerpią

swe tematy ze współczesnego życia zamiast z przeszłości i dla tego też utwory ich są udatniejsze. Z najnowszych dramatów zasługuje na wzmiankę „Bagrat IV“ *K. Meschi*'ego, w którym autor rozwija przed widzami dzieje tego nieszczęśliwego króla Imeretyi. Daleko udatniejszym, choć podług obcego wzoru obrobionym, jest dramat *Dawida Eristawa* „Kraj rodzinny,“ który zawsze z wielkiem bywa grywany powodzeniem.

Przepatrzywszy oryginalną twórczość Gruzinów, pozostaje mi jeszcze powiedzieć słów kilka o tłómaczeniach z piśmiennictwa obcych narodów.. Lwia część wypada tu na powieści, których, zwłaszcza w ostatnim czasie, znaczną część przyswojono gruzińskiéj literaturze. Kilka Gruzinek zawiązało nawet stowarzyszenie dla dokonywania takich przekładów, a w celu ułatwiania ich publikacyi założono w Kutaisie miesięcznik, którego współpracownikami wyłącznie tylko są nadobne czarnookie Gruzinki.

Mniéj zajmują się Gruzini przekładami dzieł poetycznych, gdyż zdaje się, że refleksyjność naszéj poezyi nie zupełnie odpowiada ich usposobieniu. Brak im nawet jeszcze wielu arcydzieł literatury Zachodu. Najwięcéj tłómaczono z rosyjskiego, który prawie wszystkim wykształconym Gruzinom dobrze jest znany.

Jerzy Eristawi, założyciel teatru gruzińskiego przełożył także znaczną część poezyj Mickiewicza, których drugie wydanie obecnie się przygotowuje.

Dość ubogą jest literatura gruzińska pod względem naukowym, co przypisać można dwu przyczynom. Naprzód charakterowi Gruzinów, który jest żywy i pod ciągłym wpływem nader czynnéj wyobraźni, a powtóre brakowi szkół gruzińskich, albowiem we wszystkich średnich zakładach naukowych w Gruzyi nauki są wykładane w języku rosyjskim.

Najwięcéj zajmowano się w ostatnim czasie badaniem historyi krajowéj, tak, że dziś już istnieje kilka poważnych dzieł, rzucających nieco światła na przeszłość tego niegdyś potężnego kraju. Prace *D. Bakradze*'go, *Camcia-szwili* i księdza *Gwaramadze*'go wielkie mają w tym względzie znaczenie i świadczą o niezwyczajnéj tych mężów pracowitości. Oprócz tych dzieł posiadają jednak Gruzini znaczną ilość dawnych monografij, mogących służyć za wyborne źródła do poznania historyi krajowéj. Wiele z nich kryje się jeszcze w manuskryptach po domach prywatnych albo klasztorach. Co do średnich wieków prawie jedynem źródłem jest stara kronika „Kartlis cchowreba“ (Życie Gruzyi), która staraniem królów prowadzoną była przez dworskich kronikarzy.

W innych gałęziach nauk nie doszli jeszcze Gruzini do samodzielności, a dzieła, które o nich posiadają, są albo tłómaczone albo przerobione podług obcych oryginałów.

Nie powinno to zresztą nikogo dziwić, jeżeli się uwzględni krótki przeciąg czasu, jaki upłynął od chwili odrodzenia się ich życia umysłowego. To co dziś w swéj literaturze posiadają, jest zawsze już pokaźnym dorobkiem i daje najlepsze nadzieje na przyszłość, która zapewne umysłową działalność Gruzinów nie zostawi w odosobnieniu, lecz złączy ją z ogólnym prądem téj działalności narodów cywilizowanych. Ludzi starających się o to niebrak dziś w Gruzyi i na ich chwałę powiedziéć trzeba, że nie szczędzą ofiar, aby podnieść oświatę ziomków i wciągnąć ich w pożyteczne z Zachodem stosunki. Przed kilku laty założono właśnie stowarzyszenie dla podniesienia oświaty pomiędzy ludem, a stowarzyszenie to nie tylko liczy znaczną ilość członków, ale zbawienną rozwija działalność, tak, że za lat parę owoce jéj już będą widoczne. Tak, Kaukaz, to kraj przyszłości! Dopiero przyszłość pokaże, jak wielkie są jego skarby przyrodzone i o ile jego synowie skarbów tych są godni.

Artur Leist.

ROZBIORY, SPRAWOZDANIA
I WRAŻENIA LITERACKIE.

Pamiętnik fizyograficzny wydawany staraniem E. Dziewulskiego i Br. Znatowicza. Tom III, Warszawa 1883 (str. 536, z 13 tablicami litograficznemi i 21 drzeworytami w tekście).

Aż do czasu powstania „Pamiętnika fizyograficznego“ (1881) bardzo niewiele mieliśmy wydawnictw, w których-by naturaliści polscy specyalne prace przyrodnicze zamieszczać mogli.

„Pamiętnik Tow. Nauk ścisłych w Paryżu“ przestał wychodzić, pozostał więc tylko „Pamiętnik Akademii Um. w Krakowie,“ „Kosmos,“ organ towarzystwa przyrodników imienia Kopernika we Lwowie, daléj „Sprawozdania z komisyi fizyograf. Krakowskiéj.“ „Pamiętnik Tow. Tatrzańskiego“ zamieszcza także prace, tyczące się fizyografii Tatr.

Przyrodnicy z królestwa, chcący swe naukowe rozprawy specyalne w języku polskim drukować, zmuszeni są odsyłać je do Akademii Um., lub téż do Kosmosu. Ale prace natury czysto fizyograficznéj, lokalnéj, drukować w czasopismach galicyjskich mniéj jest dogodném z tego względu, że tyczą się one przedewszystkiém stosunków miejscowych, a daléj że, zebrane materyały byłyby w taki sposób rozrzucone i trudniéj by było wyrobić sobie pojęcie o tém, jakie pozostają luki w poznaniu fizyografii krajowéj. Pamiętnik fizyograficzny, w Warszawie wychodzący, zaradza temu najzupełniéj i trzeci już rok z kolei piękne to wydawnictwo przynosi nam zebrane razem materyały, przyrody kraju dotyczące.

Przystępując do bliższego rozpatrzenia *trzeciego* tomu *Pamiętnika*, sądzimy, iż nie będzie bez korzyści, jeśli zaznaczymy pokrótce stanowisko prac fizyograficznych w obec innych prac na niwie nauk przyrodniczych. W ten sposób damy możność czytelnikowi bliższéj oceny znaczenia pamiętnika.

Określenie stanowiska i zadania prac fizyograficznych znajdujemy w przedmowie do pierwszego tomu pamiętnika (1881); uważamy jednak za stosowne z innego jeszcze punktu widzenia rzecz tę przedstawić.

„Po za obrębem nauki powszechnéj, czytamy w téj przedmowie, kosmopolitycznéj, która panuje w akademiach i przemawia jednakowemi słowami ze wszystkich katedr świata, każde społeczeństwo ma jeszcze obszerną sferę spraw naukowych, czysto miejscowego znaczenia. Stosunki przyrodzone kraju: jego klimat, wody, które się w nim znajdują, kształt saméj powierzchni ziemi, wewnętrzny skład jéj i budowa, twory ożywione ze świata roślinnego i zwierzęcego, które na niéj żyją, a nakoniec przyrodzone cechy i właściwości samego człowieka, zamieszkującego dany kraj—oto przedmiot nauki czysto lokalnéj, fizyografii kraju.“

Otóż, określenie takie fizyografii kraju, jako nauki stojącéj po za obrębem nauki powszechnéj, wydaje nam się niezupełnie wystarczającém, a kilka przykładów jaśniéj rzecz tę nam przedstawi.

Gieologia nowoczesna, jako nauka badająca budowę skorupy ziemskiéj, zajmuje się nietylko poszukiwaniem chemicznego składu skał, ich przemian fizycznych i chemicznych, lecz bada także rozkład skał tych na kuli ziemskiéj, porównywa rozległości różnych pokładów i formacyi, a z topograficznych ich stosunków wyciąga przy pomocy paleontologii (nauki o skamieniałościach) ważne wnioski naukowe co do kolejnego formacyi tych powstawania. Wnioski swoje opiera uczony gieolog na poszukiwaniach i materyale faktycznym, z najrozmaitszych części skorupy ziemskiéj zebranym; każda przeto dokładnie pod względem gieologicznym zbadana piędź ziemi, przysparza ogólnéj wiedzy gieologicznéj materyału faktycznego. Gieolog tedy pracujący w zawodzie swoim nad fizyografią kraju, wnosi tém samém do nauki powszechnéj, kosmopolitycznéj, cenny materyał faktyczny. Inacznéj ma się rzecz, jeśli wyjdziemy ze stanowiska czysto praktycznego. Tu, każdy się zgodzi, iż odkrycie np. przez poszukiwania gieologiczne jakiego nowego pokładu węgla lub wapna, przysparza przedewszystkiém danemu krajowi praktyczną korzyść, ale fakt istnienia w pewnym kraju takich lub owakich pokładów, takiéj lub innéj formacyi wzbogaca skarbnicę faktów nietylko lokalnéj fizyografii, lecz w ogóle gieologii, jako nauki powszechnéj.

Toż samo np. stosuje się do botaniki i zoologii. W zoologii i botanice, wpośród innych nauk tych gałęzi, gieografia zwierząt i roślin wybitne zajmuje miejsce. Jak ważną gałęź wiedzy biologicznéj nauka ta stanowi, wie każdy, kto przestudyował dzieła Darwi-

na, Wallace'a (1) i innych znakomitych badaczy. Gieografia roślin i zwierząt dostarczyła Darwinowi mnóstwo cennych dowodów, ku poparciu teoryi jego służących.

Wiadomo każdemu, cokolwiek bliżéj z teoryą ewolucyi obeznanemu, jak doniosłe dla teoryi téj znaczenie mają fakta, dotyczące fauny krajów podbiegunowych i fauny Alp wysokich, lub téż dane, tyczące się porównania fauny wysp z fauną lądów stałych, daléj dane, dotyczące fauny i flory mórz, jezior zamkniętych itd. Gieograficzno-topograficzne rozsiedlenie zwierząt i roślin podlega tym samym prawom, co i kolejne ich następstwo w rozmaitych pokładach skorupy ziemskiéj, a dokładne zbadanie praw tych wymaga przedewszystkiém sumiennego i jaknajzupełniejszego zebrania materyału faktycznego, którego téż dostarcza nam fizyografia kraju każdego.

Ale nietylko dla gieografii roślin i zwierząt fizyograficzne badania kraju olbrzymią mają doniosłość; badania te, umiejętnie prowadzone, mogą rzucić nam nieraz światło na głębsze prawa fizyologiczne rządzące życiem świata organicznego.

Mając bowiem np. dokładne fakta, tyczące się klimatu danéj miejscowości, natury jéj gruntu i roślinności z jednéj strony, a dokładne spostrzeżenia fauniczne z drugiéj, możemy stąd nieraz wyprowadzić ogólniejsze wnioski, tyczące się zależności życia i organizacyi zwierząt od zewnętrznych czynników. Nauka posiada już w skarbnicy swéj fakta, dowodzące wymownie iż odmienne warunki zewnętrzne np. mniejsza lub większa zawartość soli w jeziorach, albo téż mniejszy lub większy dostęp światla mogą wpłynąć na wytworzenie tak odmiennych form, iż długo za odrębne uważano je gatunki. Wspomnę tu chociażby tylko o pięknych pracach W. Szmankiewicza (1877), tyczących się wpływu gęstości wody w niektórych jeziorach na zmianę pewnych części organizacyi u raków, z rodzaju *Artemia.* Podobnie i bliższa znajomość fauny i flory głębin jezior górskich, z uwzględnieniem ich natury fizyczno-chemicznéj, nader cenne rzucić może światło na zależność organizacyi żyjących istot od warunków zewnętrznych.

Ale, aby do jakichkolwiek wniosków można było dojść w tym kierunku, potrzeba przedewszystkiém dokładnego opracowania fauny i flory, klimatycznych i gieologicznych stosunków różnych miejscowości. A zadanie to mają właśnie wypełnić poszukiwania fizyograficzne.

---

(1) A. Wallace „Die geographische Verbreitung der Thiere" 1876. Przeklad z angielskiego B. Meyer'a.

Zoolog tedy i botanik, dający dokładny spis zwierząt i roślin pewnego kraju, meteorolog przedstawiający stosunki klimatyczne, lub fizyk—właściwości fizyczno-chemiczne wód tegoż kraju, wzbogacając fizyografią, wnoszą tém samém pożyteczny materyał i do ogólnéj skarbnicy wiedzy, dostarczają faktycznych danych ogólnéj zoologii, botanice lub meteorologii.

Tych kilka przykładów wystarczy może do zrozumienia, że fizyograficzne badania kraju nie stoją po za obrębem nauki powszechnéj, kosmopolitycznéj, ale w najściślejszym pozostają z nią związku.

Wyjaśniwszy w ten sposób pokrótce stosunek fizyografii do ogólnéj nauki, na jedną jeszcze rzecz zwrócić tu musimy uwagę.

Są pojęcia, nad których bliższém znaczeniem przez to samo, iż są one zbyt pospolite, rzadko się zastanawiamy i stąd często fałszywe nieco mamy o nich zdanie. Do takich pojęć, jakkolwiek bardzo powszechnych, lecz nie przez wszystkich dobrze odczuwanych, należy bez wątpienia pojęcie nauki.

„Termin „nauka“ lub „naukowy,“ powiada znakomity zoolog i myśliciel angielski prof. E. Ray-Lankester, w nieokreślony sposób używany bywa przez ludzi, a właściwe pojęcie o tém, co naukę stanowi, posiada niewiele osób, roszczących sobie prawo do oświaty.“ „Nie każdy rodzaj umiejętności, mówi daléj Lankester, stanowi naukę. Znajomość przedmiotów pięknych, napisanych lub w inny sposób przez umysł ludzki stworzonych, nie stanowi nauki; znajomość procesów sztucznego wytwarzania przedmiotów różnych, używanych przez ludzi ucywilizowanych, również nauki nie stanowi. Nauką nie jest także znajomość nazw ciał niebieskich, lub stawów nóżki u chrząszczyka. Nauka nie może być w ogóle utożsamiona ze znajomością chociażby najdokładniejszą i najgłębszą pewnéj grupy przedmiotów. Gdy tymczasem wśród ludzi rozprzestrzeniony jest bardzo fałszywy i błędny pogląd, że znajomość pewnych np. żywych lub innych przedmiotów natury stanowi naukę. Człowiek zbierający, dokładnie znający i opisujący owady lub mchy, nazywa się pospolicie uczonym, bo pracuje jakoby na polu nauki, ale w rzeczy saméj może on znakomitą posiadać znajomość faktyczną wszystkich tych przedmiotów, a pomimo to ani cienia naukowości nie mieć.“

I w rzeczy saméj, fakta nie stanowią jeszcze nauki. Są one tylko niezbędnym substratem, na którym pozytywna nauka wzrastać może. Dopiero, gdy oddzielne fakta drogą indukcyi zaczynamy zbierać i porównywać, gdy przy współudziale procesów myślenia wyprowadzamy ogólniejsze stąd wnioski, gdy abstrahując raz

otrzymane wnioski, wytwarzamy w umyśle naszym drogą dedukcyi nowe ideje i znów do faktów powracamy, aby przekonać się, o ile na poparcie lub obalenie tych dedukcyjnie wyprowadzonych idei służyć mogą—wtedy dopiero umiejętność staje się nauką. Otóż fizyografia, jak i inne czysto opisowe umiejętności, mające za zadanie zbieranie faktów, pozbawiona tego filozoficznego elementu indukcyi i dedukcyi, nauką w ścisłym słowa tego znaczenia nie jest. Stanowi ona tylko zbiór faktów, których nauka użyć może, aby przyoblec je w szatę myśli, powiązać i uogólnić.

Mylą się więc tak ci wszyscy, co czysto fizyograficzne prace uważają za prace ściśle naukowe, jako też i ci, którzy nie upatrują związku fizyografii danego kraju z umiejętnością ogólną, kosmopolityczną.

Z powyższego określenia czytelnik wnieść może łatwo, jak wielkim jest pożytek naukowy fizyograficznych badań, one bowiem dostarczają surowych faktów, z których pewne gałęzie nauk przyrodniczych korzystać będą mogły.

Zobaczymy teraz, jakich to materyałów faktycznych dostarcza nam trzeci z kolei tom Pamiętnika. W dziale p. t. „Meteorologia i hidrografia“ znajdujemy pięć prac następujących.

Dr. *Jędrzejewicz* „Spostrzeżenia stacyi meteorologicznéj w Płońsku w gub. Płockiéj za rok 1882.“ Autor podaje dokładne dane meteorologiczne ze wszystkich dni roku, tyczące się stanu barometru, temperatury, względnéj wilgoci, kierunku wiatru, ilości zawartego w powietrzu ozonu, opadów atmosferycznych oraz maksymalnéj i minimalnéj temperatury. Wszystkie te spostrzeżenia robione są trzy razy dziennie, o godzinie siódméj rano, o drugiéj po południu i o dziewiątéj wieczorem. Praca ta jest dalszym ciągiem obserwacyj prowadzonych w podobnym kierunku i w latach dawniejszych a ogłoszonych już w poprzednich tomach pamiętnika. Nową zupełnie rubrykę stanowią tylko dane, dotyczące wahania ciepła dziennego, w postaci „maximum“ i „minimum.“ Z obserwacyi p. Jędrzejewicza wynika, iż rok 1882 różni się wiele pod względem klimatycznym od stanu przeciętnego, wyprowadzonego z większéj liczby lat.

Pod napisem: „Zmienność temperatury rocznéj w Warszawie“ p. *A. Pietkiewicz* zestawia z sobą przeciętną temperaturę dla każdego dnia w roku w ciągu lat 55. Z zestawienia tego wynika, że jakkolwiek przeciętna roczna temperatura w Warszawie spełnia całkowity cykl, dochodząc swego minimum—piętnastego stycznia, a maximum—dwunastego lipca, jednakże bardzo silne spotykamy tu zboczenia. I tak np. data dzienna średnia największego mrozu przypa-

dając na 15 stycznia może w różnych latach zbaczać o ± 16 dni. a minimalna temperatura każdego roku waha się między — 7,°8 i — 27,°1 (rozumie się w ciągu obserwowanych 55 lat). Data zaś najwyższéj średniéj temperatury dziennéj przypadając na 12 lipca, zbacza średnio o ± 20 dni; maksymalna zaś temperatura roczna waha się pomiędzy + 22°,3 i + 29°,3. W końcu pracy swojéj autor zastanawia się nad przyczynami, wichrzącemi peryodyczny wrot temperatury i rozpatrując wogóle termiczne stosunki całéj kuli ziemskiéj, dochodzi do wniosku, że wplątują tu się najróżnorodniejsze i najbardziéj złożone czynniki klimatyczne.

„Stan wody na Niemnie pod Stołbcami, Grodnem i Kownem, od r. 1877 do r. 1883," rzecz skreślona przez p. *W. Wróblewskiego*, przedstawia nam wykaz stanu wody dla rz. Niemna, obejmujący obserwacye na piętnastu stacyach, z których trzy (Stołbce, Grodno i Kowno) były glówne, inne drugorzędne. Na głównych stacyach podaje autor wysokość wody w ciągu całego roku i przytém trzy razy dziennie, na drugorzędnych tylko od lodu do lodu i przytém nie więcéj jak raz dziennie. Prócz stanu wody podaje téż autor temperaturę, stan pogody, notuje stawanie i puszczanie lodów. Do rozprawy dołączona jest mapa Niemna i jego dopływów.

Tenże autor zamieścił tu drugi artykuł: „Jeziora Święciańskie i Wiszniewskie, Świrskie i Narocz." W téj pracy, do któréj dołączona jest odpowiednia mapka, p. *Wróblewski* zapoznaje nas bliżéj z trzema jeziorami gubernii Wileńskiéj, z których największe Narocz posiada aż 72,4 kwadratowych wiorst powierzchni, Świrskie 17,5, a najmniejsze Wiszniewskie 9,6. Pomiary głębokości robione były za pomocą ołowianki systemu znakomitego naszego podróżnika prof. Dybowskiego. Głębokość pierwszych dwóch jezior (Wiszniewskiego i Świrskiego) podajé autor na pięć i ośm metrów, szkoda jednak że nie wymierzył głębokości Narocza, które według zdania rybaków ma miejscami podobno aż do 34 metrów głębokości (na zdaniu ich jednak, twierdzi autor, polegać można). W dziale hidrografii spotykamy wreszcie rozprawkę p. *W. Choroszewskiego* przedstawiającą wyniki z doświadczeń hidrometrycznych nad rzekami Polesia Litewskiego i Wołyńskiego. Podaje tu autor długość, przeciętną szybkość biegu, spadek oraz wydajność na sekundę rzeki Prypeci i jéj ośmnastu dopływów.

Dział następujący pamiętnika p. t. „Gieologia z Chemią," składa się z dwóch obszernych prac.

Prof. *J. Trejdosiewicz* w pracy p. t. „O utworach trzeciorzędowych gubernii Lubelskiéj" przedstawia rezultaty poszukiwań swych w ciągu 1881 i 1882 roku dokonanych. Badania p. Trejdosiewicza

doprowadzają do wniosku, iż w gubernii Lubelskiéj występują tylko z trzeciorzędowych formacyj — pokłady mioceniczne. Na tych pokładach leżą już napływy starsze czyli diluwialne, bardzo rozmaitéj grubości. Zpod tych napływów wynurzają się miejscami obnażenia miocenicznych pokładów na wielkich pagórkach, a często téż i na równinach lub w parowach. Pokłady mioceniczne téj gubernii składają się z różnych odmian wapieni i zlepów wapiennych, z piasku kwarcowego i piaskowców. Faunę, znamionującą te skały, przedstawiają szczątki otwornic, jeżowców, pierścienic, mszanek, małżów i ślimaków. Na zasadzie skamieniałości, jakie skały te zawierają, prof. Trejdosiewicz wnosi, iż tylko szary wapień piaszczysty należy prawdopodobnie do osadów wód morskich, wszystkie zaś inne skały odnieść należy do utworów wód półsłodkich (czyli do piętra Sarmackiego). Do pracy swéj p. T. dołączył pięknie wykonaną, kolorowaną mapę, na któréj uwydatnione są wszystkie obnażenia.

Druga praca gieologiczna stanowi dalszy ciąg (p. t. I i II „Pamiętnika") przekładu rękopismu *J. B. Puscha* pod tyt. „Nowe przyczynki do gieognozyi Polski." Przekładu dokonał p. Bronisław Rejchman. W téj części pracy Puscha spotykamy rozdział o stanowisku górno-szląsko-polskiéj formacyi żelaziaka gliniastego w szeregu formacyj osadowych, o górno-szląskiéj formacyi gipsowéj, a daléj o składzie polskiéj Jury (Jury zachodnio-polskiéj i środkowéj Polski).

Dział botaniki i zoologii w trzecim tomie pamiętnika bardzo bogato jest reprezentowany. Z prac botanicznych znajdujemy następujące:

K. Łapczyńskiego „Zasięgi pionowe niektórych roślin w części Tatr najbliższéj Zakopanego", kreślą na dwunastu tablicach granice rozsiedlenia pionowego, czyli zasięgi 465 gatunków roślin rosnących w Tatrach i u ich podnóża.

„Materyały do flory algologicznéj okolic Warszawy" przez p. *K. Cybulskiego* ogłoszone, obejmują opis 104 gatunków wodorostów, pochodzących z wód okolic Warszawy. Autor nie zadowolnił się wyliczeniem znalezionych form, ale zacytował także krótkie ich dyagnozy łacińskie z dzieła Rabenhorsta i polskie według Kirchnera. Ma to służyć jako ułatwienie dla tych, co zbieraniem wodorstów zająć by się pragnęli. W tym samym téż zdaje się celu autor podaje na 5 tablicach pięknie wykonane rysunki niektórych wodorostów. Szkoda jednak, że skoro rysunki zostały już dodane, nie przedstawiono wielu form tak pospolitych, jak Spirogyra, jak przedstawiciele grupy Valvocineae i t. p.

M. Twardowskiéj „Spis roślin znalezionych w okolicy Szemiotowszczyzny na Litwie“ podaje około 90 rodzin roślin, które autorka przed laty kilku zaczęła zbierać. Z przyjemnością witamy tę pracę, gdyż może ona służyć za zachętę i dla innych pań na wsi mieszkających, aby podobnych spisów roślin dostarczały. Tylko bowiem przy współudziale szerszego koła poszukiwaczy flora krajowa dokładnie może być poznaną.

F. Karo „Spis rzadszych krajowych roślin zebranych w latach 1881—1882 w okolicach Lublina, oraz pod Stawską górą za Chełmem.“ W tym obszernym spisie, zawierającym podobnie jak poprzedni skryto i jawno-kwiatowe rośliny, znajdujemy téż bliższy opis kilku form monstrualnych babek, które odpowiedniemi objaśnione są rysunkami. W spisie tym spotykamy niektóre bardzo rzadkie lub nawet i dotąd nie znajdowane wcale we florze naszéj okazy, jak *Euphrosia caerulea*, lub téż wspaniałą Kąsinę akantolistną (*Carlina acanthifolia*).

„Spis roślin jawnopłciowych, rosnących w okolicach miasta Międzyrzeca“, ułożony przez *B. Eichlera*, obejmuje 666 gatunków, stanowiących 92 rodziny.

Z prac zoologicznych zawiera Pamiętnik następujące:

A. Wałecki „Materyały do zoografii Polski. Płazy-Reptilia.“ Autor pracy téj, który w roku zeszłym zapoznał nas w Pamiętniku (T. II) ze skrzekami krajowemi (Amphibia), przedstawia obecnie faunę naszą herpetologiczną. Z trzynastu żyjących u nas gatunków płazów, siedm obserwował p. Wałecki w naturze, a większą część ich nawet hodował. Autor nie zadawalnia się spisem, lecz podaje bardzo szczegółowy opis nietylko gatunków, lecz nawet rzędów i grup, tak, że praca cała przybiera charakter jakby podręcznikowy.

A. Ślósarski „Materyały do fauny Wijów (Myriopoda) krajowych.“ Przebiegłszy historycznie prace poprzedników nad fauną wijów krajowych, p. Ślósarski przedstawia w systematycznym porządku spis znalezionych przez siebie gatunków. W końcu pracy swéj podaje treściwy przegląd rodzajów i gatunków z krótkiemi dyagnozami; przegląd ten tak jest ułożony, aby ułatwił określanie wijów dla tych wszystkich, coby przedmiotem tym zająć się pragnęli.

A. Ślósarski „Materyały do fauny malakologicznéj Królestwa Polskiego.“ W téj pracy autor opisuje przedstawicieli rodzin Testacellidae, Vitrinidae i Succinidae, w kraju znalezionych; nie zadawalnia się przytém samym tylko spisem, lecz podaje szczegółowy opis form tych i nawet dodaje tablicę rysunków pięknie wykonanych.

Fryderyk Osterloff „O chrząszczach krajowych.“ Jako dalszy ciąg pracy swéj w roku zeszłym w Pamiętniku (T. II) drukowanéj,

autor podaje obszerny spis chrząszczów w kraju i na ziemiach pogranicznych znalezionych przez niego samego, lub też przez innych entomologów.

W dziale antropologii zawiera Pamiętnik następujące prace:

Dr. L. Dudrewicz „Czaszka z kurhanu w Turowie.“ Autor opisuje szczegółowo czaszkę znalezioną w kurhanie we wsi Turowie, leżącéj pomiędzy Płońskiém a Płockiém. Czaszka ta jest typu wydłużonego i zasługuje na szczególną uwagę z tego względu, iż jest pierwszą dopiero spotkaną na ziemiach dawnéj Polski, trepanowaną po śmierci. Trepanowanie polega na wycinaniu z kości czaszkowych krążka, który zapewne jako talizman lub relikwia po zmarłym na szyi był noszonym. Podobny obyczaj do dziś dnia spotykany bywa u niektórych ludów.

Inne prace w dziale tym zamieszczone są: *T. Łuniewskiego* „Cmentarzyska starożytne w Łuzkach i Grodzisku, w gub. Siedleckiéj, w pow. Sokołowskim“; jest-to krótka wzmianka o mogiłach i grodzisku, znajdujących się w oznaczonéj okolicy z zaznaczeniem, które z nich były rozkopane i co w nich znaleziono.—Archeolog *Jan Zawisza* określił „Znaczenie wyrobów ozdobnych z zęba mamuta, znalezionych w jaskini (mamuta) pod Ojcowem“, popierając swe wywody odpowiedniemi rysunkami.—Artykuł *Dr. J. L. Kozłowskiego* zawiera „Objaśnienia do mapy etnograficznéj Prus Królewskich, Książęcych i Warmii“, którą to mapę mamy w „Pamiętniku“ dołączoną. P. Kozłowski oprócz liczby ludności polskiéj, litewskiéj i niemieckiéj, podaje tu główne rysy etnograficzne tych szczepów, wymienia drobne plemiona, dające się wyróżnić wśród polaków, wskazuje główne cechy ich gwary i t. d.—*Z. Glogier* zamieścił ustęp treści etnograficznéj pod napisem: „Jurej (święty Jerzy), przyczynek do etnografii krajowéj z notat Michała Fedorowskiego“, zawierający opis uroczystości wiosennéj w okolicy Lidy, Szczuczyna i Żołudka, z oryginalnym tekstem pieśni przez dziewczęta przy téj sposobności śpiewanych. — Nakoniec jeden z niewielu u nas badaczów litewszczyzny, p. *J. Karłowicz* zebrawszy „Czterysta kilkadziesiąt nazwisk miejscowości litewskich“, ogłosił je i objaśnił znaczenie ich części składowych. Autor pracę swoję zowie skromnie próbką, mającą służyć innym za zachętę do obszerniejszych na tém polu poszukiwań. Tusząc, że ta zachęta okaże się skuteczną, pozwalamy sobie wyrazić życzenie, aby toż samo pióro w następnym tomie „Pamiętnika“ obdarzyło nas podobném objaśnieniem imion osobowych litewskich, których w wydanym przez dr. A. Prochazkę „Kodeksie dyplomatycznym Witołda“ znalazła się spora garstka.

W dziale ostatnim p. t. „Miscellanea“ znajdujemy trzy krótkie prace: *W. Choroszewskiego* „Wyniki z doświadczeń meteorologicznych, dokonanych w Pińsku r. 1881—82“, *A. Michalskiego* „Krótkie sprawozdanie z badań gieologicznych z r. 1882 w gub. Kieleckiéj“ i *A. Ślósarskiego* „Zwierzęta zaginione (diluwialne), z tablicą, wyobrażającą ząb trzonowy słonia *Elephas antiquus*, znaleziony w Szczęślewicach.

Widzimy tedy z tego krótkiego przeglądu, iż trzeci tom „Pamiętnika“, podobnie jak i dwa poprzednie, posiada bogatą i urozmaiconą treść, a tym wszystkim, co około wydawnictwa tego się krzątali, należy się prawdziwa, szczera wdzięczność społeczeństwa. Jakkolwiek o każdéj oddzielnéj zamieszczonéj w „Pamiętniku“ pracy niepodobna właściwego, krytycznego wydać sądu, gdyż są to tylko surowe materyały, które tém większą mają wartość, im sumienniéj zebrane zostały, a tém samém sąd o ich warości nie tyle sposobu przedstawienia, ile sposobu wykonania, że tak powiem, tyczyć się może, jednakże pozwolimy sobie jeden ogólny uczynić zarzut pracom w „Pamiętniku“ drukowanym.

Ponieważ, jak to już zaznaczyliśmy wyżéj, znaczenie naukowe prac fizyograficznych polega na dostarczaniu surowego materyału, prace te winny, jeśli zawierają np. spisy znanych już i oddawna w nauce opisanych roślin i zwierząt, ograniczyć się na samym tylko wyliczeniu form tych ze wskazaniem źródeł literatury odnośnéj, jeśli zaś przedstawiają jakieś formy dotąd zupełnie nieznane lub znane niedokładnie, winny je opisać i rysunkami objaśnić. Téj zasady trzymają się wszystkie poważniejsze wydawnictwa fizyograficzne. W naszym atoli „Pamiętniku“ znajdujemy tu nieraz szczegółowe opisy rzeczy już dokładnie znanych, a nawet rysunki form gdzieindziéj wielokrotnie już rysowanych. Można jednakże do pewnego stopnia usprawiedliwić to zjawisko tém, iż autorom prac w „Pamiętniku“ drukowanych, idzie także o wyrobienie języka. Z tego względu krótkie opisy w języku polskim wyliczanych w spisach form wielką mają doniosłość. Ale gdy na to się raz zgodzimy, powstaje pytanie, dlaczego panuje taka różnorodność w sposobie przedstawiania rzeczy. Takie np. prace, jak suche spisy p. Twardowskiéj, p. Osterloffa i inne z jednéj strony, a praca p. Wałeckiego, mająca charakter obszernego podręcznika, traktującego o płazach, z drugiéj—nie mogą nie razić, odmiennym swym charakterem, pomieszczone obok siebie w tém samém wydawnictwie naukowém.

Być może, że z czasem ujednostajnią się bardziéj prace w „Pamiętniku“ drukowane. Każde nowe wydawnictwo potrzebuje czasu, aby właściwy wyrobiło sobie charakter. Główny warunek powo-

dzenia „Pamiętnika“—to dobre chęci przyrodników naszych i obfitość materyału, a że ani jednych, ani drugiego nie brak, moglibyśmy więc mieć nadzieję, iż to staranne i ze wszech miar pożyteczne wydawnictwo i w dalszym ciągu nie przestanie wzbogacać naszéj literatury fizyograficznéj.

Zachodzi tu jednak okoliczność, która w mniéj różowym przedstawia się świetle. Ze sprzedaży pierwszego tomu „Pamiętnika“ osiągnięto zaledwie rs. 1600, tom drugi przyniósł jeszcze mniéj, bo tylko 1200 rubli; skutkiem tego w ciągu dwóch lat wydawnictwo poniosło straty rubli 3000, pomimo iż autorowie zrzekli się honoraryów, pomimo iż wielu ze współpracowników pośpieszyło z materyalną pomocą. Wydawcy jednak nie zrzekają się podjętego zadania, przekonani że ta praca jest pożyteczną. Czyliżby publiczność czytająca wątpiła o tym pożytku lub miała być nań obojętną? Odpychamy oburącz to smutne przypuszczenie, i nie chcemy wątpić, że w gronie czytelników naszego czasopisma znajdzie się nie jeden, który „Pamiętnik fizyjograficzny“ nabędzie i w blizkich sobie kołach wiadomość o nim postara się rozszerzyć.

Józef Nusbaum.

Sprawozdania szkół średnich galicyjskich z r. 1883/4.

1) *Sprawozdanie dyrekcyi gimnazyum w Kołomyi za rok szkolny 1883* zawiera rozprawę prof. Winowskiego, który przeprowadziwszy szczegółowy rozbiór wstępnych wierszy V pieśni Odysei, dochodzi do wniosku, zgodnego zresztą z rezultatem badań filologów niemieckich, zwłaszcza Kirchhofa, że wspomniany poemat nie ma jednolitéj treści, ale spojony został sztucznie z dwu rapsodów. Jeden z nich, który możnaby nazwać *Telemachią*, opisuje przygody młodego syna Ulisesowego i zaczyna się od wiersza 88 pieśni I, przesuwa się przez pieśni II, III, IV i od 113 wiersza pieśni XV w całéj dzisiejszéj Odysei, aż do końca. Drugi zaś rapsod przedstawia powrót Odyseusza do Itaki, i zawarty jest w pozostałych pieśniach. Za tą hipotezą przemawia—zdaniem autora—najsilniéj układ początkowych 29 wierszów księgi V, wstęp ten bowiem, sklecony widocznie przez niezręcznych kompilatorów z epoki Pizystrata, spisujących tak zwane rapsody homerowskie, przerywa zupełnie tok opowiadania, imając się bez spokojnego przejścia, właściwego poezyi epicznéj, nowego przedmiotu, o którym dotąd nie było mowy, i przechodzi bez uzasadnienia od podróży Telemacha do udręczeń Odyseusza na Ogigii. Ocenę słuszności zapatrywań p. W. należy naturalnie pozostawić

filologom z zawodu, dla których zresztą po łacinie pisana rozprawa zdaje się być przeznaczoną; nadmienić jednak wypada, że autor zwraca niepotrzebnie swe ostrze przeciw rzeczywistemu istnieniu legendowego piewcy Iliady i Odysei Homera, w którego obronie nikt już dzisiaj nie kruszy kopii.

2) W literackiéj części *sprawozdania dyrektora lwowskiego gimnazyum im. Franciszka Józefa za rok szk. 1883* umieścił p. Roman Palmstërn kilka przekładów klasyków starożytnych. Jakkolwiek słowo „próba“ wyrażone na tytule przytępia pióro sprawozdawcy, zmusić go przecie do milczenia nie zdoła. Umieszczony na końcu przekład przypisywanéj Homerowi „Batrachomyomachii“ jest bezsprzecznie ze wszystkich najlepszy. Drugi stopień zajęłyby przekłady satyry I, 1 i czterech listów Horacego. Na wymienione przekłady wystarczyły siły tłómacza. Tłómaczenie jednak pieśni łacińskiego liryka, wykwintnego i pieściwego w formie, rytmie i doborze wyrażeń, wymaga delikatniejszego pióra, które zdoła igrać z najsubtelniejszemi tajemnicami formy. Tłómacz nierzadko popada w niezgodę z rytmem, np. w pierwszéj zaraz zwrotce pieśni „solvitur acris hiems“, zbyt często używa niewybrednych rymów. Wogóle są to tylko próby niezawsze wykończone.

3) *Sprawozdanie dyrekcyi wyższéj szkoły realnéj w Stryju za r. 1883.* Stanisław Konarski wydał r. 1769 polskie dziełko „O religii poczciwych ludzi“, w którém ostro wystąpił przeciw deistom. Otóż znaleźli się poczciwcy, którzy oskarżyli autora o heretyckie poglądy. Dla odparcia zarzutów, raczéj w obronie dobréj opinii, przedłożył Konarski stolicy apostolskiéj łacińskie opracowanie pierwotnego tematu pod tyt. „De religione honestorum hominum“—i papież uznał je za zgodne z wiarą katolicką. Wystąpili jednak znowu przeciwnicy, więcéj papiescy niż sam papież, między innymi przed laty Maurycy Dzieduszycki, który w tomie VIII miesięcznego dodatku do „Czasu“, a następnie w „Przeglądzie lwowskim“ z r. 1875 podniósł zarzut, że łacińskie dziełko znakomitego Pijara zupełnie odmienne głosiło zasady niż polskie, że Konarski dla omamienia dworu rzymskiego dopuścił się... „oszustwa.“ W obronie tego, który sam już nie mógł się bronić, występuje obecnie p. Teodor Nacher w rozprawce dołączonéj do powołanego sprawozdania szkolnego. Daje on należytą odprawę Dzieduszyckiemu, dowodząc niezbicie, bo przytoczeniem całych ustępów tekstów polskiego i łacińskiego, że zarzut ów jest zupełnie bezpodstawnym. Wprawdzie łacińskie dziełko nie jest dosłownym przekładem polskiego; owszem będąc dokładniejszém i obszerniejszém opracowaniem, na jotę nie zmienia pierwotnego stanowiska autora, ani téż nie glosi odmiennych zasad.

Oba dziełka są wypływem tych samych przekonań czysto katolickich. Zarzut herezyi, zaczerpnięty tylko z nieprzychylnych Konarskiemu i przez Stolicę św. pominiętych sprawozdań nuncyusza Duriniego, oraz dzieł na nich opartych, dowodzi, że Dzieduszycki albo wcale nie czytał, albo tylko pobieżnie przerzucił zaskarżone prace słynnego Pijara.

4) W *sprawozdaniu dyrekcyi lwowskiéj wyższéj szkoły realnéj za rok 1883/4* mieści się cenna praca prof. Józefa Soleckiego pod tyt. „Kilka uwag o gabinetach fizycznych w szkołach średnich.“ Skreśliwszy na wstępie ważność racyonalnego urządzenia gabinetów dla nauki, opartéj przeważnie na eksperymentacyi i zaznaczywszy, jak rzadko dzisiaj odpowiadają one słusznym wymogom, podaje autor w części pierwszéj praktyczne, z długoletniego własnego doświadczenia czerpane, wskazówki. Wedle nich, gabinet jeśli ma odpowiadać celowi, powinien mieć oddzielne pomieszczenie, a składać się z jednéj lub więcéj sal do przechowania przyrządów, z pracowni i wreszcie z sali wykładowéj; z drobiazgową dokładnością podane są szczegóły urządzenia, w które trudno tu wchodzić. Część druga traktuje o zakupnie i konserwacyi przyrządów fizycznych i między innémi wskazuje najznamienitsze firmy, dostarczające poprawnych fizykaliów.

5) Przedmiotem nieurzędowéj części *sprawozdania dyrektora IV gimnazyum lwowskiego za r. 1883* jest rzecz prof. Krystyniackiego o Kochanowskim, jako tłómaczu „Phaenomenów“ greckiego Arata. Dwukrotnie zajmowały one naszego poetę, raz gdy je naśladował w języku ojczystym, drugi—gdy uzupełniał przekład Cycerona. Dopełnienie nielada było pracą, trudniejszą niż swobodny przekład polski. Prof. Krystyniacki porównywając tekst oryginału greckiego z kilku wydaniami przekładu Cycerona, oraz z utworem Kochanowskiego, wyjaśniając gdzie i dlaczego nasz poeta odmieniał, uzupełniał i poprawiał tekst łaciński Cycerona, dochodzi nie z uprzedzenia dla ojczystego pisarza, lecz na podstawie gruntownéj znajomości obu języków klasycznych, do pochlebnego dla nas rezultatu, że uzupełnienie Kochanowskiego wyżéj stoi nad podobnąż późniejszą pracę słynnego Grotiusa, a mimo to jest obcym zupełnie niemal nieznane.

6) *Sprawozdanie dyrekcyi tarnopolskiéj szkoły realnéj, rok 1883.* Historyczny zarys matematyki u starożytnych, część I. Napisał Julian Fąfara zast. nauczyciela. W szkicu tym daje nam autor obraz rozwoju téj gałęzi wiedzy, która jest podstawą umiejętności ścisłych. Nakreśliwszy we wstępie systemy oznaczania liczb pismem, nadmienia, że kolebką wiedzy matematycznéj był tajemniczy Egipt; atoli

postęp i rozwkit zawdzięcza ta, suchą zwana, nauka dzieciom poetycznéj Hellady. Od Talesa do Aristeusa, który żył w drugiéj połowie IV wieku przed Chrystusem, przesuwa się przed naszemi oczami szereg mężów, często wsławionych i na inném polu, którzy rozwiązując zawiłe zagadnienia, prostéj sztuce liczenia zjednali sławę najściślejszéj umiejętności. Do historycznego przeglądu wplata p. F. całe rozwiązania zagadnień matematycznych, dokonane przez helleńskich uczonych.

7) W *sprawozdaniu dyrekcyi gimnazyum w Wadowicach za rok szkolny 1883* zamieścił prof. Walenty Myjkowski „Przyczynek do własności drobin, głównie na podstawie załamania promieni światła.“ Celem jéj jest wykazać, że na chyżość promieni światła w ciałach wpływa nietylko elastyczność i gęstość eteru kosmicznego, otaczającego drobiny ciał, nietylko gęstość i ilość drobin w jednostce objętości ciała, lecz także i objętość samych drobin, ich ciężar, a może i ciepło gatunkowe.

8, 9, 10) Obok powyższéj rozprawki należy postawić prace Markowskiego: „Wärme und Elektricität in ihren gegenseitigen Beziehungen“, drukowaną w *sprawozdaniu II lwowskiego gimnazyum t. zw. niemieckiego*; daléj prof. Michała Urysza z *gimnazyum stanisławowskiego* „Analityczne poglądy na punkta i linie, kreślone na powierzchni kuli“, umieszczone w sprawozdaniu tegoż gimnazyum; i nareszcie rzecz Józefa Balona „O liościach niespółmiernych“ ze *sprawozdania gimnazyum jasielsiego.*

11) *Sprawozdanie dyrekcyi gimnazyum św. Jacka w Krakowie za r. 1883.* Do ważnéj kwestyi, będącéj na porządku dziennym, o któréj zabierały głos powagi takie, jak Czerkawski, a dla któréj władze państwowe zwołują komisye, odnosi się wcale obszerna rozprawa dr. Stodolaka p. t. „Wychowanie fizyczne i moralne wobec reformy gimnazyów.“ Wstęp przedstawia w jakiém stadyum znajduje się obecnie kwestya reformy gimnazyów, któréj potrzebę wszyscy czują, choć nie zgadzają się co do środków zaradczych. Dr. S. zaznaczywszy, że nietylko w Galicyi, jak to głoszą, gimnazya nie odpowiadają przeznaczeniu, ale że we wszystkich krajach austryackich można słyszéć analogiczne utyskiwania, przechodzi kolejno różne zarzuty, jakie do naszych gimnazyów specyalnie się odnoszą, krytycznie je rozbierając. Między innemi przyznaje słuszność zarzutowi „przeciążenia“, rozumiejąc przez to nadzwyczajny wzrost liczby uczniów przy braku potrzebnéj ilości zakładów naukowych, przezco nauczyciele nie mogą podołać zadaniu; z drugiéj strony widzi przeciążenie ucznia w zbytniém specyalizowaniu poszczególnych gałęzi nauki. Nadto wytyka nowszéj dydaktyce pomijanie nauki pamię-

ciowéj, a przestawanie na prostém rozumieniu, które w młodym wieku zbyt jest ulotne i niewystarczające. Do właściwego zadania przystępuje autor w części I, gdzie mówi o wychowaniu fizycznem, na które niestety wcale u nas nie zwracają uwagi. Braki wytknięte i szczegółowo rozebrane dadzą się odnieść do kilku najważniejszych. Przy zapisywaniu dziecka do gimnazyum nie zwraca się uwagi na jego wiek, względnie na rozwój fizyczny, że dzieci narażone są na zbyt długie siedzenie w szkole i w domu, tak, że wedle ścisłego obliczenia mają dziennie ledwie 3 kwadranse czasu dla swobodnego ruchu; w szczególności że lekcye odbywają się bez przerwy po każdéj godzinie, że klasy są przepełnione, lokale najczęściéj nieurządzone higienicznie, a utrzymywanie w nich czystości, odwietrzanie i t. p. zdrowotne środki nie bywają przestrzegane, że sale nie mają dostatecznego i stosownego światła, ławki nie są zastosowane do wieku i wzrostu uczniów, że wreszcie nauka gimnastyki zupełnie jest zaniedbana. Środki zaradcze, same się z tego nasuwające, są w wielkiéj części bardzo łatwe do wykonania.—W II-m rozdziale, o wychowaniu moralném, zwraca autor uwagę, że na dziecko działa trojaki wpływ: szkolny, domowy i trzeci, niezależny od szkoły ani od domu. Dotąd szkolny z domowym nie postępują równolegle, w porozumieniu, skąd często popadają w kolizyą, a nawet zostawiają wolne pole najniebezpieczniejszemu trzeciemu, który działa za plecami rodziny i nauczyciela, najczęściéj między kolegami. Temu należy zapobiedz uregulowaniem stosunku szkoły do rodziny, odpowiednią lekturą, odpowiednio dobraném towarzystwem i stosownemi młodocianemu wiekowi rozrywkami. Przytém wypadałoby także system wychowania w gimnazyach tak ułożyć, aby i szkoła, więcéj niż dzisiaj, była niejako regulatorem moralności. Przedewszystkiém winna ona—zdaniem autora—uzbrajać młodziencze umysły przeciw „groźnemu materyalizmowi,“ dlatego — sądzi dr. S.—wypada unikać w szkole *„najpoziomszéj prozy“*, zmieniającéj np. akt rozdawania świadectw na formalność kancelaryjną bez charakteru uroczystego. Wogóle należy zdobić naukę samę „kwiatami idealizmu.“ Nie określa jednak dr. Stodolak jak to ma być wykonane. — Rozpatrzywszy się w całéj rozprawie, która mimo formalnego podziału, zbyt dorywkowo zdaje się być kreśloną, gdyż często nawraca autor do myśli już omówionéj, nie przestrzegając zresztą ściśle różnicy między stroną fizyczną a moralną, — trzeba przyznać, że zawiera pożyteczne, często samodzielne myśli, a zasługuje już choćby dlatego na uwagę, że formułuje uzasadniony akt oskarżenia przeciw społeczeństwu, które w nieświadomości własnego interesu pozwala na rozwijanie sił umysłowych kosztem fizycznych, czyniąc tém samém pierwszy krok — do samobójstwa.

12) *Sprawozdanie dyrekcyi gimnazyum w Tarnowie za rok 1883.* „Wieslaw, Krakauer Idylle von Kasimir Brodziński, uebersetzt von Johann Kornicki.“ Przekład „Wiesława,“ poprzedzony treściwą biografią Brodzińskiego, dokonany jest heksametrem, którego użył Goethe w „Hermanie i Dorocie“, pierwowzorze naszego poematu. Wiersz téj formy nie odzwierciedla wprawdzie swobodnego toku dykcyi w naszéj sielance, ale w poezyi niemieckiéj tego rodzaju ma prawo obywatelstwa. Użycie go, zupełnie usprawiedliwione, uniewinnia tłómacza, jeżeli miejscami w zbyt rozległych zwrotach oddaje myśl oryginału, gdyż jest to najczęściéj tylko wynikiem cięższéj i dłuższéj budowy wiersza. Gorsza jest, że nieraz ginie w przekładzie pełne wdzięcznéj prostoty obrazowanie. Np. w wierszu „Halina wstydzi się, wstydzi, jednak przed nim staje“ etc. — przetłómaczonym: „Haline tritt zu Wieslav heran, und sagt mit holdem Erröthen,“ albo gdy poeta maluje butę dziarskiego Wiesława w słowach: „Wiesław się za pas ujął ręką prawą — i pląsa...“ Znaczne rozszerzenie myśli w przekładzie: „Seinen ledernen Gurt fasst Wieslav jetzt mit der Rechten— *Wirft sich stolz in die Brust im Bewusstsein, keiner sei gleich ihm*“ nie jest ani udatném, ani wierném. Podobnych ustępów możnaby więcéj przytoczyć. Wypada jeszcze wytknąć wierne trzymanie się rytmu polskiego w tłómaczeniu krakowiaków; jest-to przeciwne duchowi rytmiczności niemieckiéj, kilkakrotnie zresztą i w innych miejscach szwankującéj.

13) Dwu rozprawami obdarzyła czytelników *dyrekcya realnego gimnazyum w Brodach, w sprawozdaniu swém z roku szk. 1883.* Jedna z nich, mniéj nas interesująca łacińska praca prof. Schindlera o prozodyi języka, w którym jest spisaną i dotychczasowych nad nią pracach; drugą jest cenne studyum dr. Maurera p. tyt. „Stanislaus Ciołek, Vice-Kanzler von Polen und Bischof von Posen.“ Na podstawie badań źródłowych rysuje autor charakter i życie téj postaci wybitnie występującéj na tle dziejów pierwszego Jagiellona, któréj zabiegi o infułę płocką posłużyły w najnowszym czasie innemu pisarzowi (dr. Prochasce) za przedmiot do mniéj udatnéj rozprawy. Rzecz dr. Maurera zyskałaby wiele, gdyby styl jéj był potoczystszy; użycie obcego języka łatwo tę wadę usprawiedliwia.

14) Zestawieniem dowodów prof. Jagica co do „bałwanków prytwickich“ i roztrząsań prof. Baudouina de Courtenay co do kamieni mikorzyńskich, dotychczas tylko z rosyjskiego sprawozdania mało znanych, zajmuje się rozprawa Romana Zawilińskiego p. tyt. „Kwestya run słowiańskich ze stanowiska lingwistycznego“, drukowana w *sprawozdaniu gimnazyum nadwornego (św. Anny) w Krakowie za r. 1883*, któréj charakter jest czysto sprawozdawczy.

15) Chcąc z Beatryczą Cenci Słowackiego zapoznać niemieckich czytelników, umieścił profesor *jarosławskiéj szkoły* realnéj Robert Rischka przekład téj tragedyi w *sprawozdaniu szkolném*, i poprzedził go wstępem, w którym charakteryzuje działalność polskiego poety szczególnie na polu dramatu i wyjaśnia gienezę, oraz układ Beatryczy. Już z wyboru téj niewykończonéj tragedyi możnaby zrobić zarzut tłómaczowi, który sam ustępy słabsze podaje tylko w streszczeniu, a dla usprawiedliwienia wyboru swego twierdzi, że w tym właśnie poemacie najlepiéj występują przymioty i wady autora. Przyznanie Słowackiemu stanowiska pierwszego polskiego dramaturga (der grösste dramatische Dichter Polens), wznoszenie go na piedestał, godny chyba Szekspira, z którego nasz poeta, co prawda, wiele myśli, charakterów, całych obrazów zaczerpnął, jest co najmniéj przesadą. Nieopatrzne szafowanie kadzidłem, świadczące może o pietyźmie tłómacza dla poety, jest tém szkodliwsze, że poznanie się z utworem wcale ich nie usprawiedliwi, owszem uzasadnione obudzić może lekceważenie Słowackiego i całéj naszéj poezyi dramatycznéj, któréj koryfeuszem tłómacz go mieni, lub wreszcie w najlepszym wypadku wywoła powątpiewanie o wierności dobrego zresztą tłómaczenia.

Wörterbuch der littauischen Sprache von Friedrich Kurschat II. Theil: Littauisch-deutsches Wörterbuch. Halle a. S. 1883. str. XII. 530.

Dziesięć lat już minęło, jak wyszła pierwsza część pomnikowego dzieła Kurszata, zawierająca słownik *niemiecko-litewski.* A zgromadził w niéj uczony Litwin materyału nie mało, jeśli oba jéj tomy zawierają prócz przedmowy 1114 stronnic druku, i to we dwie szpalty dużéj oktawy. To téż dla użytku praktycznego Niemców, żyjących w styczności z Litwinami, oddało już to dzieło zapewne nie małe usługi, do badań lingwistycznych jednak nie bardzo się nadawało. Czekano więc z niecierpliwością drugiéj części słownika, litewsko-niemieckiéj, a tymczasem posługiwano się w celach naukowych nader niewygodnym słownikiem Nesselmanna. Nareszcie po latach dziesięciu wydał Kurszat swój słownik *litewsko-niemiecki*, który ma być zarazem śpiewem łabędzim 77 letniego starca. Tak przynajmniéj zapowiada zasłużony pracownik w przedmowie, którą chce zrobić zarazem ostatnim słowem swéj działalności naukowo-literackiéj na polu języka ojczystego. Rzućmy więc okiem bodaj w krótkości na tę jego chwalebną działalność.

Po ukończeniu studyów teologicznych w uniwersytecie królewieckim, został Kurszat wezwany do uczenia języka litewskiego w tymże uniwersytecie i do kierownictwa seminaryum litewskiego

na wydziale teologicznym. To skłoniło go do głębszego zajęcia się językiem ojczystym i wywołało szereg prac naukowych, które imię uczonego Litwina pięknie zapisały w literaturze naukowéj. Już pierwsze jego prace gramatyczne na polu języka litewskiego (1843 i 1849) znalazły zupełne uznanie u takich uczonych, jak Schleicher i Pott. Dziś przyznają mu słuszność uczeni niemieccy nawet w pewnych kwestyach, w których Schleicher różnił się od niego, np. w teoryi akcentuacyi litewskiéj. Rozróżniał on mianowicie dwojakiego rodzaju akcent w języku litewskim, podczas gdy ucho niemieckie Schleichera rozróżnić tego nie mogło. Dlatego téż Schleicher nie zważając na teoryą Kurszata uczy w swéj, zresztą wybornéj i ogólnie znanéj gramatyce litewskiéj (1856) o *jednym* tylko akcenie, co rodowitemu a o prawdę i ścisłość naukową dbającemu Litwinowi nie mało krwi napsuć musiało. Nie zważając więc na powagę Schleichera przeprowadza Kurszat konsekwentnie swoję teoryą i w następnych pracach, jak w wielkiéj gramatyce języka litewskiego (1876) i w słowniku o którym dziś mowa.

I słusznie; bo nowsi niemieccy badacze przekonawszy się na miejscu o rzeczywistym istnieniu akcentu dwojakiego rodzaju, Kurszatowi zupełną przyznają słuszność. Mimo to jednak dziś jeszcze Kurszat czuje żal do Schleichera za to, że jego uchu litewskiemu nie wierzył, i w tomie tym opowiada w przedmowie, jaką sympatyą jednał sobie swą mową między ludem litewskim, który słuchając kazań jego w Królewcu i Tylży, uważał go za „jednego ze swoich.“

Sympatya ta wzrastała rozumie się przez to, że Kurszat nie tylko żywym słowem, lecz i pisanym pracował nad dobrém tego ludu. Przełożył on niejedno pismo ludowe na język litewski, dokonał rewizyi Nowego testamentu litewskiego, sporządził nowe wydanie pieśni litewskich, kościelnych i wojskowych, przełożył katechizm dla szkół, itd. itd. W r. 1849 z inicyatywy rządu pruskiego rozpoczął wydawać religijno polityczną gazetkę litewską w duchu konserwatywnym p. t. *Keleivis* (pielgrzym), która wychodziła w objętości pół arkusza raz na tydzień aż do 1 kwietnia 1880. Złożywszy wreszcie rezultaty swych długoletnich badań naukowych w dwu wielkich dziełach, gramatyce i słowniku języka litewskiego, myśli na nich zakończyć swe prace literackie.

Przypatrzmyż się więc teraz, jak Kurszat dokonał swego ostatniego, obok gramatyki najważniejszego, a przez lingwistów tak długo oczekiwanego dzieła. Przyznać potrzeba, że jak z jednéj strony słownik litewsko-niemiecki Kurszata jest bardzo wygodnym do użycia przy badaniach naukowych, tak z drugiéj strony nie daje nam on wszystkiego, czegośmy się po nim spodziewali. Nie jest to słow-

nik *całego* języka litewskiego, bo nie uwzględnia starszego, lecz tylko *dzisiejszy* język, i to nie wszystkich gwar litewskich, lecz tylko zaledwie dziesiątéj ich części, t. j. gwar *prusko-litewskich.*

Wprawdzie nie wiele wiemy o *starszym* języku, jednakże i tego szczupłego materyału, zawartego w kilku starych drukach litewskich, Kurszat nie uwzględnił. Że nie jest to nawet prusko-litewski słownik zupełny, przekonać się łatwo możemy porównawszy go choćby z materyałem, ogłoszonym przez Bezzenbergera w Litauische Forschungen (1882). Umieszczone są w nim bowiem tylko takie wyrazy, które Kurszatowi wiadome są z praktycznego użycia; ze słów zaś sobie mniéj znanych podaje on tylko pewniejsze, i to z zastrzeżeniem (w nawiasach). Wskutek tego potrzeba i dziś, jak dawniéj, uciekać się niekiedy do słownika Nesselmanna. A nie jest to rzeczą bardzo przyjemną; raz dlatego, że nie wszystko w nim umieszczone jest całkiem pewne, a powtóre, że układ jego dziwaczny i w słownikach europejskich niepraktykowany, utrudnia nadzwyczaj jego użycie. W słowniku Kurszata mniéj wprawdzie materyału, lecz za to pewny i ułożony w ten sposób, jak we wszystkich innych słownikach europejskich, tj. alfabetycznie.

Co do materyału mamy tu obok czysto litewskich wyrazów mnóstwo téż przyswojonych, zwłaszcza z języka polskiego, ruskiego i niemieckiego. Zwraca na to uwagę Kurszat podając obok znaczeń niemieckich często téż wyrazy polskie, w sposób jednakże nie bardzo przejrzysty. Przedewszystkiém nie wyróżnia on ściśle takich wyrazów, które zostały z języka polskiego wprost przyjęte, od tych, które jeszcze z prastaréj doby litewsko-słowiańskiéj lub nawet indoeuropejskiéj wspólne są językom słowiańskim i litewskim. Wyrazy jak *akis* (oko), *akmno* (kamień), *pilnas* (pełny) itp. nie są przyswojone z polskiego, lecz pochodzą jeszcze z tych czasów, kiedy to Słowianie i Litwini, a zapewne i inne narody indoeuropejskie stanowiły jeden naród i jednym mówiły językiem. Stosunek ten chciał może Kurszat wyrazić klamrą, w któréj umieszcza polskie wyrazy, ściśle jednak téj zasady nie przeprowadził. Wskutek tego mógłby np. jaki początkujący badacz pomyśléć, że wyraz *angis* jest tak samo utworzony z polskiego „*wąż, węża,*" jak *agurkas* z pols. „*ogórek*;" wyrazów tych bowiem nie odznacza Kurszat nawiasem. Tymczasem *angis* jest również prastarym wyrazem, pochodzącym jeszcze z czasów wspólnego języka indoeuropejskiego, tylko że wtedy musiał on brzmiéć nieco odmiennie, jeżeli dziś występuje jako *wąż* w języku polskim, *angis* w litew., a w starszych językach jako *ahis* (sanskr.), ἔχις (grec.), *anguis* (łac.), *ązъ* (starosłow.), itp. Wyrazy zaś jak *agurkas* (ogórek), *aksomitas* (aksamit), *kilbasas* (kiełbasa), *cziar-*

nuczkai (czarnuszka), *kaplyczia* (kaplica) itp. są widocznie przyjęte wprost z polskiego, bez względu na to, jaką drogą one do języka polskiego się dostały, mianowicie czy są w nim prastarymi obywatelami słowiańskimi, czy téż przyjęte zostały z obcych języków.

Jakkolwiek Kurszat jest znakomitym znawcą swego języka ojczystego, litewskiego, nie jest jednakże takim na polu gramatyki porównawczéj. Świadczą o tym takie porównania, jak np. słowo *węborek* z litew. *kibiras*, wyraz *bagno* umieszczony obok litews. *bala*, *pluskwa* obok *blake*; *kpić*, *uchybiać* obok *kibinu*; *cwał* obok *zôwada*; *ogon* obok *udega*; *prać* obok *prausiu*; *tykać*, *czaić się*, *dybać* obok *tykau* (lauern); *wróżyć* obok *wardyju*; lub téż uwagi, jak: „*kirmele* od polskiego *grzebiel*, gdzie polskie *b* przeszło w litewskie *m*“ (str. 185), albo „*przyjaciel* od *przyjąć*“ (str. 331 prietelis), itp. Słowa litewskie, widocznie przyjęte z ruskiego porównywa Kurszat częstokroć fałszywie z wyrazami polskimi, umieszczając np. obok *zerkolas* polskie „źwierciadło“ zamiast ruskiego „zèrkało;“ obok *zubas*, *triuba*, *werbliudas*, *czeresna*, *zalatorius*, *kalada* wyrazy: ząb, trąba, wielbląd, trześnia, złoto, kłodka, zamiast ruskich: zub, truba, czeresznia, werbliud, zołotarъ, kołoda, itp. Tak samo prawdopodobnie w wyrazach: *żertas* (żart), *celas* lub *czielas* (cały), *cziesas* (czas), *cziarnylas* (czernidło) i wielu innych raczéj wpływ ruski widziéć należy, niż polski. Wpływ ten nie jest dzisiejszy, lecz sięga niekiedy jeszcze owych czasów, kiedy to naród litewski był w ożywionych stosunkach z narodami ruskiemi. Tak téż bezwątpienia ruskiego pochodzenia jest wiele słów, obok których Kurszat żadnego porównania nie umieścił, jak np. *czebatas* (czobot, pols. bót), *cziabatorius* (czobotarъ), *cziatwergas* (czetwerg), *karawojus* (korowaj), karablius (korabl), paramas (porom, pols. prom) parakas (poroch, pols. proch), zalatyti, kalatyti (złotiti, kołotiti), kaladininkas (chołodnik), żydawà (żydowà), itp. Wpływ języka biało- i małoruskiego zdaje się być nawet większy, niż rosyjskiego, jak to już widać na wyżéj przytoczonych przykładach. Zapewne i wyrazy: *adyna* (Zeitmoment) *adynininkas* (Uhr) są wzięte z małorus. hodyna (godzina), hodynnyk (zégar), por. co do zniknięcia dźwięku *h* wyrazy: *Ansas* (Hans), *aluju H*alloh!) itp.

I przy wielu innnych wyrazach, najczęściéj przyswojonych z języka polskiego, umieszcza Kurszat tylko znaczenie niemieckie, nie uwidoczniając wcale jego pochodzenia, jak np. *cziarnuczkai* (Ackerzwiebeln), *cibukas* (Tabakspfeifenspitze), *ciganka* (Zigeunerin), *cziuras* (ein Junge bei einem Herrn), *goncziakas* (Jagdhund), *ferankas* (der Vorhang), *paspalytas* (gemeinschaftlich), *paszluzmis* (gehorsam), *zbonas* (Krug), *zebrokas* (Bettler), *żiekas* (Schüler), *strażininkas* (Amtsdiener), *żenyjns* (sich beweiben) polskie: czarnuszka, cybuch, cygan-

ka, ciura, gończy, firanka, pospolity, posłuszny, dzban, żebrak, żak, strażnik, żenię się itp.

Wyraz *żentas* (Schwiegersohn) nie powstał z „żenytas“ (imiesłów od żenyjus), jak przypuszcza Kurszat (str. 519), lecz jest podobnie jak *ziantas* wyrazem polskim „*zięć*,“ któremu odpowiada słowo czysto-litewskie *gentis* (krewny). Przy wyrazach *apcasas*, *afiera*, *cimbolai*, *żegliuju* i wielu innych możnaby myśléć, że je język litewski wziął wprost z niemieckiego (Absatz, Opfer, Zimbel, segeln); gdy tymczasem w formach litewskich są ślady wyraźne drogi polskiéj, którą się te wyrazy do nich dostały (obcas, ofiara, cymbały, żegluję). Nie umieścił jednak K. tych słów spolszczonych.

Tak więc widzimy w słowniku Kurszata brak dokładności i jednostajności, który może nieraz badacza, zwłaszcza nieobeznanego dobrze z temi językami, w niemały błąd wprowadzić. Jak wykazano bowiem wyżéj, porównania z językiem polskim nie wszędzie są przeprowadzone systematycznie; brak ich często tam, gdzieby je widziéć należało, w wielu zaś innych wypadkach umieszczone są niepotrzebnie lub nawet błędnie. Nie dość na tym. Wyrazy polskie są wskutek niedokładnéj pisowni nieraz bardzo fałszywie przytoczone; np. znak *ż* bywa oznaczony przez *ź*, lub przez z haczykiem u góry albo nawet bez haczyka, np. wąź, węźa (angis), reź, rźy (? rugys), wróżek obok wrózyć (wardyju), zywić (żywyju), pozyczyć (życzyju); najczęściej téż bywają zamieniane *l* i *ł*, np. pó*l*, pó*l*k, w*l*óść, ba*l*amut (str. 291. 336. 487) obok b*l*uźnić (bluznyju), pęze*l* (pinzelis), w*ł*okę (welku) itp. Wątpię téż, czy odmienia się gdzie u nas: żagiel, *żagyla* (żieglius), lub czy są gdzie formy: *włakać* (welku), *czwerc* (czwertis), *czosnak* (cziasnakas), *cako* (cecele, zam. cacko?), po*ł*woda (patwadà), pokłona (paklanas), *gocieć*, *gonieć*, *żenieć* (genu), itp. W wielu zapewne wypadkach są to błędy drukarskie, których niestety synowiec Kurszata, nauczyciel gimnaz. w Tylży, przy korekcie usunąć nie umiał. Mimo to wszystko oddał Kurszat swym słownikiem litewskim, jak i gramatyką, wielką przysługę badaniom lingwistycznym, a imię jego będzie zawsze z wdzięcznością i uznaniem wspominane.

J. Hanusz.

= **Les Archives, la Bibliotéque et le Trésor de l'ordre de Saint-Jean de Jerusalem à Malte** *par I. Delaville Le Roulx.* (*Biblioth. des Ecoles Franç. d'Athénes et de Rome*, *fascicule* 32). Od niedawna dopiero zaczęły się studya historyczne we Francyi rozwijać w sposób nie ustępujący metodzie i krytyczności niemieckiéj. Jeżeli i dzisiaj

piękna forma i przystępność wykładu są warunkami powodzenia dla każdéj książki przeznaczonéj dla publiczności francuskiéj, to stanowczo minęły te czasy, w których względy te same przez się już wystarczały. Wielu jeszcze posiada Francya pisarzy, dla których zaokrąglony frazes i patetyczne ustępy są ideałem nawet w pracach historycznych, ale to tylko epigonowie wielkich mistrzów z pierwszéj połowy XIX w. jak Thiers, Blanc, Martin, epigonowie znajdujący w poważniejszych kołach coraz mniéj czytelników, a chłostani nieraz biczem nieubłaganéj krytyki już nie zagranicznéj ale rodzinéj francuskiéj. Zwrot ten ku lepszemu nastąpił głównie za wpływem tak znakomitych zakładów naukowych jakiemi są: l'Ecole Normale Supérieure, l'Ecole des Chartes, l'Ecole des Hautes Etudes, a nareszcie les Ecoles Française d'Athénes et de Rome. Gdy bierzemy w dzisiejszych czasach do ręki książkę naukową z dziedziny historyi lub prawa napisaną przez Francuza, to sprawdzamy najprzód z ciekawością czy jéj autor nie podpisał się jako „archiviste-paléographe“ do czego uprawnia dyplom z l'Ecoles des Chartes, lub jako „ancien éleve“ lub „membre“ jednéj z wymienionych instytucyj naukowych; a w takim przypadku możemy prawie bez wyjątku liczyć na gruntowność i dojrzałość badania, na jaknajobszerniejsze oczytanie a często na świeżość poglądów, któréj tak rzadko dostrzedz można w pracach historyków niemieckich. Młodzi uczeni francuscy przyswoili sobie z niezmierną łatwością ciężką erudycyą swych wschodnich sąsiadów, a prześcignęli ich tym wrodzonym wdziękiem z jakim się erudycyą tą posługują. Gdy w dziełach niemieckich balast naukowy przygniata czytelników, nie tyle swą treścią ile niewłaściwą i nieumiarkowaną dążnością popisywania się lekturą, czasem do danéj kwestyi najmniéj potrzebnych rozpraw i opracowań, to dzisiejsi historycy francuscy, czytający równie wiele książek a często lepiéj je rozumiejący, tyle tylko z rzemieślniczéj pracy, podjętéj około budowy przedstawień historycznych, dają przejrzéć czytelnikowi, ile tylko nieodzowna tego wymaga potrzeba. Dlatego są przypiski w dziełach francuskich nietylko kopalnią zapisek bibliograficznych, ale najczęściéj rzeczowém uzupełnieniem tekstu, lub polem do czynienia pełnych trafności spostrzeżeń, często także prawdziwym humorem zaprawnych wycieczek. W przypiskach takich mieści chętnie historyk francuski wszystkie poboczne szczegóły, które badacz niemiecki umieszcza zazwyczaj na pierwszém miejscu, a kto z techniką pracy historycznéj jest obeznany, ten wie ile się przy takiém postępowaniu zyskuje na zrozumiałości i zwięzłości. Wspólném polem, na którém od początku niniejszego wieku pracują tak francuscy jak niemieccy historycy są wojny krzyżowe. Mi-

chaud i Wilken w tym samym mniéj więcéj czasie podjęli myśl opracowania téj tak zajmującéj epoki, a chociaż przyznać należy, że Wilken jest bardziéj wytrawnym i umiejętnym historykiem i rezultaty jego poszukiwań są do dziś dnia w części za podstawę uznane, to znowu zasługa Michaud'a polega głównie na wydaniu w 4 tomach (bibliotheque des croisades) źródeł do wojen krzyżowych, czem dał popęd do publikacyj na większą skalę przedsięwziętych i z większą dokonanych ścisłością. Mamy tu przedewszystkiém na myśli pomnikowe wydawnictwo: „Recueil des historiens des croisades,“ którego zewnętrzny przepych w zupełności odpowiada i wartości ogłaszanych w niem zabytków i staranności, z jaką prowadzone jest to wzorowe wydawnictwo. Wychodzi nadto inne pokrewne treścią pismo zbiorowe „Archives de l'Orient latin,“ w którém znajdują pomieszczenie drobniejsze wiązanki zapisek lub dokumentów do tego zwłaszcza odnoszące się okresu, wydawane przez powstałe przed niedawnym czasem w Paryżu, „Societé de l'orient latin.“ Z francuskich historyków, zajmujących się wojnami krzyżowemi, pierwsze zajmuje miejsce hrabia Paweł Riant, którego liczne prace niezmiernie są i przez Niemców cenione; prócz niego wymienić wypada pana de Mas-Latrie obecnie profesora dyplomatyki historycznéj w l'Ecole des Chartes, który pisząc znakomite swe dzieło „L'Histoire de l'ile de Chypre sous le régne des princes de la maison de Lusignan,“ miał sposobność zająć się i wojnami krzyżowemi. Niemcy mogą się wykazać liczniejszym zastępem badaczy, a to przedewszystkiém Syblem, którego dzieje pierwszéj wyprawy krzyżowéj są w istocie dziełem pierwszorzędnéj wartości a następnie Prutzem, Röhrichtem, Kuglerem, których liczne prace zyskały autorom słuszny rozgłos i uznanie. Z wojnami krzyżowemi łączy się mnóstwo pytań i zagadnień, które mają swą wagę nie tylko dla wieków średnich, ale nawet i dla czasów późniejszych. Tak powstanie zakonów rycerskich, z których jeden przetrwał do chwil obecnych. Dla Polski mają zakony rycerskie niezwykłe znaczenie; wszak dwuwiekowa polityka najpierw książąt późniéj królów polskich miała na celu walkę z Krzyżakami; pomijając jednak wzrost potęgi rycerzy niemieckich w Polsce, wzrost który nastąpił w chwilach, gdy wyprawy krzyżowe ustąpiły już z porządku dziennego spraw ogólno-europejskich, należy przypomnieć że w wieku VIII rozgałęzieni byli w Polsce nietylko Krzyżacy, ale także i Johannici i Templaryusze. Historyka polskiego musi oczywiście zajmować stan posiadłości zakonów rycerskich przynajmniéj w równéj mierze, co rozpostarcie się Cystersów lub Dominikanów; jak ciekawem jest śledzenie związków klasztornych zgromadzeń z ojczystemi klasztorami na zachodzie, tak

również uwagi godném wykrycie wpływu, jaki starszyzna zakonna Johannitów i Templaryuszów wywierała na komendy polskie, odsłonienie związków zachodnich rycerzy w ojczyznie naszéj zamieszkałych z braćmi francuskimi lub angielskimi i udziału starszyzny prowincyi niemieckiéj, do któréj liczyła się i Polska tak tamo jak Węgry i Czechy, w obradach kapituł generalnych corocznie zazwyczaj zwoływanych. W tym kierunku mało u nas bardzo zrobiono. Możemy się jednak pocieszyć, że nie wyprzedziły nas pod tym względem ani Niemcy ani Francya. Dopiero w ostatnich latach zaczęto pilniéj przetrząsać archiwa Johannitów i połączone z niemi archiwa Templaryuszów, a dawniejsze wzmianki o zbiorach przechowywanych na wyspie Malcie pp. de Roziére i Mas-Latrie dały pochop młodemu badaczowi p. Delaville Leroulx do dokładniejszego ich przejrzenia i opisu. Jeszcze przed rokiem miałem sposobność się dowiedzieć o poszukiwaniach p. Delaville i z niecierpliwością wyczekiwałem pojawienia się jego pracy sądząc, że i nasze wiadomości znają w archiwum w Lavalette pożądane uzupełnienie. Nie mogę powiedzieć iżby nadzieje się ziściły, ale i to przynajmniéj pożytecznie jest wiedzieć, iż poszukiwania w archiwach Maltańskich, o ile dotyczą w. XIII, do żadnegoby dla dziejów zakonów rycerskich w Polsce nie doprowadziły rezultatu. W każdym razie nie jest obojętną zdobycz naukowa, jaką złożył p. Delaville w niewielkim tomiku poświęconym opisowi archiwum Maltańskiego. Chronologicznie ograniczył on swe badania głównie do chwil pobytu Johannitów w Palestynie i dostarczył do téj epoki 100 dokumentów bądź w całéj rozciągłości bądź w streszczeniu. Główna część pracy p. Delaville p. 5—65 zawiera opis archiwum, opis bardzo dokładny i przejrzysty, następnie słów kilka o bibliotece i skarbcu, w dodatku p. 66—207 mieszczą się dokumenty, nadto p. 210—227 spis dygnitarzy Johannitów, nakoniec p. 233—284 bardzo dokładny wykaz osób. Krytyka niemiecka przyjęła książkę p. Delaville bardzo pochlebnie, a ogólne jest zdanie, iż on przedewszystkiém byłby uzdolniony i należycie przygotowany do napisania całkowitych zakonu św. Jana Dziejów, których brak tak się dotkliwie daje uczuwać. Równocześnie z p. Delaville pracował w téj saméj materyi historyk niemiecki, autor dziejów Fryderyka Barbarossy i „Culturgeschichte der Kreuzzuge“ profesor uniwersytetu w Królewcu p. Hans Prutz. Jego „Malteser Urkunden und Regesten zur Geschichte der Tempelherren und der Johanniter“ w wielu przypadkach podają materyał znany nam już z dzieła francuskiego historyka, ale z drugiéj strony są właściwie innego rodzaju publikacyą. Wstępy chyba najbardziéj są z sobą pokrewne, zresztą liczba zregestrowanych dokumentów i rozdział

między materyałem odnoszącym się do dziejów Templaryuszów i Johannitów świadczą o innem pojęciu i wykonaniu przedsięwzięcia; gdy bowiem p. Delaville główny zwraca nacisk na dzieje Johannitów, poświęca dr. Prutz uwagę swę przedewszystkiém Templaryuszom wymieniając 353 ich dokumenty z lat 1145—1297 „gdy równocześnie 65 uwzględnionych przez niego dokumentów zakonu Św. Jana wypełniają tylko okres od r. 1112 do 1194. W ten spoób można powiedzieć, iż obie prace się uzupełniają a nadmienić chyba wypada, że w użyciu naukowém ważnym niedostatkiem pracy p. Prutza jest wszelki brak wykazów, utrudniający niezmiernie jéj użytkowanie. Gdybyśmy zaś chcieli wydać sąd o wartości lub raczéj o metodzie zastosowanéj przez obu historyków, to musielibyśmy przyznać pierwszeństwo p. Delaville, którego praca, choć drobniejsza rozmiarami uwzględnionego materyału, odznacza się gruntowniejszém wykończeniem i uwalnia od dalszych poszukiwań i badań, dostarczając pożądane objaśnienia o osobistościach na dokumentach się pojawiających. P. Delaville był członkiem „Szkoły Rzymskiéj," praca téż jego ogłoszoną została w publikacyach téj instytucyi, a zwracamy tu uwagę i na inne prace w tém samém zbiorowém pismie umieszczone, które oddawna zyskały sobie wielkie zagranicą uznanie. Tak np. obszerne dzieło p. Eugieniusza Müntza, Les arts à la cour des papes pendant le XV et XVI siècle, lub badania księdza Duchesne nad Liber Pontificalis; zapowiedziane zaś jest studyum p. Bloch nad „Origines du Senat Romain," które niezadługo zapewne się ukaże. Nie można także pominąć wielkich wydawnictw podjętych przez l'Ecole de Rome. Nas zwłaszcza obchodzą Regesta Papieskie, które obecnie w dwóch wychodzą seryach: „Les Registres d'Innocent IV" par Elie Berger i „Les Registres de Benoit XI par. Ch. Grandjean." Wydania te z niesłychaną dokonywane starannością zawierać będą znaczną liczbę Fac-similiów i będą właściwie stanowić pierwszy zupełny zbiór bul wymienionych papieży. *B.*

— **Leopold Delisle Le Cabinet des manuscrits de la bibliothèque Nationale** *3 tomy in 4°.* Liczba rękopismów w najrozmaitszych pisanych językach, stanowiących główne bogactwo biblioteki narodowéj w Paryżu, dosięga kilkudziesięciu tysięcy. Pomiędzy niemi prawie 20 tysięcy stanowi t. z. fonds latin i jest, obok skarbów przechowanych w Britisch Museum w Londynie, główną kopalnią naszéj wiedzy o średnich wiekach, niewyczerpanym zasobem tekstów klasycznych pisarzy rzymskich, do którego uciekają się ustawicznie badacze wszystkich narodowości w słusznem mniemaniu, że żadnego

bogaty plon nie minie. Jak dzieje utworzenia każdego większego księgozbioru, tak przedewszystkiém historya powstania biblioteki Narodowéj w Paryżu niezwykle jest zajmująca; dla historyka zaś najważniejszą i najciekawszą stronę zabiegów kilkunastu pokoleń, będzie stopniowe wyszukiwanie i zakupno rozrzuconych po całym kraju i zagranicą rękopismów, przy którém uczeni mężowie kierujący losami księgozbioru do najrozmaitszych uciekali się podstępów, by i ciekawe wyszukiwać kodeksy, i nakłonić właścicieli do ich odstąpienia, i zachęcać mecenasów nauki lub rząd do dostarczania potrzebnych na zakupno pieniędzy. Gdy za inicyatywą słynnego prefekta Paryża barona Haussmana, postanowiono wydawać jedyne w swoim rodzaju dzieło „Histoire genérale de Paris,“ mówię jedyne, bo podobnych rozmiarów i o tak szerokim planie zakreślonych wydawnictw chyba więcéj nie ma, powierzono przedstawienie stanu i historyi rękopismów przechowywanych w bibliotece Narodowéj tejże dyrektorowi, jednemu z najgłośniejszych Francyi uczonych, panu Leopoldowi Delisle. Znakomity paleograf i dyplomatyk, nie ustępujący ani Watenbachowi ani Sicklowi, autor uzupełniającego katalogu rękopismów biblioteki Narodowéj, przytém pierwszorzędny historyk i prawnik, czego dał dowody w licznych najróżnorodniejszéj treści rozprawach i dziełach, odpowiedział w zupełności trudnemu bardzo zadaniu i wywiązał się z niego jak najlepiéj. W trzech olbrzymich tomach in 4⁰ złożony jest owoc długoletnich mozolnych studyów pana Delisle nad rękopismami bibl. Nar., przyczem dołączonych jest do ostatniego tomu 100 tablic, w których mieszczą się próby pisma średniowiecznego od IV do XV wieku, zaczerpnięte z najprzedniejszych kodeksów. Tablice te służyć mogą za wyborny materyał do zaznajomienia się z paleografią średniowieczną i co do metodyczności układu są unikatem w całéj dotychczasowéj literaturze naukowéj, bo jak przypominamy, ograniczano się dotychczas i w Niemczech i we Francyi na ogłaszaniu i popularyzowaniu podobizn z dokumentów, rękopisma uwzględniano tylko sporadycznie przy celniejszych wydaniach. Chcieć choć w najkrótszych wyrazach podać bogatą treść dzieła pana Delisle byłoby zupełném niepodobieństwem, zwracamy tylko uwagę na najciekawszy jego ustęp, na barwnie i zajmująco przedstawione zasługi Colberta około nagromadzania skarbów rękopiśmiennych, zasługi w których nie mały miał udział bibliotekarz wielkiego ministra Stefan Baluze. Komuż nieznane imię obydwóch tych mężów. Słynny finansista i pierwszorzędny uczony zjednoczyli swe usiłowania w jednym celu i kierunku. Co Colbert instynktowo uważał za ważne i potrzebne, o tém miał Baluze właściwsze bo fachowe rozumienie, wszechwładny minister da-

wał środki, dozwalał używać swego imienia i wpływu, mól książkowy zamieniał się w pogoni za rękopismami w dyplomatę i strategika, formalne urządzał kampanie, rozsyłał ajentów, przekupywał, intrygował, tryumfował gdy dopisało powodzenie, złorzeczył lecz nie rozpaczał gdy oblegana twierdza twardy stawiała opór. Podwładni Colberta urzędnicy musieli, obok administracyjnych czynności, mieć w pierwszéj linii zwróconą uwagę na wszystkie sposoby dostarczenia do zbioru ministra jak największéj liczby rękopismów; gdy zdołano właściciela przekonać, że winien dobrowolnie i bezinteresownie zrzec się na korzyść Colberta niezmiernie nieraz cennych rękopismów, to pilnował Baluze, aby ofiara była zawsze odpowiednio wynagrodzona, gdy trzeba było brzęczącego użyć argumentu, to niezmordowany bibliotekarz, z wielkim nieraz mozołem, musiał skąpstwo lub raczéj oszczędność Colberta przełamywać. Czasami nie dał się minister Ludwika XIV przebłagać. Baluze był wówczas niepocieszony, zwłaszcza gdy rozchodziło się o niezwykłéj wagi rękopisy. Prywatny zbiór Colberta przeszedł z rąk jego spadkobierców na własność rządową i stanowi główną część łacińskich zwłaszcza rękopisów biblioteki Narodowéj. Nie mniéj zajmująco wyjaśnia p. Delisle sposób w jaki i inne większe lub mniejsze zbiory wcielone były stopniowo w jednę całość, a ile przy tém trafnych naukowych spostrzeżeń, ile erudycyi, ile głębokiéj wiedzy i to przy jasném i niewymuszoném przedstawieniu, jak zupełne opanowanie przedmiotu z natury swéj niewzdzięcznego i suchego. Śmiało powiedziéć można, że żaden kraj podobném nie może się poszczycić dziełem; wprawdzie praca p. Delisle nie może się nazwać wyłącznie francuską, bo równy ma interes dla wszystkich, którzy odwiedzali, lub Bibliotekę Narodową odwiedzać zamierzają; lecz jakkolwiek się rzecz ma, autor jéj należy do osobistości, które prawdziwy czynią zaszczyt swemu krajowi, a z pewnością zazdroszczą Niemcy nie mało Francyi tak płodnego i wszechstronnego badacza, jakim jest pan Delisle, liczący obecnie około lat 50 zaledwie, mogący zatém jeszcze przez długie lata wzbogacać literaturę naukową francuską, nie mniéj od dotychczasowych znakomitemi pracami. *B.*

— **Tryumfy orła i zaćmienia księżyca**, *panegiryk Józefa de la Vegi, poety hiszpańskiego, napisany z okazyi pogromu Turków pod Wiedniem, wyszedł w tłómaczeniu p. A. Święckiego, nakładem M. Bersohna (Warszawa, 1883 4° str. 197), na pamiątkę dwóchsetniéj rocznicy wyprawy wiedeńskiéj.* Utwór to iście ciekawy, ale... tylko jako owoc mozolnéj zapewne obławy na frazeologią, obracającą się nie już w sferze ogólników, ale igraszki wyrazów i alegorycznych porównań. Ani li-

terat ani historyk nic z niéj nie wyciśnie. Co tedy skłoniło p. B. do ogłoszenia jéj w polskim przekładzie wraz z oryginałem w wydaniu bardzo okazałem? „Przywłaszczamy panegiryczne to pismo okolicznościowe literaturze krajowéj z téj przyczyny—objaśnia wydawca w przedmowie, że ono jest jednym dowodem więcéj, jak wielką cześć dla Sobieskiego mieli nawet i inowiercy. Świadczy to również, że nawet w państwach bardziéj oddalonych od widowni boju, że wszędzie i ogólnie sprawcą tego zwycięstwa uznano Sobieskiego, i że zasługa cała jemu i jego walecznym hufcom się należy.“ Tłómacz z zadania swego wywiązał się bardzo sumiennie.

Z CHWILI OBECNEJ.

Oddział warszawski towarzystwa popierania przemysłu i handlu.—Projekt redakcyi „Inżenieryi i Budownictwa.“—Konkurs ogłoszony przez redakcyą „Biblioteki Warszawskiéj.“ — Zjazd historyczno-literacki.

Dziwnych się rzeczy czasem dosłuchać można, powiadają np. że z tych wielkich partyi wełny, które od nas wywożą do Wrocławia, znaczną część zakupują do Francyi, Francuzi myją tę wełnę, czeszą i przędą, a nasi fabrykanci tkanin wełnianych dopiero ową przędzę sprowadzają z Francyi; opłacać więc muszą cenę przewozu wełny dwa razy wzdłuż Europy, zarobki robotników i zyski przedsiębiorców francuskich i wysokie cło przywozowe w złocie. Téj ogromnéj straty łatwoby uniknąć można jeżeliby w kraju kto się podjął przygotowywania przędzy. Ogromną ilość zboża wywozimy z kraju, a wyższe gatunki mąki i sporą ilość krochmalu sprowadzamy z zagranicy. Słyszeliśmy, że z okolic Moskwy przywożą znaczne ilości perkalu nie tylko do Warszawy ale i do saméj Łodzi, że tam na miejscu, w owym polskim Manchesterze, jak już weszło w modę Łódź nazywać, perkale te konkurują korzystnie z miejscowémi. Dla czego tak się dzieje? Fakta te muszą mieć swoje przyczyny, a nietylko publiczność, którą dotąd sprawy tego rodzaju mało obchodzą, ale i sami fabrykanci zapewne przyczyn tych nie rozpoznali, jeżeli nie starają się ich usunąć lub przeciw nim działać skutecznie. Dotąd nie było komu zajmować się u nas kwestyami ekonomicznemi, szczególnie ze strony ich praktycznéj. Rzadkie wycieczki publicystów naszych w sfery ekonomii ograniczały się zwykle na rezonowaniach teoretycznych i narzekaniu na brak materyału statystycznego, któryby mógł służyć za podstawę do jakich takich wskazówek.

Nie dziw więc, że z zadowolnieniem przywitano w Warszawie wiadomość, nadesłaną niedawno z Petersburga, o zatwierdzeniu oddziału warszawskiego towarzystwa popierania rosyjskiego przemysłu i handlu. Wiadomo, że przemysłowcy i kupcy nasi licznie i chętnie zapisywali się na listę członków oddziału, usprawiedliwioną więc będzie nadzieja, że się wezmą skwapliwie do pracy nad wyjaśnieniem dzisiejszego stanu przemysłu i handlu miejscowego, nad badaniem trudności jakie on w swém rozwijaniu się napotyka i wskazywaniem środków do zwalczenia tych przeszkód. Wolno téż spodziewać się że prace specyalistów podjęte w tym celu, dadzą szerszéj publiczności możność bliższego rozpatrzenia się w ekonomiczném położeniu kraju, a ludziom, czującym powołanie do zawodu handlowego lub przemysłowego, cenne wskazówki w jakim kierunku lub fachu mogliby pracować korzystniéj.

W pierwszéj chwili niektórzy z publicystów zanadto już może znaczenia przypisywać chcieli samemu faktowi zorganizowania się w Warszawie oddziału towarzystwa, widząc w tém drogę otwartą do rozlicznych ułatwień a zatém i do szybkiego wzrostu bogactwa krajowego. Jeżeli skutek pomyślny widnieje w oddali doprowadzić do niego może tylko praca długa i wytrwała. Z tego że komitet oddziału zorganizuje kilka wydziałów, które będą mogły „rozpatrywać i opracowywać kwestye tyczące się wszelkich gałęzi przemysłu fabrycznego i rzemieślniczego“ nie popłynie jeszcze źródło obfitości wyrobów dobrych i tanich; ani téż z „rozpatrywania kwestyi handlu wewnętrznego i zewnętrznego“ nie wyniknie otwarcie nowych rynków dla zbytu naszych wyrobów, chociażby komitet zwołał kilka zgromadzeń ogólnych i przeprowadził na nich narady i dyskusye.

Nie łudźmy się obrazami jakie nam żywa fantazya przed oczy stawić może, brońmy się od marzeń o łatwém osiągnięciu pożądanego celu. Lubo w oddziale towarzystwa będą się odbywały narady o tém co zrobić trzeba lub należy, a nawet mogą zapadać decyzye czy ten lub ów projekt jest pożyteczny lub szkodliwy, jednakże uchwały komitetu dla nikogo obowiązujące nie będą i nie koniecznie jakieś faktyczne rezultaty wywołać mają. Wedle § 4 instrukcyi dla oddziałów miejscowych: „Odział *bada* i ostatecznie *rozpoznaje* wszelkie kwestye tyczące się potrzeb miejscowego przemysłu i handlu i powzięte uchwały przedstawia we właściwym czasie komitetowi Towarzystwa“; któremu to komitetowi, stojącemu na czele Towarzystwa w Petersburgu, „przedstawia w d. 1 stycz. każdego roku sprawozdanie ze swéj ogólnéj działalności.“ Paragraf to streszczający w najogólniejszych wyrażeniach cel towarzystwa, a zarazem zakres jego działania. Chodzi tu o zbadanie i rozpatrze-

nie kwestyi tyczących się przemysłu i handlu miejscowego i o przedstawienie swoich wniosków komitetowi w Petersburgu.

Owóż badanie odbywać się musi za pośrednictwem zbierania dokładnych wiadomości o przedmiocie, czyli pracą do wykonania dość trudną, którą streścić należy w referacie; rozpatrywanie zaś, to dyskusya nad przedstawionym referatem i orzeczenie o wysnutych z niego wnioskach. Więc inicyatorowie zawiązującego się oddziału towarzystwa, będą musieli nie mało pomyśléć nad urządzeniem wydziałów, nad powołaniem do nich ludzi odpowiednich zdolności i wykształcenia, którzyby oprócz dobrych chęci popierania swego interesu, posiadali znajomość warunków w jakich się on prowadzić może prawidłowo, a przytém umieli ważyć na szali rozsądku skuteczność wskazywanych środków, argumenta zaś za niemi przemawiające grupować dość silnie, tak iżby one znalazły posłuch w komitecie petersburskim, gdzie mogą często panować poglądy zupełnie przeciwne, a nie zawsze zgodne z interesem miejscowym. Dyskusye ogólne w oddziale warszawskim mniéj bodaj będą miały znaczenia aniżeli referaty pisane, jakkolwiek mogą one oddziaływać na poglądy tutejszych przemysłowców i wywierać wpływ miejscowy, ale jako wskazówki dla komitetu w Petersburgu, a tém bardziéj dla ministeryum finansów, nie będą one miały wagi dostatecznéj, ażeby przechylić w tę lub ową stronę szale na ktoréj się ważą działania władz rządowych.

Kwestye ekonomiczne wszystkie niemal wiążą się pomiędzy sobą, tak że poruszając jednę z nich niepodobna prawie pominąć ogólnego położenia kraju, które jednak w danym razie zapewne nie będzie mogło być przedmiotem dyskusyi. Pomimo wielu pochwał oddawanych naszemu przemysłowi i jego żywotności, widzimy że on stoi dopiero na pierwszych szczeblach swego rozwijania się; niedawno jeszcze zaczął on wyrastać z pnia pierwotnego wszelkiego przemysłu—z rolnictwa, i dzisiaj znajduje się w ogromnéj od niego zależności. Nie mamy obfitości kapitału, ani znacznéj liczby robotników, ani ilości dostatecznéj techników, ani nadewszystko owego ducha przedsiębiorczości, odwagi do rozpoczynania rzeczy nowych, co wszystko skazuje nasz przemysł na obrabianie produktów miejscowych, stawi go w zależność od rolnictwa i górnictwa krajowego. Jedne tylko tkactwo bawełniane obrabia produkt zagraniczny, a i to rozwija się sztucznie bodaj pod wpływem ceł wygórowanych. Dwa wielkie działy przemysłu gorzelnictwo i cukrownictwo, tak silnie wiążą się z gospodarstwem rolném, że oprócz techniki w urządzeniu fabryki, wszystko zresztą zależy w nich od stanu uprawy robi w okolicy. Dla tego pożądanym byłby udział w towarzystwie ludzi obe-

znanych z najlepszemi praktykowanemi w kraju metodami gospodarstw rolnych, a wskazówki ich byłyby bardzo cenne dla rozmaitych wydziałów. Tymczasem w program towarzystwa nie wchodzi zajmowanie się sprawami rolnemi, w ustawie nie ma o nich wzmianki, więc oddział warszawski kwestyami specyalnie rolniczemi zajmować się nie może. Może natomiast (i nie wątpimy że o tém nie zapomni) zajmować się temi gałęziami przemysłu które z rolnictwem w najściślejszym zostają związku jak: gorzelnictwo, piwowarstwo itd.

Z innéj strony spotykaliśmy w prasie odezwy pesymistycznego nastroju—twierdzące, że nie należy wyglądać niczego pomyślnego dla ogółu ze ściślejszego stowarzyszenia się osób powodowanych interesem własnym. Zapewne że przemysłowców do zawiązania towarzystw zachęca ich własny interes, ale dla czegóż ma to im być za złe poczytywane, i dla czego pieczołowitość o interesa przemysłowców i kupców ma wyjść na niekorzyść publiczności. Żyjemy wprawdzie w czasach kiedy podejrzliwość i nieufność względem kapitału opanowała szerokie koła społeczne, a egoizm kapitalistów wyzyskujących jakoby cały naród, stał się niemal artykułem wiary dla każdego początkującego ekonomisty. Nie możemy wchodzić tutaj w roztrząsanią socyologiczne i psychologiczne o znaczeniu egoizmu w życiu człowieka i narodów; ale nie uwodząc się téż dawniejszemi deklamacyami na temat harmonii interesów w społeczeństwie, możemy dopatrzyć te punkta wspólne, na których egoizm, pierwszy czynnik i pobudka do działania, może godzić się z dobrém ogólnym, ową nagrodą za trudy i prace podejmowane zgodnie w celu niesienia sobie wzajemnéj pomocy. Interes materyalny każdéj warstwy społeczeństwa polega na tém, żeby przyswoić sobie jak największą część z wyprodukowanéj wartości i tutaj antagonizm częsciowy przejawia się w życiu na każdym kroku, a powodzenie warunkuje się siłą gospodarską czyli zasobnością indywiduów i wykształceniem ich, czyli umiejętnością korzystania z otaczających warunków; ale wspólność interesu wszystkich klas występuje w ogólném powodzeniu przemysłu; robotnikowi lepiéj się dzieje kiedy kapitaliści go poszukują, rolnikowi dogodniéj kiedy na produkta jego żądanie się wzmaga, przemysłowiec i kupiec zyskują na tém że kapitał ich żwawiéj się obraca. Wszyscy więc razem mogą tylko pożądać rozwijania się przemysłu, otwierania się przed nim widoków szerszych, powodzenia w jego przedsiębiorstwach. Choćby zawiązaniu Towarzystwa nie obce były względy egoistyczne, w niczem nie stanie ono na zawadzie większéj dzielności w pracy przemysłowéj, owszem może się przyczynić do jéj podbudzenia.

Zwolennicy reform radykalnych, idealiści wierzący w możność przekształcenia wszystkich stosunków społecznych i urządzenia ich na nowych zupełnie podstawach, będą prawdopodobnie z nieufnością poglądać na towarzystwo zawiązywane pomiędzy kapitalistami w celach popierania swoich interesów. Nam się jednak wydaje, że próby stosowania teoryi nowych do naszego ustroju społecznego nie mogą się zdawać możebnemi nawet idealistom najskrajniejszym. Nie mamy dostatecznéj ilości wykształconych sił umysłowych żebyśmy mogli nowe teorye rozwijać na gruncie swojskim, nie mamy myśli dość swobodnéj ani czasu do obmyślania i przeprowadzania prób odpowiednich, zamało jeszcze sprężystości i stałości w charakterach osób, ażeby stosunki pomiędzy nimi dawały się układać, lub same mogły się kształtować, w formy jakieś idealniejsze od ogólno-europejskich. Nam pozostaje jeszcze dużo do zrobienia żeby nie dać się prześcigać sąsiadom, oprócz znajomości technicznych warunków wielkiego przemysłu, braknie nam w znacznym stopniu najpierwotniejszych podstaw do szybkiego rozwijania bogactwa krajowego, przedsiębiorczości wśród klas zamożniejszych i pracowitości w całym narodzie w ogóle, zarówno w wyższych jak i w niższych warstwach społeczeństwa.

Pracowitość, ta umiejętność nie marnowania czasu ani sił własnych, owszem używania ich na robienie rzeczy potrzebnych i korzystnych, to cnota która nie łatwo się nabywa, a do rozwijania któréj pobudki egoizmu w znacznéj części się przyczyniają. Nie lękajmy się więc owych pobudek, nie trwożmy się tém że one zachęcają ludzi do grupowania się w imię interesów osobistych, bo one właśnie mogą napędzić nas do trudu usilniejszego; a samo zawiązanie się towarzystwa może ułatwić warunki dalszéj roboty, zdwoić jéj skuteczność.

Praca, w nowo powstającém oddziale warszawskim towarzystwa, o tyle tylko może się rozwinąć o ile się zamknie w granicach wskazanych przez ustawę, ale i na tém polu bardzo dużo jest do zrobienia. Nawet nie licząc na to żeby przedstawienia oddziału miały zawsze znajdować posłuch i gotowość do poparcia u władz administracyjnych i prawodawczych, już samo wyjaśnienie celów jakie sobie przemysł powinien zakładać, wskazywanie dróg na których handel może szukać dogodniejszych warunków obrotu lub korzystniejszych punktów zbytu—skieruje działalność przedsiębiorców w strony właściwe, da im możnosć osiągania dochodów wyższych a zatém i rozszerzania swéj czynności. Cała téż waga przyszłéj, daj Boże pomyślnéj, działalności towarzystwa leży w tém wyjaśnianiu

rzeczy tak zbliska cały ogół obchodzących, a tak mało znanych jednostkom ów ogół składającym.

Kwestya ceł ochronnych zapewne nie będzie zależała od poglądów komitetu towarzystwa, bo na rozwiązywanie jéj będzie oddziaływać dużo innych, bodaj znacznie silniejszych, wpływów; ale środki i sposoby najlepszego korzystania z istniejącego systematu celnego, mogą być przez komitet badane, wyjaśniane i publiczności całéj tłómaczone. Narzekamy ciągle na wadliwe urządzenie dróg komunikacyi lądowych i wodnych, ogólnikowe narzekania w niczem kwestyi naprzód nie posuwają; badanie stosunków i kierunku dróg handlowych, wskazanie miejsc potrzebujących czy to poprawienia spławu na rzece, czy lepszego utrzymania danéj drogi szosowéj, czy przeprowadzenia gałęzi dowozowéj kolei żelaznéj, wskazanie, poparte dokładném obliczeniem korzyści jakieby te roboty mogły przynieść, może: albo pobudzić osoby czy okolice całe w tém zainteresowane do podjęcia robót na koszt własny, albo nawet zwrócić uwagę władz administracyjnych na konieczność udogodnienia komunikacyi w tych mianowicie punktach. Ludzie rozmiłowani w pojęciach nowéj szkoły ekonomicznéj narzekają na konkurencyą bezmyślną i ślepą, która w produkcyi wytwarza anarchię; o ile w danych okolicznościach tego rodzaju anarchia może być szkodliwą to wykazać są wstanie tylko, studya szczegółowe nad ilością produkcyi i kanałami zbytu, studya—podjęte przez ludzi znających się na rzeczy, a takie roboty właśnie w komitecie towarzystwa będą musiały być wykonywane. Mamy od lat kilku muzeum przemysłowe, nie urządzone jeszcze i nie oddane do użytku publiczności, nowo zawiązujące się towarzystwo może wzmocnić siły tego muzeum, poprzeć go w usiłowaniach około prędszego uporządkowania tego co już nagromadzono i dalszego zbierania przedmiotów ciekawych a pouczających dla rzemieślników i fabrykantów.

Nie zabraknie więc roboty komitetowi i wszystkim członkom towarzystwa którzy zechcą być czynnemi, chodzi zaś głównie oto, żeby robota odrazu ujętą była w normy prawidłowe, nie rozstrzelała się zanadto i nie obejmowała obszarów zbyt wielkich, a organizowała się umiejętnie około kwestyi nietylko ważnych ale i dostępnych; załatwiwszy się zaś z temi które już dzisiaj mogą być zbadane, torowała tém sobie drogę do coraz trudniejszych i zawilszych. Skoro prace towarzystwa i komitetu okażą się praktycznemi, coraz to nowe siły będą się kupić koło niego, coraz większy interes będzie ono budzić w całém społeczeństwie.

Oto i nowy przedmiot do pracy, zasługujący na uwagę komitetu, ponieważ zajmuje się materyałami do przemysłu.

Redakcya „Inżenieryi i Budownictwa“ zamieściła w piśmie swoim projekt wypracowany przez p. St. Szafarkiewicza, a adresowany do władz Towarzystwa Kred. Ziemskiego, i mający na celu rozszerzenie statystyki rolnéj, który tu przytaczamy w całéj obszerności:

„Opierając się na postanowieniu Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego co do zbierania danych statystycznych, odnoszących się do majątków stowarzyszonych, niżéj podpisana Redakcya ośmiela się przedłożyć projekt „*zbierania danych statystycznych, tyczących się odłogiem leżących bogactw mineralnych naszego kraju, oraz wszelkich nieużytków, któreby jakąkolwiek korzyść przynieść mogły, jako też podania sposobów zużytkowania tychże.*“

Praca ta przez nas proponowana, będzie nader ważném dopełnieniem Statystyki rolnéj, przed rokiem przez Towarzystwo wydanéj, która jakkolwiek jest pracą znakomitą i niezmiernie użyteczną, nie jest jednakże zupełnie wyczerpującą, pomija bowiem „wykazanie *rzeczywistéj* wartości pojedyńczych majątków, gdyż nie uwzględnia wartości *kapitału martwego*, w ziemi się znajdującego, jako to: wartości materyałów surowych i bogactw kopalnych, nadających się do eksploatacyi w zakładach przemysłowych lub górniczyh, oraz wartości wód i gruntów, które wskutek braku amelioracyi nie przynoszą odpowiedniego swéj wartości procentu, lub całkiém leżą odłogiem.“

Motywa, powodujące Redakcyę do przedłożenia powyższego projektu, polegają na coraz częstszych przykładach wyzyskiwania nieświadomości ziemian naszych, pozbywających się najbogatszych w materyały surowe posiadłości swoich, wskutek braku dokładnych wiadomości o skarbach ukrytych w ich ziemi i o podniesieniu wartości téj ostatniéj, jeżeli ta obfituje w jakiekolwiek cenne nieużytki.

Nieświadomość ta pociąga dla całego kraju fatalne skutki, oddając eksploatacyę bogactw krajowych cudzoziemcom, dochodzącym przy nader nizkiéj cenie zakupu, opartéj li tylko na szacunku roli, w nadzwyczaj krótkim czasie do olbrzymich majątków, przez co znaczne obszary ziemi przechodzą w ręce ludzi wyzyskujących swoje posiadłości jedynie w celach osobistéj korzyści i oddają tymże przewagę kapitału nad ogółem obywateli do Towarzystwa należących.

W takiém położeniu rzeczy obmyślenie środków zaradczych staje się kwestyą pierwszorzędnéj donioslości i niecierpiącą najmniejszéj zwłoki.

Chodzi tu o dokładne zbadanie bogactw geologicznych, oraz zapasów materyałów surowych kraju, celem rozpoznania, czém mo-

żemy rozporządzać na miejscu, bez uciekania się do pomocy zagranicy i jakie gałęzie przemysłu możemy rozwijać samodzielnie, jako téż o wskazanie sposobów podwyższenia wydajności gruntu.

Liczne przykłady dostatecznie przekonywają nas, że znaczne zapasy bogactw kopalnych leżą u nas zupełnie odłogiem, a to jedynie z téj przyczyny, że albo właściciel nie wie o ich istnieniu, albo nie ma świadomości o racyonalném ich zużytkowaniu.

Wszędzie za granicą wypracowują z największą dokładnością karty geologiczne pojedyńczych okręgów, z których powstają mapy geologiczne całego kraju. Następstwem takiego badania jest, że tam żadna piędź ziemi nie pozostaje bez właściwego i korzystnego zużytkowania i że w krajach geologicznie mało różniących się od naszego eksploatują i przerabiają większą ilość bogactw kopalnych, nadając nawet pewnym nieużytkom przemysłowe zastosowanie. Wspomnimy tu o wyrobie szkła z surowéj skały feldspatowéj w Czechach, o eksploatacyi krzemienia na Szląsku, o przerobie margli na cement, o eksploatacyi pokładów gliny, a u nas w ostatnich czasach w Otwocku przerób pośledniejszego torfu na wyborną podściółkę pod konie i t. p.

Ponieważ wysiłki pojedyńczych osób nie mogłyby doprowadzić do pożądanego rezultatu, przeto najodpowiedniejszém jest przeprowadzenie poruszonéj sprawy przez instytucyę zbiorową, z ziemian złożoną, jaką jest wyłącznie Towarzystwo Kredyt. Ziemskie.

Przeprowadzenie powyższéj pracy przedstawia dla Towarzystwa samego wielką korzyść, szczególniéj w obecnéj chwili, w któréj Towarzystwo ma zamiar podwyższyć pożyczki przez siebie udzielane, wskutek czego, dla zupełnego bezpieczeństwa zwiększonéj pożyczki, byłoby nader pożądaną rzeczą miéć *dokładne wyobrażenie o sile produkcyjnéj dóbr ziemskich, nietylko w kierunku rolnym ale i przemysłowym*, czemu odpowiada § 41 i § 43 *e* i *f* projektowanych przepisów taksy. Dane w tym względzie mogłaby dostarczać taksa, opracować zaś i porządkować statystyka odpowiednio prowadzona.

Ponieważ „*dobro stowarzyszonych jest dobrem Towarzystwa samego*“, przeto odpowiedniem będzie przedstawić niektóre korzyści, jakie praca wspomniona dla stowarzyszonych przynieść może, a mianowicie:

1) Podwyższenie *wartości* znaczniejszéj liczby majątków, przyczém odkryte bogactwa mineralne w niektórych posiadłościach przewyższyć mogą kilkakroć wartość roli.

2) Podniesienie *siły płatniczéj* pojedyńczych majątków.

3) Wykazanie *nowych źródeł bogactwa krajowego.*

4) Wskazanie *najkorzystniejszego zużytkowania kapitału* nakładowego, również jak i obrotowego, tak zaoszczędzonego jak i zapożyczonego.

5) *Ułatwienie kredytu* przez dokładne wykazanie wartości tak *czasowéj* jak i *rzeczywistéj.*

6) Łatwość *utworzenia spółek*, któreby się eksploatacyą wraz z obywatelami zajęły.

7) *Utrwalenie egzystencyi majątków* przez otworzenie zakładów górniczych i przemysłowych, niezależnych od klęsk, na jakie rolnictwo z powodu zmian atmosferycznych jest narażone.

8) *Podniesienie przemysłu krajowego* i zatrzymanie kapitałów, jakie za wyroby do rąk cudzoziemców przechodzą — i wreszcie:

9) *Zabezpieczenie obywateli od wyzyskiwania spekulantów.*

Po za temi korzyściami, ogół kraju obok korzyści ekonomicznych zyska przez *zatrudnienie całego szeregu techników i robotników*, a kraj nasz stanie się tém, czém być powinien, t. j. *krajem przemysłowo-rolniczym*, do czego nam przyroda korzystnych warunków nie poskąpiła.

Z tych przyczyn Redakcya „Inżenieryi i Budownictwa“, mając do swego rozporządzenia odpowiednie siły techniczne, ośmiela się wystąpić z powyższym wnioskiem, mając to przekonanie, że projekt jéj uzupełni dążenia Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego w kierunku opracowania danych statystycznych, jak również, że bliższe porozumienie się Towarzystwa z Redakcyą da możność wprowadzenia w życie podjętéj myśli i osiągnięcia praktycznych i pożytecznych rezultatów, tak dla Towarzystwa, jak i dla stowarzyszonych.

Ze względu na trudności, na jakieby przeprowadzenie całego projektu natrafić mogło, niżéj podpisana Redakcya ośmiela się prosić Tow. Kred. Ziemskie o przyjęcie i przeprowadzenie téj części wniosku, która dotyczy *„zebrania statystycznych danych odnoszących się do oszacowania kapitału martwego znajdującego się w pokładach materyałów surowych, jakie w majątkach stowarzyszonych się znajdują.“*

Ażeby cel przez nas wytknięty w zupełności mógł być osiągniętym, odpowiednia praca powinna się składać:

1) z *zebrania danych co do istnienia i obfitości pokładu* oraz zbadania miejscowych warunków;

2) z *przeprowadzenia ścisłéj analizy chemicznéj*, któraby nam dała pewność co do jakości poszukiwanego materyału;

3) z *przeprowadzenia badań technologicznych*, ażeby wykazać najodpowiedniejszy cel zużytkowania danego materyału;

4) z *oznaczenia wartości odkrytego pokładu* na podstawie trzech pierwszych punktów.

Mając na uwadze cel praktyczny projektowanych poszukiwań i chąc działać w interesie tak stowarzyszonych jak i Towarzystwa samego, cztery powyższe działy o ile możności równocześnie powinny być wykonane.

Dla wyjaśnienia na przykładzie racyonalności powyższego podziału pracy również jak i nader korzystnych jéj rezultatów, ośmielamy się przytoczyć fakt z ubiegłego miesiąca.

Jeden z obywateli ziemskich z okolic Warszawy, p. Skąpski z Łubny, dowiedziawszy się o projekcie przez Redakcyę przedłożonym, zgłosił się do nas z życzeniem otrzymania pewnych danych co do wartości gliny, znajdującéj się w jego majętności. Zrobiona analiza pomimo wysokiéj procentowości gliny nie dała pewnych wskazówek, i dopiero wystawienie tejże na działanie, jak również i inne doświadczenia dokonane przez członka naszéj Redakcyi Dr. A. Weinberga, np. ze względu na przyjmowanie farb i t. p. wykazały wysoką cenę gliny, która została uznaną za najlepszą glinę terrakotową odpowiednią do fabrykacyi figur, posadzek mozaikowych i t. p. Rezultatem tego było, że pan Skąpski otrzymał od Warszawskich zdunów, nawet przed poczynieniem jakichkolwiek ogłoszeń, zamówienia na dostawę 8000 fur gliny szlamowanéj w cenie 4½ rubla, co czyni razem 36000 rubli zyskanych z kapitału, który aż do tego czasu zupełnie martwy w ziemi spoczywał.

Z powyższego wynika, że w bardzo wielu wypadkach właściciel sam oznaczyć może rodzaj pokładu; praca geologiczna rozszerzyłaby świadomość tę tylko co do pokładów znajdujących się we wnętrzu ziemi, a w połączeniu z pracą mierniczą dałaby pojęcie o rozciągłości i obfitości danego pokładu. Również analiza chemiczna żadnych by ostatecznych rezultatów nie przyniosła, jak to potwierdzoném zostało przez p. Skąpskiego, którego sąsiad analizę gliny posiada, nie wiedząc z tém wszystkiem do jakiego celu glina służyć może. Dopiero badania technologiczne ostatnią kwestyę rozwiązują a jak w naszym przykładzie wykazały najodpowiedniejszy sposób zużytkowania materyału, co posłużyło do spieniężenia go w stanie surowym w bardzo krótkim czasie.

Tak więc tylko połączone badania *geologiczne*, *chemiczne*, *technologiczne* i *szacunkowe* podać mogą wielkość kapitału martwego, wykazując nowe źródła bogactwa krajowego i podnosząc siłę płatniczą pojedyńczych majątków i całego kraju. Z tych przyczyn mamy nadzieję, że Wysoka Dyrekcya zechce uwzględnić przedłożoną naszą prośbę.

Faktem jest, że ograniczenie kraju na produkcyę rolną wobec wzrastającéj konkurencyi zamorskiéj, a w niektórych okolicach i stopniowego obniżenia wydajności gruntów, spowodowanéj trzebieniem lasów jako téż i wyjałowieniem gruntów, pogorsza zły stan finansowy i doprowadza do upadku właścicieli ziemskich a spowodować może zachwianie Towarzystwa samego, opierającego procentowanie kapitału wyłącznie na wydajności ziemi jako roli.

Nie potrzebujemy wyłuszczać, jakie straty ekonomiczne ponosi przytém kraj nasz cały.

Wobec takich stosunków przeprowadzenie postawionego wniosku staje się kwestyą ponad wszystkie ważniejszą.

Co do drugiéj części naszego projektu to jest: „*oznaczenia wartości wód i gruntów, które w skutek braku amelioracyi nie przynoszą odpowiedniego swéj wartości procentu lub całkiem leżą odłogiem*“, to pomimo odłożenia téj części pracy na lata przyszłe, ośmielamy się upraszać Sz. Dyrekcyę o zebranie danych statystycznych co do ogółu rozmiarów posiadłości w tym kierunku już zbadanych i to ze względu na obszary wymagające amelioracyi jako téż i wykazanie powodów, dla których w pewnych miejscowościach przeprowadzenie odpowiednich prac jest szczególnie ze względu na stosunki służebnościowe niemożebne. Wyszczególnienie wszystkich przyczyn i zebranie tychże w jednę całość ułatwi obmyślenie środków usunięcia przeszkód, w każdym razie objaśni nas, co posiadamy i w jakim kierunku praca najkorzystniejsze rezultaty przynieść może.“

Projekt w ogólnych rysach tutaj skreślony, jeżeli się da przeprowadzić praktycznie, okaże się niezawodnie korzystnym dla wielkiéj liczby ziemian, a ponieważ dąży do ściślejszego oznaczenia wartości majątków ziemskich i może podnieść siłę płatniczą nie jednego z nich, powinienby zwrócić na siebie uwagę władz Towarz. Kred. Ziem. i zachęcić je do bliższego porozumienia się z redakcyą „Inżenieryi i Budownictwa“ co do warunków samego zbierania wiadomości, jako téż i przeprowadzenia następnie analizy chemicznéj i badań technologicznych. Ponieważ redakcya „Inżenieryi i Budownictwa ma do swego rozporządzenia odpowiednie siły techniczne, Towarzystwo zaś w prędkim czasie będzie musiało przeprowadzać nowe oszacowanie wielu dóbr —wspólny interes obu stron powinienby doprowadzić do porozumienia. Tylko—zdaniem naszem, wypadałoby ażeby autor projektu ściśléj i bliżéj określił: o jakich wiadomości dostarczenie tutaj chodzi, i czy technicy mają zamiar czekać zebrania tych wiadomości przez władze Tow., czy téż mogą

pod pewnemi warunkami ofiarować swe usługi przy samém sporządzeniu opisów dóbr; ten ostatni sposób zdawałby się nam praktyczniejszy, bo odrazu określiłby stosunek pomiędzy właścicielem, Towarzystwem i technikami. Nie jeden z właścicieli mógłby zażądać wysłania technika do swego majątku dla zbadania gruntu i podkładu, równocześnie z przeprowadzeniem oszacowania, a robota taka, rozpoczęta w kilku miejscach, byłaby najsilniejszą zachętą dla reszty ziemian do rozpatrzenia się dokładniejszego w tém co sami posiadają, i dochodzenia sposobów jakiemi ze swéj własności większą korzyść wyciągnąć będą mogli.

— **„Obraz historyi literatury polskiéj w wieku XVII.“** Tak brzmi temat konkursu ogłoszonego przez redakcyą „Biblioteki Warszawskiéj“ z oznaczeniem nagrody wynoszącéj rubli tysiąc. Przeciąg czasu do opracowania tematu tego podano dwuletni; termin ostateczny składania rękopismów upływa z dniem 1 lutego 1886 roku. Gdybyśmy posiadali już wiele prac przygotowawczych, rozświetlających dzieje piśmiennictwa naszego w ciągu XVII stulecia, czas ten do należytego spełnienia zadania nie byłby za krótkim; ale wziąwszy pod uwagę szczupłą liczbę dzieł takich, na których badacz mógłby z całą ufnością polegać, wypadnie chyba przypuścić, iż termin będzie musiał uledz przedłużeniu. Przypuszczenie to nabierze jeszcze więcéj prawdopodobieństwa, jeśli zastanowimy się nad wymaganiami, jakie redakcya Biblioteki względem sposobu opracowania tematu postawiła. „Autor proponowanego dzieła — mówi redakcya—powinien zbadać krytycznie *wszystkie gałęzie ówczesnéj wiedzy narodu, wszystkie czynniki ówczesnéj kultury... Wszystkie działy piśmiennictwa naukowego należy rozebrać ze stanowiska dzisiejszéj nauki, zaznaczając jednak zawsze stopień wiedzy, na jakim się znajdowała dana nauka w historyi oświaty powszechnéj w wieku XVII.*“

Takiego szerokiego zakresu wiedzy wymagać od jednego człowieka, wymagać dziś, jest niepodobieństwem; nauki zanadto się rozspecyalizowały, ażeby się znalazł polihistor równie gruntownie znający historyą i ekonomią polityczną, jak matematykę, nauki przyrodzone i medycynę, a w dodatku i historyą wszystkich nauk. Każdą dziedzinę naukową musi dziś obrabiać specyalista, jeżeli badanie ma przynieść jakieś rzetelnie umiejętne wyniki. Rozumiała to niewątpliwie sama redakcya, gdyż obszar pracy starała się ograniczyć za pomocą kilku wyjaśnień. I tak powiada: „Nie chodzi tu

o zupełne wyczerpanie wszystkich drobnych szczegółów, ale o *umiejętne*, *krytyczne* uwydatnienie ważniejszych ogólniejszych idei i momentów, które przenikały tę epokę naszego życia umysłowego.“ Ależ, można zauważyć, jeżeli owo uwydatnienie „idei i momentów“ ma być umiejętne i krytyczne, nie zaś powierzchowne i dowolne, to musi *koniecznie* opierać się na zbadaniu owych drobnych szczegółów. A zresztą sama redakcya rozwijając dokładniéj od innych jeden punkt zadanego tematu, a mianowicie historyą szkoły i metody nauczania, wskazuje, iż dla naukowego spełnienia zadania wejść trzeba istotnie w szczegóły. Dzieło bowiem proponowane ma przedstawić, w krytycznym przeglądzie, dokładny obraz stanu szkół i metod pedagogicznych w Polsce XVII stulecia, nie tylko akademickich, ale i zakonnych, dysydenckich, miejskich, klasztornych i parafialnych. „Potrzeba zbadać krytycznie — powiada daléj redakcya—na podstawie współczesnych wiarogodnych źródeł, o ile (poza interesem czysto materyalnym dotacyi szkół) podtrzymywała ten antagonizm korporacyi naukowych (Akademii krakowskiéj z jezuitami) troskliwość o jak najlepszą metodę nauczania, z czego pokazać się powinna różnica, jaka od samego początku istniała między metodą szół akademickich a jezuickich, niemniéj i wszystkich innych zakładów wychowawczych w Polsce wieku XVII. Autor powinien zwrócić i na to uwagę, czy metoda i szkoły jezuickie w Polsce różniły się *w czemkolwiek* od zakładów jezuickich w innych krajach Europy, bo w ten sposób odkryje może przyczyny, dla których, słusznie czy niesłusznie, zjednały sobie szkoły jezuickie u nas opinią daleko nieprzychylniejszą aniżeli w innych krajach.“

Tak zakreślona praca jużby sama w sobie mogła stanowić temat do oddzielnego konkursu, gdy tymczasem ma ona być tylko cząstką o wiele większéj całości. A przecież redakcya i na tém nie poprzestaje, lecz nasuwa autorom myśl, iż wypadałoby tę historyą szkół i metod w wieku XVII związać z dziejami rozwoju ich w czasach późniejszych; powiada bowiem: „Wyjaśniony stosunek wzajemny metod pedagogicznych owych przeróżnych zakładów naukowych w Polsce XVII stulecia, uwydatni daleko dokładniéj postęp urządzeń Komisyi Edukacyjnéj i wszystkich późniejszych usiłowań polepszenia wychowania i oświecenia publicznego. Z takiego zbadania przedmiotu okaże się, czy istnieje w historyi naszych szkół pewien organiczny łańcuch zasad, pojęć i metod pedagogicznych, któryby łączył z sobą wskazane powyżéj instytucye, lub czy to są *disjecta membra* każdorazowych obcych wzorów, mniéj lub więcéj

umiejętnie zastosowanych do potrzeb, do stopnia uspołecznienia, do obyczajów i zwyczajów ludności miejscowéj.“

Jeżeli tak ma być opracowana drobna cząstka tematu, to jakiejże dokładności wymagać wypadnie od właściwéj historyi literatury? Zaiste zbyt to są rozległe wymagania, i o ściśle naukowém ich wypełnieniu marzyć nawet niepodobna. Zapewne téż komisya, która sądzić będzie rozprawy konkursowe, uwzględni i takie prace, co tylko część zadania odrobionego zawrą, jak to było z konkursem na historyą języka polskiego. Zresztą *audaces fortuna juvat*... Ale czyżby nie lepiéj było kreślić odrazu skromniejsze, możliwsze do wykonania temata?...

— W Krakowie w dniu 28, 29 i 30 maja roku bieżącego ma się odbyć **Zjazd historyczno-literacki**. Celem jego będzie poruszenie tych pytań, od rozwiązania których zależy ulepszenie metody i rozwój prac naukowych na polu historyi języka, oświaty i piśmiennictwa polskiego. Istotnie wobec znacznéj liczby dyletanckich, bez żadnéj umiejętnéj metody dokonanych opracowań w dziedzinie zwłaszcza historyi literatury naszéj, potrzebne jest najprzód porozumienie się wzajemne tych pracowników, którzy według pewnéj metody studya swoje historyczno-literackie prowadzą, a powtóre danie pewnych wskazówek szerszemu kołu inteligencyi, jakby należało owe dyletanckie roboty traktować. „Jeżeli publiczność nasza czytająca—mówi program zjazdu, tego punktu dotykając— pod tym względem stanie się wybredniejszą, jeśli się stanie tak wymagającą, jak nią jest wobec prac na polu historyi politycznéj; to tém samém znikną z naszych czasopism owe liche i płytkie kompilacye, to historya literatury stanie się jedną z pierwszych, a powiedzmy wprost pierwszą gałęzią naszéj historycznéj wiedzy, a praca na tém polu spełnieniem jednego z najtrudniejszych obowiązków wobec nauki i wobec społeczeństwa. Rozprawy i monografie zaczną się nawzajem dopełniać, jedna na jednę stronę, druga na drugą stronę naukowego sądu zwróci uwagę, a z nich wszystkich zacznie się wydobywać pogląd ogólny, jasny i sprawiedliwy.“ Zjazd zapewnił już sobie znaczną liczbę referentów, którzy podjęli się opracowania różnych kwestyj, złączonych z badaniem dziejów piśmiennictwa i języka polskiego. Może niejeden z czytelników zainteresuje się samym zjazdem i zechce wziąć w nim udział, jeżeli pozna temata rozebrane do obrobienia; dlatego téż podajemy tu ich spis:

I. W sekcyi historyczno-literackiéj.

1) M. Bobrzyński: O wpływie kanonistów i legistów na literaturę polityczną polską w wieku XVI.

2) B. Chlebowski: Znaczenie różnic terytoryalnych i etnograficznych w dziejach literatury polskiéj mianowicie w w. XVI i XVII.

3) P. Chmielowski: Jak należy traktować utwory poezyi ludowéj w historyi literatury polskiéj.

4) L. Ćwikliński: W jaki sposób wydawać należy poetów polsko-łacińskich XVI wieku.

5) Fr. Czerny: O wpływie wielkich odkryć gieograficznych na oświatę polską XVI i XVII wieku.

6) S. Krzemiński: Znaczenie reformy szkół Konarskiego w dziejach oświaty polskiéj.

7) K. Morawski: O wpływie humanizmu niemieckiego i włoskiego na oświatę polską XV i XVI wieku.

8) R. Pilat: Jak należy wydawać dzieła polskich poetów XVI i XVII wieku.

9) J. Rostafiński: O wpływie życia ziemiańskiego na literaturę XVI wieku.

10) M. Straszewski: O wpływie filozofii Leibnitza i Wolffa na ruch umysłowy w Polsce XVIII w.

11) S. Tarnowski: Stan obecny badań i prac w dziedzinie historyi literatury i oświaty i nasuwające się ztąd żądania.

12) S. Tomkowicz: O potrzebie rozpatrzenia się w zbiorach kazań średniowiecznych, zwłaszcza pasyjnych, nagromadzonych po bibliotekach polskich, opracowania ich i częściowego wydania, jako materyału do utworzenia obrazu zaginionéj prawie literatury dramatu kościelnego czyli misteryów w Polsce.

13) W. Wisłocki: O podjęciu wydawnictwa „Biblioteki Pisarzów Polskich.“

II. W sekcyi językowéj.

1) L. Ćwikliński: O potrzebie tłómaczenia starożytnych klasyków greckich i rzymskich i jak ich tłómaczyć należy.

2) J. Hanusz: O ileby należało uwzględniać nowsze teorye gramatyki indoeuropejskiéj w pracach, poświęconych kwestyom historyczno-porównawczym języka polskiego.

3) A. Kalina: Jakich zasad trzymać się należy w transkrypcyi rękopiśmiennych i drukowanych zabytków polskich od najdawniejszych czasów do XVII w.

4) A. Kalina: Projekt jednolitego skrócenia tytułów zabytków staropolskiego języka.

5) L. Malinowski: O sposobie spostrzegania i zapisywania właściwości mowy ludowéj.

Zjazd ten będzie zarazem uczczeniem poety, którego 300-letnia rocznica śmierci w roku bieżącym przypada, poety, który—jak powiada program — „połączył w sobie w jednę harmonijną całość pierwiastki cywilizacyi chrześcijańskiéj i klasycznéj w obrębie polskości,“ słowem Jana Kochanowskiego. Spodziewać się należy, iż ktoś z uczonych podejmie pracę, którąby imię jego w odpowiedni sposób z przedmiotem rozpraw zjazdu związała.

Wydawca, **W. Spasowicz**.—Redaktor **Piotr Chmielowski**.



NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do redakcyi „Ateneum“

w ciągu m. Lutego 1884 r.

---

1. **Gucio zaczarowany.** Powieść dla młodych dzieci przez *Zofię Urbanowską.* Z 10 rycinami kolorowanemi, rysunki C. Jankowskiego. Warszawa. Gebethner i Wolff, 1884 str. 125.
2. **Gwiazdka dla grzecznéj dziatwy.** Małe powiastki opowiedziała *M. J. Zaleska.* Z 26 obrazkami w tekście. Gebethner i Wolff. 1884 str 242.
3. **Listy z Konstantynopola** przez *Jana Gnatowskiego.* Kraków, 1883 str. 285.
4. **Jan Kochanowski** w świetle własnych utworów przez *Bronisława Chlebowskiego.* Warszawa, 1884 str. 227.
5. **Krwawy dorobek.** Powieść z życia albańsko-macedońskiego przez *Sahi-Beja.* Warszawa. Gebethner i Wolff. 1884 str. 323.
6. **Nowelle Adolfa Dygasińskiego.** Serya I. Wilk, psy i ludzie.—Co się dzieje w gniazdach. Za krowę. Warszawa, 1884 str. 219.
7. **Odprawa posłów greckich Jana Kochanowskiego,** jéj wzory i geneza. Napisał *Józef Kallenbach.* Kraków, 1883 str. 40.
8. **Gwara Zakopańska.** Studjum dyjalektologiczne przez *Ad. Ant. Kryńskiego.* Kraków, 1883 str. 57.
9. **Kaszubi.** Kilka słów o ich życiu i poezyi skreślił *Wiktor Czajewski.* Warszawa, 1883 str. 42.
10. **Wrażenia Ciechocińskie.** Studio et sine ira opisał *Henryk Goldstein.* Warszawa, 1883 str. 66.
11. **O nieśmiertelności duszy** napisał *Henryk Struve.* (Odbitka z Wieku. Warszawa 16 a str. 58.
12. **Dzieła poetyczne i dramatyczne Fryderyka Szyllera.** Illustrowane przez znakomitych artystów. Zeszyty 6, 7 i 8.
13. **Dziedziczność** i jéj wpływ na moralny i umysłowy postęp ludzkości napisał prof. *dr. Ludwik Büchner* przełożył *Julian Steinhaus* Warszawa, 1884 (str. 92).
14. **O Pracy** przez *J. I. Kraszewskiego.* Warszawa u Prószyńskiego. Warszawa. 1884 (str. 46).
15. **Jak zbierać mierzwę czyli nawóz** i urządzać gnojownie napisał *Kazimierz Promyk.* Warszawa u K. Prószyńskiego 1884, (str. 16).
17. **Akta Grodzkie i ziemskie** z czasów rzeczypospolitéj polskiej, z Archiwum tak zwanego Bernardyńskiego we Lwowie — wskutek fundacyi ś. p. Alexandra hr. Stadnickiego wydane staraniem Galicyjskiego wydziału krajowego. Tom IX. Lwów. 1883, 4-o str. VI i 340.
18. **Kilka słów o sanskrycie** z powodu nowej publikacyi napisał *Jan Hanusz.* Kraków, 1884 str. 14.
19. **Bitwa pod Lubieszowem** d. 17 Kwietnia 1577 r. przedstawił *Ferdynand Kudelka* z dwoma tablicami. Kraków, 1883 str. 31.

ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE,

wychodzi w roku 1884 jak dotychczas na początku każdego miesiąca zeszytami, najmniéj 12 arkuszy druku zawierającemi.

Redakcya zawiadamia szanownych czytelników, że i w roku bieżącym starać się będzie o jak najstaranniejsze spełnienie programu, przedstawionego w prospekcie na rok 1882. Rozbierać ważniejsze zagadnienia, jakie społeczeństwu naszemu rozwój stosunków stawia, rozpowszechniać zdobycze naukowe w świecie cywilizowanym dokonane, śledzić bacznie objawy umiejętne i literackie wśród narodu naszego, zdając o nich sprawę krytyczną, podawać dla umysłu przedmioty do rozwagi i fantazyi karm zdrową; oto główne cele, które osiągnąć zamierzyła sobie redakcya.

Działy, w których myśl przewodnia znajdować będzie swe wyjaśnienie i rozwinięcie są następne:

I. Artykuły wstępne dotyczące ważnych zagadnień bieżących treści społecznéj lub naukowéj.

II. Powieści i poezye, oryginalne i tłomaczone.

III. Studya z dziedziny historyi, etnografii, lingwistyki i mitologii, ze szczególnym uwzględnieniem dziejów i stosunków polskich.

IV. Rozprawy wyświetlające ważniejsze chwile z dziejów piśmiennictwa naszego i obcego.

V. Obrazy stanu politycznego, urządzeń publicznych i przedsiębranych w świecie cywilizowanym reform, o ile się one doniosłością swoją uwydatnią.

VI. Studya z dziedziny filozofii, a zwłaszcza psychologii, etyki i estetyki.

VII. Artykuły treści wychowawczéj.

VIII. Rozprawy z zakresu nauk przyrodniczych, oraz kronika przyrodnicza, notująca najnowsze odkrycia i wynalazki.

IX. Kronika miesięczna, w której bieżące objawy życia społecznego znajdą sprawozdanie i krytykę.

X. Przegląd ważniejszych objawów wśród przedstawień scenicznych.

XI. Rozbiory, sprawozdania i wrażenia literackie, w których zawrze się obraz ruchu naukowo-literackiego i artystycznego, objawiającego się w nowo wychodzących utworach.

Warunki przedpłaty.

Prenumerata **Ateneum** w Warszawie, w guberniach Królestwa i Cesarstwa oraz we wszystkich krajach należących do związku pocztowego wynosi:

Rocznie Rs. 12. Półrocznie 6. Kwartalnie 3. (tylko w Warszawie).

Prenumeratorów z prowincyi upraszamy o nadsyłanie prenumeraty bezpośrednio

DO REDAKCYI ATENEUM Włodzimierska, 14.

Дозволено Цензурою. Варшава 18 Февраля 1884 г.